

Trzecia płeć



TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

Trzecia płeć

ROZDZIAŁ I

W poczekalni był tłok. Nie spodziewała się tego i teraz wołałaby zaraz stąd się wycofać, nie czekając na swoją kolejkę. I tak było to beznadziejne. Już z obojętnego wyrazu twarzy woźnego, sprawdzającego datę wezwania, już z jego lekceważącego kiwnięcia, którym wskazał jej wolne krzesło, wróżyła sobie najgorzej. Jeżeli wszyscy ci panowie również ubiegają się o posadę, lepiej od razu machnąć ręką na te kilkadziesiąt złotych, wydanych na bilet kolejowy, i wracać do Poznania.

Uspokoila się dopiero po dłuższej chwili. Ostatecznie trzeba próbować szczęścia. A nuż wywoła szczególnie dobre wrażenie? Zresztą i przygotowanie ma na pewno niegorsze od większości tych panów. Zaczęła się im przyglądać. Przeważnie byli to ludzie starsi o nienagannej powierzchowności i przyzwoitym sposobie bycia. W ich spojrzeniach, którymi oceniali ją jako kobietę i jako współzawodniczkę, nie dostrzegała ani zachwyty, ani obawy. Widocznie nie brali jej współzawodnictwa w rachubę, a zbyt byli pochłonięci oczekiwanym posłuchaniem u dyrektora, by zwrócić więcej uwagi na jej urodę, wdzięki i nowy, cudownie skrojony wspaniały kostium, w którym przecie wyglądała świetnie.

W kącie pod oknem siedziała jeszcze jedna kobieta, starsza już i źle ubrana, a naprzeciw druga, przesadnie wymalowana i wciąż uśmiechająca się nedorzecznie.

Wzdłuż lewej ściany przechadzał się wysoki, szczupły brunet w granatowym ubraniu. Ilekroć otwierały się drzwi i woźny ospale wymieniał czyjeś nazwisko, brunet zatrzymywał się i wtedy dopiero jego rysy zdradzały niepokój i podniecenie, które ledwie dawały się dostrzec w nierównym i twardym kroku. Miał duże ciemne oczy i bardzo ładne ręce. W jego sposobie trzymania się było coś, co przypominało jej męża. Tylko Karol był niższy i bardziej ociężały. Właśnie ta ociężałość najwięcej mu w życiu psuła. Po prostu wątpił o celowości każdego wysiłku, zanim zdobył się na postanowienie. Gdy w odpowiedzi na swe podanie otrzymała wezwanie do stawienia się w „Mundusie”, wzruszył ramionami. Może zresztą i nie bez słuszności.

Brunet stawał często przed wielobarwnymi plakatami, którymi bez reszty pokryte były ściany, i idąc za jego wzrokiem, bezmyślnie odczytywała jaskrawe napisy, zachwalające w słodkich wyrazach urok Dalmacji, fiordów, Biarritz, Kairu, Andaluzji, Wenecji, Alp, Tatr, Karpat, jezior szkockich i augustowskich, palmowych gajów Maroka i rozlewisk czarnomorskich. Tak łatwo to wszystko zobaczyć! Zobaczyć za tanie pieniądze. Oto podróż z Triestu do Algieru kosztuje na wspaniałym okręcie tylko dwanaście dolarów, a przelot olbrzymim płatowcem z Berlina do Wenecji tylko dziesięć. W hotelu „Majestic” apartament z łazienką wynosi zaledwie osiemdziesiąt franków dziennie. I nie ma żadnych kłopotów: wszystko można załatwić, przygotować, uplanować i opłacić już tu, na miejscu, w „światowym biurze podróży Mundus”.

Otworzyły się drzwi i woźny powiedział:

— Pani Anna Leszczowa!

Zerwała się, obciągnęła kostium i, zaciskając szczęki, przeszła przez pokój, czując na sobie niechętnie spojrzenia. Z poczekalni wchodziło się do małego pokoiku, gdzie pracowały dwie maszynistki, a stąd do dużego gabinetu. Przy wielkim amerykańskim biurku siedział zażywny starszy pan, inżynier Minz, naczelny dyrektor Towarzystwa Mundus. Ciężko podniósł się i, podając rękę, zapytał z pewnym zdziwieniem:

— Czy to pani?
 — Anna Leszczowa — zapewniła go.
 Podniósł wysoko brwi:
 — Ileż pani ma lat, proszę darować niedyskretne pytanie?
 — Nie ma w tym żadnej niedyskrecji — uśmiechnęła się — mam dwadzieścia osiem.
 Mruknięła coś pod nosem i wskazała jej krzesło. Przed nim zobaczyła rozłożone odpisy swoich świadectw i dyplomów.
 — Czy pani całkiem biegle włada angielskim i francuskim także i w piśmie? — zapytał dyrektor Minz.
 — Zupełnie biegle, proszę pana. Pozwoliłam sobie załączyć dyplom szkoły języków obcych...
 — Tak, tak... hm... Zna pani zatem równie dobrze niemiecki, włoski i rosyjski?...
 — Tak jest, panie dyrektorze.
 — Nadto ma pani... zaraz, zaraz... Wynotowałem to sobie... Otóż: doktorat prawa Uniwersytetu Warszawskiego, ukończoną Szkołę Nauk Politycznych¹, Wyższe Kursy Handlowe², Kursy stenografii i pisanie na maszynie, Liceum gospodarstwa wiejskiego... Uff, to zdaje się już wszystko! Kiedy pani, na miły Bóg, zdążyła zrobić tyle tego!? I do licha po co? Pytam po co?... Przecie pani nie może połowy, ba, dziesiątej części zapamiętać tego, czego się pani nauczyła!
 — Myli się pan — odpowiedziała chłodno. — Wszystko pamiętam doskonale.
 Spojrzał na nią spod krzaczastych brwi i poprawił się w fotelu:
 — Niech się pani na mnie nie gniewa — powiedział pojednawczo. — Zbyt często mam do czynienia z kandydatkami na posady. Wszystkie mają potworne ilości dyplomów i nic nie umieją. Majątek wydały na kształcenie się w najzbędniejszych kierunkach. To choroba naszego wieku. Nie odpowiadałbym też na pani ofertę, gdyby nie to, że jej świadectwa pracy są wyjątkowo dobre, no i że zna pani technikę roboty w biurach podróży. Czy bardzo pani zależy na utrzymaniu posady?
 — Bardzo, panie dyrektorze.
 — Pani jest żoną adwokata?
 — Tak. Ale mój mąż niestety bardzo mało zarabia — odpowiedziała cicho i spuściła oczy, gdyż bała się, by z jej wzroku nie wyczytał prawdy. Przecież Karol nie zarabia nic. Od szeregu miesięcy nie przyniósł do domu ani grosza. Gdyby nie zapomoga z Zakładu Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych³, którą otrzymywała od czasu redukcji w Agencji Turystycznej, nie mieliby na najkonieczniejsze wydatki, nawet na mleko dla Lituni.
 — Mieszka pani stale w Poznaniu? — zapytał Minz.
 — Tak, panie dyrektorze. Dosłownie o sto kroków od filii „Mundusu”.
 — To jest do niczego. Nie mogę powierzyć pani kierownictwa tej filii...
 — Ja przyjmę każde warunki — przerwała z pośpiechem.
 — Nie — potrząsnął głową, — na razie nie mogę tego zrobić. To jest wykluczone. Stanowisko trzeba byłoby objąć natychmiast, ja zaś zbyt mało wiem o pani zdolnościach.
 Przygryzła wargi i pomyślała, że sceptycyzm Karola był uzasadniony. Dyrektor Minz bębnił grubymi palcami po papierze. Palce były żółte od papierosów, biurko zasypane popiołem, a powietrze pełne dymu. Zaczął wypytывать ją o różne rzeczy, nie tylko mające związek z jej znajomością przedmiotu. Zorientowała się, że dyrektor egzaminuje ją. Po pół godziny była tym już zupełnie zmęczona, gdy powtórzył:
 — Nie mogę powierzyć pani kierownictwa poznańskiej filii... — chrząknął i dodał:
 — Ale miałbym dla pani coś innego. Trudnością jest to, że musiałyby pani zamieszkać w Warszawie... Ustępuje właśnie kierownik działu turystycznego naszej centrali. Stanowisko to jest nawet lepsze od dyrekcji filii... hm... Można by zrobić miesięczną próbę. Ale skoro pani mieszka w Poznaniu...

¹*Szkoła Nauk Politycznych* — prywatna uczelnia wyższa działająca w latach 1917–1939, która miała siedzibę początkowo w Pałacu Małachowskich przy ul. Senatorskiej, natomiast później przy ul. Wawelskiej. [przypis edytorski]

²*Wyższe Kursy Handlowe* — dawna nazwa Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, funkcjonowała w latach 1908–1915. [przypis edytorski]

³*Zakład Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych* — dawna instytucja ubezpieczeniowa, działająca w latach 1927–1935. [przypis edytorski]

Serce zabiło jej mocno.

— To nic, panie dyrektorze, mogłabym... to jest moglibyśmy się przenieść do Warszawy.

— Nie robi to pani różnicy?

— Żadnej, panie dyrektorze — zapewniła stanowczo, chociaż od razu zdała sobie sprawę z tego, że jest wprost przeciwnie.

Karol nie będzie mógł opuścić Poznania, póki żyje jego ojciec, wymagający nieustannej opieki. Poza tym adwokatowi nie tak łatwo przenieść się do innej apelacji, zwłaszcza do stołecznej. Zresztą tam mają bezpłatne mieszkanie w willi ojca i ogród tak konieczny dla Lituni. Musiałaby przenieść się sama i zamieszkać u ciotki Grażyny. Ostatecznie Poznań nie jest tak daleko... Zresztą, czyż ma tutaj wybór?... Powinna z pocałowaniem ręki przyjąć propozycję.

— Kwalifikacje pani — mówił dyrektor — wydają się wystarczające. Jest pani dostatecznie obeznana z branżą. Próba jednak jest konieczna. To moja zasada. Dziś mamy czternastego maja. Od jutra mogłaby pani rozpocząć pracę, co tym bardziej byłoby wskazane, że pan Komitkiewicz, dotychczasowy kierownik działu turystycznego, za dwa tygodnie wyjeżdża. Zatem miałby czas zapoznać panią z bieżącą robotą. Jak pani wyobraża sobie wysokość pensji?

— Ja nie wiem — uśmiechnęła się.

— W swojej ofercie pisze pani, że zgodzi się na każde warunki. Nie zamierzam pani wyzyskiwać, ale czasy są ciężkie, ruch w interesie mały, podatki kolosalne. Na próbny miesiąc otrzyma pani trzysta pięćdziesiąt złotych, a później pogadamy. Zgoda?

W myśli obliczyła, że przy pewnej oszczędności będzie mogła u ciotki otrzymać pokój i utrzymanie za jakieś sto pięćdziesiąt, niech nawet sto siedemdziesiąt złotych. Trzydzieści powinno wystarczyć na drobne wydatki. Karolowi będzie wysyłała sto pięćdziesiąt. To zawsze coś.

— Zgoda, panie dyrektorze.

— No, to świetnie.

Nacisnął guzik dzwonka i rzucił woźnemu:

— Pana Komitkiewicza!

Gdy woźny wyszedł, dyrektor Minz wydobył z szuflady stos prospektów i rozkładając je przed Anną, zaczął objaśniać, na czym będą polegały jej obowiązki. Słuchała uważnie, chociaż przedmiot знаła na wylot. W Agencji Turystycznej wprawdzie nie załatwiała tych rzeczy samodzielnie, lecz do dziś dnia umiała na pamięć adresy różnych zagranicznych przedsiębiorstw podobnego rodzaju, wiedziała jak się organizuje wycieczki zbiorowe, jak oblicza się koszty i prowadzi się korespondencję. W tym, co mówił dyrektor Minz, przestraszała ją tylko osobista odpowiedzialność za każde postanowione przedsięwzięcie. Poza tym była przekonana, że z łatwością da sobie radę.

Wkrótce zjawiał się Komitkiewicz, przystojny, rudawy blondyn, pachnący „loriganem”⁴ i ubrany z wyszukaną elegancją. Widocznie domyślał się, z kim ma do czynienia, gdyż przedstawił się Annie z koleżeńską swobodą. Wysłuchawszy krótkiego polecenia szefa, zapytał układowo:

— Czy chciałaby pani zaraz obejrzeć dział?

— Jeżeli to jest możliwe... — powiedziała niezdeterminowanie, zwracając się do Minza.

— Owszem, owszem — kiwnął głową. — Oczywiście. Takie spojrzenie z lotu ptaka... Hm... a jutro prosiłbym panią przyjść od rana. Nasze godziny biurowe są od dziewiątej do drugiej i od czwartej do siódmej. Obowiązuje to cały wyższy personel. Do widzenia pani.

Wstał i podał jej rękę.

— Służę pani — szarmancko otworzył drzwi Komitkiewicz.

Znowu przeszli przez pokój, gdzie siedziały dwie maszynistki i przez poczekalnię. Tutaj sam fakt przeprowadzenia jej przez urzędnika wywołał sensację. Z zaniepokojonych spojrzeń poznała, że wszyscy się domyślali, iż została zaangażowana. Brunet w granatowym

⁴lorigan — zapewne chodzi o *L'Origan*, perfumy stworzone przez François Coty'ego, założyciela przedsiębiorstwa Coty. [przypis edytorski]

ubraniu raptownie odwrócił się od czytanego po raz setny plakatu i obrzucił ją jakimś niedobrym wzrokiem.

Zbyt była przejęta biegiem zdarzeń, by móc zdawać sobie dokładnie sprawę ze swego stanu wewnętrznego, a przecież natychmiast stłumiła automatyczny uśmiech i przyspieszyła kroku.

— Jakie to szczęście — myślała — że właśnie ja, że właśnie ja. Cóż mogę na to poradzić, że dla wszystkich nie ma miejsca?

— Tędy pani będzie łaskawa — wprowadził ją Komitkiewicz do wielkiej sali, urządzonej, jak hale bankowe.

Sala o bardzo wysokim suficie pełna była różnorodnych hałasów. Terkot arytmometrów⁵, stemplarek, maszyn adresowych i maszyn do pisania, dzwonki telefonów i trzask liczydeł mieszały się z jednostajnym szurgotem nóg, monotonnym huczeniem setek głosów i głuchym turkotem kołowrotu drzwi, znajdujących się w nieustannym ruchu. W powietrzu pachniało drukarską farbą i wagonem kolejowym. Wzdłuż oszklonego kontuaru, biegnącego wokół sali, gęsto ustawione były biurka, z tamtej strony przy okienkach stały grupki interesantów, gdzieniegdzie wyciągając się w dłuższe ogonki.

— Ależ to ogrom! — powiedziała z podziwem i odrobiną strachu.

Komitkiewicz jednak nie dosłyszał jej okrzyku. Szli wąskim chodnikiem, aż otworzył przed nią drzwi oszklonego boksu:

— Oto gabinet dotychczas mój, a obecnie pani — powiedział z niezmienną uprzejmością. — Proszę bardzo.

Mała oszklona klitka, przeźroczysty kiosk, a wewnątrz dwa obszerne biurka, szafa i kilka krzeseł.

— Pan opuszcza firmę? — zapytała, stojąc i bezradnie rozglądając się dokoła.

Zaśmiał się i przysunął jej krzesło.

— Niezupełnie, proszę pani, ale coś w tym rodzaju: raczej zostaję „opuszczony”.

Zrobiło się jej przykro.

— Z tego, jak wyrażał się o panu pan dyrektor — odezwała się nieśmiało — odniosłam wrażenie, że bardzo pana ceni...

— Prawdopodobnie tak jest w rzeczywistości — kiwnął głową — jednak kwota, jaką przeznaczają dla zadokumentowania tej oceny, nie pokrywa mego budżetu... Niech mnie pani źle nie zrozumie. Bynajmniej nie robię z tego zarzutu panu Minzowi. Zresztą wszystkie pensje zostały zredukowane... Nie każdy jednak mógł na to się zgodzić.

— To takie przykre — westchnęła.

— Tsss!... — przyłożył do ust palec z komiczną miną. — Tu w gabinecie szefa działu turystycznego, w gabinecie *maitre'a de plaisir*⁶, słowo *przykre* jest wykreślone raz na zawsze.

Zaczął objaśniać jej rozmieszczenie poszczególnych działów. Tu z prawej i z lewej turystyczny, dalej kasy biletowe, za nimi informacje, biuro zamawiań, dział paszportów i wiz, reklamacje i kantor wymiany. Naprzeciw, po drugiej stronie, bilety lotnicze, morskie, dział bagażowy, wynajem autokarów i samochodów oraz budki telefoniczne. W kiosku przy drzwiach głównych mieści się agencja wynajmu letnisk.

— Ogółem zatrudniamy tu w centrali sześćdziesiąt osób. Przeciętna frekwencja publiczności dochodzi do pięciuset osób dziennie. Roboty więc pani nie zbraknie, zważywszy, że pani dział jest największy i najrentowniejszy. Jutro przedstawię pani jej podwładnych i będę miał przyjemność rozpocząć zaznajamianie swojej następczyni z robotą. Czy pani nic nie ma przeciw temu?

Podziękowała mu jak umiała najserdeczniej, obiecując sobie, że wywdzięczy się za jego uprzejmość całą życzliwością.

Gdy znalazła się na ulicy, ogarnęła ją jakaś wprost dziecinna radość. I słoneczny ciepły dzień, i gęsty tłum wypełniający chodniki, i pierwsza zieleń drzew — wszystko to wydało się jej nagle znowu tak bliskie, jak za dawnych lat, kiedy jeszcze była studentką. Królewską doszła do rogu Marszałkowskiej i tu wsiadła do tramwaju. Gdyby nie wstydziała się, uśmiechałaby się do wszystkich.

⁵arytmometr — maszyna licząca, poprzednik kalkulatora. [przypis edytorski]

⁶*maitre'a de plaisir* (fr.) — wodzirej, dosł. *mistrz przyjemności*. [przypis edytorski]

— Tak, tak — myślała — może to nawet nieładnie z mojej strony, ale jednak cieszę się, że zostanę w Warszawie.

Z czasem może Karol też tutaj się przeniesie. To byłoby najlepsze. A wreszcie nie jest przecie nieprawdopodobne, że i ona po pewnym czasie otrzyma zarząd filii poznańskiej.

Ciotka Grażyna mieszkała przy Polnej i Anna wysiadła na rogu Śniadeckich. Znała tu każdy występ muru, każdą bramę. Przez dwa pierwsze lata studiów na Uniwersytecie mieszkała u ciotki, a chociaż po ślubie Kubusia musiała się wyprowadzić, nadal bywała tu prawie codziennie. Była przywiązana do ciotki i jej całego domu, a jeżeli w tym przywiązaniu nie było nadmiaru sentymentu, nie było też i krytycyzmu. Zresztą ciotce Grażynie zawdzięczała wiele, bardzo wiele, może nawet wszystko to, czym była i w zupełności podzielała ten szacunek, a raczej tę cześć, jaką zewsząd otaczano wspaniałą posagową postać pani senatorki Grażyny Jelskiej-Szermanowej.

Ze wszystkich ludzi, jakich Anna знаła, jedynie świętej pamięci jej ojciec, ilekroć przyjeżdżała doń na wakacje, pozwalał sobie na pobłażliwe żarciki o ciotce Grażynie.

— I cóż tam porabia Grażynka — zapytywał, mrużąc swoje kochane siwe oczy. — Czy zawsze prosi o przysunięcie maselniczki przy stole takim tonem, jakby była amerykańską Statuą Wolności, która prosi o przysunięcie Grenlandii?

Albo zapytywał:

— Czy ciotka wciąż chodzi jak procesja w jednej osobie?... Biedny Szerman. Dlatego pewno umarł, że zmęczył się noszeniem nad Grażynką rodowego parasola Szermanów, który awansował do roli baldachimu.

Ojciec Anny nigdy wprawdzie tego nie mówił, ale było wiadome, że miał szwagierce za złe małżeństwo z wujem Szermanem, którego wyraźnie nie lubił, nie omijając żadnej sposobności zrobienia przytyku do jego semickiego pochodzenia. Annę bolało to zawsze. Jeżeli w domu ciotki żywiła do kogoś cieplejsze uczucie, był to właśnie wuj Antoni. Miał sam miękkie serce i był czuły dla całej rodziny, nawet dla ojca Anny. Wzruszał się wszystkim, chociaż starał się to ukrywać, zwłaszcza przed żoną i przed synową, która umiała być tak niedelikatna, że na troskliwość odpowiadała głośnym narzekaniem na „żydowską czulostkowość”. W ogóle w domu tym niewiele było miejsca dla sentymentów i nie istniała ich potrzeba. Kubuś, ciężki i ospały, pochłonięty lekturą kryminalnych powieści i układaniem pasjansów, jego żona, wpadająca do domu między danciem a boiskiem sportowym, a już zwłaszcza sama pani Grażyna — nikt nie oczekiwał, nie pragnął i nie dawał nikomu powodu ani prawa do rozczulania się nad sobą. Na jedną Wandę przychodziły takie okresy, ale ta zawsze była w domu gościem, odkąd zaś wyszła za mąż, na Polnej zjawiała się bardzo rzadko.

Od śmierci wuja Antoniego, to jest od czasu, gdy Kubuś musiał zająć się prowadzeniem interesów, mieszkanie było przez cały nieraz dzień puste i Anna obawiała się, że nikogo nie zastanie.

Drzwi otworzył jej nowy służący, co zresztą nie było dla niej niespodzianką, służba bowiem zmieniała się u ciotki Grażyny bardzo często.

— Pani starszej nie ma w domu — powiedział lokaj — a pani młodsza bardzo się śpieszy i pewno nie będzie mogła...

— Józefie! — rozległ się z daleka głos Żermeny. — Józefie, kto to przyszedł?!

— Jak się masz Żermeno — zawołała Anna. — To ja, Anka!

— To ty?!... Co ty mówisz! Przyjechałaś?...

Jednocześnie z tymi słowami Żermena wpadła do przedpokoju. Miała na sobie jaszkrawą zieloną pidżamę i siatkę na włosach. Wyglądała wciąż na młodą pannę, chociaż już wtedy, gdy rozwodziła się ze swoim drugim mężem i wychodziła za Kubusia, miała trzydzieści najmniej, a to było przed czterema laty, czyli musi mieć przynajmniej trzydzieści pięć.

— Dzień dobry, droga Anko, ślicznie wyglądasz — ścisnęła ją, nie wypuszczając z ręki owalnego lustra. — Tylko zanadto przytyłaś! Cóż porabia Karol? Szalenie się śpieszy, wybacz najdroższa, ale Kurbel zaraz zajedzie po mnie... a może już czeka? Nie stoi tam przed bramą takie czerwone torpedo⁷?... Wiesz, ten Kurbel, co wziął na Olimpiadzie

⁷*torpedo* — typ nadwozia samochodów popularnych w okresie, gdy dzieje się akcja powieści (lata 30. XX w.). Nadwozie typu torpedo było otwarte, bez stałych szyb bocznych, ze składanym dachem wykonanym ze

drugie miejsce w maratońskim... Chodźże tutaj, nie gniewasz się, że przy tobie będę się ubierała?... Józefie, niech Bronka zaraz przyniesie rurki i żeby nie były za zimne!... Chodź, najdroższa, tutaj. Ubieram się w gabinecie, bo u mnie taki nieład, ach ta służba!...

Co prawda i tu wszystko było wywrócone do góry nogami, co zresztą nie zdziwiło Anny. Kiedyś, gdy mieszkała u ciotki, próbowała z tym walczyć, chociaż należałoby z góry skapitulować wobec tego, że wszyscy z wyjątkiem samej pani Grażyny zupełnie pozbawieni byli zmysłu do porządku. Tylko w pokojach ciotki, w których nie wolno było grasować nikomu, w sypialni i w salonie, przeznaczonym na herbatki, sesje i posiedzenia, panował zawsze muzealny ład.

Żermena, nie krępując się obecnością Anny, zrzuciła pidżamę i kręciła się po pokoju całkiem naga w czerwonych nocnych pantoflach na bardzo wysokich obcasach, dzięki którym jej długie muskularne łydki wyglądały wprost sugestywnie. Anna wiedziała dobrze, że Żermena umyślnie demonstruje przed nią swoją nagość, po trosze wstydyła się tego (sama za żadne skarby nie potrafiłaby tak się komukolwiek pokazać), a jednak przyglądała się jak urzeczona nieprawdopodobnej smukłości i giętkości tych kształtów! Nie zazdrościła ich Żermenie, gdyż — Boże broń, bez żadnej zarozumiałości — uważała siebie za dostatecznie ładną, a nad kuzynką odczuwała swoją przewagę, przewagę bliżej nieokreśloną, może polegającą na fakcie istnienia Lituni, a może na tym, że w gruncie rzeczy tryb życia Żermeny uważała za bezcelowy i naganny. Ze swej strony Żermena znacznie ostrzej potępiała Annę za jej „mieszczańską solidność” i bez obsłonek wytykała jej to przy łada sposobności.

— Marnujesz się w tym Poznaniu — mówiła i teraz, wyginając przed lustrem swoje ciało dziewiętnastoletniej dziewczyny — marnujesz się. Zawsze miałam uprzedzenie do ludzi o rybim nazwisku. Karol zleszczył cię, zrybił. I ta atmosfera poznańska! Boże!... Świnobicie, o jedenastej całe miasto śpi, nudy piekielne... Nie wiem, ja stałabym się chyba ostrygą, gdyby zmuszono mnie tam mieszkać... Nie znajdujesz, że mi trochę piersi zeszczuplały?

— Owszem... A co do Poznania... Właśnie przenoszę się do Warszawy.

— To skutek masażu. Co drugi dzień godzina i gimnastyka. Radzę ci, zrób to samo. Aha! Przenosisz się? Do Warszawy?... Brawo!

— Znalazłam tu posadę — smutno uśmiechnęła się Anna.

— Masz zupełną rację. Puść go w trąbę. Właśnie wczoraj mówiłam o was z mamą. To skandal, żeby Karol nic nie zarabiał. Mama jest zupełnie tego samego zdania.

— Ciocia nie lubi Karola i nie zawsze bywa dlań sprawiedliwa.

— Ślamazara i tyle.

W istocie Anna po cichu sama tak myślała, uważała jednak za konieczne wystąpić w obronę męża, zwłaszcza przed Żermeną. Przecież to nie jego wina, że bankrutują największe przedsiębiorstwa. Był radcą prawnym takiego dużego banku jak Bank Wielkopolski i prowadził sprawy kilku dominiów. Że bank zlikwidował się, a ziemianie sami nie mają nieraz na wypłatę dla fernali, to wina kryzysu. Karol zaś stara się o nową klientelę, robi, co może.

— Nie, nie, moja droga — oponowała Żermena — on należy do gatunku niedorajdów. Znam dobrze ten typ. Przykładów nie potrzebuję daleko szukać. Twój czarujący kuzynek jest jeszcze gorszy. Wprost nie rozumiem siebie, jak mogłam wyjść za mąż za tego ciamajdę! Boże! Już kwadrans po drugiej! Oczywiście pojadę rozczochrana!... Kurbel na pewno wścieka się na dole!... Bardzo cię przepraszam!...

Z błyskawiczną szybkością dokończyła toalety, nakładając najpierw pończochy, później berecik, kombinezkę, suknię i rękawiczki. Kolejność tych czynności i sposób, w jaki się ubierała sprawiała na Annie wrażenie przykre i żenujące. Chociaż nie cierpiała pruderii, w ubieraniu się Żermeny uderzało ją zawsze coś nieskromnego. Nawet całkowicie ubrana wydawała się nagą i jakby tylko przystrojoną. Anna nie robiła jej z tego zarzutu. Znała przecie wiele kobiet, a zwłaszcza młodych panien, wywierających takie wrażenie. Widocznie jej własna na tym punkcie wstydlivość była nienaturalna i chorobliwa.

Ciało, Erotyzm, Kobieta

skóry. Przykładem samochodu z tego typu konstrukcją był polski CWS T-1, zaprojektowany przez Tadeusza Tańskiego. [przypis edytorski]

Żermena jeszcze z przedpokoju krzyknęła „do widzenia” i zatrzasnęła za sobą drzwi. Gdyby nie to, że Anna знаła dobrze zwyczaje tego domu, czułaby się skrępowana tym, że zapomniano ją nawet prosić, by się rozgościła.

Przed wszystkim należało porozumieć się telefonicznie z Karolem. Zabrała ze sobą tylko mały neseserek. Na powiadomienie męża o otrzymanej posadzie wystarczyłby list, ale nie mogła się obyć bez bielizny i kilku sukienek. Niestety telefon w mieszkaniu był wyłączony, jak objaśniał służący, już od dwóch dni. Pani starsza ma teraz posiedzenia w senacie i powiedziała, że załatwi to pan Jakub, a pan Jakub wciąż zapomina.

Nie było innej rady i trzeba było pójść na pocztę. Na szczęście szybko uzyskała połączenie i zastała Karola w domu. Zdziwił się nowiną bardzo. Oczywiście nie pominął okazji do wyrażenia wątpliwości, czy po upływie miesiąca „Mundus” zatrzyma ją nadal. Rzeczy obiecał wysłać jeszcze dziś, przyjął ucałowania dla siebie i dla Lituni i położył słuchawkę. Dopiero, gdy wychodziła z poczty, uprzytomniła sobie, że mąż wcale się nie zmartwił tym, że nie będą razem. Prędko usprawiedliwiła go jednak. Cóż on, albo oni oboje mogą na to poradzić? Na pewno Karol równie przykro, jak i ona będzie odczuwał rozstanie, tylko jemu na pociechę zostanie Litunia.

Serce Anny ścisnęło się na wspomnienie tej jasnej buzi i mikroskopijnych rączęt, które kochała ponad wszystko na świecie. To, że musiała rozstać się z Litunią, było jednak koniecznością i to koniecznością dla dobra tego najdroższego maleństwa. Za pieniądze, które mamusia tu zarobi, Litunia będzie miała dobrą fachową freblankę i zdrowe mleko, i kakao, i owoce. Anna teraz silniej niż kiedykolwiek poczuła, że zbliża się do ideału kobiety takiej, która nie jest tylko pociągowym zwierzęciem domowym, lecz współtwórczynią rodziny, na równi z mężczyzną ponoszącą ciężar odpowiedzialności za jej byt, za przygotowanie społeczeństwu nowego pokolenia.

Jak pięknie, jak mądrze, jak wzniosłe mówiła o tym ciotka Grażyna! Wyglądała wówczas rzeczywiście, jak Statua Wolności! Anna już wtedy wiedziała, że nigdy nie zapomni tej chwili: wielka sala, wypełniona po brzegi tłumem kobiet i posągowa postać siwej spokojnej damy, przemawiającej z estrady swoim metalicznym głosem o kryształowej dykcji, polszczyzną tak piękną, stylem tak marmurowym, jak mógł mówić chyba tylko Cyceron⁸. Wówczas nie była to już ciotka Grażyna, lecz trybun, wódz, Prometeusz⁹, który Annie i tysiącom takich jak Anna kobiet otwierał dostęp do prawdziwej mądrości, prostował drogi i wskazywał cele!

— Największym dobrem kobiety jest rodzina. Kobieta dotychczas była biernym jej narzędziem. Czas najwyższy, by świadomie dźwignęła na sobie odpowiedzialność za jej byt moralny i materialny, by ramię w ramię z mężczyzną podjęła trud służby społecznej, głosząc niezachwianą prawdę trwałej budowy narodu na zdrowych fundamentach rodziny. Jak płomień łaknie tlenu, tak nasze domowe ognisko łaknie tchnienia twego ducha, kobieto, któraś o tyle szczęśliwsza od swoich babek i prababek, że zjawiasz się przy tym ognisku, nie jako posługaczka ani jako zwierzę domowe, które li tylko wygrzewa się przy nim i pasożytuje, lecz jako wolna, świadoma kapłanka, która wnosi tu na równi z mężczyzną dobra swego charakteru, inteligencji, wiedzy i poczucia ważności swej roli, swego posłannictwa!

Anna zbierała skrzętnie wszystkie mowy ciotki Grażyny, drukowane w różnych piśmach i umiała je prawie na pamięć. Wiele jej koleżanek postępowało tak samo, a Anna o tyle od nich była szczęśliwsza, że, ilekroć zachodziła tego potrzeba, mogła zawsze korzystać z osobistych rad i wskazań tej kobiety o niepospolitym umyśle. Jej to obecnie zawdzięczała też swoją posadę, gdyż właśnie dzięki ciotce, rozumiejąc wartość wiedzy ogólnej i praktycznej, mogła skutecznie rywalizować swymi kwalifikacjami z niejednym mężczyzną, a przede wszystkim umiała stanąć w obronie zagrożonego bytu rodziny i wziąć na swe barki trud jej ratowania własną pracą.

Z góry cieszyła się myślą o pochwie z ust ciotki, z góry wiedziała, jaką jej sprawi radość, gdy stanie przed nią, ona, żywy przykład owocności tych haseł, które odbudują ludzkość.

⁸Cyceron (106 p.n.e.–43 p.n.e.) — filozof, pisarz, kapłan rzymski, dowódca wojskowy. Jeden z największych mówców starożytnego Rzymu. [przypis edytorski]

⁹Prometeusz — postać z mitologii greckiej, jeden z tytanów, który stworzył człowieka i, oszukawszy bogów, podarował mu ogień. Za ten występek został surowo ukarany. [przypis edytorski]

Matka, Dziecko, Tęsknota,
Kobieta, Rodzina

Rodzina, Kobieta, Naród

Nie omyliła się. Gdy wróciła na Polną, pani Grażyna była już w domu. Właśnie podawano do obiadu. Pani Grażyna w salonie zajęta była przeglądaniem grubych maszynopisów. Przywitała Annę z tą czarującą serdecznością, która wprowadziła ją w dom, lecz jednocześnie dawała pewność przychylnego i łaskawego wysłuchania zwierzeń.

— Cieszę się, żeś przyjechała, moje dziecko — pocałowała ją w czoło pani Grażyna — jakże tam w poznańskim Społecznym Zjednoczeniu Kobiet?

— Właśnie jutro mają być wybory i głosowanie nad rezolucją.

— To musi być przeprowadzone — zaczęła ostro pani Grażyna — nie wątpię, że potrafisz tego dopilnować. O której wracasz?

— Ja nie wracam, ciociu. Rezolucja na pewno przejdzie. Pani Hopferowa dopilnuje. Co do mnie zaś... Zostaję w Warszawie.

— Jak to?

Anna opowiedziała wszystko, tłumacząc się, że nie pisała dotąd o trudnościach pieniężnych Karola, nie chcąc cioci zabierać czasu, że jednak sądzi, iż postąpiła zgodnie z obowiązkiem. Pani Grażyna wysłuchiwała wszystkiego ze skupioną uwagą, po czym wstała i uściśkała siostrzenicę.

— Wzruszyłaś mnie, Anko. Zachowałaś się jak kobieta godna tego imienia. Niedaleki już jest czas, kiedy posiew idei da powszechne i obfite plony.

Chrząknęła i dodała innym tonem:

— Swoją drogą, twoje przeniesienie do Warszawy ma jedną złą stronę: poznańskie Zjednoczenie straci jedną z najlepszych członkiń. Czy jesteś zupełnie pewna Hopferowej?

— Najzupełniej, ciociu.

— To dobrze. Z tych trzech adwokatek, które przeszły nasz kurs instruktorski, ona jest najpracowitsza. Jakże jej się powodzi?

Anna wzruszyła ramionami:

— Owszem, prowadzi kancelarię i coś niecoś zarabia. W każdym razie, jak na dzisiejsze ciężkie czasy możliwie. Za to Pola stoi świetnie, bo otrzymała radcostwo prawne w magistracie przez protekcję posła Czerwińskiego. Kuszlowna po trochu będzie klepie, ale jakoś żyje.

Pani Grażyna zapatrzyła się w jeden punkt i powiedziała:

— I właśnie taką kobietę jak Pola, rzucił mąż. Tak moje dziecko, mężczyźni pod wieloma względami stoją znacznie niżej od nas. Choćby twój Karol...

Anna próbowała bronić męża, lecz w duchu musiała godzić się z potępiającym osądem. Pani Grażyna nie żałowała słów surowych, które nabierały posmaku nagany skierowanej do Anny, jakby za to, że została żoną takiego człowieka. Wejście służącego przerwało ich rozmowę. Zameldował przybycie pani Markiewiczowej.

— Proś — odpowiedziała mu pani Grażyna i zwracając się do Anny, dodała: — zaprosiłam tę osobę na obiad.

Anna знаła panią Markiewiczową z widzenia od lat wielu. Każdy, kto bodaj raz jeden wpadł na pół czarnej do cukierni „Mazowieckiej”, musiał zapamiętać kwadratową postać jej właścicielki, czuwającej i czujnej od świtu do późnej nocy, wszechobecnej i wszystkowidzącej. Dla Markiewiczowej zaproszenie na obiad do osobistości tak znakomitej, jak senatorka Jelska-Szermanowa, prezeska i protektorka wielu towarzystw, dama przyjmowana w najwyższych sferach — było zaszczytem godnym czarnej aksamitnej sukni i sobolowej etoli oraz kilku większych brylantów. Wszystko to niezbyt dekoracyjnie na niej wyglądało, lecz Anna wiedziała, że Markiewiczowa istotnie jest dzielnym człowiekiem, a to przecie najważniejsze. W chwili, gdy otwierała swą cukiernię, na ulicy Mokotowskiej było sześć przedsiębiorstw tego typu, a obecnie została jedynie „Mazowiecka”, jedynie ona przetrwała kryzys.

Po krótkich powitaniach na ten właśnie temat schodziła rozmowa, gdy poproszono do stołu, a raczej zjawił się Kubaś i oświadczył, że jest głodny i że „jeżeli mama każe dłużej czekać, to lepiej pójść do restauracji”. Tak był tym przejęty, że zapomniał przywitać się z Anną.

— Kuba — zawołała nań — nie poznajesz mnie, czy w ogóle znać nie chcesz?

— Ach, to ty! Przepraszam cię, Anko. To byczo, żeś przyjechała!...

Pocałował ją w rękę, przy czym zauważyła, że jest nieogolony i ma brudne paznokcie. W jego kamizelce brakowało dwóch guzików, a krawat miał zawiązany krzywo. Nic się

nie zmienił, zawsze był nieporządnym, a nikt nie dbał o jego wygląd i nikt nie miał czasu, by się tym zająć.

Przy obiedzie wynikła przykra awantura. Kubuś na jednym tylko punkcie był czuły: lubił jeść dużo i dobrze. Na nieszczęście obiad w dniu tym wyjątkowo się nie udał. Panie zajęte rozmową nie zwróciły uwagi na pomruki niezadowolenia, jakie wydawał z siebie Kuba, zawzięcie jedząc przydymioną zupę, gdy jednak podano baraninę, której nie lubił, a ta na dodatek okazała się lykowata — z hałasem odsunął krzesło i wstał od stołu:

— Ja dziękuję za taki obiad! To jest szykana, nie obiad. Ja bardzo panie przepraszam, ale wolę iść do pierwszej lepszej garkuchni!

— Jakubie! — wyniośle upomniała go matka.

— Ja przepraszam — wyrzucił z siebie — człowiek nie po to cały dzień pracuje, jak koń... Do widzenia!

Przez chwil kilka do jadalni, w której zapanowało milczenie, dolatywały hałaśliwe kroki i trzaskanie drzwiami, przy czym frontowe odezwały się na zakończenie najgłośniej.

— Wybacz pani zachowanie się mego syna — odezwała się wreszcie pani Grażyna.

— Nerwowy jest — pobłażliwie uśmiechnęła się Markiewiczowa — mężczyźni to tylko, proszę pani senatorki, żeby dobrze zjeść...

— Rzeczywiście obiad się nie udał — wzruszyła ramionami pani Grażyna — zechce pani darować.

— Ale co tam, dobry jest. Gdzie pani senatorka bierze mięso? Bo jeżeli u tego na Śniadeckiej co to w domu Rajchmana, to nie radziłabym. I drożej bierze i zawsze gorszy gatunek wkręci, bo to służbie zaufać nie można. Każda u rzeźnika ma swój procent, to i bierze byle co. Tak samo co do włoszczyzny. Jeżeli pani senatorka chce mieć wszystko akurat, radziłabym na Koszykach brać. U Marcinowej, zaraz trzecie miejsce od wejścia, ale nie z prawej strony. Waga uczciwa, a jak pani senatorka raz, drugi sama zajrzy, to i coś dołożyć gotowa, kobieta dba o klientelę, żeby nie było kto. Sama u niej od czternastu lat biorę.

Pani Grażyna odpowiedziała wymijającą uwagą, Anna zaś pochyliła głowę, by ukryć uśmiech: ta pocziwa Markiewiczowa widocznie wyobraża sobie, że taka działaczka, która ma jedno posiedzenie za drugim, akademie, odczyty, narady polityczne, wizytacje wielu instytucji, którymi się opiekuje, że taka kobieta ma czas na zajmowanie się jakimiś warzywami, mięsem i w ogóle pospolitymi sprawami domowymi. Gdyby Markiewiczowa musiała przeczytać co dzień tyle dzienników, tak, niechby tylko zwykłą lekturę ciotki Grażyny odrobiła, już by nie mogła znaleźć czasu na gospodarstwo. Co prawda prowadzenie takiej cukierni, to też nie było co...

— A syn pani senatorki — zapytała Markiewiczowa — ma dużo pewno roboty? Taki interes, jak fabryka czekolady, i to taka fabryka, to nie żarty. I tak pracy na jednego człowieka wystarczy. Sama nie dziwię się, że pan Jakub, jak słyszałam, podobno sprzedaje przedziałnię. Trudno rozerwać się na dwie części...

Zarówno pani Grażyna, jak i Anna szeroko otworzyły oczy:

— Jak to sprzedaje, nic o tym nie wiem?! — odezwała się pani Grażyna, usiłując zamaskować przerażenie.

Markiewiczowa flegmatycznie polowała właśnie na ostatnią czereśnię w kompocie, a widząc, że bez naganki nie da rady, dyskretnie pomogła sobie z dystynkcją małym palcem lewej ręki, wypłuła pestkę i powiedziała:

— Obija się człowiekowi to i owo o uszy. Czasem prawda, czasem plotka. Ale z przedziałnią to chyba prawda, bo tam już i nadzór sądowy zrobili. Wiadomo — kryzys. A że pan Jakub nie fachowiec... Długi podobno za wielkie... Fachowiec toby jeszcze może dał radę...

Pani Grażyna zacięła wargi i Anna, chociaż nie odważyłaby się nigdy wpatrywać się w jej rysy, by odkryć myśli, kłębiące się pod tym olimpijskim czołem, wiedziała i tak, jak bardzo myśli te muszą być bolesne. Kubuś od dziecka był zmartwieniem pani Grażyny. Przez gimnazjum przeszedł z najwyższym trudem, popychany przez roje korepetytorów i przez ojca, który, już będąc ciężko chory, godzinami siedział nad nim, by dobić do matury. Po dwukrotnym „obcięciu się” Kubuś wreszcie zdał, lecz o ukończeniu jakiegoś wyższego zakładu naukowego nie było co marzyć. Kilka lat, spędzonych bezowocnie

w Uniwersytecie, Politechnice i w paryskiej Sorbonie, przekonały o tym całą rodzinę, nie wyłączając samego Kubusia. Dalsze lata idealnego próżnowania minęły na czytaniu kryminalnych powieści, układaniu pasjansów i przelotnych, a niezbyt wybrednych roman-sikach, aż matka uplanowała ożenić go z kobietą ambitną, kulturalną i przede wszystkim energiczną, która miała stać się dlań ratunkiem. A że właśnie Żermena, w owym czasie sekretarka sekcji zabawowej Społecznego Zjednoczenia Kobiet, posiadała w wysokim stopniu potrzebne walory, Kubusiowi zaś podobała się bardzo, ją wybrała pani Grażyna. Rzecz tym łatwiej doszła do skutku, że Jerminowicz, pierwszy mąż Żermeny, zaplątał się podówczas w jakieś dość ciemne sprawy finansowe i nie mógł jej odmówić rozwodu.

Anna zresztą nie знаła dokładnie całej tej historii, wypytywać nie lubiła, a plotkom wierzyć nie chciała. Widziała tylko jedno: Żermena jako lekarstwo niewiele pomogła. Wiadomość przyniesiona przez Markiewiczową potwierdziła to aż nazbyt dobitnie. Sposób, w jaki ta prosta kobieta mówiła o Kubusiu, zawierał wyraźne potępienie i Anna odczuła przykrość, jaką sprawia to pani Grażynie. Chcąc też zmienić temat rozmowy, zaczęła opowiadać o skutkach kryzysu w Poznańskim, gdzie chwieją się najpoważniejsze firmy, tak samo jak i w Warszawie. Przy tej sposobności ciotka przypomniła sobie, że Anna ma zamieszkać w Warszawie i zaproponowała dawny jej pokój panieński.

Po obiedzie starsze panie udały się do salonu na konferencję, Anna zaś przy pomocy pokojówki zabrała się do uporządkowania przeznaczonego dla niej pokoju, z którym tyle wspomnień się wiązało i gdzie spędziła swoje może najradośniejsze lata.

Gdy została sama wśród tych czterech ścian, pokrytych błękitną matową tapetą, wśród białych mebelków, ustawionych w cokolwiek pretensjonalny sposób tak jak dawniej, wydało się jej nagle, że oto nic się nie zmieniło, że całe jej małżeństwo, Karol, Poznań, a nawet Litunia, to tylko coś przelotnego, jakiś sen, który minął, i że oto za chwilę trzeba będzie ubrać się i lecieć na wykład, a nie zapomnieć indeksu, bo pocziwy Siankosio obiecał podpisać...

Zaśmiała się głośno, by przywołać siebie do rzeczywistości, która nagle wydała się jej czymś niespodziewanym, zaskakującym tysiącami obcych i obojętnych spraw, warunków, pozycji — która wydała się czymś krzywdzącym, dokuczliwym i pustym razem z Karolem, razem z... Przez myśl jej przebiegł prąd ostrej refleksji: jak mogła pozwolić sobie na takie bluźnierstwo! I w ogóle co za dziecinada, to gubienie się w poszukiwaniu swojej rzeczywistości, swego miejsca na świecie gdzieś w przeszłości, czy w przyszłości, skoro to miejsce wyznaczone jest dokładnie mapą, planem ulic Warszawy i czterema błękitnymi ścianami pokoju na pierwszym piętrze, wyznaczone czarną cyfrą daty na kalendarzu i złotą wskazówką na zegarku. Rzeczywistością jest to, że jutro rozpoczyna pracę w Towarzystwie Mundus, że trzeba napisać obszerny list do Karola i rozmówić się z ciocią Grażyną co do kwoty, jaką musi jej zwracać miesięcznie za mieszkanie i utrzymanie.

Wiedziała wprawdzie, że ciotka zaoponuje przeciw takiemu postawieniu sprawy, lecz ustąpi, rozumiejąc, że Anna wprost nie potrafi zostać za darmo. Odziedziczyła to po ojcu, który swoje rzadkie rozmowy z córką stale szpikował kilkoma sakramentalnymi zasadami, a wśród tych jedno z naczelnych miejsc zajmowała zasada nieprzyjmowania niczego za darmo. Sam jej tak przestrzegał, że żyjąc wśród ludzi kierujących się wręcz odmiennymi poglądami, umarł nie zostawiając córce ani grosza długu, lecz również ani grosza majątku.

Na przyjmowanie czegokolwiek od ciotki, zwłaszcza teraz, gdy interesy Szermanów stały znacznie gorzej, nie zgodziłaby się za żadne skarby. Zresztą jest człowiekiem samodzielnym, zarabia na siebie dość, a będzie po miesiącu próby zarabiała jeszcze więcej i nie ma żadnej racji do brania jałmużny.

Argumenty te miała sposobność wytoczyć przed ciotką dopiero późnym wieczorem, gdy pani Grażyna wróciła z posiedzenia i była zbyt zmęczona, by podejmować spór. Zgodziła się przyjmować od Anny sto dwadzieścia złotych za utrzymanie, pokój i tak stał pusty, więc nie mogła go wciągnąć do rachunku. Natomiast już przy rozstaniu przed udaniem się na spoczynek wystąpiła z pretensjami: dlaczego Anna, szukając posady w Warszawie, nie zwróciła się do niej ani do Kubusia, tylko do ludzi obcych?

— Ależ ciociu — broniła się Anna — ja starałam się o posadę w poznańskiej filii Mundusu, a tutaj otrzymałam ją niespodziewanie dla siebie samej. Poza tym wiem dobrze, jak trudno jest teraz we wszystkich przedsięwzięciach i nie chciałam się narzucać.

Nie powiedziała tego, co myślała. Już kiedyś, gdy Karol bąknął coś na temat fabryk, w których jej kuzyn, Jakub Szerman ma większość udziałów, a zatem wpływ decydujący przy obsadzie personelu, powiedziała mu, że mogłaby u Kuby dostać albo przynoszącą grosze posadkę urzędniczką, albo synekurę. Pierwsze byłoby równie nie do przyjęcia, jak i drugie.

Inna rzecz w Mundusie. Tu dano jej nie posadę, lecz stanowisko, na którym będzie mogła wykazać swoją pożyteczność dla firmy. Nie miała wprawdzie zbyt wygórowanego mniemania o swoich zdolnościach i, jeżeli nie spała przez całą prawie noc, to głównie dlatego, że niepokoila się, czy potrafi szybko zaznajomić się z nową pracą, czy da sobie radę, lecz nie wątpiła, że będzie pilną, pracowitą kierowniczką działu, którego zakres nie był przecie jej obcy.

Przyszła nazajutrz do biura bardzo wcześnie. Interesantów jeszcze nie było, przez otwarte górne okna sali wlewało się świeże powietrze ranka i świeży niemęczący hałas ulicy. Wewnątrz oszklony kontuar biegnący dokoła sali lśnił wypolituowanym jasnym drzewem i połyskami grubych, idealnie przezroczystych tafli szkła. Za nim tu i ówdzie stały niewielkie grupki urzędniczek, rozmawiających wesoło. Większość z nich była już w granatowych kitlach biurowych, spod których wyglądały śnieżnobiałe kołnierzyki bluzek. Nie знаła żadnej z nich, lecz czuła do wszystkich jakiś świeży i jasny przypływ życzliwości, jak kiedyś do koleżanek w gimnazjum.

Do boksu przeznaczonego dla niej przechodziło się lewą stroną wzdłuż okienek działu turystycznego. Anna zauważyła, że wszyscy przyglądają się jej z zaciekawieniem i wzrokiem badawczym. Widocznie wiadomość o zaangażowaniu jej rozeszła się już w biurze.

Komitkiewicza jeszcze nie było. Zdjęła kapelusz i zaczęła przeglądać prospekty wycieczek organizowanych przez Mundus. Było tego bardzo dużo: czterodniowa do Wiednia, dwutygodniowa do Rumunii, weekend w Białowieży...

— Witam panią — w otwartych drzwiach stał Komitkiewicz, uśmiechnięty i jeszcze bardziej elegancki niż wczoraj, w białych spodniach i w marynarce koloru śmietanki — mamy dziś śliczny dzień. Z pani wczesny ptaszek. Witam panią... Czy nie zaglądał tu pan Minz?

— Nie, jestem tu co prawda od kilku minut...

— To świetnie. Dyrektor będzie do pani zaglądał często, a dziś ma przyjść specjalnie, gdyż osobiście pragnie przedstawić pani personel.

— Może... może to jest niepotrzebne — uśmiechnęła się niezdecydowanie.

— Konieczne, proszę pani.

— Jeżeli próba nie powiedzie się... Pan przecie wie, że przyjęta zostałam na próbny miesiąc?

Komitkiewicz zrobił nieokreślony ruch ręką, który równie dobrze mógł oznaczać jego przeświadczenie o zbędności próby, jak i to, że go w gruncie rzeczy Mundus już nic nie obchodzi. Otworzył swoje biurko, szafę, położył przy kałamarzu zegarek i od niechcenia zapytał:

— Ciekaw jestem, jakie warunki zaproponowano pani? Proszę mi wierzyć, że zatrzymam to przy sobie. Zresztą, jeżeli pani woli nie mówić...

— Ależ owszem, nie widzę powodów do robienia z tego tajemnicy: trzysta pięćdziesiąt złotych.

— I pani się zgodziła? — zapytał zdziwiony.

— Na czas próby.

— To i tak bardzo mało. Widzi pani, ja nie mam żadnych szczególnych obowiązków lojalności wobec pana Minza, poza tym nie uważam, by prawda miała być sprzeczna z etyką ustępującego pracownika... Ja otrzymałam tysiąc dwieście, zrezygnowałam zaś z posady, gdy zaproponowano mi obniżkę do osmiuset. Myślę zatem, że osiemset powinno być tym minimum, na które pani może się zgodzić. Mówię to dlatego, że praca ta jest bez kwestii warta przynajmniej tyle.

Nie patrzył na nią, wyraźnie unikając jej spojrzenia, była jednak pewna, że mówi to nie przez niechęć do firmy i że mówi szczerze.

— Bardzo panu dziękuję — powiedziała po prostu — i naprawdę niewypowiedzianie mi przykro, że... zajmuję jego miejsce.

— Och, ja i tak musiałem ustąpić. Mam budżet, który nie da się zmieścić w ośmiuset złotych...

Rozkładając papiery i teczkę z korespondencją, zaczął mówić o sobie. Ma liczną rodzinę, brata inwalidę, teścia, żonę, dwóch chłopców w gimnazjum i trzeciego w domu, a przy tym choruje na ambicję utrzymania mniej więcej kulturalnego trybu życia. W ramach tysiąca miesięcznie wszystko to może dałoby się jeszcze zmieścić. Obecnie mógłby wprowadzić otrzymać znacznie więcej na Śląsku, ale zgodzi się na to tylko w ostateczności, gdyż musiałby rozstać się z rodziną, a tego za wszelką cenę pragnąłby uniknąć. Może jeszcze znajdzie się coś odpowiedniego w Warszawie.

— A żona pańska nie pracuje? — zapytała Anna.

— Żona?... O tak. Dużo pracuje. Prowadzenie domu i wychowywanie dzieci to przecie ciężka praca.

Powiedział to z naciskiem i takim tonem, jakby oczekiwał opozycji. Anna jednak nie odpowiedziała. Zresztą w tejże niemal chwili otworzyły się drzwi i wszedł dyrektor Minz. Przywitał się i powiedział:

— Proszę panią, przedstawię jej pracowników.

Wyszli z boksu. Przy każdym biurku Minz zatrzymywał się i wymieniając nazwisko pracownika, mówił:

— Pani Leszczowa obejmuje kierownictwo tego działu. Proszę teraz poinformować ją o rodzaju swoich tu obowiązków.

Były to przeważnie młode panny i mężatki, jeden starszy mężczyzna z potężną łysiną i dwaj młodzi. Na Annę wszyscy patrzyli z odrobiną ukrywanej niechęci. Widocznie żalowali Komitkiewicza. Wśród pracowniczek Annie bardzo się podobała panna Kostanecka, śliczna blondyneczka o słodkich niebieskich oczach i ujmujących manierach. Zauważyła ją już wczoraj i słyszała, że wołano nań zabawnym imieniem „Buba”. Panna Buba, jak się obecnie okazało, zajmowała się przyjmowaniem zapisów na wycieczki krajowe.

Po prezentacji Minz wrócił do siebie, a Komitkiewicz zaczął zaznajamiać Annę z treścią i techniką roboty. Mówił tak zwięźle, tak przejrzyście i tak inteligentnie, że rozumiała wszystko i od razu orientowała się w każdej kwestii. W tym czasie raz po raz ktoś wpadał do boksu: chodziło o rozstrzygnięcie, o decyzję, o wskazówkę czy podpis i Komitkiewicz przy każdej takiej sprawie tłumaczył Annie, na czym to polega i dlaczego należy postąpić tak, a nie inaczej.

Zresztą typ spraw nie odbiegał zbyt od tych, z jakimi miała dawniej do czynienia w Agencji Turystycznej, tylko skala była tu znacznie większa.

Podczas przerwy obiadowej, jadąc na Polną, była w wyśmienitym usposobieniu. Teraz już nie miała żadnych obaw; nie święci garnki lepią, a ona za kilka dni będzie się czuła w Mundusie jak u siebie w domu. Już dzisiaj zauważyła pewien błąd w trasie wycieczki do jezior Augustowskich. Nie wzięto pod uwagę letniego rozkładu jazdy, w którym był osobowy *direct* do Suwałk. Pamiętała to jeszcze z dawnej praktyki. W ogóle pamięć miała doskonałą, aż może za dobrą. Pamiętała setki numerów telefonicznych, adresów, dat, nazwisk, które były już od dawna niepotrzebne i stanowiły tylko balast.

W domu zastała piekło. Żermena robiła awanturę mężowi o jakiś niezapłacony rachunek. Kubuś czerwony z irytacji płaczącym głosem dowodził, że nie może być Duchem Świętym i pamiętać o wszystkich wydatkach, jakie jej spодoba się zrobić, że właściwie nie widział jej od trzech dni wcale i w ogóle niech sobie Żermena nie myśli, że on ma drukarnię banknotów. Argumenty te, jakkolwiek niewątpliwie ważne, nie skutkowały z tej prostej racji, że przeciwna strona w tymże dokładnie czasie przytaczała swoje i ta synchronizacja argumentów stwarzała tak pełną harmonię dźwięków, że o wyodrębnieniu któregośkolwiek nie było co myśleć. Dlatego też Anna po kilkakrotnej próbie zrezygnowała i poszła do jadalni. Ponieważ ciotki Grażyny nie było, a Żermena z Kubusiem nie przerywali dyskusji, Anna zaraz po obiedzie siadła do napisania listu. Musiała z kimś podzielić się swoją radością, że zaczyna aklimatyzować się w Mundusie i że prawdopodobnie dostanie znacznie wyższą gażę. Zabrała się do pisanego z entuzjazmem i może właśnie dlatego, gdy skończyła, list wydał się jej egzaltowany, nienaturalny i w ogóle nienadający się do wysłania. Karol gotówby pomyśleć, że cieszy się z zainstalowania się w Warszawie, że zobojętniała dla niego i dla Lituni. Swoją drogą należałoby się to Karolowi. Ani jednym

słowem nie wyraził zmartwienia z powodu tej posady. Taki na przykład Komitkiewicz nie używa patetycznych słów, gdy mówi o swojej żonie, a jednak robi wszystko, by się z nią nie rozstawać.

Anna rozerwała list i wrzuciła do kosza. Przyszło jej na myśl, że wieczorem po biurze mogłaby odszukać którąś z dawnych koleżanek. Wprawdzie stosunki z nimi zanikły z czasem zupełnie i każda żyje swoim własnym nowym i obcym dla Anny życiem, ale przecież mogą znowu zbliżyć się. Tuśka Lipińska wyszła za Mariana Majera i mieszka w Warszawie. Wojdyłłowa pewno jeszcze na wieś nie wyjechała... Nawet wypadałoby ją odwiedzić. Nagle przypomniała sobie Wandę: jakże mogła nie pomyśleć o tym wcześniej! Właściwie Wanda była jeszcze jedyną istotą, która najdłużej o Annie pamiętała, najdłużej pisywała do niej. Tak, i Wanda na pewno ucieszy się, że Anna otrzymała posadę w Warszawie i że będą mogły widywać się często, bardzo często!

Na szczęście telefon był już włączony i natychmiast zadzwoniła do Wandy. W słuchawce odezwał się gruby głos jej męża.

— Dzień dobry panu, tu mówi Anna.

— Anna? Przepraszam, nie dosłyszałem.

— To brzydko, panie Stanisławie. Ja pana od razu poznałam. Anna Leszczowa.

— A — ożywił się głos — dzień dobry pani. Kiedy pani przyjechała?

Tak się złożyło, że byli ze sobą na pan i pani, chociaż lubili się bardzo. Zresztą Stanisław z całą rodziną żony utrzymywał stosunki chłodne, a raczej nie utrzymywał ich wcale. Anna przez wzgląd na ciotkę Grażynę, która nie mogła darować sobie małżeństwa z synem stróża, również nie zbliżała się zbyt do Stanisławem, do którego czuła bliżej nieuzasadnioną sympatię i którego trochę się bała z powodu jego kanciastego sposobu bycia i dosadnych wyrażań.

Teraz jednak Stanisław usposobiony był najlepiej, gdyż nie tylko nie powiedział Annie nic przykrego, lecz nawet o Wandzie mówił bez zwykłej zjadliwości, chociaż miał pretekst po temu, gdyż Wanda przebywała właśnie w redakcji.

— Jeżeli zadzwoni pani o szóstej, to złapie ją pani w domu. A i ja chciałbym panią widzieć. Teraz do widzenia, bo śpieszę.

— Odwiedzę was wkrótce. Do widzenia, panie Stanisławie — odpowiedziała Anna i położyła słuchawkę.

Po drodze do biura rozmyślała nad tym, że właściwie nie ma sensu odsuwać się od Stanisława. Minęło już tyle lat od ich ślubu, on bynajmniej nie okazał się takim chamem, za jakiego uważała go ciotka Grażyna, a nawet uchodzi podobno za jednego z wybitniejszych bakteriologów w Polsce. Anna nawet czytała w gazetach, że odkrył jakiegoś nowego bakcyła i że zdobył tym wielką sławę w nauce. Człowiek tak wykształcony, posiadający tyle wiedzy i taki charakter nie zasługuje na to, by jedynie z racji jego pochodzenia unikać go i uważać za coś niższego. Wprawdzie mógłby nabrać obejścia ludzi kulturalnych, ale skoro nie chce, czy nie umie, trzeba się z tym pogodzić.

Podczas przerwy obiadowej biuro Mundusu nie było zamykane, gdyż co dzień inna partia pracowników miała swój dyżur. Jedynie szefowie nie podlegali tym obowiązkom. Dlatego też po powrocie Anna zastała gruby plik spraw, które nagromadziły się w oczekiwaniu podpisu. Wkrótce przyszedł Komitkiewicz i zajęli się znowu robotą. Przygotowywała się właśnie wielka wycieczka do Włoch i południowej Francji, w związku z czym było moc korespondencji z hotelami, pensjonatami, biurami turystycznymi, przedsiębiorstwami wynajmu autobusów itp. Anna miała możliwość przekonać się, że wszystko tu będzie zostawione jej decyzji. Minzowi przedstawia się tylko ogólną kalkulację, a zatem całą odpowiedzialność za rentowność, przebieg i rezultaty wycieczek ponosi kierownik działu, to znaczy ona. Od niej zależy, czy na przykład skierować wycieczkę drogą lądową, czy wysłać ją z Genui okrętem do Marsylii: co wygodniejsze? Co tańsze? Co więcej przyjemności sprawi turystom?...

Przed samą szóstą Komitkiewicz musiał wyjść na konferencję do dyrekcji kolejowej i Anna miała po raz pierwszy załatwić samodzielnie kilka kwestii, dotyczących wycieczek krajowych. Do boksu weszła swoim bardzo wdzięcznym, jakby tanecznym krokiem ta śliczna blondyneczka, która Annie tak się podobała, i położyła przed nią otwartą teczkę ruchem takim, jakby częstowała ją czekoladkami z bombonierki. Buzię miała przy tym uśmiechniętą i oczy wyrażające wielką ochotę do pogawędki. Mogła mieć dwadzieścia

dwa, najwyżej dwadzieścia cztery lata i musiała pochodzić z dobrego domu. Anna, przeglądając papiery, usiłowała przypomnieć sobie, gdzie spotykała się już z nazwiskiem Kostanecka... Panna Kostanecka miała prawie dziecinny charakter pisma, wystylizowanego okrągło, jak u wszystkich wychowanek klasztoru Urszulanek, bardzo delikatne i wypielęgnowane ręce i używała jakichś wykwintnych perfum nieco za obficie. Może właśnie dlatego, a może dla podkreślenia swego zwierzchnictwa i utemperowania zbyt swobodnie zachowującej się podwładnej, Anna powiedziała surowo:

— W zestawieniu zrobiła pani dwa błędy: Kościerzyna pisze się przez rz, a Hrubieszów przez samo H.

— Mój Boże! A tego nie można poprawić?

— Nie. Proszę przepisać.

— Całą listę?

W głosie panny Kostaneckiej zabrzmiała rozpacz.

— No dobrze — ulitowała się Anna — niech pani wytrze te dwa słowa gumką i wpisze je zgodniej z ortografią.

W gruncie rzeczy nie robiło to żadnej różnicy. Zestawienia służyły wyłącznie do użytku wewnątrz działu i nawet do rąk Minza nie dochodziły. Panna Buba nie odchodząc od biurka, bezceremonialnie wzięła leżącą w rynience do obsadek gumkę i trzymając ją w dwóch starannie wymanicuirowanych paluszkach, zaczęła wycierać.

— Jest zanadto rozpuszczona — pomyślała Anna i pomyślała jeszcze, że to nic dziwnego. Wzięła słuchawkę i wymieniła numer Wandy. I tym razem jednak nie zastała jej w domu, dowiedziała się natomiast od służącej, że pani jest w Klubie Literackim i że prosiła tam kierować telefony.

Szybko odszukała w katalogu numer i zadzwoniła:

— Czy zastałam panią Szczedroniową?

— Owszem, w tej chwili poproszę — odpowiedział jakiś głos.

Panna Buba przerwała wycieranie błędów i podniosła na Annę roziskrzona oczy:

— Pani Szczedroniowa? To ta sławna literatka? Pani zna ją osobiście?...

Anna nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż właśnie w słuchawce odezwała się Wanda.

— No, nareszcie cię złapałam — zawołała Anna — już drugi dzień jestem w Warszawie. Nie mówił ci Stanisław, że dzwoniłam?

— Jak się masz, Anko, owszem mówił. Szalenie chciałabym cię zobaczyć. Czy na długo przyjechałaś?

Głos Wandy zmienił się prawie do niepoznania: mówiła bardzo wolno, cicho i cedząc wyrazy, jak mówią ludzie chorzy lub bardzo zmęczeni. Zastanowiłoby to Annę, gdyby nie była przyzwyczajona do podobnych objawów u kuzynki. Pokrótce powiedziała jej, że przenosi się do Warszawy i że zamieszkała u jej matki w swoim dawnym pokoju. Umówiły się na wieczór u Wandy i Anna położyła słuchawkę.

— Pani zna tak dobrze Wandę Szczedroniową — zawołała panna Buba — droga, kochana pani, jak ja strasznie byłabym pani wdzięczna!... Gdyby pani tylko zechciała!

— O co pani chodzi?

— Pani nie ma pojęcia, jak bardzo pragnęłabym być jej przedstawiona! Czy pani ją od dawna zna?

— To moja cioteczna siostra.

— Ach! Mój Boże!

— A dlaczego pani chce ją poznać? — z zaciekawieniem zapytała Anna.

— Właściwie... Ja mam przyjaciółkę... Otóż ona i ja i jeszcze jedna moja koleżanka szkolna strasznie chciałybyśmy poznać panią Szczedroniową. Jola, ta moja przyjaciółka, mówi, że to najmądrzejsza i najdzielniejsza kobieta na świecie, że ona pierwsza z kobiet śmiało postawiła...

— Panno... Bubo — przerwała Anna — pomówię o tym z panią innym razem. Teraz są godziny biurowe.

Panna trochę się spieszyła, ponieważ jednak w tej właśnie chwili wszedł Komitkiewicz, porozumiewawczo skinęła głową, zebrała swoje papiery i wyszła.

Komitkiewicz rzucił wprawny okiem na biurko:

— Gumka była w robocie? — zaśmiał się.

— Ale pan jest spostrzegawczy! — zdziwiła się Anna.

— Nie, tylko z panną Bubą jest zawsze ta sama historia: robi moc błędów ortograficznych. Razu pewnego napisała wschód przez h, u i t. Wshut! I to na pokwitowaniu wystawionym profesorowi Leszkowskiemu, temu poloniście. Awantura oparła się wówczas aż o Minza.

— Że też nie wydalono tej małej...

— Ma protekcję, na której nam zależy. Zresztą zarabia u nas tylko sto czterdzieści miesięcznie.

— I to jej wystarczy?

— Na szpilki. Ma podobno zamożnych rodziców. W Mundusie nie ona jedna jest w takiej sytuacji, a w Warszawie naliczy się podobnych panieneczek kilka tysięcy. Zarabiają na perfumy, puder i kredki do ust.

Komitkiewicz powiedział to tonem lekkim, lecz Anna odczuła intencję i odpowiedziała:

— Tak, mężczyźni wydawaliby taką pensję na papierosy i krawaty.

— Nie, proszę pani. Mężczyźni otrzymywaliby większą, która starczyłaby na utrzymanie rodziny.

— Pan jest przeciwnikiem pracy kobiet?

Komitkiewicz wzruszył ramionami:

— Bynajmniej, proszę pani. Ale widzi pani, jeżeli na rynku, gdzie dotychczas jest dobry towar, zjawia się tandeta znacznie tańsza, która zamula ten rynek, producenci dobrego towaru muszą zbankrutować, a rynek obniża się.

— Jeżeli tańszym towarem jest tandeta — podkreśliła Anna.

— To już zostawiam pani własnemu sądowi.

Annie zrobiło się przykro. Po ukladnym i takim miłym człowieku nie spodziewała się czegoś podobnego. Oczywiście Komitkiewicz był rozgoryczony swoim wyjściem z posady i ostrze jego niedorzecznych uwag skierowane było do niej. Niedorzecznych! Naturalnie, że niedorzecznych! Że taka Buba pisze z błędami, to żaden dowód. Mężczyźni też robią błędy. W ogóle nie wiadomo dlaczego kobietom płaci się mniej. Taki rozsądny człowiek jak Komitkiewicz sam na pewno jest tegoż zdania, a tylko traktuje rzecz całą w taki sposób pod wpływem osobistego rozgoryczenia: kobieta zamula rynek pracy — bo przecież to chciał powiedzieć!

— Jest pan niesprawiedliwy — odezwała się spokojnie — nie wszystkie kobiety pracują na puder. Tysiące ich bez pracy nie miałyby kawałka chleba.

— Miałyby, zapewniam panią, że miałyby.

— Skąd?

— Od mężczyzn. Od ojca, od brata, męża.

— Ale oni też nie mają, też zarabiają bardzo mało i nie stać ich na utrzymanie rodziny.

— Rzeczywiście — zaśmiał się Komitkiewicz — i coś w tym dziwnego? Wejście na rynek ozdobnej tandety zdeprecjonowało jego pracę. To jest główna przyczyna bezrobocia, a nie żadna nadprodukcja. Właśnie to. Przed Wielką Wojną¹⁰ pracowali mężczyźni. Teraz przybyło kilkadziesiąt milionów konkurencji, kilkadziesiąt milionów kobiet — i wszyscy nie mają z czego żyć. Rynek pracy powiększył się o kilkanaście procent, a podaż pracy zwiększyła się dwukrotnie. Samodzielnych konsumentów jest dwa razy więcej, ale ich wartość spadła i stąd cały kryzys. Póki ta bezpłodna konkurencja między mężczyzną a kobietą nie ustanie, póty będzie źle i coraz gorzej.

Anna była do głębi wzburzona. Więc on to, że ona z własnej woli, nie mając żadnego obowiązku w tym względzie, ratuje swego męża, zapracowuje się, by utrzymać dom, on to nazywa bezpłodną konkurencją. Jakąż miała ochotę wyszydzić go, wykpić, rzucić mu w twarz jego niski osobisty stosunek do sprawy! Z trudem opanowała się i powiedziała:

— Więc czemuż ludzie tego nie zmieniają? Wyrzucić z pracy kilkadziesiąt milionów kobiet! Niech umierają z głodu!... Oczywiście pracodawcy i wówczas nie podwyższą zarobków mężczyznom. Zresztą pracodawcami przeważnie są właśnie mężczyźni. Niechże ich pan zaagituje!

Komitkiewicz zmarszczył brwi:

— Ja nie jestem reformatorem społecznym.

Równość, Praca, Kobieta

Praca

¹⁰ *Wielka Wojna* — I Wojna Światowa (1914–1918). [przypis edytorski]

— Aha! Sądziłam, że pan na wszystko ma pod ręką nie tylko diagnozę, lecz i środki zaradcze, uniwersalne lekarstwa!

Przygryzła wargi i nie wytrzymała:

— A jeżeli o mnie chodzi, to niefortunnie pan trafił, że pije pan do mnie, bo... właśnie ja mam takiego męża, który nie jest w stanie zarobić na utrzymanie rodziny i gdyby nie moja praca, ta rodzina umarłaby z głodu!...

Głos Annie zdrzął. Wyobraźnia podsunęła jej potworny widok jej rodziny, to znaczy najdroższej kruszynki Lituni, wychudzonej i sinej z głodu, błagającej o kawałek chleba w podartej sukieneczce, tej różowej w kwiatki z białym plisowanym kołnierzykiem. Pod rzęsami zakręciły się lzy i Anna odwróciła głowę.

— Ja przepraszam — odezwał się zażenowany Komitkiewicz. — Ja bynajmniej o pani nie mówiłem. Niechże pani nie bierze mi tego za złe.

— To nieładnie — przerywanym głosem odpowiedziała Anna — nieładnie z pańskiej strony... Nie spodziewałam się, że pan w ten sposób sprawę postawi...

— Ależ we wszystkim, o czym mówiliśmy, nie było najmniejszej aluzji osobistej! Daję pani słowo, że wypowiadałem tylko swe ogólne poglądy na kwestię. Nie dotyczyło to nie tylko pani, ale również i panny Buby. Chodzi o zasadę... No, proszę panią w każdym razie o przebaczenie.

Wyciągnął rękę tak szczerym ruchem, że Anna nie mogła mu odmówić swojej, jednakże w głębi serca zachowała doń żal. Komitkiewicz miał włosy rudawe, a Żermena była zdania, że rudym nigdy wierzyć nie można. Prawdopodobnie Żermena ma rację, a Komitkiewicza należy wystrzegać się i nawet jego objaśnienia bacznie sprawdzać, gdyż nie jest wykluczone, że umyślnie tak poinformuje swoją następczynię, by się skompromitowała. Co zaś dotyczy Buby Kostaneckiej, Anna postanowiła wziąć ją w szczególniejszą opiekę.

Szczedroniowie mieszkali przy Okólniku. Anna, nie mając z chwilą zamknięcia biura nic lepszego do roboty, poszła wprost do nich, chociaż umówiła się z Wandą na ósmą. Drzwi otworzył sam Stanisław.

— A, jak się pani miewa — zawołał, wyciągając do niej obie ręce — jeszcze pani wyładniała? To już zupełnie nieprzyzwoite!

— A pan zbrzydl — zaśmiała się. — Wandy oczywiście jeszcze nie ma.

— Na szczęście!

— O?

— Mówię, na szczęście, bo będę miał czas z panią pogadać — otworzył drzwi z prawej strony i wskazał je Annie — chodźmy tymczasem do mnie. Jest tu niezbyt elegancko, ale tylko tu czuję się możliwie. Reszta mieszkania to *panopticum*¹¹ idiotyzmów Wandy. Chce pani zobaczyć?

— Ależ widziałam to — zaśmiała się. — Meble kubistyczne¹², lustra i sztuczne kwiaty.

— Co? — zdziwił się Stanisław. — Ach, prawda, pani była u nas przed trzema laty. Otóż śladu z tego świństwa nie zostało. Teraz jest, proszę uważać, „przestrzeń nieabsorbująca”.

Wytrzeszczył oczy i z komiczną irytacją powtórzył tajemniczym szeptem:

— Przestrzeń nieabsorbująca!

— Cóż to takiego?

— Nic.

— Jak to nic?

— Kompletnie nic. Niech pani zobaczy.

Przeszli przez trzy pokoje, w których prawie nie było mebli, a ściany, sufity i podłogi utrzymane były w jednakowym blado szarym kolorze, jak i bardzo nieliczne sprzęty. Grube, ciężkie zasłony na oknach i suknem wysłane podłogi sprawiały wrażenie poczekalni w rozgłośni radiowej, brakowało tylko tabliczek z napisem: „Zachować ciszę”.

¹¹*panopticum* — gabinet osobliwości. [przypis edytorski]

¹²*kubizm* — nurt w sztuce zapoczątkowany we Francji, ok. 1907 roku, charakteryzujący się uproszczeniem do figur geometrycznych. Meble kubistyczne również wyróżniają się prostymi, geometrycznymi formami. [przypis edytorski]

— To jest przestrzeń nieabsorbująca. Nie absorbuje niczego oprócz kurzu. Kurzu zaś ani trzepać, ani wysysać odkurzaczem nie wolno: kurz bowiem daje „patynę trwania”. Rozumie pani? Patyna trwania! W jednym miligramie tej patyny trwania znalazłem przeszło dwieście gatunków bakterii, z czego dwanaście chorobotwórczych.

— A dlaczego nazywa się to przestrzenią... jakże?...

— Nieabsorbującą?... Bo nie absorbuje uwagi. Intelkt ma możliwość życia samoistnego i odgraniczenia się od zjawisk zewnętrznych. Chodźmy do ciężkiego diabła, to znaczy do mnie, bo dłużej tu nie wytrzymam.

W pokoju Szczedronia, urządzonym bidermajerowskim¹³ mahoniem, było jasno, tym jaśniej, że niezależnie od pozbawionego firanek weneckiego okna paliło się kilka mocnych żarówek nad wielkim stołem, gdzie w nieładzie ustawione były różne butelki, mikroskopy, nikłowe przybory i probówki z białymi czubami waty, uszeregowane w drewnianych podstawkach, jak rury organów. Poza tym wszędzie rozrzucone były książki, części garderoby, papiery, niedopałki i różne inne przedmioty w zupełnym nieładzie.

— O, widzę, że pan się wyemancypował — powiedziała Anna.

— Że mam tu kawałeczek laboratorium? Tak?

— Więc Wanda już się nie boi zarazków?

— Mam tu tylko najmniej szkodliwe. Musiała zgodzić się na to, gdyż zbyt często musiałbym latać do kliniki. Niektóre z tych bydlatek wymagają codziennej obserwacji. Tak. Pali pani?

Podał jej papierosnicę, a gdy odmownie potrząsnęła głową, powiedział:

— To dobrze. W ogóle ten Leszcz miał diabelne szczęście, że trafił na taką kobietę, jak pani...

— Niech pan nie mówi komplementów — zgromiła go — to nie w pańskim stylu. Nie licują one z tymi grubymi okularami ani z czcigodną bródką.

— Ani z piegami na nosie, proszę dodać. To prawda, ale komplementy odnoszą się nie do mojej bródki, tylko do tych jasnych oczu i tych ślicznych kasztanowatych włosów. Jak to dobrze, że pani ich ani nie obcięła, ani utleniła. Pani jest piękna.

— O!

— Wie pani, gdy jeszcze biegałem boso po podwórzu kamienicy, w której mój ojciec był stróżem, dano mi razu pewnego do odniesienia grubą niemiecką książkę. Był to atlas anatomiczny. Otóż w nim znajdowała się wielka tablica kolorowa, wyobrażająca nagą kobietę. By nie było co do tego żadnych wątpliwości, pod spodem znajdował się podpis: *Das Weib*¹⁴. To było pierwsze słowo niemieckie, jakie poznałem. Kobiecie otwierał się brzuch, klatka piersiowa i czaszka, ale gdy wszystko było złożone, od kobiety tej nie mogłem oderwać oczu. Dziś wiem, że stanowiła ona zasadniczy anatomiczny typ kobiety, ale niech pani weźmie pod uwagę, że była to pierwsza kobieta, jaką widziałem nago i pierwsza, w której się zakochałem.

— Ileż pan miał wówczas lat? — zapytała tonem, któremu usiłowała nadać zgorzone brzmienie.

— Coś około trzynastu — odpowiedział po namyśle Szczedroń — ale to nie ma żadnego związku z tym, co mam pani wyznać.

— Aż wyznać? — zaśmiała się.

— Nie „aż” ani „tylko”. Po prostu wyznać. Ile razy później widziałem panią, czy myślałem o pani, zawsze gdzieś w środku obraz pani identyfikował się we mnie z tamtą, z moją miłością z atlasu anatomicznego. Pani bowiem nie tylko jest do niej podobna, lecz zdaje mi się, że ma to samo znaczenie.

— Nie winszuję sobie — Anna poczuła się z lekka obrażoną tym porównaniem — standardowy typ kobiety! Taki wzorek, jak musi wyglądać zdrowy typ samicy gatunku *homo sapiens*!

— Właśnie — odetchnął Szczedroń z ukontentowaniem i zdjął szkła z nosa ruchem spełnionego obowiązku — kobieta anatomiczna.

Annie, ku jej własnemu zdziwieniu, sprawiło to przyjemność. W tym, co powiedział Stanisław, wyczuwała leżący gdzieś na dnie, jakoby podstawowy tytuł do zadowolenia

¹³*bidermajerowskim* — w stylu biedermeier, w architekturze wewnątrz charakteryzującym się elegancją, przytulnością, funkcjonalnością. [przypis edytorski]

¹⁴*Das Weib* (niem.) — kobieta. [przypis edytorski]

z siebie. Gdyby tego rodzaju komplement spotkał ją nie od Szczedronia, którego nigdy nie można było posądzić o płytkość i o trywialność, uważałaby się za śmiertelnie obrażoną. Ten brzydki mężczyzna z nieproporcjonalnie dużą głową, wąskimi ramionami i ogromnymi rękami lepiej by jednak zrobił, nie stawiając kwestii człowieka tak anatomicznie czy eugenicznie.

— Dziękuję panu — potrząsnęła głową. — Zatem widzi pan we mnie jedynie typowy okaz. To jest wprost niegrzeczne. Zatem nie ma we mnie nic oryginalnego, żadnej indywidualności? To jest impertynencja. Nie dla każdego szczytem marzeń jest stanowienie szablonu anatomicznego.

Szczedroń zaśmiał się krótko i zjadliwie:

— Niepotrzebny przytyk, droga szwagierko.

— To żaden przytyk — zarumieniła się Anna.

— Mniejsza o to. Chciałbym zapytać: czy naprawdę zdaje się pani, że szczytem marzeń jest indywidualność, oryginalność?... Do stu diabłów, czy pani nie widzi, że to mania powszechna, że to bzik zbiorowy! Właśnie pani z okrągłymi biodrami, z piersiami, które nie są organem szczątkowym, z tą budową ciała idealnie proporcjonalną, pani powinna i wewnątrz wszystko mieć w równie idealnej harmonii. Indywidualność jest swego rodzaju zwyrodnieniem. Moim zaś zdaniem, o ile mogłem sobie o pani wyrobić trafny sąd, w jej psychice musi panować także równowaga elementów, jak i w fizycznej części pani istoty. I to ma być obelga?... Nie, proszę pani, gdyby wszystkie kobiety były bardziej anatomicznie prawidłowe, nie mielibyśmy tylu wariatek indywidualności, emanujących swoją pustką w przestrzeniach nieabsorbujących. Rozumie mnie pani?

— Mówi przez pana gorycz.

— Gorycz? — zerwał się Szczedroń. — Jakże można być tak nieinteligentną!... Ja przeproszam panią, ale co to ma do goryczy? To jest teoria, teoria najbardziej ogólna, dlaczego chce pani przypiąć ją do mnie!

Anna przygryzła wargi:

— Wystarczy mi moja mała inteligencja do stwierdzenia, że wszystko to, co pan mówi, to porachunki z Wandą, to właśnie gorycz, że ona jest indywidualnością.

— Cha... cha... cha...

— Śmiech nie jest argumentem — powiedziała z ironią — boli pana fakt, że Wanda jest kimś, że zajmuje wybitną pozycję w życiu, że ma sławę. Tak, panie Stanisławie, przyzna pan, że jest to zwykła zawiść. Tak, zawiść. O niej wiedzą wszyscy, o panu tylko garstka ludzi, zajmująca się bakteriologią. I to bardzo brzydko, że nie umie pan swojej zazdrości ukryć.

Szczedroń stał odwrócony do niej plecami. Widziała tylko jego wielką niezgrabną rękę, nabrzmiałą węzłami żył i kurczowo zaciskającą się na poręczu krzesła. Stanowczo była dlań zbyt bezwzględna. Nie należało tego mówić temu dobremu i nieszczęśliwemu człowiekowi. Anna miała teraz żal do siebie za wyrządzoną mu krzywdę. Była przekonana, że dotknęła najboleśniej jego strony, że postąpiła niesłusznie. Stanisław będzie ją uważał za okrutnicę. A przecież sam ją sprowokował, sam sobie winien. On zawsze taki. Bo na przykład wścieka się na Wandę, a przecie wiedział, z kim się żeni.

— Po cóż pan właśnie z Wandą się ożenił? — zapytała podrażnionym tonem.

Szczedroń chrząknął, przestąpił z nogi na nogę i nie odwracając się, odpowiedział:

— Bo ją kochałem.

— Ale teraz, gdy przestał pan kochać, nie powinien pan tego demonstrować nawet przede mną. To jest pańska sprawa, kwestia pańskiego poczucia konsekwencji i odpowiedzialności.

— Myli się pani — cicho zaprzeczył Szczedroń — nie przestałem. Kocham Wandę dziś jeszcze bardziej niż wtedy.

Zapanowało milczenie. Anna nie spodziewała się tego i była zdumiona. Cóż zatem znaczyły jego rozpyływania się nad kobietą anatomiczną?... Oto słynna męska logika! Zatem był nieszczerzy. Ona, Anna, jest według niego arcydziełem kobiety, lecz kochać należy, nawet według niego, typy zdegenerowane. On sam w ogóle nie wie, czego chce. Właśnie powinna schudnąć. Ma zanadto okrągłe biodra i za duże piersi, a co dotyczy psychiki, to wcale nie znaczy, by ktoś dobrze zbudowany musiał koniecznie należeć do natur przeciętnych, by miał być pozbawiony bogatego życia wewnętrznego... On nawet

nie wyobraża sobie, ile ona myśli o różnych rzeczach, o najpoważniejszych i najmądrzejszych rzeczach, i ile ma przeżyć. Na pewno pod tym względem nie stoi niżej od Wandy i także nie jest mniej od niej wykształcona. Nawet więcej. A że Wanda pisze, że ubiera się ekscentrycznie i ma różne dziwactwa, to żaden tytuł do wyższości. W istocie czym jest Wanda? Chimeryczność usposobienia i błyskotliwy umysł, a poza tym ma za krótkie nogi.

Szczedroń palił papierosa i nerwowo gładził swą wypłowiałą bródkę, której szpic był cokolwiek zbakierowany¹⁵ na lewo. Jak Wanda mogła wyjść za mąż za niego? — myślała Anna. — Co w nim znalazła pociągającego?... Oczywiście to człowiek wartościowy. Wszyscy tak mówią, ale wówczas nie można było tego przewidzieć, tym bardziej, że Wanda знаła go zaledwie tydzień przed owym pamiętnym dniem, kiedy przyprowadziła go na Polną. Dzień ten mocno utkwił w pamięci Anny. Siedzieli właśnie przy obiedzie i ciotka Grażyna po francusku robiła wymówki mężowi za niezłożenie jakiejś wizyty. Zawsze sprawy bardziej intymne załatwiała w języku francuskim, nie wiadomo zresztą dlaczego, bo zarówno Kubuś, jak i Anna znali francuski doskonale, a ówczesny lokaj, stary Leon, był Francuzem z krwi i kości. Byli właśnie przy rybie, gdy przyszła Wanda i przyprowadziła źle ogolonego i jeszcze gorzej ubranego młodego człowieka.

— Pozwólcie sobie przedstawić — powiedziała obojętnym tonem — mój narzeczonny, pan Stanisław Szczedroń.

— Szczedroń — poprawił młody człowiek i bezceremonialnie wyciągnął rękę do przerażonej ciotki Grażyny.

Potem przywitał się z resztą towarzystwa i usiadł przy stole. Odezwał się podczas całego obiadu dwa razy. Najpierw Leonowi, który mu podawał półmisek, powiedział, że ryby nie jada, bo wszystkie śmierdzą mułem, a później zapytał, czy kto nie wie, o której odchodzi najbliższy pociąg do Małkini. Wuj Antoni był tak przerażony, że uciekł z nim podano kawę. Jak się okazało, był dostatecznie przewidujący, gdyż zaraz po obiedzie wybuchła awantura. Szczedroń wziął na talerz pomarańczę, lecz rzuciwszy okiem na zegarek, wstał i oświadczył, że nie może dłużej zostać, bo śpieszy na pociąg, a pomarańczę zje w wagonie. Pożegnał się, wyszedł, zawrócił z przedpokoju, schował pomarańczę do kieszeni i kiwnąwszy głową, zniknął za drzwiami. Wówczas pani Grażyna zapytała, kim jest ten człowiek o gminnych manierach, a Wanda najspokojniej odpowiedziała:

— Twoim przyszłym zięciem, mammo.

— I to wszystko, co o nim zechcesz mi powiedzieć?

— Jeżeli cię to interesuje, mammo, mogę udzielić ci jeszcze jednej informacji: jego ojciec pełni funkcję dozorcę domowego w pięknej kamienicy przy placu Grzybowskim.

Pani Grażyna wówczas rozplakała się. Było zaś to czymś tak niezwykłym, że nawet Kubuś się przestraszył i powiedziawszy, że to jest skandal, przestał układać pasjans. Pani Grażyna zamknęła się w swoim pokoju, a Wanda przeszło godzinę stała przy oknie i gwizdała dla udowodnienia, że nic to jej nie wzrusza, przy kolacji zaś, kiedy pani Grażyna pokazała się znowu, Wanda wybuchła sama i oświadczyła, że nie widzi powodu do robienia trupiarni (tak powiedziała) z tej racji, że dziewczyna pełnoletnia wybiera sobie takiego męża, jakiego chce, że trzy czwarte zbrodni popełnionych na świecie to zbrodnie rodziców, zatruwających życie dzieciom narzucaniem mężów i żon, że ona, Wanda, postąpiła tak, jak uczyła ją sama mamusia, gdyż wybrała sobie człowieka według jego wartości, a nie z racji jakichś przesądów, a że on jest komunistą, to jeszcze nie żadna tragedia. Oczywiście ta nowa informacja wystarczyła, by matkę wypędzić do jej pokoju.

Anna była wówczas zbyt młoda, by wyrobić sobie jakieś zdanie o postępkach ciotecznej siostry. To, co odczuwała, było mieszaniną zgorznienia i zachwyty. Wanda zaimponowała jej swoją samodzielnością. To było takie śmiałe, takie nowoczesne. Przecież ostatecznie wybierała męża dla siebie, nie dla rodziny. Szokujące było tylko to pochodzenie Szczedronia. Ojciec Anny kiedyś mówił, że ludzie powinni żenić się we własnej sferze. Ani wyżej, ani niżej i to nie przez wzgląd na jakieś snobizmy czy uprzedzenia rodowe, ale po prostu dlatego że trudno w jednej rodzinie zmieścić dwie różne kultury, różne środowiska, różne tradycje i obyczajowości. Ojciec był bardzo mądry, ale w tym wypadku nie miał

¹⁵zbakierowany (daw.) — przekrzywiony. [przypis edytorski]

racji. Z jego opinii wynikało, że na przykład tak inteligentny człowiek, jak Szczedroń, powinien by ożenić się z jaką praczką czy maglarką. Czyż to nie nonsens!

— Nie gniewa się pani na mnie? — przerwał jej rozmyślenia Szczedroń.

— Nie, panie Stanisławie. Nagadałam panu niegrzeczności i to pan raczej powinien by na mnie się obrazić.

— Ale ja się nie obrażam — potrząsnął głową.

— Taka sobie sprzeczka rodzinna — powiedziała pojednawczo.

— O nie, przyjacielska, na to zgoda, ale nie rodzinna. My wcale nie jesteśmy, pani Anko, rodziną. Ja zawsze pozostanę dla was intruzem.

Anna poczerwieniała, jakby złapano ją na gorącym uczynku. Jaką ten człowiek musi mieć intuicję. Na pewno odgadł, że ona właśnie o tym myślała.

— Z Wandą łączy mnie bardzo niewiele — ciągnął Szczedroń — ja nawet z nią nie stanowimy rodziny. Rodzina to związek chemiczny. Rozumie pani? Związek chemiczny, a my z nią jesteśmy jedynie mieszaniną. Zmieszano nas razem, lecz ona pozostała sobą, a ja sobą. Czysto mechaniczne połączenie. A cóż może łączyć mnie z panią, czy z Kubą, czy z panią Grażyną?

— I to pan wygłasza takie zacofane poglądy?!

— Nie poglądy. Obserwacje. Kiedyś sam tego nie wiedziałem... Proszę tylko nie myśleć, że uważam się za intruza z dołu, który wdrapał się w jakieś górne regiony. Gdzie dół, a gdzie góra, nie decyduje ani to, że mój ojciec zmiatał koński nawóz z ulicy, ani to, że rodzice Wandy nosili jedwabną bieliznę. Tu są całkiem inne kryteria. Po prostu jesteśmy inni. Z innej gliny.

— Głupstwa pan mówi — szczerze oburzyła się Anna.

— Nie. Zaraz to pani wytłumaczę...

Do tłumaczenia jednak nie doszło, gdyż w przedpokoju rozległ się dzwonek i Szczedroń zerwał się na równe nogi.

— Widzi pani — zaśmiał się — na mnie dzwonek działa jak trąbka na kawalerskiego konia. Co to znaczy nałóg dziedziczny. Stróżowskie przyzwyczajenie, które weszło w krew.

— Jaki on niedelikatny — pomyślała Anna.

— Czy jest Anka? — rozległ się w przedpokoju głos Wandy — trochę się spóźniłam. Jednocześnie w uchylonych drzwiach ukazała się jej głowa w białym filcowym kapeluszu:

— Jak się miewasz, kochanie. Przepraszam cię za spóźnienie, ale niepodobna było wyjść w środku dyskusji. Tylko chodźmy do mnie, bo to powietrze Szczedronia mnie zabija.

Ucałowały się, przy czym Anna zauważyła, że Wanda przestała używać kredki do ust i w ogóle wyglądała naturalniej bez podkreślonych oczu i przeczernionych brwi, chociaż schudła bardzo, wskutek czego jej cera ściemniała, a nos wydłużył się i zaokrąglił, za to bardziej jaskrawo wystąpił semicki typ jej urody. Przypominała teraz wyraźniej niż kiedykolwiek matkę swego ojca, której portret wisiał dawniej w gabinecie wuja Szermana. Tylko tamta nie miała w swych rysach tego niepokojącego i zastanawiającego wyrazu, który był nieodpartym atutem Wandy. To bodaj najbardziej stanowiło o jej powodzeniu u mężczyzn, chociaż właściwie należało przyznać, że Wanda miała rzadki dar zmieniania się jak kameleon i bajeczną intuicję w odnajdywaniu w sobie na zawołanie tych cech, które danemu mężczyźnie najbardziej odpowiadały. Gdy jako młode panny były razem, Anna zawsze pozostawać musiała w cieniu sukcesów Wandy. Byli wprawdzie i tacy, u których Anna miała więcej powodzenia, lecz żaden z nich nie mógł obojętnie przejść obok „tej niezwyklej panny”. To też Wanda nigdy nie była sama. Zawsze miała pod ręką kilku adoratorów i to najczęściej ludzi ciekawych, wartościowych lub chociażby głośnych. Umiała przy tym nawet z takich, którzy w rzeczywistości nie byli niczym, w krótkim czasie zrobić w opinii otoczenia jednostki niepospolite, lansując ich powiedzenia, podkreślając oryginalność sądów, zalety lub wady, talenty lub dziwactwa, a w wypadku zupełnej przeciętności obiektu, twierdziła po prostu, że on ma w sobie coś. Na czym to coś polegało, każdy interpretował sobie inaczej, lecz nikt nie wątpił o jego istnieniu, naturalnie poza jednym Stanisławem, który w czambuł wszystkim bez różnicy płci, wieku i narodowości odmawiał wszystkiego, cokolwiek by upatrywała w nim Wanda.

— Szczedroń uważa tylko siebie za indywidualność, czyż to nie jest szczytem indywidualizmu? — mawiała Wanda o mężu.

W tym żarcie nie było jednak cienia złośliwości. Wanda nigdy i o nikim nie mówiła źle. Jakkolwiek wiele w niej zmieniał się z biegiem lat, to jedno pozostawało niewzruszone. Czy miało to swoje źródło w pewnym pionie etycznym, jak zapewniała pani Grażyna, czy w obojętności na sprawy ludzkie, jak utrzymywał Szczedroń, można byłoby się spierać bez obawy, by sam obiekt zechciał rozstrzygnąć na którąś stronę. Wanda miała niecodzienny talent pozostawiania każdemu wszechstronnych możliwości w ocenie jej osoby. Sama nigdy wprost nie mówiła o swym charakterze, psychice czy usposobieniu. Natomiast umiała rzucać na swą postać refleksy w zetknięciu się z otoczeniem i zdarzeniami, refleksy iluminujące ją we wszystkich barwach tęczy i w dowolnej skali nasilonego światła. Tak było przynajmniej do owego czasu, gdy zrezygnowała z poezji i całkowicie oddała się literaturze publicystycznej, czy też publicystyce literackiej. Dla tych, którzy jej osobiście nie znali, publicystyka Wandy była czymś szokującym, może nawet nieprzyzwoitym, a w oczach zwolenników — śmiałym.

Kto jednak wiedział, jak dalece nie była w tym zaangażowana własnym życiem, nie mógł całej tej działalności pisarskiej brać za złe. Oczywiście Anna, niejednokrotnie broniąc kuzynki przed zbyt ostrymi zarzutami, bynajmniej nie godziła się z jej trybem życia i zwłaszcza z jej dziwaczną sankcjonowaną niewiernością małżeńską, o korzystaniu z której więcej się mówiło, niż było do tego powodów. Wanda zawsze miała w swej świetle kogoś, kto uchodził za jej oficjalnego kochanka, co nie stanowiło jednak o zbyt dalekim zasięgu jego praw poza przywilej afiszowania się w jej towarzystwie i przesiadywania w jej domu całymi dniami.

I teraz przyprowadziła z sobą jakiegoś pana, który nie wyglądał wszakże na amanta. Mógł mieć około pięćdziesiątki, nosił wymięte ubranie i brudną bieliznę, mankiety koszuli, wystające z rękawów szarej marynarki, były całe w strzępach. Anna przy prezentacji nie usłyszała jego nazwiska, gdyż mruknął je z wyraźnym dla niej lekceważeniem. Wanda zaś uważała go widocznie za postać tak powszechnie znaną, że nie uważała za potrzebne przedstawić go nazwiskiem. Powiedziała tylko:

— Pozwól Bernardzie, moja kuzynka, pani Leszczowa.

I zostawiła ich we dwójkę w buduarze, Stanisław bowiem wycofał się do swego pokoju. Anna siedziała na kanapie i nieznacznie obserwowała małego, szczupłego człowieczka, który zdawał się nie zwracać na nią żadnej uwagi, chodził zamyślony po pokoju, od czasu do czasu wyjmując ręce z kieszeni i burząc krótką szpakowatą czuprynę ruchem zniecierpliwienia. Wreszcie zatrzymał się przed Anną i oświadczył apodyktycznie:

— Pani przypomina mi Anielę Bożymową. Ten typ. Nie znajduje pani?

— Nie wiem — odpowiedziała Anna.

— Więc ja pani mówię.

Zadzierżycie podrapał się po ciemieniu, podniósł głowę, przymrużył oczy i schował ręce do kieszeni, wypinając przed siebie lekko zarysowujący się brzuszeczek. Wyglądał tak, jakby gdzieś w przestrzeni dojrzał coś, co przykuło jego uwagę.

— Kto to może być? — łamała sobie głowę Anna.

— Pani mieszka na wsi — orzekł nagle jegomość — i to stanowi o różnicy, jaka zachodzi między panią i Anielą.

— Nie mogę osądzić, gdyż nie znam tej pani.

— Co?... — zdziwił się — to jest bohaterka mojej ostatniej powieści. Nie czytała pani?

— Wie pan — postanowiła wymanewrować Anna — tyle się czyta... To jaki tytuł?

— *Bękarty*.

— Tego jeszcze nie czytałam.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się pobłażliwie.

— Na prowincję nowości później dochodzą — tłumaczyła się.

— Naturalnie, naturalnie — powiedział tonem obojętności i poniekąd politowania — a *Żagiew* pani czytała?... Może *Krzywdzone*?

— Aha — zawołała uradowana — oczywiście czytałam!

— No, widzi pani... Hm... To dobrze.

Teraz już wiedziała, z kim ma do czynienia. Autorem *Krzywdzonych*, nudnej i hałaśliwej powieści, był Bernard Szawłowski. Znała kilka jego rzeczy i pamiętała, że imponowały jej nie talentem czy myślą, lecz wprost zdumiewającą erudycją autora.

— Pan wybaczy — odezwała się — ale nie dosłyszałam nazwiska. Czytałam *Krzywdzone* i *Lampy oliwne*, i... zaraz, zaraz...

— Pewno *Zamieć*?

— Nie. Coś innego.

— Niech pani przeczyta *Zamieć*, to panią zajmie, bo *Żagiew* to nie dla pani.

— Dlaczego?

— Długo by tłumaczyć. I *Bękarty* trzeba przeczytać. To panią, jako kobietę, zainteresuje. Rzecz aktualna. Od czasów Balzaka¹⁶ nikt tego tematu nie ujął tak syntetycznie. Nie uważa pani, że synteza jest czymś, w czym niewielu mam konkurentów?

— Zapewne — niezdeterminowanie odpowiedziała Anna.

Na progu stanęła Wanda:

— Napilibyście się kawy? — zapytała.

— Proszę — burknął Szawłowski.

— Kazałam podać — łagodnie odpowiedziała Wanda i, siadając przy Annie, uśmiechnęła się do niej: — jakże się ma twoja córeczka?

— Litunia? Dziękuję. Zupełnie zdrowa. Musiałam zostawić ją pod opieką bony. Ty wiesz, że dostałam tu posadę i przenoszę się na stałe do Warszawy?

— Przynieś mi papierosy, Bernardzie — zwróciła się Wanda do Szawłowskiego — pudełko stoi, o ile się nie mylę, na kominku w salonie. Aha, weź też proszę ten tomik Rilkego¹⁷, leży tam gdzieś w brązowej oprawie. Chciałam ci coś pokazać. Więc przepraszam cię, Anko, przenosisz się do Warszawy?

— Tak, otrzymałam posadę w Mundusie.

— Gdzie?

— W Towarzystwie Mundus. To biuro podróży.

— Ależ wiem. To dziwny zbieg okoliczności! Bo wyobraź sobie, mój dobry znajomy, pan Dziewanowski, wspominał mi, że obejmuje w Mundusie jakieś poważne stanowisko. Nie znasz go?

— Nie. Jestem w biurze dopiero od dziś rana.

— Ta znajomość może ci się przydać. Poznasz go, bo ma przyjść dziś wieczorem. Szczedroń powiada o nim, że jest to chodząca encyklopedia...

— Kto taki? — z oburzeniem zapytał Szawłowski, wchodząc do pokoju z dużym pudłem z czerwonej laki¹⁸.

— Mówiłam o Marianie.

— O Dziewanowskim?! To mętny łeb. Jest po prostu żaden.

— Mylisz się — spokojnie odpowiedziała Wanda.

— Bo jest przystojny! — zaśmiał się ze zwyczajną ironią Szawłowski — a poza tym żaden. Człowiek bez własnego, bez jakiegokolwiek zdania. Można mu przez trzy godziny wykladać coś z matematyczną ścisłością, a nigdy nie jest dość przekonany, by zdecydować się, gdzie jest białe, a gdzie czarne, gdzie słuszność, a gdzie idiotyzm. Mętny łeb. Lubię go zresztą.

— Przez jego oczy — w zamyśleniu powiedziała Wanda — patrzy się na świat jak przez powiększające szkło. Całość traci kontury, staje się enigmatyczna i tajemnicza, a szczegóły występują z nieprawdopodobną wyrazistością. Odkrywamy je. Spostrzegamy ich złożoność, ich wielkie znaczenie.

— Nonsens — zachnął się Szawłowski.

— Marian umie przyglądać się, nie umie zaś patrzeć — ciągnęła swoim powolnym głosem Wanda, nie zwracając uwagi na irytację Szawłowskiego — to jest wynik jego wiedzy.

— Czy pan Dziewanowski jest z zawodu literatem? — zapytała Anna.

¹⁶Balzac, *Honoré de* (1799–1850) — francuskojęzyczny pisarz, jeden z najważniejszych w historii literatury, autor m.in. cyklu powieści *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

¹⁷Rilke, *Rainer Maria* (1875–1926) — austriacki poeta, prekursor egzystencjalizmu. [przypis edytorski]

¹⁸laka — utwardzona żywica sumaka lakowego, wykorzystywana do zdobienia przedmiotów w Chinach i w Japonii. [przypis edytorski]

— Niczym — wybuchnął Szawłowski — jest pożeraczem książek i społecznym zerem, przekreślonym przez sam środek. Meduza! Galareta bez żadnego kośćca. Co warta jest wiedza bez rusztowania ideowego, bez fundamentów, bez cementu. Twój mąż oczywiście przesadza, nazywając go encyklopedią. Pochłonął sporo jakichś wiadomości, ale to jeszcze nie wiedza.

— Bernardzie, sam nieraz pytasz go o różne rzeczy, potrzebne ci do twoich powieści — łagodnie upomniała go Wanda.

— Ja?! Nigdy! Wypraszam to sobie. Że rozmawiam z nim czasem... I w ogóle nie rozumiem, jak ty, Wando możesz przestawać z takim facetem. Tak! Tak! Z facetem! Bo dajże mi inne określenie. Jaką inną pozycję stanowi ta jego obecność na kuli ziemskiej?

— Swoją inteligencją mógłby obdzielić wielu.

— To nie jest inteligencja. Protestuję. Chodząca bezcelowość! Jałowość! Bezpłodność! I brak syntezy! Absolutny brak syntezy. To właśnie. Gapienie się na drobiazgi i niezdolność do zrozumienia całości. Zresztą, zresztą, powtarzam, że go lubię.

— On naprawdę lubi Mariana — zaświadczyła z przekonaniem Wanda.

— Przyznam się — zaśmiała się Anna — że na podstawie tego, co mówił pan Szawłowski, nie doszłabym do podobnego wniosku.

— Owszem, lubię. Tylko, czy naprawdę nie możemy zmienić tematu?! Zanudzamy panią Annę tym biedakiem Dziewanowskim. Jest wiele rzeczy ciekawszych. Słuchaj Wando, nie znajdujesz, że twoja kuzynka byłaby wykapaną Anielą Bożymową? Co?... Właśnie teraz piszę powieść, która, o ile się nie mylę, na pewno będzie kapitalna: rzecz oparta na gamie użyteczności społecznej różnych jednostek. Sądzę, że to całkiem coś nowego.

Zaczął opowiadać, jak zamierza powiązać poszczególne charaktery i konflikty. Anna przysłuchiwała się z zaciekawieniem, gdyż nigdy dotąd nie była świadkiem podobnych wyznań powieściopisarza, czy w ogóle artysty. Wprawdzie Szawłowskiego uważano za pióro raczej przeciętne, jednak i to było zajmujące. Wanda, paląc jednego papierosa po drugim, zdawała się zupełnie nie słyszeć tego, co mówił Szawłowski, co jednak nie zrażało go wcale. Porównywał postacie z różnych swoich utworów, mówiąc o nich tak, jakby wszystkie były powszechnie znane, niczym Zagłoba czy Wokulski i to trochę irytowało Annę. Co kilka zdań zwracał się do niej lub do Wandy z zapytaniem — prawda? — i mówił dalej, rzucając apodyktyczne zdania z temperamentem mówcy wiecowego. Anna nigdy nie przypuszczała, by ktoś mógł tak długo rozprawiać o sobie i nawet nie starać się ukrywać zachwyty nad własną osobą.

Ten potok wymowy został przerwany dopiero przyjściem nowego gościa. Anna już chciała skorzystać z antraktu, by pożegnać się i wyjść. Przyszła tu przecie, by podzielić się z Wandą swoimi planami, by nawiązać z nią bliższy kontakt, a tymczasem wysłuchiwała tyrad Szawłowskiego. Właśnie słysząc dzwonek i czyjś głos w przedpokoju, wstała i spojrzała na zegarek, gdy weszła służąca i zameldowała pana Dziewanowskiego.

W pierwszej chwili Anna poznała w nim tego bruneta w granatowym ubraniu, który nerwowo czytał plakaty w poczekalni Mundusu. Dopiero gdy się spotkały ich oczy, oboje jednocześnie się uśmiechnęli. Dziewanowski wydał się teraz Annie wyższy, przystojniejszy i bardziej interesujący, może dlatego, że w jego twarzy nie było obecnie tego zdenerwowania, no i dlatego, że po wymianie zdań między Wandą a Szawłowskim musiały nań patrzeć inaczej niż na kogoś obserwowanego przygodnie w miejscu publicznym.

— Jakże mi miło poznać szczęśliwą współzawodniczkę — powiedział niskim ciepłym głosem.

— Jak to, współzawodniczkę? — zdziwiła się Wanda.

— Wszakże pani otrzymała kierownictwo turystyki w Mundusie? — zapytał Dziewanowski.

— Tak — odpowiedziała, rumieniąc się bez żadnego rozsądnego powodu.

— Widzisz, Wando, ubiegałem się o to stanowisko i zostałem zdystansowany.

— Może po prostu wyprzedzony w kolejce — chciała złagodzić Wanda.

— Bynajmniej — zapewnił Dziewanowski — oświadczono mi wyraźnie, że przeważały kwalifikacje pani. Widzi pan, panie Bernardzie, to jeszcze jeden ważki argument dla pana. Firma przecie nie dla pięknych oczu pani Leszczowej, nie dla nich, chociaż naprawdę są piękne, przyznała jej przewagę. Kobieta wchodzi w równe prawa z mężczyzną nie przypadkowo, lecz jako czynnik o świeższej od niego aktywności.

Szawłowski zmarszczył brwi, zamyślił się i zapytał:

— Jak pan to powiedział?

— Czynniki o świeższej aktywności — powtórzył Dziewanowski.

— Maryś — odezwała się Wanda — więc posady znowu nie ma?

— I to z mojej winy. Pan musi mieć do mnie żal — błado uśmiechnęła się Anna.

— Ani odrobiny. Zapewniam panią, że mam takiego pecha, który w każdym wypadku nie da mi zwyciężyć w konkurencji z kimkolwiek.

— Przede wszystkim nie ma pan żadnego fachu — zawyrokował Szawłowski — ja osobiście uważam...

— Przepraszam — przerwał Dziewanowski — a czy może pan uważać nieosobiście?

— Otóż właśnie! Nie mógłbym. I dlatego nie gubię się w fikcjach rozdętego obiektywizmu.

— To ma być nowa definicja mego stanu? — poważnie zapytał Dziewanowski — zawdzięczam ich panu tyle i to tak rozbieżnych, że doprawdy mogą mi zastąpić liczną garderobę. Codziennie rano powinienem zastanawiać się, którą z nich mam włożyć na siebie? Czy rozdęty obiektywizm w fikcyjne paski, czy bezpłodny eklektyzm¹⁹ w kratkę, czy też relatywizm²⁰ w spirytualistyczny rzucik?

Anna zaśmiała się głośno. Do pokoju wszedł Stanisław i słuchając uważnie słów Dziewanowskiego, przecierał swe grube szkło.

— Wybór niezachęcający — powiedział, umieszczając okulary na nosie.

— Ja sędzę inaczej — w zamyśleniu odezwała się Wanda — Bernard nie myli się. Chyba o tyle, że wybór jest znacznie, nieporównanie szerszy. A poza tym Maryś nie zmienia kratek na paski i tak dalej. Po prostu wszystko jednocześnie ma w sobie.

— Bezmiar bezbarwności — wyrzucił z siebie Szawłowski.

— Niezupełnie — ściągnęła w skupieniu brwi Wanda — jest to bezbarwność soczewki albo raczej kryształu. Kryształ pozostaje bezbarwny, ale pod światło daje kolory prawie takie jak tęcza, to znaczy niemal wszystkie kolory, jakie istnieją. Nie twierdząc, by Marian miał prostoliniowość kryształu. Przeciwnie. Jest to kryształ o nieprawidłowej i powikłanej budowie, ale to właśnie jest najciekawsze.

Szczedroń oparł się o poręcz krzesła i zaczął się śmiać wysokim, nieprzyjemnym głosem. Widoczne było, że kosztuje go to wiele wysiłku, gdyż mu aż żyły na czole nabrzmiały, a jednak nie śmiał się szczerze.

— Bo co? — zachęcająco zwrócił się doń Szawłowski.

— Absurd, stek absurdów — zamachał rękami Szczedroń. — To jest zdumiewające, z jaką lekkością szanowni intelektualiści żonglują terminami naukowymi, absolutnie ich nie rozumiejąc!

— Wyraziłam się nieściśle? — obojętnie zapytała Wanda.

— Nieściśle?!... Ależ Boże broń! Wyraziłaś się bezmyślnie!

— Panie Stanisławie — odruchowo odezwała się Anna, lecz on nawet tego nie dosłyszał.

— Kryształ o powikłanej budowie! — krzyczał. — Czy za to należy zamykać w więzieniu?! Kryształ pod światło, moja droga, nie daje żadnych kolorów! Kolory daje farbiarz! Do stu diabłów, kryształ rozkłada światło! I te znakomite „niemal wszystkie kolory”! Cha!... cha, cha... Prawie takie jak tęcza! A poza tym jest prostoliniowy, powikłany! Otóż to! U was tak wszystko. Chaos wyobraźni, chaos pojęć i zwyczajna beczelność! No tak, beczelność, bo trzeba być bez cienia wstydu, by używać słów, których się nie rozumie. Oto wasz intelektualizm!

— Dlaczego „wasz”? — przerwała Wanda.

— Więc twój — poprawił się z pasją Szczedroń — twój intelektualizm. Operowanie rzeczami fałszywymi. To tak, jakby ktoś nie znał ortografii, a chciał pisać artykuły. Niechże pan sam powie, panie Dziewanowski, niech pan powie, czy tak, czy nie?

— Trudno tu o kategoryczną odpowiedź — z namysłem zaczął Dziewanowski.

— Oczywiście — zaśmiał się zjadliwie Szawłowski — kategoryczność to nie dla pana.

¹⁹eklektyzm — postawa polegająca na łączeniu różnych doktryn i przekonań (niekiedy odmiennych) w jedno. [przypis edytorski]

²⁰relatywizm — pogląd, według którego prawda czy wartości nie są absolutne, ale zależne od kontekstu czy punktu widzenia. [przypis edytorski]

— Jednakże?! — domagał się Szczedroń.
 — Więc zasadniczo pan ma prawdopodobnie rację. Należałoby operować wyrażeniami ścisłymi. Jednak skoro i tak rozumiemy się... Ścisłość byłaby chyba balastem...
 — Dla kobiecego umysłu — wtrącił Szczedroń.
 — ...balastem, bez którego można się obyć, jeżeli...
 — Cóż tu ma do rzeczy kobiecość czy męskość? — zaprotestował Szawłowski.
 — ... uznajemy w naszej mowie pewne skróty — dokończył Dziewanowski.
 — Bardzo dużo ma — podniósł palec Szczedroń — kobiety bowiem są rozsądnikami dowolności zarówno w terminologii, jak i w logice. Wszystko, co robią, jest nieartykułowane. Panie Dziewanowski! Niechże pan weźmie jakikolwiek przykład. Dajmy na to ostatnią gadaninę Wandy.

Dziewanowski skrzywił się:

— Kwalifikując omawiany przedmiot tak dobitnie, nie pozostawia pan miejsca dla dyskusji.

— No więc „wypowiedź”! Zadowala to pana?... Otóż trzeba wydobyć z tego zasadnicze elementy, trzeba wyszpiegować drogi, jakimi doszło do tego rodzaju metafor. To jest właśnie najbardziej charakterystyczne, najbardziej typowe u kobiet. Gdybym był psychiatrą....

Anna spojrzała na zegarek. Było już bardzo późno i czuła głód. Spojrzała na Szawłowskiego, który ziewał szeroko, zasłaniając ręką jamę ustną. Wanda siedziała nieruchomo, wpatrzona w końce swoich palców. Było to nieuchwytnie i Anna nie potrafiłaby niczym uzasadnić swego wrażenia, lecz zdawało się jej, że Wanda jakby rozkoszuje się tym, co mówił jej mąż, jakby znajduje przyjemność w brzmieniu jego ostrego głosu, ostrych i często brutalnych słów, którymi charakteryzował ją i to przed Dziewanowskim, na którym Wandzie oczywiście zależało. Szczedroń mówił o kobiecie w ogóle, lecz Anna nie wątpiła, że wszystko to odnosi się wyłącznie do Wandy.

Wreszcie podano kolację. W przejściu do jadalni Wanda zapytała półgłosem:

— Nie nudzisz się Aneczko?

— Bynajmniej — niezbyt szczerze odpowiedziała Anna — dziwię się tylko, że Stanisław przy obcych w ten sposób mówi o tobie.

— Ach, moja droga, to jego zwyczaj. W stosunku do każdego mężczyzny, którego uważa za mego kochanka, jest taki. Stara się go przekonać o mojej bezwartościowości. Widocznie wierzy w celowość tej metody.

— Ale, że ty na to się zgadzasz!

— Ja? Mnie nie sprawia to przykrości.

Przy kolacji, którą — jak okazało się z uwag służącej — przyniesiono z restauracji, Szczedroń nie przestawał upewniać Dziewanowskiego, że Wanda jest tylko mieszaniną sprytu i dziwactw. Wanda przysłuchiwała się tym wywodom, Anna zaś zostawała na łasce i niełasce Szawłowskiego, który bawił ją rozmową o sobie, swojej działalności społecznej, o swoich książkach. A że przy tym jadł wyjątkowo nieestetycznie, cmokał, dłubał paznokciami w zębach i nakładał sobie na talerz ogromne porcje, Anna odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie wstawano od stołu.

Szawłowski wyszedł zaraz po kolacji. Wkrótce i Dziewanowski zaczął się żegnać, wobec czego wstała też i Anna. Szczedroniowie nie zatrzymywali ich, tylko Wanda zamieniła kilka słów z Dziewanowskim półszepem.

— Odprowadzę panią, jeżeli nie sprawi to jej przykrości — powiedział Dziewanowski, gdy znaleźli się na ulicy.

Uśmiechnęła się doń prawie zalotnie. Chciała mu w jakiś sposób dać odczuć swoją życzliwość i współczucie z powodu owej posady. Człowiek tak subtelny jak on powinien odczuć to bez słów. Przez pewien czas szli w milczeniu. Dopiero gdy wchodzili na Mokotowską, Dziewanowski zapytał:

— Mam wrażenie, że posadza mnie pani o żal w związku z Mundusem?

Nie lubiła konwencjonalnych kłamstw, toteż nie zaprzeczyła.

— Widzi pani — zamyślił się — mogę tylko cieszyć się, że tak się stało, że to właśnie pani. Proszę mi wierzyć, że byłbym głęboko nieszczęśliwy, gdybym otrzymał tę posadę.

— Dlaczego?

— Nienawidzę biura. Praca biurowa jest czymś potwornym. Można by mnie nią straszyć, jak dzieci straszy się, że je dziad weźmie do worka. To jest właśnie worek.

Annie przypomniała się Litunia. Nie, niemożliwe, by bona straszyla ją workiem. Surowo zakazano jej w ogóle straszyć Litunię czymkolwiek.

— Tylko że dzieci się nie straszy — zauważyła głośno.

— I dorosłych też nie. Przeciwnie, ukazuje się im ten worek jako szczyt marzeń. A w każdym razie jako pożądaną konieczność. Dlatego też spotkała mnie pani przy wejściu do tego worka.

— Powiedział pan, że... cieszy się, że to właśnie ja. Nie rozumiem, dlaczego?

Mijali jakiś sklep, jarzący się silną neonową reklamą i w jej świetle rysy Dziewanowskiego wydały się Annie dziwnie bliskie, od dawna znane w każdym szczególe, a przy tym bolesne.

— Dlaczego? — powtórzyła miękko.

— Trudno na to znaleźć krótką odpowiedź. Od dawna na próżno usiłuję znaleźć w sobie te konkrety, na których opiera się moja tęsknota, a raczej mój pietyzm dla pani, dla tego zespołu różnorodnych sił, które dają pani, takim kobietom jak pani, przewagę, bezapelacyjną przewagę nade mną.

Anna nie mogła połączyć się w złożoności tego wszystkiego. Nie była nawet pewna, czy podoba się temu inteligentnemu i nerwowemu mężczyźnie, a może tylko cierpiącemu na psychastenię²¹ chłopcu.

— Gdy wychodziłam z gabinetu Minza po otrzymaniu posady — powiedziała — spotkałam pański wzrok. Ostry, niedobry wzrok. Wówczas zdawało mi się, że pan mnie nienawidzi. Skrzywdził mnie pan tym spojrzeniem.

Dziewanowski zatrzymał się i szeroko otworzył oczy:

— Ależ to nieprawda!

— Takie miałam wrażenie — usprawiedliwiła się i jednocześnie ogarnęła ją obawa, by on nie posądził jej o pospolitość. Ten gbur Szczedroń nazwał ją kobietą anatomiczną, jeszcze tego brakowało, żeby i Dziewanowski wyrobił sobie o niej podobne zdanie.

— Opanowana byłam — dodała pośpiesznie — uczuciem rabusia, który porwał cudzą własność. Czułam się jak szkał, który korzystając z nieuwagi wielkich i silnych drapieżników, wymyka się chyłkiem, unosząc zdobycz.

Dziewanowski zaśmiał się i przecząco potrząsnął głową:

— Nie, pani Anno. Widocznie podświadomość niezależnie od woli nadała jej wygląd taki wspaniały. Pani szła jak triumfator. To było uosobienie śmiałego zwycięstwa. To był pochód nowego życia... Żle odczytała pani mój wzrok.

Urwał i szedł obok niej z opuszczoną głową.

— Więc oboje źle odczytaliśmy nasz wzrok. To zabawne. Gdy się widzi człowieka po raz pierwszy, nigdy się nie wie, jakim jest w rzeczywistości.

— Czasami przeciwnie.

— Czy i w tym wypadku?

— Tak — skinął głową.

— Ależ mówię panu, że raczej wstydziłam się wówczas, byłam zażenowana.

— To w pani świadomości — zaoponował — podświadomość jest olbrzymią częścią naszej istoty. To wszechświat, nieznamy temu, kto nosi go w sobie.

— Ja tu mieszkam — zatrzymała się Anna przed bramą.

— Czy... prędko panią zobaczę? — zapytał, całując jej rękę.

Anna zawahała się:

— Kiedy... kiedy pan sobie będzie tego życzył.

— Dziękuję pani.

Anna wbiegła na górę, jak najciszej otworzyła drzwi i przeszła do swego pokoju. Rozbierając się, myślała o tym, czy między Wandą a Dziewanowskim jest jakieś głębsze uczucie, czy tylko przelotny romans?...

²¹psychastenia — dawne pojęcie medyczne i psychologiczne, oznaczające zaburzenie nerwicowe, wiążące się z lękami, zmęczeniem, natręctwami etc. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ 2

Dziewanowski stał jeszcze chwilę na chodniku i palił papierosa, jakby czekał powrotu Anny. Nie skłamał jej, mówiąc, że wywarła na nim bardzo silne wrażenie i w rzeczywistości nie mógł zdobyć się na analizę tego dziwnego uczucia. Nigdy nie polował na kobiety. Jeżeli takie myśliwskie porównanie było dopuszczalne, raczej bywał zwierzyną. Zdarzało się to jednak bardzo rzadko. Dziewanowski unikał kobiet, one zaś zwracały nań tyle uwagi, ile ściągnąć może mężczyzna absolutnie pozbawiony agresywności, a przy tym biedny. Nie wstydził się swego smutnego stanu materialnego. Jego stosunek do pieniędzy zawsze wyrażał się całkowitą obojętnością, ponieważ zaś renta dwustu złotych, którą otrzymywał od stryjenki tytułem jakichś działów rodzinnych, właściwie rzecz biorąc, wystarczała na opędzenie najniezbędniejszych wydatków, nic nie zmuszało go do szukania sposobów powiększenia budżetu. Ilekroć robił coś w tym kierunku, wynikało to z nacisku, wywieranego nań przez stryjenkę, która od czasu do czasu wpadała w ambicje rodowe, lub na skutek żądania kobiety, która dopatrywała się w nim zapoznanego geniusza.

Lubił wprawdzie ten przymus i bez oporu poddawał się mu tak długo, aż dany plan nie ulegał przekreśleniu mocą okoliczności przeciwnych.

Jednym z zasadniczych czynników we wszystkich jego niepowodzeniach był niewątpliwie jego chroniczny brak woli i Dziewanowski doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

— Moja wola jest nienaładowanym akumulatorem — mówił kiedyś Wandzie — natężenie tej woli wyraża się nikłym prądem, niezdolnym zarówno do wytrwałego działania, jak i do nagłego wybuchu.

A właśnie Wanda mniej niż inne kobiety umiała i chciała podsycić jego energię. Mówiła wprawdzie czasami:

— Powinieneś napisać studium o inteligencji. Koniecznie zabierz się do tego.

Lecz już nazajutrz zapominała o tej konieczności i prosiła, by zrobił nowy przekład Homera²², lub też wystarał się dla siebie o posadę w Mundusie. Impulsy były słabe i różnokierunkowe, toteż nie dawały żadnych wyników. A Dziewanowski czuł, że pod innym, bardziej konsekwentnym i mocniej nasilonym wpływem znalazłby dość wytrwałości do takiego czy innego działania. Wandzie jednak na tym nie zależało. Chciała go mieć dla siebie i wyłącznie dla siebie, chciała, by całą swoją istotą koncentrował się w ich wzajemnym stosunku, by myślał dla niej i przy niej, by ona była jakby anteną dla jego uczuć i umysłu. Po prostu, jak twierdził jej mąż, była dionką, takim egzotycznym lepkiem kwiatem, który zamyka w swych płatkach nieostrożne owady i żywi się nimi. Wanda jest dionką, piękną owadożerną rośliną, która karmi się przy pomocy rozchylonego kwiatu. Rozchylenie jej ust do pocałunku, rozchylenie jej czerwonych wilgotnych ust, gdy słucha cudzych słów — to to samo. W jej lenistwie, w jej powolnych ruchach i w bezsilnym brzmieniu głosu czał się właśnie ta nie dająca się nazwać potęgą, która go obezwładnia, hipnotyzuje, pociąga.

Nie pragnął bynajmniej wyzwolenia z jej aury. Nie kochał jej, lecz odczuwał rozkosz przynależności, a gdyby ona go kochała, można by powiedzieć, że tylko pozwalał się kochać. Jednak sentymentu Wandy nie mógłby nawet nazwać miłością. Było to coś całkiem innego, co można by nazwać eksploatacją, gdyby to słowo nie było tak brutalne. W swojej pasji wiecznego analizowania Dziewanowski po tysiąc razy zagłębiał się w gmatwaniu tych nici, które spletały się w węzeł ich romansu. Idąc wytrwale wzdłuż każdej niteczki, odnajdywał niezliczone kłębki i pieczołowicie umieszczał je w niezliczonych szufladkach, lecz gdy już wszystko zdawało się być gotowe, nagły odruch Wandy, jedno jej inne spojrzenie, czy słowo niweczyły całą konstrukcję. I znowu nie wiadomo było, co jest dla czego, gdzie jest czego początek i jaka jest treść wszystkiego. Był dość wprawdzie spostrzegawczy, by zauważyć źródła przemian Wandy. Zetknięcie się z każdym człowiekiem, z każdą książką, z każdym zdarzeniem, odbijało się w niej natychmiast jak na wyczulonej kliszy. A że nie było to wierne odbicie lustrzane, że czas trwania odbicia nie mijał wcale, że nowy obraz wtapiał się niejako w konglomerat całości i zmieniał dotychczasową logikę układu — niepodobna było dojść do jakiegokolwiek pozytywnej konkluzji.

Kobieta demoniczna

²²Homer (VIII w. p.n.e.) — autor *Iliady* i *Odysei*, grecki pieśniarz, ojciec poezji epickiej. [przypis edytorski]

Tym wszystkim Wanda imponowała mu. Nie swoją obiektywną wartością, gdyż miarą wartości nie mierzył ludzi ani zjawisk, lecz bogactwem wewnętrznym, różnorodnością, mnogością i zmiennością uwarstwień, nieustającą ewolucją, której celu ani kierunku nie umiał odkryć. Jeżeli Szczedroń odmawiał swej żonie jakiegokolwiek wartości, czynił to pod społecznym kątem widzenia, dla Dziewanowskiego jednak ten kąt nie istniał. Zresztą kwestia pożyteczności Wandy dla ogółu, dla środowiska, dla narodu, dla rodziny, czy klasy społecznej piętrzyła się komplikacjami i antynomiami, których przedyskutowania nawet z tak ukategoryzowanym umysłem, jaki należało przyznać Szczedroniowi, było niepodobieństwem. Poza tym Szczedroń odmawiał jej także wartości ludzkich — lecz nie przeszkadzało mu to — kochać ten chodzący brak wartości.

— Kocham w niej nie człowieka — zapalczywie bronił się Szczedroń — gdyż człowieka w niej nie ma. Kocham kobietę.

— Egzemplarz fizjologiczny?

— Nie. Fizjologiczny, psychiczny, słowem całość.

— Nie rozumiem — potrząsał głową Dziewanowski i na tym zwykle kończyły się ich rozmowy.

Dziewanowski nigdy nie mógł wywnioskować, czy Wanda w jakimś stopniu odwzajemnia uczucia męża, czy żyje z nim czy nie?... Ciekawość Dziewanowskiego w tym kierunku nie wynikała z zazdrości kochanka ani z pretensji do niepodzielności. Brakowało mu tego tylko do obrazu psychiki i natury Wandy.

Stosunek ich trwał od kilku miesięcy. Zaczął się prawie przypadkowo, a utrwalił się — jak się Dziewanowskiemu zdawało na długo — dzięki sile obustronnego zainteresowania, no i dzięki zmysłom. Obie strony pod tym względem odpowiadały sobie temperamentami, obie nie znały i nie szukały namiętności, która by pochłaniała, znajdowały zaś premedytowaną rozkosz, którą można było pochłaniać, kontemplować, przeżywać i pić kropla po kropli.

Z Wandą było mu dobrze jeszcze i dlatego, że niczym nie mąciła mu spokoju, a spokój był dlań jedyną bodaj koniecznością. Od dziecka przyzwyczał się doń w pustym domu rodziców. Ojciec rzadko się zjawiał, prowadząc budowę kolei na Syberii, wpadał do Warszawy na kilka tygodni w ciągu roku. Matka odsiadywała dwukrotnie kilkuletnie więzienie za swoją działalność polityczną, a gdy była w domu, nie mąciło to w niczym ciszy i ustalonego ładu, gdyż pracowała wiele, zamykając się w swoim pokoju. Właściwie wychowanie dzieci, chociaż odbywało się ściśle według regulaminu przepisane przez matkę, spoczywało wyłącznie w rękach miss Trusby, starszej, wyblakłej damy, która zbliżyła się z panią Dziewanowską na jakimś międzynarodowym zjeździe, gdzie tak się zaprzyjaźniły, że miss Trusby porzuciła Londyn i przyjęła stanowisko wychowawczyni w Warszawie. Marian pamiętał, że między obu paniami zachodziły poważne różnice poglądów politycznych: matka była socjalistką, miss Trusby zaś liberałką, jednak w kwestii wychowania zgadzały się zupełnie.

Wychowanie to polegało na wczesnym, od niemowlęstwa stosowanym uświadamianiu, na wykreśleniu wszelkiej hipokryzji, na bezwzględnej prawdzie. Pytania dzieci nigdy nie pozostawały bez odpowiedzi i to bez odpowiedzi zgodnej z rzeczywistością starszych. Dobro i zło ludzkie nie były dla nich osłaniane żadną tajemniczością. Wcześniej wiedziały, że nędza rodzi zbrodnie, że świat jest niesprawiedliwy, a religie służą do ujarzmiania mas w ciemnocie. Przechodząc obok kościoła dzieci z litością patrzyły na owe ujarzmione masy i różnice, jakie dostrzegały między swoimi schludnymi ubrankami a ubogim tłumem, tłumaczyły sobie jego ciemnotą. Sfera życia płciowego nie miała dla nich zagadek. Dziewięcioletni podówczas Kazik i sześćioletni Maryś byli obecni w sypialni matki, by na jej żądanie widzieć, jak przychodzi na świat mała czerwona i płacząca istotka, ich nowa siostrzyczka Irenka. Dla obu chłopców, szczególnie zaś dla Mariana, chwila ta była obrazem tak potwornym, że długo potem budził się w nocy z krzykiem przerażenia. Dorastał z przekonaniem, że życie jest okrutne, surowe i krzywdzące, że najlepiej trzymać się od ludzi tak daleko, jak tylko się znajdował. Ojciec umarł mu, gdy miał zaledwie lat osiem, matka w pięć lat później. Jeżeli śmierci jej nie odczuł zbyt dotkliwie, było to wynikiem ich wzajemnego stosunku. Pani Dziewanowska nigdy nie pieściła dzieci, nigdy nie gawędziła z nimi. Tę odrobinę czasu, którą mogła im poświęcić, zużywała na rozmowę, na wyjaśnienia, na wskazówki i uwagi. Był to system racjonalny, wychowawczy, raczej ofi-

cialny. Matka była po prostu instancją, dla której miało się nie miłość, nie pietyzm, lecz szacunek i ufność. W mniejszym stopniu te same uczucia budziła miss Trusby, a gdy obu zabrakło — stryjenka Barbara Dziewanowska.

Marian przypuszczał, że to właśnie wywarło decydujący wpływ na powstanie w nim wręcz organicznej potrzeby obcowania z kobietami, których wpływom mógłby z inercyjnym zaufaniem ulegać, które stanowiły indywidualność, rzucającą dostatecznie wielki cień, by w nim można było czuć się zależnym, bezpiecznym i spokojnym. Nie szukał takich kobiet, lecz spotkawszy, nie mógł przejść obok nich obojętnie. Pociągały go jak magnes pociąga ku sobie luźne opilki żelazne. To zatrzymywało go przy Wandzie, o tym nie wątpił.

To samo również zelektryzowało go wówczas, gdy w poczekalni Mundusu zobaczył Annę. A przecież trudno sobie wyobrazić dwa bardziej różne typy niż one. Anna zresztą, już u Szczedroniów, a zwłaszcza po drodze wydała mu się zupełnie inną, dziwnie jasną, zdumiewająco prostą, emanującą tym ciepłem, jakiego nie znał, a jakie wyobrażał sobie w przeciętnych uczuciach przeciętnych matek. To mówiły obserwacje, instynkt jednak pozostawał przy pierwszym wrażeniu kobiety świadomej, silnej, władającej. Poza tym już sam fakt uzyskania przez Annę kierownictwa działu w tak wielkiej instytucji potwierdzał nieomyślność instynktu.

— Instynktu czy autosugestii, wynikającej z pobożnych życzeń? — zatrzymał się na rogu ulicy i uśmiechnął się do siebie, jakby przyłapał się na wykrętnej wolcie myśli.

Ciepło było, niebo już stawało się szare i przeźroczyste, latarnie gasły. Zawrócił do domu. W mieszkaniu stryjenki zajmował duży pokój, zavalony stosami książek. Zdarzały się całe tygodnie, kiedy nie wychodził zeń wcale. Nie golił się wówczas, nie ubierał, nie brał do ręki słuchawki telefonu i tylko czytał. Nie było dziedziny wiedzy, którą by mógł uważać za obcą, jak nie było też i takiej, w jakiej czułby się szczególnie swojo. Okresami pochłaniała go filozofia, historia, biologia, matematyka, botanika, astronomia, teoria sztuki i ekonomia, socjologia i religioznawstwo, paleontologia i fizyka, etnografia i muzyka, równie dobrze znał Koran jak teorię kwantów, a Szekspira²³ jak mapę układów pozagalaktycznych. Ta jego pasja, jeżeli pasją nazwać można nieustający głód, nadawała najwyrazistsze rysy zewnętrzności zajmowanego przezeń pokoju. Nie brakło tu jednak i innych, stanowiących ślady epok trzech czy czterech kobiet, kilka ekspresjonistycznych płócien na ścianach, dziwaczne bibelotki buddyjskie, niedokończony biust Lukrecji Borgii²⁴ w marmurze, hełm samochodowy z zielonej skóry i purpurowa pidżama z czarnymi trójkątami. Ta ostatnia należała do Wandy i pachniała orchideą.

I z tym wszystkim było obco, zimno, było beztreściwie.

Nie wiadomo dlaczego przyszło mu na myśl, że brak tu czyjejkolwiek obecności, brak nawet jego samego, że to rekwizytornia ubiegłych lat i godzin, lat i godzin niełączących się ze sobą niczym. A Anna byłaby tu jakąś niezrozumiałą niespodzianką.

— Anna — powiedział głośno i w dźwięku tego imienia znalazł tę samą ciepłą nutę, która dźwięczała w jej śmiechu, w głosie, w rytmie kroków.

Zasnął dopiero wczesnym rankiem, a obudzono go po południu. Dzwoniła Wanda i przyszła, nim zdążył się ubrać. W czarnym kostiumie wyglądała znowu inaczej, tylko oczy wciąż były te same, zamyślane i odległe, a usta rozchylone jak kwiat dionei.

Przyniosła korektę swego artykułu. Nie była pewna niektórych zawartych w nim danych i cytata. Marian musiał przejrzeć to i sprawdzić. Tytuł, jak zawsze u niej, fascynował oryginalnością: *Sukcesorowie kłamstwa*. Na marginesie świeżo wydanej powieści jednej z autorek francuskich Wanda rozwijała tu szereg uwag o obyczajowości przedwojennego świata, przeciwstawiając ówczesną moralność i doktrynerstwo nakazom życia, które uzyskały prawo obywatelstwa w ostatniej dobie.

Piękny i barwny styl Wandy, bogactwo jej słownika i temperament pisarski sprawiały to, że artykuł jako całość wywierał sugestię doskonałości.

Co do treści jednak mogły być zastrzeżenia. Marian, czytając, robił długie pauzy przy każdym niemal zdaniu, konkluzje według niego były zbyt krańcowe, wnioski zbyt pośpieszne, argumenty nieoparte na pewnikach. Zwykle przy takich okazjach dyskutował

²³ *Szekspir, Shakespeare, William (1564–1616)* — angielski dramatopisarz i poeta, autor m.in. *Romea i Julii*, *Snu nocy letniej* czy *Makbeta*. [przypis edytorski]

²⁴ *Borgia, Lukrecja (1480–1519)* — córka papieża Aleksandra VI, księżna Ferrary. [przypis edytorski]

z Wandą, nie dotykając wszakże meritum sprawy. Spór zasadniczy irytował Wandę, jeżeli irytacją można było nazwać lekkie rumieńce i ledwie dostrzegalne podniecenie. Dziś jednak czuł się trochę rozleniwiony i wiedząc, że i tak wiele nie wskóra, ograniczył się do sprostowania kilku mylnych odwołań się do autorytetów, które nie miały sposobności dzielenia poglądów z autorką artykułu.

Trochę zmartwiło to Wandę, gdyż należało z gruntu przerobić dwa akapity, co znacznie osłabiało ekspresję.

— Wiesz, mój drogi — powiedziała, zawijając korektę — że nie mam ochoty do tych zmian.

— Jednakże wydają mi się konieczne.

— Ach, nikt na pewno nie spostrzeże tego, zresztą kto u nas czytał Massinsa czy Hebinga?!

— No, na przykład, chociażby ja.

— Ty jeden.

— Na pewno znajdą się i inni — nalegał.

Wanda wzruszyła ramionami:

— Czytałam to dziś Bernardowi i jeżeli on nie zauważył...

Marian pojednawczo kiwnął głową:

— Jak chcesz. Nie wątpię, że lepiej ode mnie wiesz, co czytają u nas. Szawłowski jednak nie może być przykładem dla tej prostej przyczyny, że on w ogóle nic nie czyta.

— Przesadzasz — spokojnie zauważyła Wanda.

— Bynajmniej. Nie przeczę, że kiedyś coś-nie-coś przeczytał. Może zatem niektóre rzeczy Hebinga zna, natomiast ani Massinsa, ani żadnego z nowszych nie tknął. Twój mąż utrzymuje, że Bernard czyta tylko własne książki. Będzie mu to policzone na tamtym świecie jako umartwienie dobrowolne. Ale chciałem ci zwrócić uwagę na ten utarty zwrot: na tamtym świecie. Czy zauważyłaś, że brzmi to podobnie do patriotycznej deklaracji naszych chłopów kresowych? Zapytani o narodowość, odpowiadają: tutejszy. To samo spotykamy u wielu plemion, znajdujących się na niskim szczeblu kultur, u Indian, Murzynów, Eskimosów.²⁵ Prymitywizm naszego umysłu, mówię o ludziach inteligentnych, wyraża się dobitnie owym truizmem o „tamtym świecie”. U chłopów nazywamy „tutejszość” wąskością horyzontu, a u siebie skrótem kompleksu pojęć. Najciekawsze zaś jest to, że nasza tutejszość w życiu, w czasie, w przestrzeni, jest bodaj najmędrszą definicją egzystencji człowieka.

Wanda słuchała uważnie ze swoim czarującym wyrazem skupienia w oczach.

— Czy wiesz, Mar — powiedziała po chwili — jak Szczedroń określa was obu?

— Nas, to znaczy?...

— No, nie obrażaj się, ciebie i Bernarda.

— To mnie nie obraża. Skądże — wzruszył ramionami — nawet z chłopcem od windy nie byłbym sam.

— Otóż Szczedroń powiada, że Dziewanowski wszystko wie, a twierdzi, że niczego nie rozumie, Szawłowski zaś niczego nie rozumie, twierdzi zaś, że wie wszystko.

Zaśmiała się cicho i pocałowała go w czoło:

— Do widzenia. Mar, przyjdź do kawiarni po mnie.

— Dobrze. A Hebinga lepiej wykreślić.

— Zobaczę — skinęła głową i wyszła.

Szczedroń jednak znał ją dobrze. Przynajmniej niektóre cechy: namiętność do abstrakcyjnych tematów przy ściąganiu wszystkiego do faktów, do rzeczywistości, do przedmiotów. Marian nie zgadzał się oczywiście z poglądem jej męża, że nie jest zdolna do pojmowania abstrakcji. To była przesada. Jednakże tkwił w niej na pewno swego rodzaju utylitaryzm myślowy. Bezużyteczność pracy intelektu znajdowała się poza granicą jej możliwości. W istocie tak pozbawionej zmysłu praktycznego było to nie do wytłumaczenia.

— A jaka jest tamta? — pomyślał o Annie i przyłapał siebie na słowie „tamta”. Dlaczego użył właśnie jej jako przeciwstawienia?...

²⁵ To samo spotykamy u wielu plemion, znajdujących się na niskim szczeblu kultur, u Indian, Murzynów, Eskimosów. — stwierdzenie to jest rasistowskie, choć w czasach, gdy powstawała książka (lata 30. XX w.) mogło być powtarzane bezrefleksyjnie i nie budzić sprzeciwu. [przypis edytorski]

Jednocześnie przyszło mu na myśl, że Anna może przyjść do kawiarni, by zobaczyć się z Wandą. A to byłoby miłe. Wystarczy podnieść słuchawkę telefonu i zadzwonić do Mundusu, zapytać, czy nie zechciałaby przyjść. Jeżeli zdziwi się, nic łatwiejszego niż powiedzieć jej po prostu:

— Bo ja chciałbym panią zobaczyć.

— Dlaczego właśnie mnie i dlaczego właśnie pan? — zapyta Anna.

Na to nie umiałby odpowiedzieć. Chciałby z tak wielu prawdopodobnie pobudek, że niepodobna odkryć, która jest główna, która istotna... Zbliżył się do aparatu i położył na nim rękę. Ostatecznie w tym wszystkim nie byłoby nic krzyżąco nieprzyzwoitego...

Podniósł słuchawkę, lecz gdy odezwała się telefonistka, zrezygnował z zamiaru.

— Przepraszam panią — powiedział — ja tylko tak...

— Z którym numerem?... — niecierpliwie zadzwęczał w membranie głos.

— Z żadnym. Przepraszam.

— Czas tylko zabierać! — gniewnie wyłączyła telefonistka.

Marian czym prędzej położył słuchawkę. Ten drobny i śmieszny incydent wytrącił go z równowagi. Należało od razu nacisnąć widelki i nic nie odpowiedzieć. Należało w ogóle nie podnosić słuchawki. Ta nedorzeczna mania usprawiedliwiania się! Ma się rozumieć pragnienie usprawiedliwienia się wynika z uczucia wstydu, bo przecie wstydzi się swego braku decyzji i wiecznego cofania się.

Spojrzał w lustro i stwierdził, że jest zaczerwieniony. Ta nikła i właściwie bezosobista kompromitacja już go wzburzyła. Każdy podobny wypadek przyczyniał się do coraz postępującego niedowładu woli, do odruchowej obawy przed jakimkolwiek działaniem. Położył się i wrócił do *Pamiętników* Manon Roland de la Platière²⁶, energii żyrondistów²⁷. Jej mąż odebrał sobie życie w dniu, gdy dowiedział się o zgilotynowaniu ukochanej żony, która miała wówczas coś około pięćdziesiątki. To jest miłość. Miłość w ogóle równa się poświęceniu i zatraceniu siebie... To ofiara. Nie byłby do niej zdolny. Manon Roland miała płomienne oczy, które fascynowały mężczyzn i płomienny temperament, a nadto żelazną wolę. Pani Anna Leszczowa jest zupełnie inna. Przymknął oczy i usiłował zmusić wyobraźnię do przywołania jej sylwetki w szarym obcisłym kostiumie... Jakiś inny jest jej spokój. Manon panowała nad sobą, Wanda jest spokojna zupełnie inaczej. Jest to spokój dionei, spokój sieci pajęczej, intensywny spokój ciemności, w której bezgłośnie coś się dzieje. Spokój Anny... Nie umiał tego określić.

Wstał, wziął kapelusz i wyszedł z domu. Do kawiarni trzeba było skrócić na prawo, lecz zegar na rogu wskazywał siódmą. O siódmej Anna wychodzi z Mundusu. Zawrócił i bardzo wolno szedł przed siebie.

Wychodziła właśnie z biura, lecz nie była sama. Towarzyszyła jej jakaś młoda panienka. Gdy go mijaly, szybko odwrócił się do witryny sklepu i tylko w szybie widział odbicie jej postaci.

— Co za głupota i jakie to męczące — pomyślał.

W kawiarni, jak zwykle o tej porze, był tłok, gwar, wszystkie stoliki zajęte. Nad kontuarem kasy wznosiła się masywna pełnobiusta pani Markiewiczowa, tak zwana „jej obszerność pani Markiewiczowa”. Przy stoliku Kolchidy siedziało już kilka osób z nieodzownym Szawłowskim, wymachującym rękami i mówiącym tak głośno, by ziarna jego cennych myśli mogły obsiać przynajmniej tuzin pobliskich stolików, gdzie grupowali się co wieczora pomniejsi, cisi i zachwyceni wielbiele tego Olimpu, tej właśnie Kolchidy. Wielcy argonauci dzielili tu złote runo mądrości, skromnym zaś kibicom udawało się od czasu do czasu uszczknąć cenny kłaczek złotej wełny, by olśniewać nim profanów przez szereg dni, aż do zupełnego zużycia. Nazwa Kolchidy powstała nie wiadomo w jakich okolicznościach, jeszcze zanim Dziewanowski uzyskał przywilej zaliczenia siebie do uprawnionych, a stałych bywalców i uczestników tego permanentnego sympozjonu. On jeden też nie należał oficjalnie do Olimpu. Kilku malarzy, pisarzy, muzyków, dziennikarzy, aktorów, kilka kobiet, literatek i poetek — stanowili to, co decydowało o sukcesie

²⁶Manon Roland de la Platière (1754–1793) — znana również jako Madame Roland, francuska działaczka polityczna, przywódczyni żyrondistów w okresie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

²⁷żyrondyści — w czasach Rewolucji francuskiej nieformalne stronnictwo polityczne, wśród którego przedstawicieli znajdowała się burżuazja i inteligencja. Zwolennicy monarchii konstytucyjnej, rządów parlamentarnych i swobody gospodarczej i religijnej. [przypis edytorski]

lub klęsce każdego śmiertelnika, wkraczającego w życie artystyczne. Tu sublimowały się sądy, mierzyły się talenty, powstawały hasła, oceny i kryteria miarodajne dla wszystkiego, co mieściło się w ramach zagadnień kulturalnych.

Wprowadzenie do Kolchidy Dziewanowskiego nie wywołało żadnych sprzeciwów ani czynnych, ani biernych już z racji, że nastąpiło z woli Wandy Szczedroniowej, a jego zaaklimatyzowanie się było wynikiem jego przydatności. Z poetami umiał mówić o poezji, z muzykami o muzyce, z aktorami o teatrze, z dziennikarzami o wszystkim. Umiał mówić i w każdej niemal dziedzinie dysponował wielkim zapasem wiadomości.

— Panie Marianie — zaczynało się — co to jest ten Behaim²⁸, o którym Landau napisał studium?

I Dziewanowski mówił. Monografia Landaua miała siedemset stron, życiorys Michała Behaima pióra Kornberga przeszło dwieście. Poza tym dużo jest jeszcze literatury o *Meistersingerach*²⁹.

— Pan jest szczęśliwy — wdychał poinformowany — pan ma czas na czytanie.

A nazajutrz szedł do druku artykuł, w najlepszym zaś wypadku zaczynało się dyskusja o brakach landauowskiej monografii.

Z tym wszystkim Dziewanowski czuł się w gronie Kolchidy wcale dobrze i nie godził się z Szczedroniem, że nazwa ta powinna być uwspółcześniona i nosić miano guberni Kutańskiej³⁰.

— Trzeba szanować nomenklaturę geografii — mówił Szczedroń, zacierając ręce.

W kawiarni Mazowieckiej bywał rzadko, o każdym z jej bywalców miał coś uszczypliwego do powiedzenia, zaś Szawłowskiego nazywał Orfeuszem³¹ i przepowiadał mu rozszarpanie przez Menady³², z Wandą oczywiście na czele.

Marian jednak znajdował w Kolchidzie towarzystwo ciekawe i nudził się tu tylko wówczas, gdy tematem sporów stawały się jakieś osobiste rozgrywki, jakieś zabiegi kulturalne i plany realnej akcji. O tym wszakże mówiono rzadko. Tego dnia na tapecie był artykuł Wandy o dziedzictwie kłamstwa, w związku z czym Szawłowski mówił o sobie. W sposób barwny opisywał swoje zetknięcia się z różnymi wybitnościami sprzed lat trzydziestu, gdy jako młodzieniec zapędzał je ma się rozumieć w kozi róg, posługując się swoją rzeczywistością, nieuznającą obsłonek.

— Czy nie przyjdzie ta twoja kuzynka? — zapytał Dziewanowski, pochylając się do Wandy.

— Anna? — zdziwiła się.

— Tak.

— Podobna ci się?

— Nie wiem — wzruszył ramionami.

Wanda spojrzała nań przelotnie, zapaliła papierosa i zapytała:

— Nie sądzisz chyba, bym chciała ją tu wprowadzić?... Jeżeli cię jednak interesuje... Nic łatwiejszego, jak zatelefonować do niej. Mieszka u mojej matki, znajdziesz numer w katalogu.

— Czy to ma być zazdrość? — skrzywił się Marian.

Wanda wybuchnęła cichym śmiechem:

— Ależ nie, nie, mój drogi. Tylko nie mogę pojąć, co cię zajęło w Annie? Uroda?...

— Nie wiem — powtórzył obojętnie — jeżeli nie chcesz, mogę jej w ogóle nie widzieć. Nie zależy mi na tym.

Do stolika zbliżyły się jeszcze kilka osób i musieli przerwać rozmowę, z czego zresztą Dziewanowski był zadowolony. Nie znosił zatargów z kimkolwiek, a zwłaszcza z Wandą i postanowił nie wracać już do kwestii, która wprowadzała pewne zaburzenie w ich stosunku.

²⁸Behaim — prawdopodobnie chodzi o Michaela Beheima (1416–ok. 1472), wędrownego śpiewaka z Badenii-Wirtembergii. [przypis edytorski]

²⁹Meistersinger (niem.) — mistrz-śpiewak. [przypis edytorski]

³⁰gubernia kutańska — utworzona na rozkaz cara Mikołaja I jednostka administracyjna Imperium Rosyjskiego na Kaukazie. [przypis edytorski]

³¹Orfeusz — postać z mitologii greckiej, śpiewak, muzyk i poeta, ukochany Eurydyki. [przypis edytorski]

³²Menady — a. bachantki, towarzyszyki Dionizosa, które wg mitu rozszarpały Orfeusza zrozpaczonego po utracie Eurydyki. [przypis edytorski]

To też ani tego dnia ani następnych nie wspominali Anny. Wanda wprawdzie kilkakrotnie próbowała dotknąć tego tematu, lecz że działo się to w obecności Szczedronia lub Szawłowskiego, Marian mógł nie podejmować rękawicy. Pewnego razu spotkali w teatrze Żermenę. Marian znał ją mało i nie lubił jej. Działała mu na nerwy. Była uosobieniem ustawicznego ruchu, pędu, pogoni. W ciągu pięciu minut zdążyła opowiedzieć, że kupiła szynszyle za psie pieniądze, że jakimś bokserowi, z którym jechała, pękła kierownica pod Miechowym, że wystąpi w filmie, bo chce sprawdzić, czy jest fotogeniczna, że pani Jelska-Szermanowa została wybrana na delegatkę do Amsterdamu, że dzisiejszy mecz w Pradze czeskiej skończył się porażką „Polonii”, gdyż Cybuch drugi zwicznął nogę i zastępował go Piskalczyk, ten, co kupił czerwonego „Fiata” od Porzękowskiego, że ona rozwodzi się z Kubą i że po przedstawieniu idą na dancing z bokserem, szalenie miłym chłopcem i z Anną, po którą muszą wstąpić na Polną, gdyż jeszcze nigdy w Adrii nie była.

— A może i wy byście się wybrali? — zakończyła swą tyradę.

Wanda spojrzała na Mariana, lecz ten zanim jeszcze przyszło mu na myśl, że nie ma pieniędzy, oświadczył, że nie pójdzie. Decyzja negatywna była dlań zawsze łatwiejsza niż pozytywna. Pomimo tej rezygnacji przez cały wieczór nie mógł zapomnieć o Annie i zły był o to na Żermenę.

— Twoja bratowa — powiedział Wandzie — jest dla mnie najjaskrawszym dowodem bezcelowości życia. Pomyśl tylko, w jakim tempie porusza się ona wśród zdarzeń i po co to robi? Chrzaszcz w zamkniętym pudełku.

— Nie sądzę — zaprzeczyła Wanda. — Żermena wydobywa maksimum przyjemności z życia. Łyka je haustami. A jeżeli chodzi o tempo, to kwestia temperamentu, zakres zaś upodobań jest dla każdego do wyboru. Sam jesteś do pewnego stopnia epikurejczykiem.

— Ale u niej to nie epikureizm! To hedonizm. Dyktatura naskórka.

— Każdemu wolno poddać się dyktaturze tego czy innego swego organu.

— Gdybym umiał naśladować Szawłowskiego, powiedziałbym: nieprawda! Płęć! Kompleksy! Freud³³! A reszta to zbieg wypadkowości. Żermena ma rację. Nie walczyć z tym, co jest naszą istotą! Niby gdzie jest napisane, że trzeba się przemagać? Co?

Wanda z uśmiechem przyglądała się jego wysiłkom w naśladowaniu Bernarda. Sama wyznawała i propagowała te poglądy, lecz przepadała za taką karykaturą, jaką dawał Marian.

— Na zakończenie Bernard dodałby — odpowiedziała — że trzeba słuchać Oskara Wilde’a³⁴: najlepszym sposobem pozbycia się pokus jest uleganie im.

— Tak — zgodził się Dziewanowski — tylko on przypisałby to zdanie komuś innemu. Czy ja wiem?... Tolstojowi³⁵ albo Savonaroli³⁶...

Zaśmieli się oboje.

Po przedstawieniu odprowadził Wandę i wracając do domu przypomniał sobie, że w Adrii może spotkać Annę. Miał przy sobie zaledwie kilka złotych, lecz to powinno wystarczyć. Nie zastanawiał się dłużej i wszedł.

Z daleka już zauważył stolik, przy którym siedziała. Była sama, bokser tańczył z Żermeną. Może cofnąłby się znowu, lecz Anna dostrzegła go i skinęła mu głową.

Przesunął się między stolikami i pocałował wyciągniętą rękę.

— Przechodziłem obok i jakoś... — usprawiedliwił się.

— Ależ to doskonale. Bardzo się cieszę — wskazała mu krzesło.

— Cieszy się pani?

— Dłaczgóz by nie?! — roześmiała się. — Przybywa jeszcze jeden danser. Czyż to nie wystarczający powód do zadowolenia?

— Ja nie tańczę.

— Nie lubi pan?

³³Freud, Sigmund (1856–1939) — austriacki psychiatra i neurolog, twórca psychoanalizy. [przypis edytorski]

³⁴Wilde, Oscar (1854–1900) — irlandzki pisarz i poeta, autor m.in. *Portretu Doriana Graya*. [przypis edytorski]

³⁵Tolstoj, Lew (1828–1910) — rosyjski powieściopisarz, dramaturg, krytyk literacki, autor m.in. *Wojny i pokoju* czy *Anny Kareniny*. [przypis edytorski]

³⁶Savonarola, Girolamo (1452–1498) — włoski zakonnik, dominikanin, uznany przez Kościół katolicki za błazniercę, powieszony i spalony na stosie. [przypis edytorski]

— Nie umiem.

— To szkoda — westchnęła.

— Radość była zatem przedwczesna — powiedział żartobliwie, lecz zrobiło mu się smutno.

— Bynajmniej — zaprotestowała — i tak się cieszę. Dawno pana nie widziałam. To jest, widziałam pana przed kilku dniami na ulicy. Stał pan przed oknem sklepu jubilerskiego i był tak zajęty, że nie zauważył mnie.

Dziewanowski spojrzał na końce swoich palców i potrząsnął głową:

— Owszem, widziałem panią.

— I dlaczego pan się odwrócił?

— Dlaczego? Ja, widzi pani, umyślnie szedłem, by panią spotkać... Ale pani nie była sama.

— Byłam z milutką panienką z Mundusu. Ale nie rozumiem dlaczego pan...

W tej chwili umilkła orkiestra. Żermena ze swoim bokserem wrócili do stolika. Zaczęła się ogólna rozmowa. Jednocześnie zjawił się kelner i Dziewanowski zamówił oranżadę. Myślał, że to będzie prawdopodobnie najtańsze i że na to wystarczy mu pieniędzy. Jednak już po chwili przeraził się przypuszczeniem, że zabraknie. I to mu nie dawało spokoju, póki nie zapłacił. Do następnego tańca bokser poprosił Annę, Żermena zaś zaczęła opowiadać historię jakiejś pani siedzącej w trzeciej łoży.

— Więc pani się rozwodzi z mężem? — zapytał Marian.

— Tak. Rozwodzę się. Dużo rzeczy na to się składa. A przede wszystkim...

— Niezgodność charakterów — podchwycił.

— Ach, nie! Przyczyna, dla której kobieta rozwodzi się, nigdy nie tkwi w jej mężu, lecz w tym przyszłym.

— Zatem już jest i przyszły.

— Naturalnie! Czy widział pan taką, która by rozwodziła się inaczej, jak dla innego?

— Więc miłość?

— Miłość — skinęła główką.

— Sądząc ze sposobu, w jaki ten wybrany patrzy na panią, można ręczyć, że wzajemna.

— Który wybrany? — szeroko otworzyła oczy.

— No, ten mistrz pięści — wskazał ring taneczny.

— Ależ to nie on!

— W takim razie niewiele rozumiem.

— Wychodzę za mąż za Henryka Piltza. Wie pan: „Arnold Piltz i syn?” Właśnie za tego syna. Też pomyśl — zaśmiała się — wyjść za boksera! Przecie on jest goły jak święty turecki. Dobrze tańczy, jest reprezentacyjny, niebrzydki, no i sławny.

— Zespół walorów — z uznaniem pochylił głowę Dziewanowski — całkowicie usprawiedliwiający zaszczyt towarzystwa pani.

Skrzywiła się i powiedziała:

— Jestem zbyt tępa, by ocenić, czy pańskie odezwanie było impertynencją, złośliwością czy aluzją.

— Aluzją?

— Och, myśli pan, że nie wiem?... Ilekroć pokazuję się tu i ówdzie w towarzystwie takiego czy innego mężczyzny, wszyscy podejrzewają w nim mego kochanka.

— Nie ja — zastrzegł się serio Dziewanowski.

— Och, bo to pana w ogóle nie interesuje. Ja pana nie interesuję.

Dziewanowski bezzadnie rozłożył ręce:

— Jakże mam na to odpowiedzieć?

— Ale — ciągnęła Żermena — powiem panu coś. Otóż proszę sobie wyobrazić, że nigdy nie miałam kochanka. Nigdy. Nie przez pruderię, broń Boże. Po prostu nie lubię tego.

— Zdradzania męża?

— Oczywiście. Miałam ich trzech i żadnego nie zdradzałam. Bo i po co? Gdy mi się ostatecznie znudził, rozwodziłam się z nim i wychodziłam za innego. Zapewniam pana, że mąż jest instytucją o wiele wygodniejszą od kochanka. W stosunku z mężem nie istnieją skrupuły finansowe, nie trzeba udawać namiętności, można robić co się chce.

— O tyle, o ile on się na to zgodzi.

— Jeżeli nie zgodzi się, jeżeli nie stać go moralnie i materialnie na związek z taką kobietą, jak ja — może sobie wybrać inną. Oto wszystko. Sam sobie winien, jeżeli przeżyje rozczarowania. Ja jestem całkowicie przeciw nim uodporniona. Z góry wiem, że każdy mężczyzna jest egoistą.

— Aż każdy? To zależy, jak interpretujemy ten wyraz.

— Bardzo proste — wzruszyła ramionami — egoistą jest ten, kto nie dba o sprawienie mi przyjemności.

Anna z bokserem wróciła do stolika i oświadczyła, że musi już śpieszyć do domu. Z Żermeną i bokserem rozstali się przy wyjściu z dancingu. Szli pieszo. Anna swoim spokojnym melodyjnym głosem opowiadała o biurze. Nawet o pracy, o codziennych ludziach i sprawach mówiła z tą niespotykaną życzliwością, z istotnym zainteresowaniem, z dbałością. I Marian nie wiedział, czy części tego ciepła nie należy zaliczyć na dobro słuchacza, na swój rachunek.

— Więc dobrze tam pani?

— Bardzo. Będę miała tylko jedną przykrą historię, niezmiernie przykrą.

— Mianowicie?

— Nie chcę mówić o tym. Noc taka piękna... Zresztą panu powiem: mój poprzednik, pan Komitkiewicz, zgodził się na warunki proponowane mu kiedyś przez dyrekcję. To znaczy, że będę musiała walczyć o utrzymanie się na stanowisku.

— Okropność.

— Tak. Widzi pan, on ma tu żonę i dzieci i nie chce się z nimi rozstawać. Bardzo mu współczuję. Ale przecie ja nie zawahałam się rozstać z córeczką, gdy było trzeba. Ostatecznie nie wolno mi ustąpić. Nie wolno.

— I cóż pani robi?

— Wszystko. Zgodzę się na najniższe warunki, zgodzę się zwiększyć zakres moich obowiązków, przedłużyć godziny pracy. Ja nie mam prawa wyrzec się tej posady. Czy znajduje pan, że postępuję nieuczciwie?

— Ależ bynajmniej. Tylko dziwię się, że ma pani w sobie dość odwagi i stanowczości.

Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy:

— Niech pan powie szczerze, zupełnie szczerze, czy nie uważa pan, że to z mojej strony brzydko?...

Twarz Anny była tak blisko jego twarzy, że czuł jej ciepło. Duże piękne oczy stawały przed nim otworem jak drzwi otwarte, drzwi do ciepłego macierzyńskiego jakimś jasnym macierzyństwem domu. Zapomniał, o czym mówili, o Mundusie, o posadzie, o walce, nawet o Annie samej zapomniał. Opanowało go męczące i słodkie pragnienie: wejść przez te oczy, wgarnąć się, przemienić, przetopić, znaleźć tam siebie innego, nowego, z nową krwią w żyłach i z nowym rytmem serca.

— Nie odpowiada pan — dotknęła jego ręki — pan mnie potępia?...

Stali w środku chodnika. Mijali ich jacyś ludzie, jezdnią przebiegały warczące auta. On jednak nie rozumiał tego, nie koordynowało się to w jego mózgu w żadną całość. Półprzytomny wpatrzywał się w oczy Anny. Dotyk jej ręki był jakby prądem, który uruchomił jego myśl. Wargi mu drżały, gdy ledwie dosłyszalnie powiedział:

— Kocham... Pani Anno... Proszę mi wybaczyć. Zdaje mi się, że kocham panią.

Anna odruchowo cofnęła się o pół kroku.

— Panie, co pan mówi, panie Marianie!

— Tak, kocham panią... — opuścił głowę i po raz pierwszy w życiu było mu absolutnie obojętne, co pomyśli, co powie osoba, do której mówił. Zajęty był teraz wyłącznie sobą. W każdym nerwie, w każdym mięśniu czuł ciepłą słodką bezwładność, jak w momencie orgazmu. Oto słowa wypowiedziane stworzyły w nim uczucie. Kochał, pojmował miłość. Nie zespół impulsów psychofizycznych rodzi słowo, lecz słowo stwarza nową istotę. *In principio erat verbum*³⁷...

Teraz dopiero otrzeźwiła go niepokojąca myśl:

— Ona mnie odepchnie...

I nie wierzył w to. Oczywiście nie wiedział, jaką formę, jaki wyraz, jaki oddźwięk znajdzie jego bezrozumne wyznanie w jej świadomości. Nie przesądzał ku czemu to wszystko

Miłość platoniczna, Miłość romantyczna

³⁷*In principio erat verbum* (łac.) — Na początku było słowo. [przypis edytorski]

ma prowadzić. W gruncie rzeczy absolutnie było mu obojętne, jakie z kolei znaczenie w życiu przybierze ich wzajemne ustosunkowanie się, wiedział tylko, że Anna nie może, nie ma prawa zbyć go krzywdą zimnego słowa czy konwencjonalnym frazesem. Nie żądał niczego. Błagał o ratunek dla czegoś niespodziewanie cennego, co się w nim narodziło. Oczekiwał bodaj łaski milczenia.

I Anna milczała. Z wolna odwróciła się od niego i szła zamyślona. Nie próbował odczytywać, odgadywać z jej rysów jakiegokolwiek odpowiedzi. Nagle obudziła się w nim, w bezmiarach zwątpień, wielka wiara w słowo. Skądże by się zjawilo poza jego umysłem, poza świadomością, poza wolą? Jakież tajemnicze potęgi, jakie nieznane nakazy zawiązały się w nim niczym owoc od razu dojrzały?... I nagle stało się dlań jasne, że u początku wieków w bezdennej pustce przestrzeni, na progu czasów, w nicość padło słowo i słowo stało się kształtem. *In principio erat verbum...*

Myśli rozpieczyły się we wszystkie zakątki mózgu, lecz nie szukały tym razem, tym w jego życiu pierwszym razem odpowiedzi, sprawdzianu, miary i wagi. Może później przyjdą refleksje, może później odżyje krytycyzm i zażąda argumentów, lecz w tej chwili wiedział, że się nie myli, a czyż wiedzieć nie jest milionkroć większe niż rozumieć?... A wie się tylko wiarą. A wiara jest uczuciem. A uczucie jest kształtem słowa. *In principio erat verbum...* A słowo było od Boga, a Bogiem było Słowo... Wiedzieć można tylko przez siebie, nie przez świat, nie przez mądrość, nie przez myśl, lecz przez to, co jest początkiem rzeczy, co jest rdzeniem ducha, przez uczucie, co staje się słowem i przez słowo, które stwarza uczucie, a przez nie tworzy resztę istnienia.

Oto prawda.

Podniósł odruchowo oczy na niebo, na niebo, w którym przez tysiąclecia wzrok ludzki szukał odpowiedzi, przed którym kajał się pokorą, które smagał bezsilnym bluźnierstwem. A przecież odpowiedź tkwiła w rdzeniu ducha ludzkiego...

Gwiazdy bladły. Zalewał je seledyn świtu.

— Na wschodzie niebo staje się srebrne — powiedziała Anna.

Spostrzegł, że stoją przed jej domem. Chciał prosić ją, by teraz nic nie mówiła, by zostawiła mu wolność rozmyślań, by nie konkretyzowała tego, co w zetknięciu z konkretem może przecie utracić swój istotny głęboki sens. Sens prawdy — zdefiniował — leży poza konkretem... Nie, nie... tylko teraz nie analizować, nie myśleć, nie szperać. Trzeba znaleźć w sobie siłę, by zmusić mózg do milczenia.

— Panie Marianie — odezwała się Anna.

Spojrzał na nią. Szeroko otwarte oczy patrzyły jasno i szczerze.

— Panie Marianie... Pan jest taki rozumny...

— Nie, nie... — przerwał przerażony, że banałem perswazji odbierze mu wszystko — proszę nic nie mówić.

— Muszę — uśmiechnęła się blade — muszę powiedzieć panu, że są rzeczy, które trudno jest przyjąć... W prawie karnym istnieje obrona dla tych, którzy wskutek nieznamości winy... Pan przecie nic nie wie o mnie.

— Boże, po co to pani mówi! — zacisnął palce.

— Muszę.

— Pani Anno!

— Już kończę. Otóż ja wiem tylko to, że nic mi pan nie powiedział. To było zbyt nagle i może pan sam zechce o tym zapomnieć.

Jakże jej miał wytłumaczyć, że stało się coś nieskończenie wielkiego? Zaczął mówić, mówiąc o swej wewnętrznej przemianie, o tym, że sam pojąć nie umie tajemnicy niespodziewanego odkrycia, że wszystko to jej zawdzięcza i niczego od niej nie żąda, o nic nie prosi...

Słuchała w milczeniu.

— Rozumie mnie pani?

— Zdaje mi się, że tak — szepnęła po chwili wahania.

— Dziękuję.

Podala mu rękę i powiedziała:

— To takie dziwne... Jakkolwiek małe w tym wszystkim ja miejsce zajmuję... i tak jest ono dla mnie za duże... Gubię się w tym... Błagam, niech pan zapomni... nie, nie to, niech pan przemyśli wszystko... Do widzenia...

- Do widzenia pani.
- I niech pan już idzie — nacisnęła dzwonek w bramie.
- Zaczekam, aż otworzą.
- Nie, nie, proszę już iść — nalegała nerwowo.
- Jak pani każe.

Zdjął kapelusz, uklonił się i już był o kilka kroków od niej, gdy go zawołała:

- Panie Marianie! Panie Marianie!
- Słucham panią?
- Ja do pana napiszę. Dobrze?
- Będę czekał.

Dziewanowski nie omylił się: zaraz nazajutrz opadły go refleksje. Gorzkie, ironiczne, dręczące. Ekstaza, a raczej egzaltacja wczorajszego wieczoru wydała mu się śmieszna, dziecinna, nieuzasadniona niczym, poza jakimś podnieceniem, nad którym nie umiał zapanować. Zachował się jak smarkacz wobec kobiety, z którą rozmawiał drugi raz w życiu. Gotowa go posądzić o komediantstwo, o płytką sztukę, wykoncypowaną, by wleźć do jej łóżka.

Następstwem tych rozmyślań była ciężka depresja. Wykręcił się byle pretekstem od spotkania z Wandą, od obiadu u stryjenki, od udziału w jakimś idiotycznym sędzie konkursowym dla początkujących autorów dramatycznych i czytał *Historię Matematyki* Schlenga, nie rozumiejąc ani jednego zdania. Dopiero ze zmrokiem zaczął wracać do równowagi. Ciemność zawsze działała nań kojąco. Zapalono już latarnie uliczne, gdy wyszedł z domu.

Okna u Szczedroniów były nieoświetlone. Tylko w pokoju Stanisława paliły się silne lampy, co dowodziło, że pracował.

Rzeczywiście Wandy nie zastał. Szczedroń przyjął go prawie radośnie:

- Siadaj pan, siadaj, pogadamy.

Marianowi przyszło na myśl, że Szczedroń, gdyby był zazdrosny, a raczej gdyby jego zazdrość należała do pospolitego gatunku — mógłby go oblać kulturą jakichś zarazków.

— I cóż Wanda, panie Dziewanowski — zapytał odsuwając mikroskop — puściła dziś pana kantem?

Marian był przyzwyczajony do repertuaru wyrażen Szczedronia, nie raziło go to zbyt, a dziś szczególniejszą nawet sprawiało przyjemność. Towarzystwo tego człowieka o grubych manierach działało jak alkohol, jak mocna niesmaczna wódka zalatująca fu-
zlem, ale pobudzająca nerwy do szybszych i śmielszych reakcji. I rzecz godna uwagi: Szczedroń specjalnie z nim mówił takim językiem, jakby umyślnie starał się być wulgar-
ny.

- Nie widziałem dziś pani Wandy. Nie byłem w Kolchidzie.

- Nerwy? — odwrócił się doń Szczedroń.

- Prawdopodobnie.

— Ech, ślamazara z pana, panie Dziewanowski. Poprzytykał się pan z nią?... Ach, nauczyłbym ja pana, jak należy obchodzić się z kobietami. Nauczyłbym... gdybym sam umiał.

Zaśmiał się swoim suchym, nieszczerym śmiechem i zawołał:

- Trzeba je znać!

Dziewanowski wiedział, że znów zacznie mówić o żonie i nie omylił się.

— Na przykład Wanda — zmarszczył brwi Szczedroń — Wanda z całym swoim fałszem jest nijaka. Konglomerat przypadkowości. Grzechotka. Nie znajdzie się w niej żadnego pionu, bo to żelatyna. Taka jak w tej próbówce, gdzie hoduję takie, a mógłbym hodować inne bakterie.

- Pan, panie Stanisławie — odezwał się Marian — lepiej i dłużej zna panią Wandę.

- Na pewno — z pogardliwym uśmiechem zapewnił Szczedroń.

- I... bardzo przepraszam... i kocha ją pan?

- To może być zabawne, ale nie przestaje pokrywać się z prawdą na całe sto procent.

— Dlaczego więc, daruje pan, dlaczego? Przyszedłem właśnie nauczyć się czegoś od pana. Niech mi pan, człowiek *par excellence*³⁸ zdrowy, niech mi pan wytłumaczy, co to jest miłość?

Szczedroń zdjął okulary i wybałuszył oczy:

— Z byka pan spadł, panie Dziewanowski, czy ki diabeł? Mam panu zrobić nowy aforyzm o miłości? Po co to panu?... A po wtóre, kto panu powiedział, że jestem *par excellence* zdrowy?

— Takie miałem wrażenie. Oczywiście chodzi o psychikę.

— Zawracanie głowy. Człowiek wyrrywający się ze swego przyrodzonego środowiska nie może być zdrowy. Może chciał pan przyłapać u mnie tak zwany „chłopski rozum”?... Cha... cha... cha... Pomyłka w adresie. Wywietrzył mi, a nowego nie nabrałem. Można być chamem, synem chama i wnukiem chama, można zachować strusi żołądek i wytrzymałość wołu, ale psychiki normalnej nie można wynieść z chałupy i stróżówki do parkietów, dywanów, do „przestrzeni nieabsorbującej”. Trzeba rozstać się ze zdrową normalną psychiką.

— To jest śmieszne — z niezadowoleniem powiedział Dziewanowski — że pan tyle przypisuje wagi przesądom klasowym.

— Ależ nie klasowym. Kiedyś wierzyłem w istnienie klas społecznych, w znaczeniu ekonomicznym i socjalnym. Ale klas nie ma. Są tylko środowiska. Tak, panie, środowiska. Wyrwanie się ze środowiska jest patologiczne już samo przez się.

— Pan przesadza. Dążenie do polepszenia swego bytu jest powszechne i całkiem normalne.

— Głupstwa pan mówi, panie Dziewanowski. Dążenie takie istnieje i jest oczywiście normalne. Ale wówczas, gdy polepszenie bytu nie zmienia istoty, tworzywa tego bytu. Chłop nie przestaje być chłopem, jeżeli dokupi sobie ziemi. Ilościowo zmieni swój byt, jakościowo pozostanie to samo... To samo, panie Dziewanowski. Właśnie ci, którzy tylko ilościowo zmienili swój byt, mogą zachować psychikę zdrową. A ja co? Uciekłem z przyrodzonego środowiska. Takich jest sto tysięcy, milion. Uciekliśmy nie dlatego, że wessała nas cywilizacja, nie dlatego, że pociągały nas środowiska inne, lecz, że mierziło nasze. Mierziło! Jeszcze nie wiedząc o tym, już odgrodziłem się odeń niechęcią. To mnie parło ku górze. Zatrzasnąłem drzwi między sobą a środowiskiem. Sądzę, uważa pan, że w człowieku jest instynkt gniazda. Zbiera żdźbła i ziarna bodaj po całym świecie, a tylko śledzić go, to się zobaczy, jaki to ptak. Może i upierzenie ma inne, może i lot zmienił, ale jeżeli znajdziemy gniazdo, do którego ciągnie go — już wiemy, co zaczął. U nas w Polsce tego mniej, ale weź pan Zachód. Tam chłop często kilkadziesiąt lat dorabia się po miastach, po portach, zbiera wiedzę na uniwersytetach i pieniądze, a wszystko po to, by wrócić do gniazda, do gniazda, panie Dziewanowski, by je wzbogacić, rozszerzyć, a nie zamienić na inne. To samo robi u nas co drugi robotnik, stróż, rzemieślnik: tylko marzy o powrocie do dawnego środowiska, na rolę. Zbić forszę i ziemi dokupić.

Umilkł i zaczął zapalać papierosa z tą nadmierną automatyczną uwagą, która cechuje chwile zupełnej nieświadomości wykonywanych ruchów.

— A myśmy, ja i mnie podobni — ciągnął po pauzie — nie wrócili do gniazda. Stworzyliśmy sobie inne, na innych drzewach, w innych klimatach. Mniejsza o to, źle czy dobrze w nich się czujemy, pozostaje faktem, że obco i nieswojo. Asymilacja całkowita wymaga kilku pokoleń. Jesteśmy intruzami, jakkolwiek nikt nam tego nie wypomina. Przenikanie ze środowiska do środowiska istniało zawsze, ale dopiero dzisiejsza demokracja wzmogła tę osmozę do rozmiarów społecznie groźnych. Tak, panie Dziewanowski, może to pana zdziwić, że typowy produkt takiej penetracji, że były komunista i bezsprzecznie wróg arystokracji mówi w ten sposób, ale *magis amica veritas*³⁹: żyjemy w epoce masowego mezaliansu i to jest jedną z głównych przyczyn rozkładu społeczeństw. Powiedz pan, co może łączyć rodzinę Szermanów z rodziną Szczedronów?... Nic! Absolutnie nic. Dawniej każde małżeństwo było jakby nową klamrą, uszczelniającą więź społeczną. Rodzina łączyła się z rodziną, powstawała sieć mocna i coraz mocniejsza. Dziś

Człowiek, Chłop

³⁸*par excellence* (fr.) — w całym tego słowa znaczeniu. [przypis edytorski]

³⁹*magis amica veritas* (łac.) — większą przyjaciółką prawda. (*Amicus Plato, sed magis amica veritas*: Platon przyjaciele, lecz większą przyjaciółką prawda. [przypis edytorski])

jesteśmy świadkami wręcz odmiennego procesu. Małżeństwo to wyluskanie się dwójga ludzi ze swych środowisk i ukonstytuowanie nowego, mikroskopijnego środowiska, które pływa sobie luzem.

— Ale z biegiem czasu z luźnych komórek może powstać nowy organizm — zaproponował Marian.

— Nawet na pewno powstanie, gdy rozproszkowanie dojdzie do apogeum — wzruszył ramionami Szczedroń, — ale to kwestia kilku pokoleń, może kilkunastu. I cóż nam z tego? Tymczasem rozkład trwa i przybiera na powszechności. A ja jestem klasycznym produktem tego rozkładu. Więc gdzież to rzekome moje zdrowie, panie intelektualisto?

Dziewanowski uśmiechnął się: wiedział przecie, że Szczedroń nie tylko utrzymuje stosunki ze swymi rodzicami, nie tylko bywa u nich i zaprasza ich do siebie, lecz wydatnie pomaga im finansowo i nie tylko finansowo. Sam kiedyś spotkał Szczedronia, idącego ze starą kobietą w chustce i niosącego wyżymaczkę do bielizny. Ta kobieta była matką Szczedronia.

— No, pan jednak wcale nie zerwał ze środowiskiem, z rodziną — zauważył głośno.

— Ja? — oburzył się Szczedroń — zwariował pan? Zupełnie zerwałem. Zapewniam pana. Jeżeli widuję się z nimi, a nawet afiszuję się, jest w tym tylko przekora i zawziętość, może, jeżeli pan chce, pewna doza snobizmu. Ale psychicznie jestem od nich o sto mil. Zatrzasnęły się między nami drzwi od stróżówki. Jak panu nie wstyd sądzić tak powierzchownie! Tu wchodzi w grę nawet nie sentyment, nawet nie poczucie obowiązku, lecz jakiś gatunek cynizmu. Tak, panie Dziewanowski! Popeliłem mezalians, gdyż mierziła mnie suteryna, a droga na frontowe schody była dość łatwa. Demokracja zniosła wszelkie przegródki i publika wali masowo. A wie pan dlaczego? Wie pan, jaki czynnik tu zadecydował?... Niezależność kobiety. Póki rodzina dyktowała małżeństwo, mezalians był rzeczą trudną i nieliczne tylko egzemplarze przedostawały się z jednego środowiska do drugiego. Im było ich mniej, tym łatwiej następowała asymilacja. Dziś kobieta jest niezależna i wybiera samca z dowolnej stajni. Ot co, panie Dziewanowski. I jeszcze bardziej pana zdziwię, gdy powiem, że diabli wiedzą, jaki system więcej marnował osobistego szczęścia ludzkiego, ten dawny, czy ten nowy?... Pytał pan, co sądzę o miłości. W dawnych czasach ożeniłbym się z jakąś szwaczką czy panną sklepową, żeby mieć swoją kobietę. Nie z miłości, nie dla interesu, po prostu z racji nierozumowanego zwyczaju. A ożeniłem się z Wandą, u której rodziców mógłbym być lokajem, ożeniłem się z miłości. Tak, panie Dziewanowski, z miłości. Więcej panu powiem. Miłość ta była jednym z głównych motorów mojej kariery.

— Przecie poznał pan panią Wandę już kończąc uniwersytet?

— Tak, ale zanim ją poznałem, zanim wiedziałem, że w ogóle istnieje, już byłem predestynowany do tej miłości.

— Nie rozumiem — potrząsnął głową Dziewanowski.

Szczedroń przygryzł dolną wargę i zmarszczył brwi:

— Byłem synem stróża, stróża, w bogatej kamienicy. Taki chłopak często wozi windą lokatorów, wozi eleganckie, pachnące panie, które co dzień się kąpią, co dzień zmieniają jedwabną bieliznę i nie spostrzegają, po prostu nie spostrzegają służby, której wydają polecenia. Są wysokie, zgrabne, dobrze zbudowane, bo wychowywano je w higienie, pod dozorem lekarzy, są inteligentne i subtelne, bo życie w ich środowisku jest wielowymiarowe, skomplikowane, wielobarwne. Ręce ich przypominają kwiaty, których nie może dotknąć syn stróża. Rozumie pan: czar dystansu. Na kuchennych schodach też się obejmują i całują, ale to jest macanie, a na frontowych to pieszczoty. Na kuchennych kobiety są bliskie, swojskie, znane. Mają łydki i cycki, ręce, nogi i brzuch, a tamte mają ciało. Jak tego dotknąć? Jak dowiedzieć się, co taka pani myśli? Co czuje? Dlaczego nie widzi mnie nawet wówczas, gdy na mnie patrzy?... Dlaczego nie można w tym dopatrzeć się ani pogardy, ani lekceważenia dla siebie, tylko obojętność? I co by się stało, gdyby nagle rzucić się na taką, zdusić, zgnieść, wykręcić ręce, zmusić ją, by nie mówiła przy mnie w obcych językach, których nie rozumiem, by zapłakała z mego powodu, by zaśmiała się do mnie?... Im dalej było od kuchennych schodów do takiej pani, tym goręcej jej pragnąłem. W stróżówce ludzie jedzą, śpią, pracują i to wszystko. A tam żyją. Życie tam się zaczyna, a jakie ono jest, można się dowiedzieć wówczas, gdy się zdobędzie taką właśnie kobietę. Chodziłem już do gimnazjum, bywałem u kolegów, którzy mieli takie

Małżeństwo

siostry, matki, kuzynki i wciąż nic nie wiedziałem o ich życiu, wciąż byłem synem stróża z suteryny, której nienawidziłem coraz bardziej, jak też zaczynałem nienawidzić całego niedostępnego dla mnie świata. Stąd zrodził się, prawdopodobnie stąd, mój komunizm, który nigdy zresztą nie był we mnie ideą pozytywną, lecz tylko negacją: zniszczyć świat wysokich, pięknych, subtelnych kobiet, pachnących wyszukаныmi perfumami i grających w tenisa.

Zaśmiał się i urwał, kręcąc w swoich grubych palcach płowy kosmyk niesymetrycznej bródki.

— Wreszcie spotkałem Wandę, która łączyła w sobie wszystkie zewnętrzne cechy swego środowiska. A że miałem ją na długość ramienia, że mogłem po nią sięgnąć, napelniałem tę zewnętrzność tysiącem domniemań, schlebających moim wymaganiom. Robotę zaś wykonałem tak solidnie, że nawet wówczas, gdy przekonałem się o głupocie owych domniemań, nie dało się ich odlepić. I to jest, panie Dziewanowski, moja miłość. Wyobraź pan sobie fanatycznego wyznawcę, który za ołtarzem świątyni wybudował maszynę do robienia cudów, w cudy przestał wierzyć, lecz ilekroć maszyna zostanie wprawiona w ruch, pada plackiem przed jej sztuczkami. Oto masz pan mój zdrowy chamski rozum i moją zdrową psychikę.

Dziewanowski był oszołomiony. Często rozmawiał z Szczedroniem i nieraz podziwiał jego odwagę cywilną w demonstrowaniu własnych przeżyć najbardziej intymnych. Było to bohaterstwo, na które Dziewanowski w normalnych okolicznościach nie potrafiłby się zdobyć, zwłaszcza wobec innego mężczyzny. Nie potrafiłby zrezygnować z tej osłony, jaką daje skrytość. Czulił się bezbronny i jeszcze bardziej słaby. A Szczedroń, co najciekawsze, nawet teraz wydawał się równie silny i niezwykły. Może dlatego, że każde jego twierdzenie budziło w Dziewanowskim protest, przy każdym jego wniosku wyrastały w umyśle Dziewanowskiego długie szeregi znaków zapytania. Jednego był teraz bardziej pewien niż przedtem: kochał Annę. Więcej: potrzebował jej, zdawała mu się niezbędna. U niego działają nie ambicja, nie snobizm, u niego jest zupełnie inaczej...

Nie umiał swobodnie rozmyślać, gdy nie był sam, a szczególnie, gdy patrzyły nań oczy tak badawcze, jak oczy Szczedronia. Pożegnał się i wyszedł. Na ulicy spotkał wracającą Wandę i Szawłowskiego, który, wymachując rękoma, o czymś ją zapewniał. Przywitali się, ponieważ jednak Szawłowski nie przestawał perorować, musiał stać i słuchać. Gdy wszakże Szawłowski złapał go za guzik i natarczywie zapytał:

— Prawda, co? Prawda?!

Dziewanowski miał już tego dość.

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi — rzucił poirytowany, pocałował Wandę w rękę i oddalił się. Usłyszał jeszcze za sobą zdumione: — a temu co się dziś stało? — i przyspieszył kroku.

W domu było już zupełnie cicho. Wszyscy spali. Na konsoli w przedpokoju, oparty o paterę leżał list w bładniebieskiej kopercie, list zaadresowany do niego okrągłym, ładnie wystylizowanym pismem. List od Anny.

Wziął go i wszedł do pokoju. Nie zdejmując kapelusza usiadł na tapczanie i wpatrywał się w niebieskie znaki atramentu i nie miał dość odwagi, by otworzyć kopertę.

ROZDZIAŁ 3

Wanda Szczedroniowa nie mogła tego dostrzec w usposobieniu Dziewanowskiego ani w jego sposobie bycia, a jednak zmianę, jaka w nim zaszła, wyczuła intuicyjnie. Jeżeli zaś nie reagowała na nią w żaden sposób, wynikało to z rozmaitych przyczyn. Przede wszystkim wprost brakowało punktu zaczepienia. Widywał się z nią równie często, dzielił się spostrzeżeniami, myślał głośno, z wrodzonym taktem i zawsze zręcznie prostował jej błędy, beznamietnie jak zawsze, lecz nie mniej szczegółowo interesował się wszystkim, cokolwiek robiła, wieszczotach był nawet bardziej zmysłowy. A jednak wiedziała, nie wiadomo skąd i na jakiej podstawie, lecz wiedziała na pewno, że ma inną kobietę.

Oczywiście, nawet ze swoich myśli starała się usunąć tę nieznosną nazwę: rywalka, to termin, który ją obrażał, nie dlatego by uważała się za coś nieskończenie wyższego od innych kobiet, lecz po prostu sama rywalizacja o mężczyznę nie wydawała się jej godna kobiety, która prawo rywalizacji głosiła, która walczyła na forum publicznym z przesą-

dami nakazującymi kobiecie bierność. A zresztą brzydziła się rywalizacji, jakkolwiek nie oznaczało to bynajmniej zamiaru ustąpienia z pola. Może dążyłaby do sprowokowania ostrzejszej scysji, do wydobycia z Mariana jakichś słów, które by rzecz wyświetliły, lecz musiała z tym zwlekać: Marian był jej teraz poza wszystkim innym potrzebny.

Dwa ostatnie artykuły Wandy wywołały niecodzienną burzę w prasie. Trzeba było bronić się, polemizować, odpierać zarzuty, a Dziewanowski był nieprzebraną skarbnicą wiadomości, argumentów, cytatów i kontrmin na twierdzenia przeciwników. Zresztą i sam już był autorytetem, z którym liczono się nie tylko przy stoliku Kolchidy, a tę pozycję w znacznej, w olbrzymiej części właśnie Wandzie zawdzięczał. Kiedy pisała: — jeden z najwybitniejszych myślicieli polskich naszej doby powiedział niedawno... — wszyscy wiedzieli, że tym myślicielem jest Marian Dziewanowski. Kiedy mówiła: — są ludzie tak mądrzy, którzy rozumieją bezcelowość głoszenia wszelkich myśli... — wiedzano, że Dziewanowski dlatego nie pisze i wszyscy pochylali przed tym głowę z uznaniem z wyjątkiem jednego Szawłowskiego, który musiał nosić głowę tak wysoko, by wystawała ponad jego własną przeciętność. I on jednak po cichu przyznawał Wandzie rację, tym bardziej po cichu, żeby nie posądzano go o czerpanie myśli z zasobów Dziewanowskiego. Jedna Wanda, przy której najczęściej te bezzwrotne pożyczki były zaciągane, wiedziała o nich, chociaż sama z trudem mogła w doktrynach Szawłowskiego rozpoznać relatywne myśli Mariana.

Otóż stracić takiego kochanka i stracić go w takiej chwili, byłoby, jeżeli nie katastrofą, to w każdym razie ciężką porażką. Dlatego względy ambicjonalne musiały ustąpić miejsca rozsądkowi. Wanda nie kochała Dziewanowskiego, tak jak nie kochała nikogo. Kiedyś durzyła się w Szczedroniu, gdyż imponował jej swoją drażniącą postawą komunisty i cynika, lecz tego nie można było nazwać miłością.

— Kiedy jestem z tobą sama w pokoju — powiedziała mu w godzinę po ślubie — czuję się, jakby mnie zamknięto w klatce ze złym, silnym i niebezpiecznym zwierzęciem.

I wrażenie to nie ustępowało z biegiem lat. Mąż ją przerażał, chociaż nie bała się go wcale. Przerażał w ten sposób, jak przerazić może karkołomny zakręt na górskiej drodze, kiedy jedzie się autem z szybkością zapierającą oddech, jak przeraża widok człowieka spadającego z wysokości kilku pięter na bruk. Tylko tu Wanda miała jednocześnie pełną świadomość swojej przewagi nad wypadkami, a to dawało niezwykle dreszcz wówczas, gdy z tej przewagi nie korzystała. Często leżąc w swej sypialni słyszała jego kroki: krążył, nie mając odwagi wejść. Nieraz, wracając od Dziewanowskiego, zastawała męża przy pracy. Podpatrzyła, że wodzi za nią łakomym chciwym wzrokiem i tylko udaje, że zajęty jest swymi preparatami. Wiedziała, że jątrzy go swymi leniwymi ruchami, w których odpręża się ciało zmęczone niedawnymi pieszczotami. Nie uchodziło jej uwagi żadne drgnięcie brzydkiej twarzy i grubych rąk, powiązanych sułtami stawów i postronkami wzdętych żył. Domyślał się, skąd wróciła i walczył z sobą, by ujarzmić wybuch wściekłości i wybuch namiętności. Wówczas stawała się wyniosła i lekceważąco uprzejma. Wiedziała, że tym podnieci go jeszcze bardziej. Aż rzucił się na nią nieprzytomny, brutalny, charczący i brał ją w tym rozjuszeniu, zagarniając pod siebie łapami.

Wychodziła z tego krótkiego spazmatycznego uścisku posiniaczona, z rozgniecionymi wargami, z obolałymi mięśniami i nasycona do granic możliwości jego okrucieństwem i zwierzęcością.

— To jest po prostu sodomia — powiedziała mu pewnego razu.

— Nie — zaprzeczył po pauzie — ja staję się zwierzęciem, ale ty przecież nie przestajesz nim być.

Nigdy nie robił jej scen, nigdy ani jednym słowem nie potwierdził swej milczącej, zawziętej zgody na jej zdrady. Nie szczędził jej wszakże najordynarniejszych epitetów, nie krępował się w używaniu najobelżywszych wyrazów. I Wanda lubiła to, godzinami mogła słuchać tego, co o niej mówił. Im bardziej nią poniewierał, tym więcej pragnęła go doprowadzić do nowego rozjątżenia.

Czasami z rana Szczedroń miał wyjątkowo pilne sprawy do załatwienia i nie miał nawet kilku minut na wypicie szklanki herbaty. Bywał wówczas szczególnie zły i Wanda nigdy nie pominęła tej okazji.

Miała zwyczaj dość późnego wstawania i bez względu na porę roku planowania po mieszkaniu nago, zanim służąca przygotowuje kąpiel. Utrzymywała, że jest to konieczne dla

Kobieta demoniczna,
Zazdrość, Pożądanie,
Zdrada

higieny skóry. Szczedroń zaś dopatrywał się w tym upodobań ekshibicjonistycznych. Nie zmieniało to w niczym faktu, że ilekroć się bardzo śpieszył, Wanda wstawiała wcześniej i wiedziała, że mąż musi spóźnić się, gdyż na jedną rzecz wobec niej zdobyć się nie potrafi: na obojętność. Bywał wówczas szczególnie rozdrażniony i spoglądanie na zegarek doprowadzało go niemal do furii. Z jego punktualnością i z niemal maniackim poczuciem obowiązku walka nie była łatwa, lecz niezmiennie kończyła się zwycięstwem Wandy.

Tylko w takim stanie ją interesował. Normalnie jego towarzystwo nudziło Wandę, o ile nie mówił o niej. Przygniatał ją swoją wyższością umysłową i lekceważeniem świata, w którym tak poważnie liczono się z jej inteligencją. Nie wszczynął z nią nigdy polemik na temat jej działalności pisarskiej, reagując na najlepsze artykuły pobłażliwym uśmiechem lub wzruszeniem ramion. Nie ukrywał przy tym swej niechęci do Kolchidy, ani ironicznego stosunku do absorbujących ją problemów.

Jeżeli chodziło o sposób życia Wandy, nawet nie próbował żądać w nim zmian, chociaż nie ulegało wątpliwości, że bardzo by ich pragnął. Wiedział z góry, że na nic nie zdadzą się perswazje i że tylko może doprowadzić do zerwania, czego żadną miarą chcieć nie mógł.

Toteż ułożyło się między nimi tak, że każde z nich żyło własnym niezależnym życiem. Szczedroń niewiele wiedział o Wandzie, ona zaś nic nie wiedziała o nim. Oczywiście ilekroć odbijało się jej o uszy, że Szczedroń zyskuje coraz większą pozycję w sferach naukowych, że jego nazwisko jest na najlepszej drodze do sławy, cieszyło ją to, lecz nie zadawała sobie trudu wnikania w szczegóły lub czytania nużących, najeżonych fachową terminologią prac męża. Może nawet nie miała na nie czasu. Publicystykę swoją traktowała zbyt serio, by nie przygotowywać się do niej lekturą bardzo obszerną i w miarę potrzeby wszechstronną. Pochłaniała też sporo beletrystyki, stale bywała w teatrze, lwia część czasu zabierała jej Kolchida, ta prawdziwa kuźnia myśli, gdzie w dyskusjach budował się szkielet gmachu nowej obyczajowości, gdzie rektyfikowały się poglądy, demaskowały się utarte kłamstwa i tworzyło się prąd pierwszej racjonalnej reformy społecznej.

Co dotyczyło tego prądu, Wanda właśnie przezeń została pociągnięta do pisarstwa w ogóle i szybko zajęła jedno z czołowych miejsc w szeregu walczących. Nominalnym i reprezentacyjnym przywódcą pozostał wprawdzie nadal Szawłowski, na wewnątrz jednak ona decydowała, samego Szawłowskiego skłaniając nieraz do niejakich ustępstw z linii zasadniczej w tę czy w inną stronę. Działo się to pod wpływem sugestionującego relatywizmu Dziewanowskiego. Po każdej z nim rozmowie Wanda mniej pewnie czuła się w prostych i jasnych kwestiach, odnajdywała w nich złożone peryferie i konieczność rewizji tego czy innego aksjomatu. Jednakże o cofaniu się z zajętych pozycji, o prze-malowywaniu bodaj częściowo szyldu, o jakimkolwiek zboczeniu z wytkniętej trasy nie mogło być mowy. Wewnętrzne ewolucje w Kolchidzie wyrażały się na zewnątrz jedynie zmniejszeniem lub zwiększeniem nacisku w akcji. Zbyt byli już zaangażowani w przyjętym kierunku, by na wrogich okopach nie otrąbiono ich rejterady⁴⁰ przy najmniejszej zmianie frontu. Trzeba było konsekwentnie brnąć naprzód i zamykać oczy na wątpliwości.

— Nie chodzi o dobrą wiarę, lecz o dobrą robotę — mówił Szawłowski.

— Żadna ludzka rzecz nie może być doskonałością — pocieszał Wandę Jan Kamil Pieczętkowski, jeden z najdawniejszych argonautów, doskonały zresztą malarz i dekorator.

I Wanda trwała na posterunku. Wierzyła pomimo wszystko w słuszość sprawy, a wątpliwości zostawiała na uboczu.

— Jest w tym moja przewaga nad przeciwnikami — mówiła Dziewanowskiemu — że wolna jestem od stosunku emocjonalnego do bronionych przeze mnie poglądów.

Zresztą i same poglądy były jasne, proste, trzeźwe i szlachetne: trzeba usunąć z życia fałsz, trzeba piętnować hipokryzję i tą drogą walczyć o świadome prawo do szczęścia każdego człowieka.

Świat, ludzkość, społeczność i indywiduum dojrzały już do wyrzucenia przez okno skrupułów urojonych, kanonów wyświechtanych, głupich tradycji i przesądów. Człowiek żyje swoje kilkadziesiąt lat nie po to, by cierpieć, lecz by wydobyć ze swej egzystencji największą dozę osobistego szczęścia.

⁴⁰rejterada — wycofanie, rezygnacja. [przypis edytorski]

„Całe ustawodawstwo społeczne — pisała Wanda — uświęcone zwyczajem, tradycje i religie są potwornym kompleksem zakazów, wilczych dołów, wykopanych przez milion ciemnych wieków, by zadręczyć małe i krótkie, a jedynie ważne ludzkie szczęście”.

A że nie była samotna w swych przekonaniach, świadczyły stopy listów, otrzymywanych z całego kraju. W listach tych przychodziła otucha. Przeważnie pisały kobiety, gdyż one najbardziej odczuwały krzywdę, jaką sprawiał im ustrój społeczny. Jeden z takich listów został nawet przez Wandę wydrukowany, jako trafna i cięta odpowiedź na zarzuty i szyderstwa przeciwników.

Zaczynał się on, jak następuje:

„Wejście kobiet do życia publicznego część mężczyzn przyjęła gwizdaniem. Odmawiają nam prawa głosu we wszystkich powszechnych kwestiach. Odwołajmy się tedy do sławetnej męskiej logiki. Przecie sami narzekają, że świat jest źle zorganizowany, że życie jest ciężkie, że raz po raz ludzkość narażona jest na straszliwe katastrofy socjalne i gospodarcze. Słowem, przyznają, że tysiące reform nie doprowadziły do niczego, że podstawy, na których zbudowane jest życie prywatne i zbiorowe nie wytrzymują ciężaru rzeczywistości. Zapytajmy tedy, komu to zawdzięczamy? Komuż, jeżeli nie mężczyźnie?! Przecie mężczyzna samowolnie i niepodzielnie dzierżył wszelką władzę ustawodawczą i wykonawczą przez całe tysiąclecia, jak daleko sięga historia. I jakież skutki? Co?... Powiadają nam, że nie mamy doświadczenia, lecz na miłość boską, jeżeli mężczyzna przez pięć tysięcy lat rządzenia światem jeszcze tego doświadczenia nie nabrał, niechże pozwoli łaskawie i nam wejść na arenę publiczną, by sił spróbować”.

List czytelniczki kończył się stwierdzeniem, że sami mężczyźni uznali za konieczne powołanie kobiet do życia publicznego, musieli przyznać im prawa wyborcze, równość obywatelską i niezależność w rodzinie.

„Dyktatura jednej płci mija bezpowrotnie, jako barbarzyński przeżytek. Na forum pracy publicznej zjawia się nowy czynnik, druga płeć, wyzwolona z ciemnych haremów, gineceów⁴¹, z kuchni i alków. Nie jest to już płeć, w którą zdołano wmówić, że jest piękna i słaba, bo piękno upatrywano perfidnie w słabości. Jest to świadoma swych praw i celów, wykształcona, łącząca zalety umysłu z subtelnością uczuć, śmiałość poczyniła z wdziękiem zdrowego ciała, a zdolność do pracy z kulturą duchową, jest to nowa, trzecia płeć, przed którą otworzyła się szeroka przyszłość. I nic już nie zdoła ujarzmić wyzwolonej kobiety, człowieka może nawet pełniejszej wartości, niż go zdołał wytworzyć mężczyzna, który wreszcie sam musiał ze wstydem otworzyć drzwi od gineceum, by trzecia płeć mogła stanąć do reformy naszej nieszczęsnej cywilizacji”.

Szczedroń po przeczytaniu tego listu, który z polecenia Szawłowskiego został podany tłustym drukiem, powiedział:

— Ta wasza czytelniczka ma rację. Mężczyźni przez tysiące lat popełnili mnóstwo głupstw. Największym jednak z nich na pewno będzie to ostatecznie: otworzenie drzwi od gineceum.

Jednak poza tą złośliwością nie umiał znaleźć żadnego kontrargumentu i to jeszcze grutowniej utwierdziło Wandę w przeświadczeniu, że jej działalność jest naprawdę „ważnym czynnikiem w budowaniu nowej cywilizacji”, jak to napisał w recenzji ze zbioru jej artykułów Jan Kamil Pieczętowski.

Działalność ta jednakże nie same pochwały zbierała. Z wielu stron odzywały się głosy oburzenia, krytyki, szyderstwa i nawet osobistych inwektyw. Posuwano się aż do wytykania jej semickiego pochodzenia jej ojca i w tym widziano „załążek destrukcji”. Jej szczerość i prostotę w omawianiu zagadnień seksualnych nazywano wyuzdaniem, rozwrotem płciowym, ekshibicjonizmem i erotomanią. Gdy domagała się jawności w traktowaniu jednej z najpoważniejszych dziedzin życia, jaką jest życie płciowe, zepchnięte do roli pornografii właśnie przez obłudnych świętoszków, wrzeszczano, że chce świat zmienić w dom publiczny.

Oczywiście na napaści znajdujące się na tak niskim poziomie odpowiadała pogardliwym milczeniem. Polemizowała tylko z atakami utrzymywanymi jeżeli nie w kurtuazyjnej, to przynajmniej w przyzwoitej formie.

Kobieta, Mężczyzna,
Władza

Antysemityzm

⁴¹gineceum a. gynecium — w starożytnej Grecji pomieszczenie w domu przeznaczone tylko dla kobiet. [przypis edytorski]

Tak czy owak, zarówno z pochwał entuzjastów i zwolenników, jak też z napaści wrogów, miała jeden niezaprzeczony zysk: rozgłos. W sferach intelektualnych, towarzyskich, wśród szerokiego ogółu czytającej publiczności, wśród bywalców kawiarni i teatru nie było nikogo, kto by nie wiedział kim jest i jak wygląda Wanda Szczedroniowa. Gdziekolwiek się zjawiała, do jej uszu dobiegały głosy: — patrz, to Szczedroniowa.

Najmniejszym drgnięciem powiek nie zdradzała rozkoszy, jaką jej to sprawiało. Wprost pojąć nie mogła Dziwanowskiego, który, ilekroć go poznawano, był zły i starał się przemknąć chyłkiem. Przecie nikt odeń nie wymagał, by dawał po sobie poznać, że półgłosem rzuconą uwagę usłyszał. Zresztą, często przebywając w towarzystwie Wandy, ustawicznie był na to narażony.

— Nie cierpię popularności do tego stopnia — mówił — że nie pokazywałbym się z tobą w miejscach publicznych, gdyby nie... gdyby nie wprost fizyczna potrzeba przyglądania się tobie, gdy patrzysz na mężczyzn. To jest bardzo... podniecające.

— Cóż znajdujesz szczególnego w moim wzroku? — zahaczała lekko, wiedząc, że znowu dowie się o sobie czegoś nowego.

— Znasz płótno Siemiradzkiego⁴²: handlarz przyprowadza staremu senatorowi niewolnicę na sprzedaż. Otóż ty patrzysz na każdego spotkanego mężczyznę wzrokiem owego senatora: oceniasz. Jest w tym chłodna rozważa kupującego i lubieźność, świadomość łatwości zdobycia i pobudzona wyobraźnia, kontrolująca ewentualną wartość obiektu. To nie zalotność, nie kokieteria, słowem nie oferta gotowości, lecz śmiałe i wyzywające taksowanie towaru.

Wanda roześmiała się swoim cichym śmiechem.

— I to ci sprawia przyjemność?

— Tego nie powiedziałem. Podniecenie nie zawsze jest przyjemnością.

— Zatem coś z repertuaru „Rogacza wspaniałego” — zakonkludowała.

Odtąd częściej i bardziej wyraźnie w ten sposób przyglądała się mężczyznom. Była dość piękna, by nie obawiać się przykrego efektu, a objawy zmieszania, jakie nieraz dostrzegała u przygodnych ofiar, utrzymywały ją w tym stanie nieprzerwanej emocji kobiecości, który w jej artykułach dźwięczał nieuchwytną, a drażniącą nutą. Jak ognia strzegła się czegokolwiek, co by mogło przyczepić do niej wstrętą etykietę kobietona, wąsatej zmaskulinizowanej baby, emancypantki z epoki pani Latter i jej pensji⁴³. Przeciwnie, podkreślała swoją kobiecość nie tylko przez częste używanie czasowników w odpowiedniej formie, lecz i przez niepomijanie żadnej okazji, by pisać o jakimś mężczyźnie nie zaznaczyć, że patrzy nań nie tylko oczyma recenzenta, lecz i kobiety.

Sam proces uświadamiania sobie, że swoboda i smak, z jakimi poruszała tematy drastyczne, musi u męskich czytelników łączyć się z myślą, że wyszło to spod pióra młodej i przystojnej kobiety, działał na nią dopingująco. Jedyną bądź co bądź przykrą stroną jej publicystyki było stałe pogarszanie się stosunków z matką. Pani Grażyna nie umiała przebaczyć Wandzie nie tylko kierunku jej działalności, lecz i „bezwstydnej, kompromitującej każdą kobietę” formy. Każdy artykuł pogłębiał między nimi brak jakichkolwiek łączących poglądów i niszczył resztki sentymentów, które co prawda nigdy nie należały do szczególnie akcentowanych. Jeżeli Wanda, rzadko widując się z matką, nie wszczyniała z nią dyskusji w obronie własnej, to tylko dlatego, że dyskusja z panią Grażyną w ogóle była niemożliwa. Już Szczedroń kiedyś powiedział:

— Twoja matka najbłahszą rzecz wypowiada z taką pewnością aksjomatu i tonem tak wzniosłego apostołstwa, że sprzeciwienie się jej pogładowi wyglądałoby nie na wypowiedzenie odmiennego zdania, lecz na impertynencję.

Z bratem stosunek Wandy, jaki był, taki pozostał: żaden. Uważała Kubę za pocziwego głuptasa, on zaś nie ukrywał, że siostra ma lekką histerię. Gdy od czasu do czasu ktoś ze znajomych pokazał mu artykuł Wandy (sam czytał tylko sprawozdania z sensacyjnych procesów i beletrystykę kryminalną), wpadał w niezadowolenie, krzyczał, że „to jest czort wie co” i zjawiał się u siostry z miną starszego brata, który przyszedł ją skarcić:

— Cóż u ciebie słyhać? — zaczynał ozięble, marszcząc brwi i groźnie patrząc w okno.

⁴²Siemiradzki, Henryk (1843–1902) — polski malarz, przedstawiciel akademizmu. W dalszym fragmencie najprawdopodobniej Dziwanowski przywołuje obraz *Wazon czy kobieta* z 1878 roku. [przypis edytorski]

⁴³emancypantki z epoki pani Latter i jej pensji — nawiązanie do *Emancypantek* Bolesława Prusa, której akcja dzieje się w latach 70 XIX wieku. [przypis edytorski]

Wanda była rozbawiona i chociaż wcale jej na tym nie zależało, mówiła:

— Dobrze, że cię widzę. Chciałam cię zapytać, jak się przedstawia spłata mojej renty. Mam to gdzieś zapisane, ale zdaje mi się, że już od czternastu miesięcy zalegasz z wypłatą.

Kuba rozpoczynał wówczas narzekania na ciężkie czasy, na to, że wszyscy kradną, że władze skarbowe powariowały z tymi podatkami i zabierał się do odejścia. Przy pożegnaniu znowu marszczył brwi i mówił tonem pojednawczym:

— A ty, Wandeczko? wiesz... hm... nie tego... Po co ci to?

— O czym mówisz?

— No, tego, piszesz...

— Matka cię przysłała?

— Cóż znowu! — oburzał się Kuba i dodawał pośpiesznie: — daj spokój. Już zrób to dla mnie.

— Dlaczego dla ciebie? — pytała z bezlitosną naiwnością.

— No... bo w ogóle... Zresztą pogadamy o tym innym razem. Teraz szalenie się śpieszę.

I wychodził czym prędzej, a w parę dni później Wanda dowiadywała się od Żermeny, że Kuba wróciwszy do domu oświadczył uroczyście:

— Byłem u Wandy i rozmówiłem się z nią.

— I cóż ci powiedziała? — z niedowierzaniem pytała pani Grażyna.

— Mam wrażenie, że przemówiłem jej do rozsądku.

Na tym zaczynały się i kończyły stosunki Wandy z ulicą Polną. Jeżeli bowiem chodziło o Żermene, ta ani pochwalała, ani ganiła działalności Wandy. Nie czytała jej utworów, gdyż na to nie miała czasu, a spotykając się z nią, ograniczała się do podania kilku informacji lub przedstawienia Wandzie jakiegoś młodziana, który „koniecznie chciał poznać tę sławną panią Szczedroniową”. Poza tym Żermena nie czuła się członkiem rodziny Szermanów i, zdaje się, zawsze traktowała ją jako chwilowy przystanek podczas podróży. Obecnie rozwodziła się z Kubą dla kogoś innego, z czego w Kolchidzie ukuto dowcip:

— Pani Żermena ma sport w żyłach: sama stała się pucharem przechodnim.

— Tak — zjadliwie uśmiechał się Kalmanowicz — tylko każdy kolejny zdobywca tego pucharu za późno przekonywuje się, że to beczka Danaid⁴⁴.

— Co? Jak to? W jakim znaczeniu? — interesował się Szawłowski, który wszędzie dopatrywał się dwuznaczników.

— W finansowym. Ile ją trzeba cenić ten tylko się dowie, kto ją stracił: bo dopiero wówczas sypią się rachunki do uregulowania.

— Ach! — obojętnie machał ręką Szawłowski.

— Kobiety wydają wiele pieniędzy — tonem rewelacji konkludował Jan Kamil Pieczatkowski.

Wanda do rozvodu bratowej odnosiła się z najzupełniejszą szczerą obojętnością. Wiedziała, że Żermena rujnowała Kubę, lecz była przekonana, że każda inna kobieta, która zdecyduje się zostać jego żoną czy kochanką, zrobić to może jedynie w tym samym celu. Kuba nie odziedziczył po ojcu nic z jego zmysłu do interesów, natomiast za dużo miękkości. Dlatego też renta Wandy wisiała na niezmiennym znaku zapytania, wobec czego nie pozostawało Wandzie nic poza spokojnym oczekiwaniem. O wydobyciu jakiejś poważniejszej sumy w istniejących warunkach nie mogło być mowy. Interweniować przez swego adwokata nie chciała, a chociaż nie lubiła wyrzekać się dochodów i bardzo sprytnie nimi administrowała, wolałaby wszystko stracić, niż dopuścić do procesu z bratem. Nie chodziło tu o Kubę, lecz o duże prawdopodobieństwo, że jej dbałość o własne pieniądze podciągnęła by wówczas pod ironiczne podejrzenie:

— Naturalnie, przemówiła rasa. Żydzi zawsze muszą pokłócić się o pieniądze.

A Wanda za wszelką cenę pragnęła uniknąć czegokolwiek, co zachwiałyby mogło opinię o jej zupełnej indyferencji dla dóbr doczesnych. Może nawet i naprawdę opinia ta była uzasadniona, gdyż nikt przecie nie mógł wątpić, że treścią jej życia pozostaje wyłącznie myśl, gdyż każdy wiedział, że Wanda Szczedroniowa nigdy nikomu nie odmawia drobnych pożyczek. Sam sposób udzielania tych pożyczek też miał swoją wagę. Wanda wskazywała swoją torebkę i mówiła:

⁴⁴beczka Danaid (fraz.) — żmudna, niekończąca się praca. [przypis edytorski]

— Proszę bardzo. Tam zdaje się mam tyle. Niech pan weźmie, ile panu trzeba.

I nawet nie patrzyła, ile wziął, po powrocie jednak z Kolchidy liczyła pozostałą zawartość torebki i w małym notatniku zapisywała: „Kalmanowicz 14 marca — 20 zł. ”. Nie dla czego innego, jak tylko dla porządku. Dłużnicy czasem oddawali, a wówczas skreślało się notatkę, częściej nie oddawali i tym samym nie zwracali się o nową pożyczkę, chociaż żadnemu z nich ani do głowy nie przyszło, że Wanda notuje takie drobiazgi, ona, która kiedyś powiedziała:

— Biedny Pomarnacki, przegrał na wyścigach trzysta tysięcy, czy też tysiąc trzysta, już nie pamiętam, ale dużo.

Powiedzenie to stało się na pewien czas słynne. W rzeczywistości Wanda nie miała trosk materialnych: spory kapitał był dobrze ulokowany, mąż zarabiał nieźle, ona sama również, a dom, pomimo przeciwnych pozorów, umiała prowadzić oszczędnie, nie tracąc na to ani wiele czasu, ani pracy. Po prostu miała to we krwi. Przechodząc ulicą i rozmawiając o najpoważniejszych sprawach publicznych, rozkoszując się analizą jakiegoś nowego systemu filozoficznego czy analizując wartości utworu literackiego, umiała bez przerwy w dyskusji zauważyć, że jajka na Ordynackiej pod piątym są o dwa grosze tańsze niż na Świętokrzyskiej, a u Wardasowej kalafiory nie kosztują po trzydzieści groszy, jak podaje w rachunku Marcysia, lecz tylko dwadzieścia pięć. Nazajutrz, podczas pięciominutowej audiencji, udzielonej kucharce przed wyjściem do redakcji, padała krótka uwaga:

— Jajka proszę brać na Ordynackiej pod piątym, a co do kalafiorów Marcysia omyliła się: u Wardasowej kosztują po dwadzieścia pięć. Niech Marcysia poprawi to w rachunku.

Pomimo to, jej sposób prowadzenia domu nie miał nic wspólnego z nudną i staroświecką gospodarnością, która dawne kobiety przykuwała do kuchni, kredensu i spiżarni, do bielizniarki, do komód i szaf, zmieniając ludzką istotę w kółko do pęku kluczy.

W razie najścia gości posyłało się do restauracji lub cukierni po niezbędne rzeczy, reszta zaś spoczywała na barkach służby. Kłopot, jaki początkowo sprawiało zagadnienie cerowania skarpetek i poprawy bielizny Szczedronia, został w jakiś sposób usunięty przez niego samego.

Swoimi strojami nie zajmowała się zbyt wiele. Przynajmniej nie przesiadywała całymi godzinami u krawcowej, nie odbywała wędrowek po sklepach i nie mówiła o tym wcale. Pomimo to jej sposób ubierania się słynął w mieście i wywoływał liczne naśladownictwa. Sama komponowała sobie suknie i kapelusze, nigdy nie podług ostatniego krzyku mody, lecz zawsze z tym smakiem prostoty i z tym indywidualnym sznytem, który nic nie miał z przesady, chyba przesadę w prostocie.

— Jeden jest tylko synonim piękna — mówił Dziewanowski — synonim ten to prostota.

Niestety, jego ubrania były już zbyt proste, nie tylko by aspirować do piękna, lecz nie sięgając do elegancji. Jakkolwiek sprawiało to Wandzie przykrość, nie dała tego nigdy poznać po sobie. Do powierzchowności człowieka, który był jej kochankiem, przywiązywała prawie tyleż wagi, co i do jego wewnętrznych zalet. Nie było jednak na to rady. Wiedziała, że nie może odeń wymagać, by ubierał się u najlepszego krawcy i częściej sprawiał sobie garderobę. Chętnie z własnej kieszeni pokryłaby koszty kilku przyzwoitych garniturów i nieraz zastanawiała się nad sposobem zrobienia mu tego rodzaju propozycji, lecz sposobu takiego znaleźć nie umiała. Przy całej obojętności Mariana dla spraw pieniężnych, na pewno obraziłby się śmiertelnie, a co gorsze, wyśmiałby ją i jej ofertę. Nie byli do tego stopnia bliscy sobie, by odważyła się zaryzykować ten krok.

Przez życie Wandy, nie licząc dwóch czy trzech całkiem przelotnych, przypadkowych flirtów, przeszły cztery dłuższe i głębsze romansy, do których *mutatis mutandis*⁴⁵ dałoby się przyczepić etykietkę miłości. Właśnie Dziewanowski był czwartym. Z żadnym z poprzednich, może z wyjątkiem jednego Szczedronia, Wanda nie zżyła się do granic bardziej poufale, gdyż nigdy jej na tym nie zależało, jeżeli zaś chodziło o Mariana, wołała, że intymność ograniczała się tu wyłącznie do sfery seksualnej i umysłowej. Ich stosunko-

Piękno

⁴⁵*mutatis mutandis* (łac.) — po dokonaniu niezbędnych zmian. [przypis edytorski]

wi nadawało to *timbre*⁴⁶ pewnej wyższości, niepospolitości i oderwania od powszechnej marzy romansowej.

Marian nie był zazdrosny, przynajmniej nie okazywał nigdy niechęci dla nikogo, kogo mógłby posądzić o szczególniejsze zamiary wobec niej, sam zaś również żadnych powodów do zazdrości nie dawał. Zawsze był sam i zawsze do dyspozycji Wandy, z wyjątkiem swoich okresów chandry, kiedy wołała zostawiać go na pastwę jego apatii. Zwykle przed przyjściem doń telefonowała. Jeżeli mówił, że wołałby nie narażać jej na swoje towarzystwo, wiedziała, że to chandra i dzwoniła nazajutrz.

Tego jednak dnia, dnia 27 czerwca (dobrze zapamiętała datę, gdyż były to imieniny profesora Wellera), zachowanie się Dziewanowskiego przy telefonie wydało się jej dziwne i podejrzane:

— Nie mogę dzisiaj — powiedział jakimś zdenerwowanym czy zmieszanym głosem — proszę wybaczyć... Jutro zadzwonię...

— Dobrze — krótko urwała Wanda i położyła słuchawkę.

Sama nie przypuszczała, by to drobne zdarzenie mogło wywołać w niej aż tak silne zdenerwowanie. Wszystkie podejrzania nagle zyskiwały całkowitą rację bytu. Istnienie innej kobiety było już teraz nie intuicyjnym domniemaniem, lecz faktem. Wanda na próżno próbowała uspokoić swe wzburzenie dawniej używanymi argumentami, na próżno usiłowała zreflektować się. Dziewanowski był wstrętnym hipokrytą, po prostu padalcem, okradł ją najbezczelniej w świecie, bo przecież mógł otwarcie postawić kwestię i chyba nie wyobrażał sobie, by przez jedną bodaj sekundę starała się go zatrzymać, jego, który mając taką kobietę jak ona, kobietę pożądaną przez tylu, kobietę, której do pięt nie dorosły te wszystkie gęsi, kury, że on mógł zrobić coś podobnego!...

— Nędznik, oszust, po prostu ordynarny samiec, hipokryta!... — gryzła wargi.

Drzwi otworzyły się i na progu stanął Szczedroń:

— Zdaje się, żeś mnie wołała? — zapytał.

Wzruszyła ramionami:

— Bynajmniej.

Stał chwilę i z głupią miną przyglądał się jej. Po pauzie odezwał się niedorzecznie współczującym tonem:

— Wanduś, co ci jest?... Masz jakąś przykrość?

— I cóż z tego? — zapytała szyderczo.

— Nie mogę ci pomóc?

— Owszem — zawahała się — ale ty tego nie potrafisz.

— Zaryzykuję — rzucił półzartobliwie.

— Mógłbyś zabić? — spojrzała nań zimno.

Zaśmiał się i trzasnął palcami:

— To zależy kogo.

— Kogoś, kto mnie skrzywdził... obraził...

— Aha!... — domyślił się — nie, moja droga. Byłby to zbyteczny wysiłek. Tego kogoś może dawno zabiłbym dlatego że mnie skrzywdził, zabiłbym bez dłuższych ceregieli... gdyby nie poczucie bezcelowości takiego zabiegu: na miejsce jednego przyszedłby następny.

Machnął ręką i odchodząc, zatrzymał się jeszcze przy drzwiach:

— Pomyśl nad tym, a i ty mniej sobie ową krzywdę i obrazę będziesz brać do serca.

Szczedroń nie rozumiał jej. Nigdy nie rozumiał. Był zawsze taki gruboskórny, a cała jego miłość to tylko instynkt zoologiczny.

O tyle ma rację, że powinna gardzić tamtym.

Podciągnęła nogi pod siebie i wcisnęła się w kąt tachty⁴⁷. Czuła się jakby zapędzona w ten kąt przez złą niesprawiedliwość losu! Bo oczywiście może być i dobra niesprawiedliwość... Dziewanowski zrobiłby ironiczną uwagę o konieczności stylu. Hipokryta! I właściwie dlaczego język literacki ma być zwulgaryzowany, spospolitowany? Tak lubiła pisać przenośniami. Nie pisze się przecie dla dorożkarzy. Marian po prostu zubożył jej styl. Przez niego zawsze się męczy nad usuwaniem przymiotników i porównań. On

⁴⁶*timbre* a. *tembr* (z fr.) — brzmienie. [przypis edytorski]

⁴⁷*tachta* — mebel przeznaczony do leżenia, bez oparcia, najczęściej pokryty dywanem lub tkaniną. [przypis edytorski]

w ogóle jest oschły. I gdzież konsekwencja: zachwyca się Homerem, a właśnie Homer to same przymiotniki i metafory. Sam jednego artykułu sklecić nie potrafi, a przybiera ton arbitra. Może za jej plecami opowiada, że to on inspiruje ją, że bez niego nic nie pisałaby w ogóle...

— Nie — zreflektowała się — tego nie robi. Chociażby dlatego, że z nikim nie jest dostatecznie blisko.

Nagle zacisnęła palce: przecie ją zdradza, ordynarnie zdradza z jakąś inną. Tamta na pewno wie o ich stosunku, bo przecie wie cała Warszawa. Idiotka! Pewno rozsadza ją z dumy, że odbiła kochanka Szczedroniowej. A może Marian opowiada teraz o niej i śmieje się razem?... Podły. Tylko mężczyzna jest zdolny do takiej podłości, ale kobiety są jeszcze gorsze. Jakże bardzo gardziła nimi. Nie tylko tą, która teraz bezwstydnie nadstawia się cudzemu kochankowi, lecz wszystkimi. Samice. Może ośmieliła się nałożyć jej pidżamę. One są zdolne do każdego łajdactwa.

— Czy można podawać kolację, proszę pani? — uchyliła drzwi służąca.

Wanda przetarła końcami palców skronie:

— Źle się czuję, nie będę jadła.

— A pan?

— To spytaj pana. Skąd ja mogę wiedzieć. I, proszę, dajcie mi święty spokój.

Nie mogła jednak wysiedzieć na miejscu. Wstała i wyjrzała przez okno. Latarnie świeciły jakimś ciemnym stłumionym światłem, niebo było pokryte grubą warstwą chmur, zanościło się na deszcz. Pomimo to, postanowiła przejść się. Spacer w taką właśnie ponurą pogodę dobrze jej robi. Takie siedzenie w kącie jak zapędzone zwierzę, takie kiśnięcie we własnej krzywdzie do niczego nie prowadzi, tylko fatalnie wpływa na układ kącików ust i oczu. U osób często oddających się zmartwieniom w samotności, w późniejszych latach twarz nabiera wyrazu, który Kalmanowicz określa: indyczka dolorosa⁴⁸. A zresztą ma też czym martwić się. Szczedron ma rację, że znajdzie sobie, nawet nie znajdzie, lecz po prostu wybierze takiego mężczyznę, jakiego będzie chciała. Stać ją na to.

Ubrała się i wychodząc zajrzała do pokoju męża. Pisał coś, gryząc niedopałek papierosa. Jego głowa była śmiesznie przechylona w bok, a prawe ramię krzywo wzniesione. Wyglądał, jak garbaty.

— Wychodzę — powiedziała — a ty... ty w swoich introspekcjach psychicznych jesteś męcząco trywialny.

— Ja?... Tak. Nie umiem szukać komplikacji. Patrzę na rzeczy prosto — odpowiem, nie odrywając oczu od papieru.

— Prostota nie powinna być prostactwem — wycodziła — jesteś nużąco gruboskórny.

— To prawda — kiwnął głową.

— Do widzenia.

— Weź parasol. Zaności się na deszcz.

Miała zamiar to zrobić, lecz teraz czuła się obrażona na męża, na jego propozycję i na parasol. Lekceważył jej przeżycia, jej kryzysy duchowe, a umiał dbać tylko i to od czasu do czasu, by nie przemokła i nie dostała kataru. Na dworze pachniało orzeźwiającą wiosenną wilgocią. Na wiosnę bardzo łatwo się przeziębic. Gdyby dostała zapalenia płuc i walczyła ze śmiercią, byłoby to należyłą karą dla Dziewanowskiego, Szczedrona i dla tych wszystkich egoistów.

Właściwie mówiąc, cóż ona mogła ich obchodzić? Póki istnieje, póki stanowi pewną część rzeczywistości, póty liczą się z jej obecnością. Gdyby umarła lub obłożnie zachorowała, najzwyczajniej w świecie zapomnieliby o niej.

— Jeszcze jeden numer skreślony — jak mówił Jan Kamil Pieczętkowski, spotykając kondukt pogrzebowy.

Po niej nikt by nie rozpaczał. Matka chodziłaby w żałobie, ale w gruncie rzeczy byłaby rada, że „zakąła rodziny” przeniosła się do wieczności. By zakale uprzyjemnić ową wieczność, zamówiłaby prawdopodobnie kilka mszy. A Kuba pocziwiec chrząkałby tylko i coś pomruczał o tym, że „to” musiało źle się skończyć. „To” to jej życie, jej pojmowanie życia... Czyż nie mądrzej, czy nie zdrowiej pojmuje je niż inni?... A Dziewanowski?... Ten nawet na cmentarz nie poszedłby. Brzydzi się śmierci. Patetyczny truizm i tyle, bo któż

Zazdrość, Pogarda,
Kochanek

Śmierć, Żaloba

⁴⁸indyczka dolorosa (żart.) — indyczka bolejąca. [przypis edytorski]

nie brzydzi się śmierci?... Słowem nikt, zupełnie nikt nie odczułby jej odejścia. Szczedroń tylko. Ale on się nie liczy. Co innego, gdyby miała dzieci, syna lub córkę. Najlepiej syna. Ten nie zapomnialby nigdy.

— Powinnam mieć syna — szepnęła do siebie z przekonaniem i jednocześnie pomyślała, że zawsze usiłuje w sobie wmówić potrzebę macierzyństwa, ilekroć spotka ją coś dotkliwie przykrego. Nazajutrz pod trzeźwym spojrzeniem minie wszystko bez śladu: kilka miesięcy zdeformowanej figury, worki pod oczyma, mdłości, później poród, ból, cierpienia, wrzask dziecka i mokre pieluszki i biust nabrzmiały... To dobre dla zwierząt, które nie umieją poznać się na przebiegłym podstępnie natury, co za chwilę rozkoszy każe płacić długim okresem męki i poniżeniem. Bo to jest poniżające być narzędziem przyrody, automatem, do którego wrzuca się choćby nawet przygodnie zdawkową monetę, a ten musi, chce, czy nie chce, musi spełnić wprost mechanicznie swoje zadanie. Właśnie od tego, jak słusznie twierdzi Szawłowski, mamy ducha, by uniezależnić się od natury. Duch stworzył cywilizację, a czymże jest cywilizacja, jeżeli nie zespołem środków przeciwdziałania naturze? „Dlaczego wówczas, gdy ujarzmiamy wodospady — pisała niedawno w jednym z artykułów — gdy regulujemy swobodny bieg rzek, gdy budujemy domy, osłaniające nas od zmian atmosferycznych, gdy ustawiamy piorunochrony, dlaczego wówczas cywilizacja ma być czymś szczytnym, a gdy chcemy uniezależnić przy jej pomocy nasze ciało od niepożądanych funkcji przyrody, cywilizacja musi cofnąć się z pokornym strachem?”

— Trzeba nie mieć cienia zdrowej logiki, by tego nie rozumieć! I Wanda naprawdę nie mogła pojąć tych, którzy z taką zaciekłością występowali przeciw niej i przeciw całej Kolchidzie w obronie bezmyślnej czci dla praw przyrody. Byli to przecie również ludzie wykształceni i w innych sprawach zdolni do konsekwentnego myślenia. Przecie wyznając na przykład chrystianizm, nie mogą zaprzeczyć, że łamanie praw przyrody, łamanie instynktów, jak posty, jak wstrzemięźliwość seksualna, jak nadstawianie policzka czy męczeństwo pochodzą z ducha ludzkiego, a duch tym wyżej sięga, im bardziej może uniezależnić człowieka od jego zwierzęcej natury. Jeżeli ci panowie nie chcą tego przyznać, dowodzi to ich perfidii.

Dziewanowski, który zawsze w najprostszych rzeczach wynajduje wielostronność, twierdził, że i opór oponentów wynika z ducha...

— Ach, co mnie to wszystko obchodzi — powiedziała głośno.

Szła wzdłuż parapetu mostu Poniatowskiego. Była sama. Tylko środkiem z jazgotem przesuwały się tramwaje jak „długie latarnie, pełne owadów, co się ku światłu zleciały”. Spodem czarna i nieruchoma leżała Wisła. Przy brzegach jarzyły się oświetlone tarasy klubów wioślarskich i jachtingowych.

Z wolna zawróciła ku miastu. Szła przez Nowy Świat, minęła Ordynacką i skręciła w Świętokrzyską.

— Więc tak — przyznała się przed sobą — tak, idę spojrzeć w jego okna. Ani on, ani nikt inny tego nie zobaczy, a ja muszę. Muszę, to jest silniejsze ode mnie.

Przez całą drogę od chwili wyjścia z domu odpędzała tę natarczywą myśl. Wstydziała się jej. Chodzić jak zakochana szwaczka pod dom niewiernego kochanka! Żeby chociaż z jakimś konkretnym zamiarem, ale przecie nie miała żadnego. Po prostu „ciągnęło ją”, nie wiadomo po co i dlaczego. Bo przecież nie miała w torebce rewolweru ani buteleczki z kwasem siarczanym! Tego by tylko brakowało!

Zaśmiała się.

— Gotowam wmówić w siebie, że on mnie naprawdę obchodzi, że bez niego żyć nie potrafię. Co za głupota, co za idiotyzm.

A jednak szła dalej, szła coraz prędzej z rosnącą w mózgu pogardą dla samej siebie, z nieznosnym uczuciem poniżenia.

Dwa okna na pierwszym piętrze, dwa dobrze znane okna na lewo od balkonu były otwarte i ciemne. Podmuchy wiatru chwiały białymi firankami.

Wanda tak była przygotowana na zapuszczone rolety i kolorowe światło, a może nawet na cienie, poruszające się w oknach, że stanęła nieruchoma i bezradna. Gdyby tak było jak przypuszczała, też nie wiedziałaby, co ma zrobić, lecz teraz została wprost zaskoczona: nie było ich, wyszli.

W każdym razie taki postój na skraju chodnika o tej porze był nonsensem. Najrozsądniej byłoby zawrócić do domu, lecz to pociągnęłoby za sobą konieczność rezygnacji z dowiedzenia się czegokolwiek pewnego. A teraz już musiała wiedzieć. Nie znalazłaby chwili spokoju. Pozostawało zatem czekać na Mariana. Oczywiście wyszli razem. Poszedł ją odprowadzić i powinien wrócić. Nie mogła jednak czekać nań na ulicy. Zresztą służąca ją dobrze zna i na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu, że poczeka w jego pokoju.

Nie wahała się dłużej, weszła do bramy, szybko wbiegła po schodach i nacisnęła guzik dzwonka. Upłynęło sporo czasu zanim zjawiła się służąca.

— Czy zastałam pana Mariana? — zapytała Wanda.

— Zdaje się, że wyszedł, proszę pani, zaraz zajrzę.

Wanda wsunęła się za nią do przedpokoju i powiedziała:

— Jeżeli pana nie ma, zaczekam, aż wróci. Mam pilny interes.

— Proszę bardzo, tylko zapalę światło — odpowiedziała służąca.

— Dziękuję.

Wanda weszła i pociągnęła nosem, lecz żadnego zapachu nie było. Przy otwartych oknach to nic dziwnego. Zanim jednak zdążyła zbadać wzrokiem cały pokój, zanim zdołała cokolwiek zauważyć, była pewna, że jej podejrzenia miały uzasadnienie.

Dopiero po chwili spostrzegła, że książki są poukładane, że jej pidżamy nie ma na zwykłym miejscu, że na stoliku leżą skórki od pomarańcz i łupiny bananów, a łóżko jest zmięte, widocznie ona je zaścielała, gdyż zrobiła to w pośpiechu i inaczej niż słano je zwykle.

— Podły! Podły!... — powtarzała Wanda w podnieceniu.

Przyszło jej na myśl, że należałoby przeszukać papiery, zajrzeć do szuflad. Na pewno znajdzie jakiś list, fotografię lub coś w tym rodzaju, co dałoby jej do rąk namacalny dowód zdrady. Na razie nie zastanawiała się wcale nad tym, po co taki dowód mógłby jej być potrzebny. Chodziło jej tylko o przekonanie samej siebie, lecz gdy odsuwała szufladę biurka, zatrzymała się:

— Nie. To byłoby na nic. Rzucić mu taki dowód w twarz byłoby równoznaczne z przyznaniem się, że szperałam tu, że... Nie.

Trzęsły się jej ręce. Oczywiście nie robi tego. Usiadła na niewygodnym krześle przy drzwiach, jakby dla zaznaczenia swojej tu obcości. Niechby zresztą wiedział, że szperała, że zdolna jest do wszystkiego, ale cóż dalej?... Wzruszy ramionami i może powiedzieć:

— Niepotrzebnie trudziłaś się. Rzeczywiście mam inną, a z tobą rozstaję się. Mam ciebie dość.

Wandzie krew uderzyła do twarzy. Tego nie przeżyłaby. Tego nie umiałaby przebaczyć. Żeby jej, jej, Wandzie Szczedroniowej ktokolwiek mógł dać taką odprawę. O nie, teraz już wiedziała, co robi. Zerwie z nim, zerwie natychmiast. Wcale nie da po sobie poznać, że czegokolwiek się domyśla, że go podejrzewa o zdradę. Zerwanie musi wyjść od niej, przyczyną zerwania nie może być ktoś inny, ani ktoś, ani on sam, ani nic innego: po prostu sprzykrzył się jej, znudził i tyle. To ona mu powie:

— Przyszłam ci zakomunikować, że nie widzę celu w dalszym przedłużaniu naszego stosunku.

On oczywiście uda zdziwienie i żal, może zresztą naprawdę będzie żałował. Nie zapyta dlaczego, tylko będzie wpatrywał się w jej oczy swoimi inteligentnymi, zamglonymi oczyma.

— Żegnaj, Marianie — wyciągnie do niego rękę — spędziliśmy razem kilka wcale przyjemnych chwil.

I doda jeszcze lekceważąco:

— Przez pewien czas oddawaliśmy sobie drobną przysługę wzajemnego zaspokajania zmysłów. Trzymaj się dobrze, a miło mi będzie spotykać cię od czasu do czasu.

Tak będzie najlepiej — wmawiała w siebie — najlepiej. Nie dać mu odczuć, że bodaj przez sekundę przywiązywała jakiegokolwiek znaczenie do ich romansu, że domyśla się zdrady. Tylko spokoju, najwięcej spokoju: uśmiech i zimna krew.

Opanowała się dość szybko. Przesiadła się na fotel i czekała. Minęło dziesięć minut, kwadrans, pół godziny.

— Ach, podły, podły — szeptała przez zaciśnięte zęby, raz po raz spoglądając na zegarek.

Nie mogła tu czekać wiecznie. Ale odejść nie mogła również. Cały plan przestałby być aktualny. Jej obecność u niego po tamtym telefonie da się usprawiedliwić tylko czymś istotnie ważnym: na przykład zerwaniem. Jeżeli wyjdzie, a służąca powie Marianowi, że była tu i czekała, ośmieszysz się i poniżysz w jego oczach. Można by napisać kartkę, ale wówczas gotów pomyśleć, że wcale nie miała zamiaru zrywać, a postanowienie powzięła dopiero tu, z zazdrości...

Kilkakrotnie zdejmowała i naciągała z powrotem rękawiczki i już znajdowała się w stanie zupełnego rozprężenia nerwów, gdy w przedpokoju rozległ się szczeł zatrzasku.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich uśmiechnięty, prawie wesoły:

— Ach, to ty! — zawołał — w głowę zachodziłem, kto to może być, bo pamiętam, że wychodząc zgasiłem światło. Dobry wieczór, Wandus!... Co ci jest?...

Stała nieruchomo, czuła że jest biała jak papier.

— Co się stało? — zapytał przerażony.

Jego oczy rozszerzyły się.

— Nic, nic...

— Jednakże... Jesteś taka biała? Może dać ci wody?

Potrząsnęła przecząco głową:

— Nie, dziękuję. Nic mi nie jest...

Gorączkowo poszukiwała w myśli pretekstu dość prawdopodobnego na usprawiedliwienie tego nieszczęsnego wyglądu i swojej obecności. Zerwanie miałoby teraz zupełnie inny sens, miałoby w sobie coś dramatycznego. A poza tym przywitał ją tak serdecznie... Co mu powiedzieć, co mu powiedzieć?... Cokolwiek, byle prędko. Im dłuższą robi pauzę, tym ważniejsze musi być to, co ją tu przyprowadziło; jeżeli zaraz nie znajdzie czegoś, doliczytuje się do tragedii.

— Nic mi nie jest... — zaczęła — przyszedłam... bo... miałam dużą przykrość... Szczedroń umie być niedelikatny, bardzo niedelikatny... Potrzebowałam ciebie... Nie ma w tym chyba nic nienaturalnego, że chciałam mieć cię przy sobie... Tylko proszę cię, nie pytaj, nie wypytuj... Już wszystko dobrze...

Z wyrazu twarzy Dziewanowskiego wywnioskowała, że pretekst był wystarczający. Jakie szczęście, że przyszedł jej na myśl mąż. Marian zmarszczył brwi i opuścił głowę.

— Nie będę wypytawał... — powiedział — ale to strasznie, to niezdanie bolesne. Jak on może, jak śmie! To jest okropne... Domyślałem się, że jest brutalny... Ale żeby cię maltretował...

— Nie mówmy już o tym — odetchnęła.

— Jak chcesz — szepnął — jak wolisz...

Wziął jej ręce i całował pieśczołliwie i ciepło. Na skórze dłoni czuła drżenie jego warg. Przejął się bardzo. Więc dba o nią, więc ta zdrada nie jest taka pewna? Może to coś na wskroś przelotnego?... Jest taki wzburzony... Swoją drogą nie ma w sobie nic męskiego. Inny by zaczął kłąć, wymyślałby sposoby obrony dla krzywdzonej przez męża kochanki, byłby wściekły i groźny, a jego roztrzęsło zupełnie takie głupstwo. Jeżeliby Szczedroń naprawdę znęcał się nade mną — myślała Wanda — Marian nie umiałby zrobić nic, by ją uwolnić od brutalnego. Przecie nie umie zdobyć się na słowa pociechy.

— Kochanie moje... — tulił ją — ty jesteś za dobra, za pobłażliwa... Ja wprost nie rozumiem, jak może znaleźć się człowiek, który zdobędzie się na wulgarne słowa, na ordynarne słowa wobec ciebie...

— Żeby tylko słowa — gorzko dodała Wanda.

Powiedziała to mimo woli. Po prostu pasowało to do sytuacji, *crescendo*⁴⁹ wzmacniało nastrój. Zresztą wyobraziła sobie, że rzeczywiście taki gruboskórny Szczedroń mógłby ją nawet uderzyć, bić, potrącać... I czuła się w tej chwili w zupełności zasługującą na przeżone współczucie kochanka, jako poniewierana, bita, potrącana. Wżyła się w sytuację. Wżywała się do tego stopnia, że zakręciły się jej lzy w oczach, że pod jego wzrokiem, który zdawał się szukać na niej sińców, niemal czuła ból w całym ciele, zmasakrowanym przez chamskie pięści męża.

Zupełnie dokładnie zdawała sobie sprawę, że nie gra przed Marianem komedii: była naprawdę tylko taka, jaką on ją widział. Nie umiała inaczej. Była to wina, czy zasługa jej

⁴⁹*crescendo* — w muzyce: narastanie dźwięku. [przypis edytorski]

intuicji, wrażliwości i subtelności. Nie pozowała, nie udawała, lecz stawiała się tym, co w niej widziano. Miała widocznie wielkie zasoby duchowych możliwości i tym tłumaczyła sobie tę zdolność przemian, a raczej dostosowań się. W danym wypadku kłamstwo zostało wypowiedziane przygodnie i reszta nie była już kłamstwem, lecz rzeczywistością, może nieistniejącą, lecz niemniej prawdziwą. Gdy przed kilku laty Szawłowski odkrył w niej talent pisarski i predestynację do roli reformatorki społecznej, stała się reformatorką i odnalazła w sobie talent. I nie było w tym kłamstwa, bo przecie dziś nikt nie odmawiał jej talentu, a jako reformatorka zajęła jedno z czołowych miejsc. Gdy Szczedroń widział w niej arcypaniskie dziecko, cieplarnianą egzotyczną roślinę, przestała się naprawdę interesować piłką nożną i skokami o tyczce, przestała używać studenckiego żargonu i zaczęła zmiękczać literę „r”. Kiedy zaś z biegiem czasu mąż doszedł do przekonania, że Wanda jest perwersyjna i rozpustna, zawiązała w jednym tygodniu dwa romanse i czuła, wiedziała, że istotnie jest wyuzdana. Później odkrył w niej ekshibicjonizm, masochizm, fałsz wewnętrzny, pychę, lenistwo, totemizm rasowy, arystokratyzm i przyswajała je sobie z równą łatwością, jak kiedyś dla zakochanego w niej piłkarza stała się urodzoną sportówką, a dla tegoż Szczedronia komunistką. Dziewanowski szukał w niej kobiety o niepospolitym umyśle, o intelekcie niezależnym od warunków egzystencji i działalności, wolnym od doktryn i przymusów wewnętrznych, szukał eklektyzmu najbardziej relatywnego, i braku uczuć, i chłodnej zmysłowości, i zamiłowania do Rilkego⁵⁰ i Marcellego Prousta⁵¹ — no i oczywiście wszystko to w niej znalazł. Jak zaś głęboko weszło to w jej istotę, świadczyła wciąż rosnąca trudność, z jaką utrzymywała się w linii swej działalności publicystycznej. Teraz odkrył w niej nieszczęśliwą, w okrutny sposób maltretowaną żonę, żonę, która prawdopodobnie pod groźbą ciosów musi ulegać zwierzęcej chuci niekochanego człowieka, dla jakichś tajemniczycych przyczyn nie mogąc się od niego uwolnić.

Jakże wyraźnie czuła to Wanda w sobie i w pocałunkach i w pieszczotach Marianna. Nigdy nie siadała na jego kolanach, lecz teraz było to bardzo na miejscu. Poza tym podniecały ją niezmiennie jego bliskość i jego podniecenie. Drżącymi rękoma zsunął jej pantofle i pończochy. Jakże знаła ten rytm przyspieszonego oddechu i mięśni zaciskających się szczęk.

— Nie, to niepodobieństwo — myślała Wanda — by dziś zdradzał mnie z inną.

Następna godzina przekonała ją o tym jeszcze bardziej.

— W czymś musiałam się omylić — skonstatowała i opierając się na jego łokciu, zapytała głośno:

— Słuchaj, czy jesteś pewien, że... nie zaraziłeś mnie?

Jego głowa bezsilnie leżąca na poduszce nie poruszyła się, tylko oczy otworzyły się szeroko zdziwieniem. Widocznie nie zrozumiał pytania.

— Pytam, czy jesteś pewien, że kobieta, którą tutaj dziś miałeś, jest zdrowa? Czy ta druga twoja kochanka jest zdrowa?

Wpatrywała się weń badawczym wzrokiem, lecz on nie zakrył powiek.

— Mylisz się — powiedział spokojnie — nie mam żadnej kochanki poza tobą.

W jego głosie zabrzmiał jakby smutek i Wanda poczuła do siebie żal, że pozwoliła sobie na tak nieprzemyślane i ostre postawienie sprawy.

— Wierzę ci... Chcę ci wierzyć — poprawiła się — jednak nie zaprzeczysz chyba, że była tu dziś u ciebie kobieta?

Uśmiechnął się błado i odpowiedział:

— Owszem, była. Ta kobieta jednak nie jest moją kochanką.

Zawahała się chwilę, chciała zapytać, czym jest wobec tego, lecz uwierzyła mu, a to było najważniejsze. Wiedziała, że nie umie i nie lubi kłamać, wiedziała także, że znienawidzi ją, jeżeli go będzie indagowała. Należało zatuszować całą rzecz, by nie zostało po niej przykrego osadu w ich stosunku. Chciała tego także i dla siebie, jakiegoś ostatecznego wyjaśnienia, lecz zbyt dobrze znała Dziewanowskiego, by być pewną, że on nic więcej nie powie z własnej woli, wywieranie zaś nacisku byłoby równoznaczne z wprowadzeniem

Seks, Pożądanie

⁵⁰Rilke, Rainer Maria (1875–1926) — austriacki poeta, prekursor egzystencjalizmu. [przypis edytorski]

⁵¹Proust, Marcel (1871–1922) — francuski pisarz, krytyk literacki i eseista, autor m.in. *W poszukiwaniu straconego czasu*. [przypis edytorski]

niepokoju, czegoś ze sprzeczki, czy z walki, czego on najwięcej się bał i najstaranniej unikał.

— Nie myśl, że jestem zazdrosna — uśmiechnęła się doń — najlepszy dowód, że zostałam z tobą. Zresztą wierzę ci. Zbyt jestem leniwa, by zadawać sobie trud powątpiewania. Po prostu chciałam zaimponować ci zdolnościami detektywскими mojej intuicji.

Musnęła jego wargi końcami palców i dodała:

— Lubię cię za wszystko, nawet za to, że takiego drobnego wtargnięcia w twoje osobiste sprawy nie umiesz mi przebaczyć.

Chciał coś powiedzieć, lecz przeczuła słowa niemiłe i zakryła mu usta dłonią:

— Nie, nie mów. Obawiam się, że dziś mam zły dzień. Nowej serii krzywdzących wyrazów byłoby już za wiele. Na dziś dość już miałam... Widzisz, gdyby nie to, nie miałbyś powodu czuć do mnie niechęci.

W milczeniu przytulił ją mocno i słodko, jakby chciał ją tym gestem zapewnić, że niechęć już uleciała i że pragnąłby zapomnieć o wszystkim, co ich na chwilę rozdzieliło.

Nie chciała, by ją odprowadzał. Pomimo bardzo późnej godziny ulice Śródmieścia nie groziły przecie żadnym niebezpieczeństwem, a poza tym przyszło jej na myśl, że odprowadzał już tamtą.

Na zegarze w jadalni biła trzecia, gdy wróciła do domu. W pokoju Szczedronia było jeszcze światło. Pracował. Tym razem nie zadrżała do niego. Przede wszystkim powrót o tej porze nasunąłby mu zjadliwe podejrzenia, gotówby zrobić jakąś aluzję na temat rekompensaty udzielanej przez krzywdziciela, a tego nie zniosłaby, tego jednego: zbyt wiele trudu kosztowało ją uwierzenie Marianowi, by zaryzykowała teraz zachwianie tej wiary.

Po wtóre czuła do Szczedronia urazę, że jest takim gburem, który może ją bić, potraćać i znęcać się nad nią. Wprawdzie nie robi tego, ale mógłby.

Szybko przeszła do siebie, zamknęła drzwi na klucz i zaczęła się rozbierać.

ROZDZIAŁ 4

— Popeliła pani błąd — zaczął Minz, niechętnym ruchem wskazując Annie krzesło — otrzymałam dziś jeszcze dwa zażalenia, zaś państwo Ropczyccy żądają zwrotu sumy wpłaconej za wycieczkę, gdyż wrócili osobno i na własny koszt.

— Z punktu widzenia prawa... — zaczęła Anna.

— W interesie nie ma takiego punktu widzenia, gdy chodzi o klienta — niegrzecznie przerwał Minz. — Ropczycki jest prezesem związku ziemian na Kujawach, ma szerokie stosunki i nie tylko trzeba mu będzie zwrócić te pieniądze, lecz będę musiał osobiście go przeprosić. Rozumie pani? Zresztą trzy dni temu nikt inny, tylko właśnie pani dowodziła mi tu, że formalistyka prawna jest dobra dla urzędów państwowych. Chodziło wówczas o przegapienie wizy zbiorowej na tranzyt przez Czechosłowację. A teraz wyjeżdża mi tu pani z prawem.

Sapał coraz głośniejszym i mówił coraz grubszy basem, co było nieomylnym znakiem, że z wysiłkiem panuje nad swą irytacją. Anna bała się go w takich chwilach, nie mogła jednak z pokorą całej winy przyjąć na siebie.

— Wtedy było co innego — bąknęła.

— Właśnie — stuknął grubym palcem w biurko — nie o to zresztą chodzi. Wenecka wycieczka przyniosła „Mundusowi” takie straty w opinii publicznej, że wprost nie wiem, kiedy zdołamy to zatuszować. Ostrzegałam panią przed powierzeniem kierownictwa wycieczki człowiekowi, który nie ma najmniejszego pojęcia o tych sprawach.

— Jest niezwykle inteligentny, panie dyrektorze, a poza tym nie wiem, czy jest w Polsce ktoś, kto lepiej znałby Wenecję i całe w ogóle Włochy.

— Mówiłam już pani wtedy — zmarszczył brwi Minz — tu potrzebna była nie inteligencja i znawstwo, lecz spryt, orientacja, energia i znajomość tego rodzaju imprez. To niesłychane! Zmuszać ludzi do nocowania na dworcu, wpakować ich do takich autokarów...

— Zmieniono rozkład jazdy...

— Od tego jest przewodnik, by wszystko zawczasu zbadać!... Skąd w ogóle pani go wystraszyła?!

Anna zbladła i zacięła usta:

— Pan dyrektor wyraża swoje niezadowolenie słowami takiego gatunku, że... daruje pan...

— Nie chciałem, do licha, pani obrazić — hamował się Minz.

— Znikąd go nie wystraszę. Przed trzema miesiącami ubiegał się o to właśnie stanowisko, które pan mnie powierzył. Ponieważ zaś znajduje się w nader trudnych warunkach materialnych...

— Nie jesteśmy instytucją filantropijną. Zechce pani o tym pamiętać. Ani filantropijną, ani klubową, czy... tam... buduarową. Tu nie ma znaczenia, czy ktoś jest biedny, czy bogaty, czy jest przystojny, sympatyczny, czy gra w brydża, czy na flecie! To jest obojętne!

— Jednak właśnie pan dyrektor zalecił wybieranie na przewodników ludzi towarzysko obytych i sympatycznych — zauważyła z triumfem.

— Owszem, ale to jest drugorzędne i bardzo mi hm... przykro, że pani, jako kierowniczka działu tak odpowiedzialnego, tego nie zauważyła.

Annie mocniej zabiło serce:

— Aha — pomyślała — o to chodzi. Dlatego przyczepił się do weneckiej wycieczki i do Dziewanowskiego, że chce dać mi dymisję...

Przeraziła ją ta myśl. Dymisja, utrata posady właśnie teraz, byłaby zupełną katastrofą. Należało się bronić, należało za każdą cenę zostać. I w chwili, gdy to skonstatowała, nie mogła się powstrzymać, by nie stanąć w obronie swej ambicji, chociaż wiedziała dobrze, że może tym zaszkodzić sobie jeszcze bardziej.

— Jeżeli nawet popełniłam błąd, pan dyrektor zrobił to również, powierzając tak odpowiedzialne stanowisko tak nieodpowiedzialnej osobie jak ja.

Wypaliła to jednym tchem, nie patrząc na dyrektora. Minz aż podskoczył w fotelu:

— Co pani mówi?...

— Mówię, że widocznie nie nadaję się na to stanowisko. Ludzie angażujący nieodpowiednich podwładnych nie nadają się do ról kierowniczych.

Zerknęła ostrożnie na Minza. Jego szeroka twarz z wysoko podniesionymi brwiami i z otwartymi ustami wyrażała największe zdumienie. Anna nie miała już wątpliwości, że wyjdzie z tego gabinetu z wymówieniem posady. Trzeba zatem było brnąć dalej. Już chciała powiedzieć, że za osiemset złotych i tak za dużo pracuje, gdy Minz się odezwał:

— Widzi pani. Z tego, co od niej usłyszałem, powinien bym wyciągnąć daleko idące konsekwencje... hm... Jeżeli nie zrobię tego, to jedynie dlatego, że jestem w pewnej mierze wyrozumiały... hm... Dziwi mnie tylko jedno: pani nie zdaje sobie sprawy z tego, że popełniła błąd! Nie czuje pani wcale, że powinna za to co robi ponosić całą odpowiedzialność. Gdyby miała pani większe poczucie odpowiedzialności, nie ryzykowałaby dobrem imieniem firmy dla własnej przyjemności dopomagania choćby najsympatyczniejszemu dla siebie człowiekowi. Więcej pani powiem: żaden mężczyzna nie zrobiłby tego. Jeżeli ja zaangażowałem panią, to złożyły się na to różne okoliczności... hm... W każdym razie nie pani uroda, czy wdzięk... hm... jakkolwiek trudno zaprzeczyć ich istnieniu... Zrobiłem próbę, która się nie powiodła... hm...

Anna czuła, że jeszcze chwila i nie zdoła powstrzymać łez:

— Mogę ustąpić... — powiedziała drżącym głosem.

— Nie o to chodzi — stanowczo przerwał Minz — chcę tylko, by pani zrozumiała, że nie mogę mieć nadal zaufania do jej poczucia odpowiedzialności. Dlatego od dziś dnia proszę, by zechciała mi pani każdorazowo przedstawiać kandydatów na przewodników. Hm... i w ogóle wszelkie personalne sprawy proszę mi przedkładać do decyzji. Sądzę, że takie ograniczenie pani kompetencji zostanie przez nią samą uznane za słuszne.

Anna nic nie odpowiedziała. W gruncie rzeczy nie czuła się tym wcale dotknięta. Nie zależało jej bynajmniej na takich rzeczach. Minz chrząknął i dodał:

— Co zaś dotyczy reszty wynagrodzenia dla tego, jak mu tam... Dziewanowskiego, to jest wykluczone. Asygnaty nie podpiszę. Zechce ją pani zniszczyć. I tak dostał niestety za dużą zaliczkę. Właściwie powinien jeszcze zapłacić karę.

— Jestem przekonana — zauważyła Anna — że pan Dziewanowski zwróci się do Sądu Pracy i sprawę wygra.

— Możliwe. Dobrowolnie mu nie zapłacę.

— Przyjdą koszty sądowe.

— To trudno.

Anna była zrozpaczona. Wiedziała z całą pewnością, że Marian za żadne skarby do sądu się nie zwróci. Chciał przecie oddać nawet zaliczkę. Tymczasem pozostałe trzysta złotych miały już swoje ścisłe przeznaczenie. Były wprost konieczne: kołnierz do futra, rękawiczki, przynajmniej sześć koszul i najpilniejszy kapelusz. Ostatecznie rękawiczki przyjmie od niej, ale koszule i kołnierz... Już dwa razy przesyłała Minzowi asygnatę do podpisu. Myślała, że w pośpiechu nie zauważy. Postanowiła targować się:

— Obiecałam mu, że jeszcze w tym tygodniu dostanie. Może wypłaci mu pan dyrektor chociaż dwieście? Bądź co bądź...

— Ani grosza — stanowczo przerwał Minz.

— Stawia mnie pan w nad wyraz przykrym położeniu.

Minz oburzył się:

— Pani sobie żartuje?!... Jest pani urzędnikiem Towarzystwa Mundus, a że to pani prywatny znajomy, to mnie nic nie obchodzi. Jeżeli zaś pani chce... nie mogę hm... zabronić jej wypłacić tę kwotę z własnej kieszeni.

— Będę musiała to zrobić.

— Proszę bardzo.

— Nie rozporządzam jednak taką sumą. Czy mogłabym prosić pana dyrektora o zaliczkę?... Spłacam ją w ciągu trzech, w ciągu dwóch najbliższych miesięcy.

— Nie, proszę pani. W innych warunkach nie odmówiłbym, ale teraz w ogóle dziwię się, że mogła pani spodziewać się tego po mnie.

— Przepraszam pana dyrektora — wstała z oficjalną miną, skłoniła się sztywno i wyszła.

Oczywiście w uporze Minza musiało coś tkwić. Anna przypomniawszy sobie teraz, co raz pewnego mimo woli doleciało ją z rozmowy koleżanek. Twierdziły, że „Minz kocha się w Leszczowej” i że dlatego zwolnił Komitkiewicza. Może to być wierutne głupstwo, nie jest jednak wykluczone, że skądś dowiedział się o Marianie...

— Mój Boże — myślała — skąd ja wezmę te pieniądze?

Ciotka Grażyna nie ma, Żermena nie pożyczki, pozostawała tylko Wanda, lecz zwrócenie się do niej byłoby czymś ohydny. Jeszcze przedwczoraj mogłaby prosić Kubę. Pomimo ciężkich czasów i kosztów sprawy rozwodowej na pewno znalazłby dla niej te trzysta złotych. Ale dziś nie mogła już o tym nawet myśleć. Z takim głuptasem... Gotów by podobną prośbę wziąć za zachętę do dalszej aktywności. No i ta aktywność!...

Anna na samo wspomnienie nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Bo wszystko to było bardziej komiczne niż obrzydliwe. Zaczęło się coś w tydzień po wyprowadzeniu się Żermeny. Kuba przyszedł do pokoju Anny z poważną i bolesną miną. Zapytał, czy nie przeszkadza, usiadł i nieznacznie podłubawszy w nosie oświadczył, że jest życiowym bankrutem, że Żermena porzuciła go samotnego w haniebny sposób, że czuje się nieszczęśliwy. Na uwagę Anny o przemijaniu tego rodzaju depresji chrząknął i powiedział:

— Gdybym miał taką żonę, jak ty... Ty nie postąpiłabyś jak Żermena...

Wyjął z kieszeni pudełeczko z miętowymi pastylkami, zjadł jedną, bardzo szybko ruszając szczęką, (jedzenie było jedyną czynnością, którą wykonywał szybko), po czym zapytał:

— A ty, ty też musisz się czuć samotnie?... Mąż w Poznaniu. Ja zawsze uważałem, że on ciebie nie kocha.

— Skądże ten wniosek?

— Pozwolił ci odjechać.

— To była konieczność — wzruszyła ramionami Anna.

— Ja za żadne skarby nie pozwoliłbym.

Przysunął się do niej tak, że zalecał ją odór nieświeżego oddechu i mięty.

Jednocześnie Kuba nieśmiały, ale zdecydowanym ruchem położył dłoń na jej nodze.

— Takie masz nóżki — westchnął.

— Zwariowałeś, Kubusiu! — zaśmiała się rozbawiona.

— Dlaczego?

— Mam wrażenie, że się do mnie zalecasz.

— I cóż w tym nienormalnego? Jesteśmy oboje samotni, pod jednym dachem... Ty zawsze bardzo mi się podobałaś, a przecież lubisz mnie, prawda?... Prawda?...

Przesunął dłoń wzdłuż łydki i Anna zauważyła, że ma brudne paznokcie.

— Przestań — powiedziała łagodnie i stanowczo — weź rękę i zachowuj się przyzwoicie.

— Dlaczego, dlaczego — powtarzał i dysząc coraz szybciej przygarnął ją do siebie. Jednocześnie nagle ruchem wpakował rękę pod suknię. Jakie to było wstrętne. Powyżej pończochy uczuła dotyk lepkawej spoczonej dłoni. Odepchnęła go z całej siły i zerwała się na równe nogi:

— Wynos się zaraz. Zachowujesz się, jakbyś był pijany — zawołała.

— Co ci szkodzi — bełkotał — Anko, co ci szkodzi?...

— Jesteś wstrętny, wynos się zaraz. Nigdy nie przypuszczałam, że może mnie to od ciebie spotkać. Wynos się.

Kuba stał z bezradnie opuszczonymi rękami i z lekko obwisłą wargą.

— Zostaw mnie samą! Proszę cię!

— Aha, widzisz! — wyciągnął wskazujący palec gestem upomnienia — ty sama się palisz! Oczywiście! Palisz się! Zobacz w lustrze. Masz ot takie rumieńce. I nie udawaj, że ci się nie chce!

Anna na mgnienie osłupiała i wybuchła głośnym, szczerym śmiechem. Kubuś wyglądał tak zabawnie, że był wprost karykaturalny. I Boże, jakież naiwny. Bez ceremonii wypchnęła go za drzwi. Przez cały dzień namyślała się, czy nie powiedzieć o wszystkim jego matce, lecz doszła do przekonania, że sprawiłaby jej tym ogromną przykrość, i to całkiem niepotrzebnie. Kuba zachowywał się normalnie: przy kolacji jadł nieestetycznie, drapał się po różnych peryferiach ciała, dłubał w zębach i wciąż miał brudne ręce. Na Annę wcale nie zwracał uwagi.

Już myślała, że wyperswadował sobie amory, gdy około dziesiątej wieczór, kiedy pani Grażyna udała się na spoczynek, Anna usłyszała skrzyp klamki. Właśnie rozbierała się. Prędko narzuciła szlafrok, w samą porę, gdyż wszedł bez pukania.

— Kuba — krzyknęła głośnym szeptem — proszę natychmiast wyjść, natychmiast!

Nie ruszał się z miejsca, wpatrując się w nią wylupiastymi oczyma. W wygniecionej i niedopiętej pidżamie wyglądał odrażająco i pociesznie. Kłaki czarnego włosia na piersi sprawiały wrażenie czegoś niechlujnego i zapuszczonego.

— Wyjdź zaraz! — powtórzyła Anna.

Nagle, najniespodziewaniej rzucił się przed nią na kolana:

— Anko! — bełkotał — Anko — ja ciebie stanowczo kocham... Ja bez ciebie nie wytrzymam... Ja jestem taki nieszczęśliwy!... Anko... nie odpychaj mojej miłości!...

— Ależ Kuba! — przestraszyła się — oszalałeś?!

— Pokochaj mnie — chwycił ją za nogi i przycisnął głowę do jej kolan — pokochaj, no co ci szkodzi, ja ciebie kocham...

Silnym szarpnięciem wyrwała się. Była przekonana, że dostał pomieszenia zmysłów. Sama nie wiedziała co ma zrobić.

Kuba nie podnosząc się z kłęczek zakrył twarz rękami i zaczął szlochać. Naprawdę płakał, a łzy ściekały mu po palcach.

Zaczęła łagodnie tłumaczyć mu, że powinien wziąć bromu⁵² i położyć się, że jest zdenewrowany, że trzeba panować nad sobą i nie pleść takich głupstw. Mówiła długo i, jak sądziła, przekonywująco. Kuba zdawał się słuchać z uwagą. Przestał płakać, otarł rękawem mokrą twarz i wstał. Przez chwilę rozglądał się niezdecydowanie, jakby mierzając odległość dzielącą go od Anny, która przezornie stała za stolikiem, wreszcie westchnął:

— To trudno... Pójdę. Dobranoc.

Odetchnęła z ulgą i już bez obawy podała mu rękę. Za późno zorientowała się, że był to podstęp. Chwycił ją z całych sił w pasie i zaczął całować po twarzy i po szyi. Było to tak niespodziewane, że aż straciła oddech.

Sapiąc i ściskając coraz mocniej, przewalił się z nią na łóżko. Wówczas krzyknęła głośno:

⁵²wziąć bromu — brom w przeszłości był stosowany jako środek uspokajający. Obecnie praktyka ta nie jest zalecana ze względu na dowiedzione skutki uboczne. [przypis edytorski]

Przemoc

Przemoc

— Ciociu! Ciociu!

To wystarczyło. Puścił ją natychmiast i prędko wyszedł z pokoju. Anna długo nie mogła zasnąć. Przede wszystkim zamknęła drzwi na klucz, co okazało się uzasadnioną ostrożnością, gdyż po upływie niespełna godziny usłyszała kilkakrotne naciśnięcie klamki.

Niebywały ten atak śmieszył ją poza wszystkim innym⁵³. Nigdy nie wyobrażała sobie, by jakikolwiek mężczyzna, bodaj taki głuptas jak Kubuś, takich się chwycił sposobów dla uwiedzenia kobiety: płakał! Mówił o miłości!... Widocznie w prędkim czasie chciał wypróbować wszystkie znane sobie sposoby od namowy do zwykłej kopulacji, poprzez miłość i litość aż do gwałtu i przemocy.

Pomimo wszystko nie była nań obrażona i nie bała się go wcale. Za mało w ogóle mógł wchodzić w rachubę. Ponieważ jednak nazajutrz ciotka Grażyna wyjechała do Torunia, rzecz zaczęła się inaczej przedstawiać. Po przyjeździe na obiad Anna zauważyła, że klucz od drzwi jej pokoju zniknął. Był to oczywiście nowy pomysł obłączniczy pocziwego Kubusia. Na taką jednak sytuację Anna nie chciała się narazić. Nie wątpiła, że w jakiś sposób potrafiłaby dać sobie radę, lecz przejmowała ją wstrętem sama myśl, że może ponownie stać się przedmiotem czegoś tak wulgarnego, jak atak pożądliwości Kuby.

Długo zastanawiała się, gdzie przenocować. Najznośniej byłoby zaprosić się do Szchedroniów, nie zrobiłaby jednak tego za żadne skarby. Ostatecznie jedną noc można spędzić w hotelu. Koszt kilkunastu złotych w obecnych warunkach nie był jednak do zlekceważenia. Przez chwilę zatrzymała się przy myśli o pokoju Mariana, lecz natychmiast odrzuciła tę ewentualność: on sam byłby tym zaskoczony, a może nawet komentowałby to zupełnie inaczej. Gotów by podejrzewać ją, że chwyci się takiego wybiegu, w nadziei, że noc razem spędzona doprowadzi wreszcie do radykalnej zmiany. Nie, to do niczego. Tym bardziej, że Marian krępowałby się służącej, krępowałby się z powodu różnych braków w urządzeniu mieszkania, no i przykro byłoby mu na pewno, gdyby Anna spotkała na przykład w przejściu do pokoju kąpielowego jego stryjenkę.

Pani Dziewanowska wprawdzie nie wtrącała się nigdy do ściśle prywatnych spraw Mariana, ale trudno przypuścić, by tego typu „zadomowienie się” obcej kobiety zechciała tolerować. I tak właściwie mówiąc robiła mu łaskę, dając darmo mieszkanie i utrzymanie. Anna zaś nie zrobiłaby niczego, co mogłoby pogorszyć i tak bardzo skromne warunki materialne Mariana. Przecie jak dziecko cieszyła się, gdy mogła mu zrobić tę podróż do Wenecji. Całymi dniami obmyślała przeznaczenie dla każdych pięciu złotych, które zarobi dzięki tej wycieczce.

A teraz ten Minz... To jednak zły człowiek. Może nie zły, ale oschły i nieuczynny. Że jakieś głąby, snoby, nowobogaccy itp. kręcili nosem na organizację wycieczki, to już zupełnie zapomniał, że oni wszyscy razem wzięci nie są warci jednego palca takiego człowieka, jak Dziewanowski!...

Jednak muszę, muszę koniecznie — powtarzała sobie co kilka minut — wydobyć dlań te trzysta złotych.

Ponieważ jednak nie mogła nic wymyślić, popadła w przygnębienie. Wszystkie sprawy biurowe stały się nagle ciężkie, nudne i obojętne. Automatycznie wynotowywała daty i godziny z rozkładów kolejowych, niechętnie obliczała rabat udzielany Mundusowi, przerzucała stosy prospektów i korespondencji.

A tak dobrze wszystko sobie ułożyła: trzy lub cztery razy w roku Marian zarobi ekstra po kilkaset złotych i będzie miał przyjemne zajęcie, które oderwie go od tego samobójczego trybu życia w czterech ścianach. Uplanowała, że dzięki częstym wyjazdom pozbędzie się skłonności do apatii, że zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym doskonale mu to zrobi.

A tymczasem teraz nie mogło być mowy o powtórnym wysłaniu go na wycieczkę. Minz za nic się na to nie zgodzi. Tak, póki rządzi tu Minz, wszystkie plany są nieaktualne. Życie jednak jest naprawdę ciężkie i bezlitosne...

Wybiła szósta i do boksu weszła panna Kostanecka z teczką do podpisu pod pachą.

— Już szósta, proszę pani — powiedziała wesoło.

⁵³Niebywały ten atak śmieszył ją poza wszystkim innym. — molestowanie seksualne oraz próba gwałtu, których doświadczyła Anna, zostały tu przedstawione jako „zabawne sytuacje”, wywołujące pobłażliwy uśmiech u bohaterki. Perspektywa taka, bagatelizująca samo zdarzenie, i zupełnie nieadekwatna wizja podobnych doświadczeń stanowi przyczynek do studium obyczajów l. 30. XX w., kiedy powieść powstała. [przypis edytorski]

Anna westchnęła i jednakowym ruchem pióra stawiać zaczęła pod stempelkiem wprawne litery: Anna Leszczowa, Anna Leszczowa, Anna Leszczowa... Dopiero przy końcu teczki przypomniała sobie, że należy przejrzyć listy... Buba jest bardzo miła, ale robi dużo błędów przez roztrzępianie.

— Czemu pani jest dziś taka smutna? — współczująco odezwała się Buba.

— Któż z nas nie ma zmartwień — znowu westchnęła Anna — zmartwień, kłopotów...

— Pani ich mieć nie powinna — oburzyła się Buba.

— Owszem mam. Na przykład nie mogę dziś nocować w domu... Remont, mały remont, a nie cierpię hotelu.

— Pani Anno! — klasnęła w ręce Buba.

— Co się stało?

— Kochana, droga pani Anno! Ależ to świetnie, to świetnie. Nie, pani mi tego nie odmówi! Prawda?

— Ależ czego nie odmówię? — nie mogła powstrzymać uśmiechu Anna.

W gruncie rzeczy bardzo lubiła Kostanecką, najbardziej ze wszystkich panien w Mundusie. Zdawała sobie sprawę, że to jeszcze gąska, że jako pracownica ma poważne wady, że jest poza tym dość próżna, lecz Buba miała tyle wdzięku, że ten rekompensował strony ujemne z nawiązką.

— Droga pani Anno — chwyciła ją Buba za rękę — droga pani, niech mi pani zrobi tę łaskę i przenocuje u nas. Mamusia bardzo, ale to bardzo się ucieszy, ja jej tyle o pani opowiadałam. Obie kochamy, wprost kochamy panią. Ja wcale nie przesadzam. Zrobi to pani dla mnie, błagam panią?!

— Sama nie wiem — zastanowiła się Anna.

— Błagam!

— Czy nie sprawię swoją gościną dywersji⁵⁴...

— Żadnej, absolutnie żadnej. Mamy dość duże mieszkanie, są pokoje gościnne, ale jeżeli pani pozwoli, to ja będę taka szczęśliwa, jeżeli zechce pani zanocować w moim. Zrobię wszystko, żeby pani było wygodnie. Zresztą, jak pani każe, tylko proszę nie odmawiać!

Anna nie miała lepszego wyboru i zgodziła się. Drobne obiekcje, jakie jeszcze miała, zostały ze strony Buby w bardzo kulturalny sposób usunięte. Mianowicie w niespełna kwadrans po ich rozmowie zadzwoniła do Anny pani Kostanecka z całą serdecznością powtarzając zaproszenie córki.

— Pójdziemy wprost z biura do nas — zapowiedziała Buba — prawda?

— Właściwie musiałabym wstąpić po niektóre rzeczy.

— Nie, nie, nie trzeba. Już tam wszystko dla pani przygotowane.

— Nawet szcztotka do zębów? — zaśmiała się Anna.

— Ależ oczywiście.

Przed wyjściem Anna zatelefonowała do Dziewanowskiego, lecz nie zastała go w domu. W ostatnich czasach zdarzało się to dość często, odkąd jego siostra zamieszkała w Świdrze⁵⁵ i zapraszała do siebie Mariana na cały dzień. Anna nie знаła Ireny Dziewanowskiej. Niezbyt też dużo o niej wiedziała, gdyż Marian nie lubił mówić o siostrze ani o pozostającym pod jej opieką biednym Kazimierzu. Tylko od czasu do czasu wspominał, że stan zdrowia jego starszego brata wciąż się pogarsza, że melancholia robi niebezpieczne postępy, a w urwanych nogach zaczyna się próchnica kości⁵⁶. Z nielicznych wzmianek o Irenie mogła wywnioskować, że ta również przeszła jakąś tragedię, która w fatalny sposób odbiła się na jej psychice.

Anna nigdy tego nie powiedziała, lecz była przeświadczona, że wszystkim nieszczęściom w rodzinie Mariana, jego własnej niezaradności, kalectwu Kazimierza i tragedii Ireny winna była ich matka i owa potworna miss Trusby. Anna zbyt kochała jasną, choć mglistą pamięć własnej matki, by nie cofać się z szacunkiem przed robieniem jakichkolwiek zarzutów nieboszczce pani Dziewanowskiej.

Choroba, Wina, Kaleka

⁵⁴dywersja — tu w znaczeniu: kłopotu, dezorganizacji, problemu. [przypis edytorski]

⁵⁵Świder — daw. miejscowość w okolicy Warszawy nad rzeką Świder, obecnie część Otwocka. [przypis edytorski]

⁵⁶próchnica kości — wł. martwica kości. [przypis edytorski]

Gdy Marian jednak opowiadał z właściwym sobie spokojem, jak im, nieletnim dzieciom, matka kazała asystować przy porodzie, jak musieli codziennie pod komendą miss Trusby odbywać razem gimnastykę całkiem nago, ogarniało ją uczucie przerażenia. Wolnomyślność matki, jej działalność rewolucyjna — wszystko to było nawet piękne. Ale przeprowadzanie tego rodzaju eksperymentów na własnych dzieciach...

Tu przed oczyma Anny jak żywa stawała jej własna śliczna kruszynka.

Nie. Tego nie mogła zrozumieć. Ona, Anna, nie umiałaby z zimną aprobatą patrzeć na błędy swojej córki, nie umiałaby popchnąć swego syna, zaledwie młodzieniaszka, na barykady, gdzie bomba urwie mu stopy!

Miss Trusby, ta obrzydliwa skostniała w doktrynerstwie stara panna była winna wszystkiemu.

Nieraz w wyobraźni Anny stawały te dwie stare i surowe kobiety, gdy nocą wyprawiły nieszczęsnego Kazika z bombą na pokrwawioną ulicę, na pewną śmierć. Nie, dla największej, dla najszczytniejszej idei tego zrobić nie wolno! To jest przeciwne życiu.

Tu Annie przypomniał się rok 1920⁵⁷. W krótkiej sukience stała na Krakowskim Przedmieściu obok ciotki Grażyny. W rękę trzymała kwiaty i oczy miała pełne łez. W upale, środkiem ulicy szły miarowym krokiem szeregi. Na śmierć!

— Idą umrzeć za ojczyznę — mówiła dumnie pani Grażyna.

— Zwycięstwo! — krzyczały wokół głosy. — Na front! Na wroga!

I zewsząd sypały się kwiaty, pod ciężkie zakurzone buty, na stalowe hełmy i garby plecaków. Anna też rzuciła im swoje pod nogi, lecz ręce jej tak drżały, że kwiaty rozsypały się tuż przy brzegu.

— Na wroga! Za ojczyznę — krzyczały wysokie podniecone głosy.

Rozejrzała się: tłumy kobiet o rozplamionych oczach, z wypiekami na policzkach: tak, to one, one wszystkie wysyłają tych chłopców na śmierć... Wieczorem tegoż dnia pani Grażyna wymówiła dom siostrzeńcowi swego męża. Anna lubiła Władka i często z nim wówczas rozmawiała. Władek uchodził za cynika, a że nie miał prawej ręki, ciotka Grażyna twierdziła, że dlatego właśnie nienawidzi wojny, że sam nie może stanąć w szeregach obrońców.

Władek powiedział wtedy:

— Cioci się zdaje, że cioci i wszystkim innym kobietom chodzi o ideę, o ojczyznę i tak dalej. To tylko głos plazmy: chcecie, by mężczyzna był dziki, krwiożerczy, by mordował i palił, a gdy będzie już dostatecznie zwierzęciem, przesiąkniętym zaduchem krwi, wtedy otworzycie dlań ramiona. Matki spartanki czy średniowieczne damy serca, czy milionerki amerykańskie, rzucające młodym rybakom złote monety między rekiny, czy buszmenki judzące swych mężczyzn do rzezi, wszystkie niczym się nie różnią od tej, co cisnęła rękawiczkę do klatki z dzikimi zwierzętami.

— Proszę cię, umilknij! — surowo przerwała pani Grażyna. — Błuźnisz.

— Nie bluźnię — wzruszył ramionami — tylko ludzie zbyt wiele brudnych instynktów i perfidnych świństw otoczyli aureolą świętości. Zrobiono z nich tabu, by odstraszyć myśl człowieka od rewizji, od analizy. Stąd dochodzenie prawdy zawsze nazwicie bluźnierstwem. Nie znam bardziej absurdałnego terminu: bluźnierstwo!... Rozumiem, że jest kłamstwo i prawda, i obelga. Obelga rzucona na prawdę nie jest niczym innym niż kłamstwo. Prawdy ani skrzywdzić ono nie może, ani pomniejszyć. Tak samo jak kłamstwo nie zdoła jej przykryć. Wrzeszczą kobiety: za ojczyznę!... A czują: chcemy dzikich, brutalnych samców.

Anna wraz z Wandą już wcześniej zostały wyprawione z pokoju, lecz wszystko słyszały przez drzwi. Gdy pani Grażyna wyprosiła wreszcie Władka, uważała za stosowne obu dziewczynkom obszernie wyłożyć na czym polega błędność rozumowania takiego cynika jak Władek.

We wspomnieniach Anny cała ta awantura zostawiła nikły ślad, który uwypuklił się dopiero wówczas, gdy Marian opowiadał historię kalectwa swego brata. Cyniczne i obrażające poglądy Władka nabrały jakiegoś nowego sensu, jakichś nowych konturów, któ-

Matka, Dziecko

Wojna, Śmierć bohaterska,
Ojczyzna

Mężczyzna, Kobieta,
Pożądanie

⁵⁷rok 1920 — podczas wojny polsko-bolszewickiej w sierpniu 1920 roku rozegrała się Bitwa Warszawska. [przypis edytorski]

rych Anna wolała nie uzmysławiać sobie zbyt wyraźnie, gdyż odpychały ją czymś obcym, czego ani rozumieć, ani czuć nie chciała.

Z tego wszystkiego aura rodzinna otaczająca Mariana wydawała się jej czymś nieskończenie smutnym, beznadziejnym i bolesnym, zmuszającym jednak do tym większego nasilenia uczuć dla niego. Ilekroć o tym myślała, przypominał się jej zakątek ogrodu u ojca. Rosły tam pod szklanym daszkiem kaktusy, w których kochał się stary ogrodnik. Gdy ogrodnik umarł, nikt już nie miał czasu ani ochoty zajmować się tymi dziwnymi roślinami. Cherlały, schły, wymierały. Były skazane na wymarcie, tak jak rodzina Mariana.

Nieraz jako mała dziewczynka biegała w kąt ogrodu i godzinami latała dziury w szybach, wyrwała zielska, podlewała kaktusy wodą, a gdy wciąż więdły i zanikały, siadała i patrzyła przerażonymi oczyma na ten żywy jeszcze cmentarz z całym poczuciem własnej bezsily. Kilka razy molestowała o nie nowego ogrodnika, ojca, a nawet różne przygodne osoby: trzeba je ratować!... I zawsze odpowiadano jej wzruszeniem ramion:

— Ani to ładne, ani potrzebne.

Jakby tylko to, co ładne lub potrzebne miało prawo do życia!...

Ale Marian przecie jest potrzebny. Człowiek o takim umyśle, o takiej inteligencji i o tak pięknej duszy, o takim kryształowym charakterze! Gdyby taki Minz czy setki i tysiące przeciętnych zjadaczy chleba umieli domyśleć się, kim on jest! Służyliby mu jak najlepszemu spośród siebie i mówiliby:

— Oto jest kwiat ludzkości, oto chluba wieków kultury, oto szczyt ducha.

Gdyby mogła chwytala by ludzi za rękawy i krzycza la by gło śno:

— Stójcie! Stójcie i patrzcie, nie przejdzie żaden z was mimo, skoro go tylko pozna i zrozumie.

A chociaż nie mogła tego zrobić, ogarniała ją duma, że właśnie ona to wie, że ten człowiek przed nią otwiera skarby swego ducha, że kocha ją i sam pragnie jej miłości.

Anna nie zawsze mogła nadążyć jego myślom, nie zawsze umiała uchwycić treść tego, co mówił, lecz zdolna była całymi godzinami słuchać go, nawet nie rozumiejąc. Wystarczyło jej przeświadczenie o ważności każdego słowa Mariana, świadomość, że słowa te są przeznaczone dla niej i że głos jego jest taki wówczas ciepły i łagodny w brzmieniu.

Już to jedno, że wolno jej było dbać o poziome codzienne sprawy jego egzystencji dawało Annie dużą dozę szczęścia. Że szczęście to nie było kompletne, że nie znajdowało swego całkowitego wyrazu — na to nie było rady. Usiłowała przekonać siebie, że właśnie dzięki temu szczęście jej jest jakiegoś wyższego, nieprzeciętnego, nadludzkiego gatunku.

Dlatego też łatwiej jej było tłumić zazdrość. Wieloma argumentami próbowała przekonać siebie, że nie wolno tu stosować szablonowych miar. Miłość Mariana nie ulegała przecie najmniejszej wątpliwości. Równie pewne było to, że nikogo poza nią nie kochał. Gdy spytała go raz, czy kocha jeszcze Wandę, odpowiedział:

— Nie kocham i nigdy jej nie kochałem.

Czegóż mogła żądać ponadto?... A jednak gryzły ją i dręczyły podejrzenia: wiedziała, że spotyka się z Wandą w Kolchidzie, że rozmawiają ze sobą, a może... może nawet widują się w cztery oczy.

Do boksu weszła rozpromieniona Buba:

— Już po siódmej, kochana pani Anno!

— Zaraz kończę.

— Idziemy! Nie ma pani pojęcia, jak strasznie się cieszę.

Państwo Kostaneccy mieszkali w pobliżu na ulicy Moniuszki. Anna wiedziała, że są to ludzie zamożni, gdyż pan Kostanecki zajmuje w przemyśle metalowym jakieś poważniejsze stanowisko, nie przypuszczała jednak, że mieszkają aż tak wspaniale: rodzina z czterech osób zajmowała dziesięciopokojowe prawie pałacowe mieszkanie na drugim piętrze, umeblowane ślicznymi starymi mahoniami.

— Jak tu u pani ładnie — powiedziała Anna.

Pani Kostanecka, siwa starsza pani o żółtej cerze, szczupła i niepozorna w swojej popielatej sukni, uśmiechnęła się życzliwie:

— Tym mi przyjemniej, że się pani u mnie podoba. Ze swej strony muszę powiedzieć, że pomimo wszystkich zachwyków i superlatywów, jakimi Buba zawsze mówiła o pani, nie spodziewałam się, że jej zwierchniczka jest aż tak sympatyczna.

Zaraz po nich przyszedł brat Buby, wysoki szczupły młody człowiek. Przywitał ją z daleka, na usprawiedliwienie pokazując czarne od smarów ręce:

— Panie wybaczą, kicha mi w drogę nawaliła, świecę zarzuciło, no i przejechałem cielę. To pech, prawda? Zaraz doprowadzę się do porządku. Przepraszam bardzo.

Był brzydki, mocno rudawy i piegowaty, lecz Annie podobał się swoim swobodnym sposobem bycia.

— Pani brat — zapytała Buba — ma swój samochód?

— Tak i cierpi na istny szal automobilowy — zaśmiała się Buba — to jeszcze smarkacz.

— Aż smarkacz?!

— Ma zaledwie dwadzieścia pięć lat. Cóż to jest na mężczyznę?

Po odrobinie certacji ustalono, że Anna przenocuje w pokoju Buby. Wstawi się tam łóżko z pokoju gościnnego, gdzie jest, jak orzekła Buba, zanadto hotelowo.

Przed samą kolacją zjawił się pan Kostanecki, siwy, barczysty i nieco przygarbiony pan z sumiastymi wąsami. Miał sposób bycia starego szarmanda⁵⁸ w dobrym stylu i wyraźny akcent kresowy. Do szofera, który wniósł za nim paczki, do żony, syna i córki, do lokaja i pokojówki mówił per „kochassiu”, przy czym brzmiało to jak „kuchassju”. Po kilku minutach Anna tak się do tego przyzwyczaiła, że za każdym odezwaniem się pana Kostaneckiego do niej, oczekiwała również owego jowialnego „kuchassju”.

Kolacja była z trzech dań, bardzo smaczna i wykwinna. Oprócz pani Kostaneckiej i Anny wszyscy się do stołu przebrali: Buba w wieczorową suknię, jej brat w smoking, a ojciec w czarną marynarkę. Nastrój panował miły i prosty. Nietrudno było dojść do wniosku, że wszyscy oni nie tylko kochają się, lecz i lubią się wzajemnie.

— Nu, Rysiek — zapytał pan Kostanecki syna — jakże egzaminy kuchassju?... Zdałeś?

Młody człowiek skrzywił się:

— Przełożyłem na przyszły tydzień.

— Znowu? — wyrwało się Bubi.

— Widzi pani — zwrócił się do Anny z westchnieniem pan Kostanecki — jakie to troski z dziećmi. Pani tego nie zna.

— Pani Leszczowa, tatusiu — pośpieszyła wyjaśnić Buba — ma córeczkę. Malutką oczywiście. Nazywa się Litunia.

— Zdaje się ma trzeci roczek? — zapytała pani Kostanecka.

— Tak — odpowiedziała Anna — kończy trzy w październiku.

— A to jakże — wysoko poruszył wąsami pan Kostanecki — idąc do biura, zostawia ją pani w domu?

— Nie, proszę pana. Moja córeczka jest w Poznaniu przy ojcu.

— I nie tęskni pani? — z ukrywanym zdziwieniem zapytała pani Kostanecka.

— Bardzo. Ale nie ma rady. Muszę zarabiać, a w Poznaniu żadnej posady znaleźć nie mogłam.

Zapanowało milczenie, pan Kostanecki mruknął.

— Tak... tak...

— Bo kobiety nie powinny pracować — z niespodziewanym naciskiem odezwał się Ryszard.

— Czasami muszą — błado uśmiechnęła się Anna.

— Kobiety powinny wrócić do domu — apodyktycznie zawyrokował Ryszard.

— Rysiu — łagodnie upomniała go Buba — powtarzasz niemądre hasła, które, sam to rozumiesz, są tylko pustym frazesem.

— O, nie takim pustym. W dzisiejszych Niemczech, we Włoszech ten frazes realizuje się.

— Zobaczymy, co z tego będzie.

— Dobrze będzie.

— Albo źle — lekko zarumieniła się Buba. — Jak można w twoim wieku być tak zacofanym.

⁵⁸szarman — mężczyzna o doskonałych, wytwornych manierach. [przypis edytorski]

— Bubuś — bronił się młody człowiek — nie można najnowszych prądów nazywać zacofaniem. A pani odpowiem, że nie wierzę w to, by kobiety musiały pracować. Weźmy na przykład pani podwładną, a moją siostrę. Zarabia sto kilkadziesiąt złotych miesięcznie. I po co?

— Ty tego nie rozumiesz, bo sam nic nie zarabiasz — odcięła się Buba.

— Nie o to chodzi. Ale, proszę pani, Buba zabiera te sto z czymś złotych, na perfumy i szpilki komuś, kto utrzymałby za te pieniądze rodzinę.

— Nie przesadzaj. Może całe miasto utrzymałby? Poza tym ja nie jestem przykładem.

— Dlaczego nie? Takich panien jest mnóstwo. Weź chociażby te, które znamy, swoje koleżanki i przyjaciółki: Lina, Zosia Kaszewska, Tejmlerówna, Gwozdecka, panna Marta, Tula Leńska, tuziny! Jeżeli mi powiesz, że one muszą pracować, to zgoda. Ale sama wiesz, że bynajmniej tego nie potrzebują. Zabierają tylko miejsce innym.

— A chociażby — wtrąciła Anna — jeżeli nawet robią to dla polepszenia i tak do-
brych warunków materialnych, czyż nie wolno każdemu walczyć o najlepszy byt?

— Właśnie — przytaknęła Buba.

— Kobiety nie powinny brać w tej walce udziału. To rzecz męczyzny.

— Zatem kazałbyś mi siedzieć w domu i robić robotki szydełkowe w oczekiwaniu na męża?

— Kazałbym! — przyjął wyzwanie Ryszard — jest to znacznie stosowniejsze dla przy-
zwoitej panny niż polowanie na męża. Właściwie mówiąc wszystkie kobiety po to chodzą
na uniwersytet, po to pracują w biurach i uprawiają sporty, by tam upolować męża.

Anna chciała dość ostro odpowiedzieć na to, lecz powstrzymała się. Polemizować
z takimi prostackimi argumentami tego smarkacza — czyż to warto? Jakaż kolosalna
różnica jest między tymi wszystkimi młodymi ludźmi typu Kostaneckiego a Marianem.
Marian nigdy nie posuwa się do twierdzeń apodyktycznych, w swoich sądach jest nie-
zmiernie ostrożny, gdyż jego umysł ogarnia jednocześnie olbrzymie systemy ząbających
się problemów, gdzie niepodobna operować aksjomatami, gdzie symplicyzm jest niedo-
puszczalny. W obcowaniu z Marianem odnosi się wrażenie wejścia do wszechświata...

— A ja ot co ci powiem, kuchassju — odezwał się ojciec Buby, zwracając się do syna
— może tak jest, jak wy twierdzicie, ale tego nie zmienisz ani przepisami policyjnymi, ani
programami politycznymi. Włosi czy Niemcy, kuchassju, robią to teraz i zdaje się im, że
kobiety wrócą do domu. Tylko zdaje się. A ja ci powiadam, że mogą je nawet pozamykać
na kłódki, a niczego nie dopną, bo tu nie chodzi o fakty, ale o psychikę, o obyczajowość,
wynikającą z psychiki. Ich zamkną, a one będą tylko marzyć, jakby tu wyleźć. Dawniej
kobiety marzyły o tym, żeby trzymać się w domu i dlatego trzymały się, i domy dlatego
były domami, a nie hotelami, gdzie ludzie schodzą się zjeść, przespać się i tyle. Jak chcecie
to odnowić, to zabierajcie się nie do ustaw i rozporządzeń, ale od środka, kuchassju, do
psychiki kobiecej.

— Jest to rzecz bardzo prosta — cicho powiedziała pani Kostanecka — trzeba tylko
przekonać kobiety, że w domu jest lepiej niż gdzie indziej. Mówiłeś synku, że chodzą
do wyższych uczelni i do biur, żeby sobie znaleźć mężów. To prawda. Ale wskaż mi inne
sposoby znalezienia tych mężów? Za moich czasów takim terenem był dom rodzinny
i życie towarzyskie, opierające się na wzajemnych stosunkach tych domów. Były bale,
wieczorki, przedstawienia amatorskie, majówki...

— Oto to — chrząknął pan Kostanecki — my z waszą matką poznaliśmy się właśnie
na majówce.

— Dziś tego nie ma — ciągnęła pani Kostanecka — nastąpiło przeniesienie życia
towarzyskiego z domów do lokali publicznych, gdzie stykają się nie rodziny z rodzinami,
lecz luźni ludzie z różnych sfer. Stykają się dorywczo. Jeżeli zaś mogą bliżej siebie poznać,
to albo pracując, albo studiując czy sportując razem. Dlatego udział kobiet w tych rzeczach
stał się koniecznością.

— I chwala Bogu — dodała Buba.

— A, to już inna sprawa — bezdźwięcznie odpowiedziała jej matka.

— Widzi mama — triumfująco podkreślił Ryszard — jest źle, jak jest, więc trzeba
to zmienić. I mniejsza o to, jak, ale my to zmienimy.

— Wy, to kto? — zapytała z udawanym szacunkiem Buba.

— My?... Młode pokolenie.

Mizoginia

Kobieta

— Przepisami policyjnymi?
— Wszelkimi środkami. A przede wszystkim — zrobił pauzę dla efektu — nie będziemy się żenić z takimi, które nie pilnują ogniska domowego.

— Boże, cóż za banał — pomyślała Anna.

— Na razie robią mężczyźni coś wręcz przeciwnego — zauważyła pani Kostanecka. — Właśnie żenią się z takimi, które pracują poza domem i zarabiają. Moment ekonomiczny ma tu dużą wagę. A poza tym, synu, przypuszczam, że z czasem kobiety wrócą do domu...

— Przekonają się, że tam ich miejsce.

— Nie. Wróć, gdy mężczyzna naprawdę będzie tego chciał. Dużo jest prawdy w starym truizmie: jesteśmy takie, jakimi chcą nas mieć mężczyźni. I dzisiejsza kobieta nie powstała z niczego, tylko właśnie z pragnień mężczyzny, świadomych czy podświadomych to już wszystko jedno. Chcieliście, by była inteligentna, wykształcona, samodzielna, by była indywidualna, by wam jej zazdrośczone, byście mogli w niej podziwiać to, co uważacie za wasze własne dodatnie strony. No i stało się. Nie od razu, stopniowo, ale stało się. Upodobniliście ją do siebie.

Ryszard wyduł wargi:

— No, do tego jeszcze daleko, a raczej to w ogóle jest niemożliwe.

— Czy pan — grzecznie, ale z nieukrywaną ironią zwróciła się doń Anna — czy pan uważa siebie za coś tak niewspółmiernie wyższego od swojej matki, siostry i mnie?

Młody człowiek zmieszał się:

— Nie mówi się o obecnych.

— A ja sądzę, że skoro wypowiada się, że użyję tylko tego wyrazu: śmiałe zdanie, należy mieć odwagę cywilną przynajmniej w tymże stopniu.

— Przepraszam panią, ale tu nie może być mowy o odwadze, tylko o... uprzejmości.

— Jak na uprzejmość jest to gatunek nie najlepszy — ucięła Anna.

Zapanowało przykre milczenie. Anna była zadowolona z siebie, że temu smarkaczowi natarła uszu jak należało, lecz nastrój się zepsuł. Na szczęście było już po kolacji i wstano od stołu, a Ryszard zaraz pożegnał się i wyszedł: miał jakieś zebranie w swojej korporacji⁵⁹.

Pół godziny w salonie upłynęło na luźnej rozmowie, po czym Anna oświadczyła, że chciałaby się położyć.

— Bardzo przepraszam kochaną panią za syna — powiedziała pani Kostanecka, życząc jej dobrej nocy — to jest dobry chłopak, tylko bardzo łatwo ulega wpływom kolegów, a później powtarza najhorrendalniejsze rzeczy...

— Ależ to drobiazg.

— Proszę się na niego nie gniewać.

Buba była tak zachwycona tym, że gości w swoim pokoju Annę, że jeszcze przez prawie godzinę nie zamykała się jej buzia. Dopiero wyraźna uwaga Anny o zmęczeniu i późnej godzinie zrobiła swoje.

W istocie Anna nie chciała spać. Potrzebowała tylko ciszy i spokoju. Biura Towarzystwa Mundus przez cały dzień rozbrzmiewały nieustannym hałasem maszyn, dzwonków, rozmów, bęganiny. Praca wymagała natężenia czujności, szybkich decyzji, ustawicznego koncentrowania uwagi. Z początku Anna nie odczuwała zmęczenia, gdyż zbyt absorbowała ją nowość obowiązków. Jednak z biegiem czasu wszystko po trosze spowszedniało, a wyczerpane w ciągu dnia nerwy wieczorem dopominały się wytchnienia.

Tym właśnie wyczerpaniem tłumaczyła sobie swój stanowczo zbyt mały entuzjazm dla odwiedzin Lituni. Karol z Litunią i z boną miał przyjechać za dwa dni i zabawić w Warszawie do piątku.

Przez trzy miesiące ograniczała osobiste wydatki do minimum by odłożyć kwotę wystarczającą na ten przyjazd. Bądź co bądź bilety kolejowe tam i z powrotem, kilka dni pensjonatu na dwie osoby i dziecko... Litunię oczywiście weźmie do siebie na Polną. Ciotka Grażyna na pewno nie będzie miała nic przeciw temu.

Zasypiała już gdy przyszło jej na myśl, że Karol może zechce zamieszkać też na Polnej, razem z nią i to ją otrzeźwiło ze snu.

— Nie, na to się nie zgodzę.

Mizoginia

⁵⁹korporacja — daw. stowarzyszenie. [przypis edytorski]

Stanowczo zacisnęła ręce. Karol ma prawo tego żądać, naturalnie, że ma, ale musi tymczasem zrezygnować z tego prawa. Jak będzie później, w przyszłości, w jakiejś nieokreślonej przyszłości — to się zobaczy. O tym wołała nie myśleć. Na razie wszakże zbliżenie z Karolem byłoby czymś niemożliwym: byłoby złamaniem wierności Marianowi, któremu wprawdzie nic nie obiecywała, względem którego w gruncie rzeczy nie miała żadnych nie tylko prawnych i moralnych, lecz nawet... naturalnych obowiązków... Jednakże nie należało...

Z drugiej strony odmowa taka zdziwić musi Karola. Trzeba będzie czymś ją uporo- rować, trzeba będzie kłamać...

— I cóż on zawinił — przyszła refleksja.

Będzie to dla niego zwyczajną krzywdą. Tyle czasu nie byli ze sobą... Anna wiedziała, że bardzo mu jej brakuje, chociaż nie pisał o tym wcale.

Początkowo przypuszczała, że jest jej bezwzględnie wierny, później, później zaczęła wątpić. Kilka listów od znajomych z Poznania zawierało nikłe, ale przecież istotne aluzje.

Gdy pewnego dnia postawiła przed samą sobą sprawę zupełnie jasno, aż zdziwiła się: jak mało ją to obchodzi. W stosunku do niego po prostu przestała odczuwać zazdrość, a zatem przestała go kochać.

Rzecz została wyjaśniona raz na zawsze i gdyby nie Litunia, gdyby nie to, że sama Anna nie widziała innego sensu i celu w życiu — myślałaby o rozwodzie.

Zasnęła późno, nad ranem zaś obudzono je bardzo wcześnie. Służąca przyniosła śniadanie: kawa, dżemy, owoce, tosty, wędliny. Buba wyspana i różowa trajkotała swoim dźwięcznym głosikiem bez przerwy.

— Czy Marian zadzwonił? — myślała Anna i ubierała się jak najprędzej, by najwcześniej być w biurze i nie spóźnić się na jego telefon.

Pomimo wczesnej pory pani Kostanecka już była na nogach i krzątała się w jadalni, gdzie przygotowywano śniadanie dla jej męża.

— Jakże kochana pani spała? — przywitała Annę.

— Dziękuję pani, świetnie — zapewniała Anna i pomyślała, że Wanda nazwałaby to hipokryzją: stąd wynika, że hipokryzja jest konieczna; jakżeby i po co miała przed tą miłą panią przyznawać się, że spędziła noc bezsenne.

— Obawiałam się, że Buba przegada z panią całą noc.

— Mamusi! — oburzyła się Buba

— Ależ bynajmniej — zaśmiała się Anna.

— Ona panią uwielbia i teraz, kiedy panią poznałam, wcale się temu nie dziwię.

— Pani jest naprawdę za dobra dla mnie — lekko zmieszała się Anna.

— O, nie — uśmiechnęła się pani Kostanecka — w zasadzie byłam bardzo przeciwna temu, że Buba pracuje. Wprawdzie nie mogłam jej zabronić. Autorytet matek ostatnimi czasy niewiele znaczy, ale obecnie cieszę się, że ma taką zwierchniczkę. Cieszę się i jestem spokojna. Z Buby w gruncie rzeczy niezła dziewczyna, ale to jeszcze dziecko.

— Obrażasz mnie, mamó — zaprotestowała Buba.

Pani Kostanecka spojrzała na nią z rozculeniem:

— W wielu rzeczach potrzeba jej jeszcze rady, opieki, nawet nagany...

— Skracaj się, mamó — zniecierpliwiła się Buba — opowiadasz o mnie straszliwe historie i przez ciebie spóźnimy się do biura.

— Ach, ja nie zatrzymuję...

— Zdążymy — uspokoiła ją Anna — mamy jeszcze cały kwadrans, a to przecie trzy kroki.

Buba jednak przeszła już do przedpokoju.

— Pani Anno — zniżyła głos jej matka — bardzo też panią proszę zwrócić łaskawie uwagę, by ta mała w biurze unikała zbliżenia z nieodpowiednimi ludźmi. Pracuje tam podobno kilku bardzo przyzwoitych młodzieńców, nie chciałabym jednak, by przy jej braku doświadczenia narażona była na towarzystwo... Rozumie pani, ot, taka przesadna troskliwość matki.

Anna zapewniła panią Kostanecką, że Buba w ogóle nie styka się z urzędnikami, że poza tym ma dużo taktu i że na wszelki wypadek zwróci uwagę na jej stosunki z kolegami.

— Serdecznie, serdecznie pani dziękuję — uściskała ją pani Kostanecka.

— Ależ nie ma za co, proszę pani, to prawie mój obowiązek.

— Bardzo dziękuję i niechże kochana pani o nas nie zapomina. Zarówno mój mąż, jak i ja będziemy bardzo szczęśliwi, jeżeli zechce pani jak najczęściej nas odwiedzać.

— Jestem pani niesłychanie wdzięczna za życzliwość — odpowiedziała Anna — i w miarę możliwości będę się starała widywać panią jak najczęściej, ale jestem naprawdę bardzo zapracowana...

— Chodźmy już, proszę pani! Późno! — wołała z przedpokoju Buba.

Gdy wyszły na ulicę wzięła Annę pod rękę i zaczęła snuć plany na przyszłość. Kiedy Anna dostanie urlop, Buba postara się również o to i obie pojedą razem za granicę. Ale nie z wycieczką, tylko same, bez określonego celu...

— Jaka ona jeszcze dziecinna — myślała Anna — a jaka ja jestem stara. Pani Kostanecka omal mi nie powiedziała, że mam w biurze matkować.

A przecie to ledwie kilka lat różnicy. Nagle uderzyła ją myśl: w stosunku Mariana do siebie też zauważyła rodzaj szacunku, a nawet rodzaj czci, z jaką na ogół ludzie odnoszą się do osób znacznie od siebie starszych.

Czyżby istotnie była taka stara?... Nie, to niemożliwe. Zdawała sobie dokładnie sprawę, że wygląda młodo, nawet bardzo młodo, że ma dużo świeżości i wdzięku, że nic nie mniej, a może nawet więcej podoba się mężczyznom niż dawniej. Oczywiście musi w tym być coś innego.

Prawdopodobnie stosunek taki ułożył się dzięki temu, że zajmowała się tak skrupulatnie jego sprawami, że niejako opiekowała się nim.

To znowu przypomniało Annie te nieszczęsne trzysta złotych, których Minz nie chce wypłacić. A dziś musi niektóre sprawunki dla Mariana załatwić. Zwrócić się o pożyczkę do Buby, byłoby nieprzyzwoitością. Ona sama nie ma pieniędzy, lecz dostałaby z pewnością od rodziców. Jednakże wyglądałoby to prawie jak łapówka.

Właściwie jedynym sposobem wyjścia będzie skorzystanie z podręcznej kasy, w której zawsze jest kilkaset złotych. Nie będzie to nawet nadużyciem. Po otrzymaniu pensji zwróci do kasy wszystko i nikt o tej pożyczce nie będzie wiedział.

Pomysł ten przyszedł Annie znacznie wcześniej, lecz z początku wydawał się nie do przyjęcia i nie do przeprowadzenia. W pierwszej chwili nazwała go w myśli defraudacją, sprzeniewierzeniem, później nadużyciem, ale teraz przedstawiał się jej jako najwyżej samowola. Cóż ostatecznie jest w tym zdrożnego?... Nie przywłaszczy przecie tych pieniędzy. Leżą bezużytecznie, gdyż żadnych większych wydatków dział turystyczny w najbliższych tygodniach mieć nie będzie.

Po przyjęciu do biura otworzyła szafę, wyjęła kasę i przeliczyła zawartość: było czterysta trzydzieści dwa złote.

Nikt nigdy nie kontrolował tych rachunków, nieprzekraczających kilkuset złotych, lecz były one prowadzone przez Annę z największą ścisłością. Na każdy wydany grosz istniało pokwitowanie lub notatka z datą i z wyszczególnieniem nawet nazwiska osoby, która je dla biura wydatkowała.

Co miesiąc Anna przysyłała do kasy głównej krótkie sprawozdanie z wydatków, po czym otrzymywała dalszą dyspozycyjną kwotę. Nie było to praktykowane w innych firmach, w których Anna dawniej pracowała, lecz w Mundusie od początku weszło w zwyczaj i utrzymało się pomimo kilku „racjonalizacji”, „organizacji” i „usprawnień”, jakie od czasu do czasu przeprowadzał dyrektor Minz.

Anna wyjęła z kasetki sto złotych, wydarła kartkę z notesu i napisała na niej:

„Wzięto sto złotych przez kierowniczkę działu do spłaty w dniu otrzymania poborów”.

Postawiła datę i podpisała się, lecz już w chwili, gdy miała wpiąć kartkę do całego pliku podobnych przyszła refleksja:

— A jeżeli Minz zechce sprawdzić kasę?

Poczerwieniała i rozerwała kartkę na drobne strzępy, na tak drobne, by nikt nie mógł ich wydobyć z kosza, złożyć i odczytać.

Prędko zamknęła kasę i zabrała się do roboty. W niespełna kwadrans zadzwonił Marian. Wrócił ze Świdra wczoraj późnym wieczorem. Irena dostała ciężkiego bólu głowy i musiał zastąpić ją przy Kaziku, nim ten nie zasnął.

Umówili się, że zjedzą razem obiad w jakiejś restauracji:

Starość, Młodość

— A po obiedzie — dodała Anna — załatwimy dla ciebie, kochanie, kilka sprawunków.

— Na razie będzie to niewykonalne — zaśmiał się — nie mam jeszcze gotówki.

— Ja już mam dla ciebie trochę gotówki — odpowiedziała szybko.

— Otrzymałaś?

— Tak. Więc tymczasem do widzenia.

Czym prędzej położyła słuchawkę. Bała się, że Marian zechce dowiedzieć się dlaczego ma otrzymać tym razem pieniądze nie z kasy. Zabrała się do roboty, lecz nie mogła się uspokoić. Świadomość posiadania w torebce cudzego banknotu nie ustępowała ani na chwilę, chociaż usiłowała zmusić siebie do przejścia do porządku nad faktem złym czy dobrym, słusznym czy niesłusznym, ale już dokonanym.

— Jeżeli nawet teraz zwrócę te sto złotych do kasetki — przekonywała siebie — nie uwolni mnie to od wyrzutów sumienia. Jeżeli to, co zrobiłam, jest nieetyczne, nie ma już na to rady.

Nerwowo przeglądała papiery, nic nie rozumiejąc, o co w nich chodzi.

Oczywiście oficjalna, kościelna czy państwowa moralność zakwalifikowałaby jej czyn jako nieetyczny, ale to jest moralność niemająca związku z życiem, moralność absolutna. Kryteria tej moralności są bezwzględne. Ileż to było wypadków, że doprowadzały wręcz do okrucieństwa. Zresztą człowiek na wyższym stopniu kultury ma prawo wewnętrzne do własnej klasyfikacji pojęć. Jedynym sędzią może tu być tylko własne sumienie.

Ponieważ jednak ten jedyny sędzia bynajmniej nie udzielał Annie absolutorium, usiłowała go przekonać:

— Na przykład kradzież chleba. Ktoś z głodu kradnie. I za to nie jest karany. Nie jest karany dlatego, że nie zawinił. Ludzkość uznaje, że każdy ma prawo do życia. Jeżeli potrzeba pokarmu jest w nim doprowadzona do ostateczności, wolno mu zdobyć ten pokarm w drodze nielegalnej, która zatem tym samym staje się legalną, skoro go za to nie karzą. A przecie byłoby nonsensem twierdzić, że głód jest najważniejszy, że żołądek, że podtrzymywanie fizycznej egzystencji jest najwyższym dobrem, prawem. Byłoby to zaprzeczeniem ducha. Przecież istnieją potrzeby duchowe równie silne a bezsprzecznie ważniejsze od potrzeby napelnienia brzucha. Dlaczego skurcz w żołądku usprawiedliwiać ma postęпки nielegalne, a cierpienia duchowe mamy lekceważyć?...

Biorąc pieniądze nie wzięła ich dla siebie. Poza tym w ogóle jest przeświadczona, że należą się one Marianowi. Jeśli już można ujemnie zakwalifikować jej postępek, w każdym razie wyższe prawo, prawo logiki bezwarunkowo jest po jej stronie.

Pomimo to nie była z siebie zadowolona. Nie umiała określić, na czym to niezadowolenie się opierało. Prawdopodobnie na jakimś przesądzie, który tkwił w niej, jako skutek życia wielu pokoleń w dostatku i w zdawkowej moralności.

Przypomniła sobie właśnie klasyczny typ takiej zdawkowej moralności, niemającej żadnych filozoficznych ani w ogóle rozumowych podstaw — któregoś dnia Buba Kostanecka opowiadała jej o swoim ojcu. Pan Kostanecki, gdy uznawał coś za nieetyczne, mówił stanowczo:

— Po mnie nie pokaże się, żebyśmy się na to zgodził.

— Ależ dlaczego, tatusiu, proszę mi wytłumaczyć dlaczego? — naciskała Buba.

Na to ojciec odpowiadał niezmiennie:

— No, bo jakże można, kuchassju!

I to było jedyne tłumaczenie. Nie wiadomo dlaczego, nie wiadomo z jakiej racji, na jakich podstawach, po prostu „jakże można”.

To przecie nie jest żaden argument i Anna nie dziwiła się Bubie, że ta się irytowała. Ostatecznie skoro żyje się w czasach, gdy ludzie we wszystkim umieją już posługiwać się mózgiem, samo „jakże można” nie wystarcza. Taki dogmatyzm był dobry dla ciemnych, nieumiejących myśleć chłopów przed wiekami, a i wtedy wynajdywano argumenty. Mówiono, że Bóg się za to będzie gniewał, że to przynosi nieszczęście.

Już nawet w wychowywaniu dzieci od dawna odrzucono taki system. Każdy sąd musi być przez wychowawcę umotywowany, każda opinia rozumowo uzasadniona.

Kradzież, Sumienie

Kradzież

A ponieważ uzasadnienie rozumowe mówiło Annie, że postąpiła słusznie, uspokoiła się zupełnie i wychodząc w porze obiadowej na spotkanie z Marianem, nawet nie rzuciła okiem na kasetkę.

Czekał na nią o kilka domów dalej przy przystanku. Już z daleka dostrzegła jego wysoką, szczupłą sylwetkę i smutną twarz. Za każdym razem wpatrywała się w te przemiany, jakim twarz Mariana ulegała, ilekroć się spotkali: nagle rozjaśniała się nieprawdopodobnie nie uśmiechem, lecz czymś nieokreślonym. Stawała się żywa, promieniejąca, a jego oczy z zamyślonych zmieniały się w zachwycone.

Jakże miała nie wierzyć w jego miłość? Jakże nie miała być dumna, że samo jej zbliżenie się przemienia takiego człowieka jak on do niepoznania, że napędza go radością i życiem.

— Co to jest, co się w tobie zapala jak lampa nagle w ciemnym domu? — pytała go kiedyś.

— To szczęście — odpowiedział krótko.

— Szczęście? Powiedz mi coś o nim.

— Niewiele wiem o nim sam — uśmiechał się — szczęście jest zazdrosne o swoją tajemnicę. Nie pozwala się badać, analizować...

— Nawet tobie? — udawała przekorne zdziwienie.

— Nawet mnie. Każdemu, bo każdy, tak myślę, gdy nawiedzi go szczęście, staje się obiektem tego szczęścia. Traci możliwość, zdolność, traci potrzebę badania. A może... może taka utrata jest właśnie szczęściem...

Śmiała się i tuliła do jego ramienia:

— Człowieku, a cóż ty robisz w tej chwili!?

— Ja?

— Tak! Ty przecie analizujesz!

Śmiał się i on i już nie rozmawiając, szli przytuleni do siebie wzdłuż szerokiej alei Łazienek.

Było to jeszcze w pierwszych dniach ich szczęścia, jeszcze w przeddzień tego momentu, kiedy musieli pogodzić się z tym, że jest niepełne.

Ale nie straciło przecie nic ze swego potężnego uroku. I teraz pod jej spojrzeniem rozjaśniała się jego twarz i szedł na jej spotkanie niezupełnie przytomnie, potrącając przechodniów.

— Maryś! — przywitała go wyciągając rękę.

— Wprost nie rozumiem tego, wprost nie rozumiem — mówił cicho, ściskając jej dłoń.

— Czego, „kuchassju”?...

— Co?

Wybuchnęła śmiechem:

— Zaskoczyłam cię tym nowym epitetem?

— Kuchasiu?

— Nie, kuchassju! Proszę cię, nie przekręcaj. To ojciec panny Kostaneckiej tak mówi do wszystkich.

— I do ciebie?

— Mało brakowało. Nocowałam dziś u nich.

— U państwa Kostaneckich? Dlaczego?

— Różne były przyczyny natury domowej — wymijająco powiedziała Anna. Nie potrzebowała robić przed Marianem tajemnicy z zapędów Kubusia, lecz nie lubiła mówić o rzeczach brzydkich. — Powiedz mi lepiej, czego to nie rozumiesz?

— Jesteś piękna, oglądałam cię w wyobraźni przez dzień cały i pamiętam ze ścisłości fotografii, a przecież za każdym razem, gdy cię znowu widzę, jesteś nieskończenie piękniejsza, niż mogłem się spodziewać. I tego właśnie nie rozumiem. W normalnym porządku rzeczy powinno być odwrotnie.

— Ale nie martwisz się tym? — zapytała zalotnie.

Nagle sposepniał.

— Maryś! — pociągnęła go lekko za rękaw.

— Czy się nie martwię?... Powinno to być moją tragedią.

Szczęście

Piękno

— Jesteś niemądry. Chodźmy na obiad.

Zawrócili w boczną ulicę i weszli do restauracji. Jak zwykle o tej porze było tu pusto. Tylko przy kilku stolikach siedziało pięć czy sześć młodych jeszcze kobiet, jedzących pośpiesznie.

— Dziwna rzecz — zauważyła Anna — tylko kobiety.

— Co mówisz? — ocknął się Marian.

— Mówię, że same kobiety. Gdzież się podziewają mężczyźni?

— W barach. Jedzą w barach. Muszą jeść prędko. Zresztą i kobiety chodzą do barów. Te tutaj, to pewno urzędniczek, tradycyjnistek. Patrz, tamte dwie jedzą nawet zupę. Anachronizm gastronomiczny. Jest taki dramat hinduski z siódmego wieku *Malati i Madhava*⁶⁰, którego autor, o ile się nie mylę Bhavabhuti⁶¹, chce udowodnić, że kobieta stoi na straży tradycji, że jest naczyniem, w którym się przechowują dawne obyczaje. Po nim w szesnastym wieku tego samego zdania był Baltazar Castiglione⁶². A i nasz Górnicki⁶³ twierdzi coś w tym rodzaju. Natomiast mędracy żydowscy, Platon⁶⁴, a z nowszych Weininger⁶⁵ są wręcz odmiennego poglądu. Wszyscy ci myśliciele byli niestety mężczyznami.

— A co mówią myślicielki?

Dziewanowski zaśmiał się:

— Kiedyś rozmawiałem o tym z doktorem Szczedroniem. Otóż on twierdzi, że myślicielek nie było dlatego, że kobieta nawet kiedy myśli, to tylko marzy.

— No, Marysiu, nie będziesz chyba utrzymywał, że nie było na świecie ani jednej mądrej kobiety! — oburzyła się Anna.

— Zapewne były. Tak przynajmniej sędzę. Żadna jednak nie zostawiła po sobie dzieł, które by to stwierdzały. Za to w praktycznym życiu są często mądrzejsze od mężczyzn, ale do tego nie trzeba być myślicielką.

— Chyba też i nie marzycielką.

— Kto wie?... Są dwa rodzaje abstrakcji. Jedna polega na tworzeniu pojęć ogólnych, druga na produkcji wrażeń. Trzeba to chyba rozróżnić: operowanie pojęciami i operowanie wrażeniami. To drugie jest raczej fantazją, domeną artystów i kobiet. A spotykamy i kobiety, i artystów, obdarzonych zarówno wielką fantazją, jak i zmysłem praktycznym. Ale wracając do tych pań i do ich zupy... Otóż mnie się zdaje, że są wraz z nią wyjątkiem...

— Z zupą?

— Tak. Na ogół kobieta ma niebywale rozwiniętą zdolność przystosowywania się. Aklimatyzuje się w nowych warunkach i asymiluje się w najbardziej obcych środowiskach znacznie łatwiej i prędzej niż mężczyzna.

Anna przypomniała Władka Szermiana, który mówił to samo. Tylko on twierdził, że to ta jego „plazma”:

— Kobiety są główną i ważniejszą częścią gatunku ludzkiego. W kobiecie przechowuje się plazma w nieskażonym stanie. Mężczyzna zdegenerował swą plazmę rozwojem duchowym. Stworzył filozofię, religie, nauki, etykę i prawa. Odbiegł od natury i dlatego zatracił zdolność przystosowania się. Kobiety ją zachowały. Gdyby nie mimikryzm⁶⁶ plazmy nieskażonej, ludzkość już dawno wzięliby diabli.

— A konserwatyzm — oponowała wówczas Anna — przecie sam nieraz wytykałeś nam konserwatyzm.

— Konserwatyzm to już nabytek cywilizacji i właśnie owoc mimikryzmu kobiety.

Kobieta, Mężczyzna

Małżeństwo, Kobieta

⁶⁰*Malati i Madhava* — dramat romantyczny autorstwa poety Bhavabhutiego, napisany na przełomie VII i VIII wieku w sanskrycie. Utwór opowiada o miłości dwojga kochanków, wbrew woli rodziców, i jest jednym z klasycznych dzieł literatury indyjskiej. [przypis edytorski]

⁶¹*Bhavabhuti* (ok. 680–750) — indyjski uczony, poeta, pisarz, tworzący w sanskrycie. [przypis edytorski]

⁶²*Castiglione, Baltazar* (1478–1529) — pisarz i dyplomata włoski, autor dzieła *Książki o dworzaninie*. [przypis edytorski]

⁶³*Górnicki, Łukasz* (1527–1603) — poeta renesansowy i pisarz polityczny, tłumacz, bibliotekarz i sekretarz króla Zygmunta Augusta. Autor *Dworzanina Polskiego*. [przypis edytorski]

⁶⁴*Platon* (424/423 p.n.e.–348/347 p.n.e.) — filozof grecki, twórca podstaw idealizmu i racjonalizmu. Jeden z najważniejszych myślicieli antycznych, założyciel Akademii, autor m.in. *Obrony Sokratesa*, *Uczty* i *DIALOGÓW*. [przypis edytorski]

⁶⁵*Weininger, Otto* (1880–1903) — pisarz i filozof austriacki pochodzenia żydowskiego, autor m.in. rozprawy *Płeć i charakter* o skrajnie mizoginicznym i antysemickim charakterze. [przypis edytorski]

⁶⁶*mimikryzm* — upodobnienie, naśladowanie. [przypis edytorski]

Konserwatyzm powstał z patriarchy, a patriarchat stworzył warunki, poza którymi w epoce jego wszechwładnego panowania kobieta nie mogła egzystować. Nieślubne matki wypędzano z miasta i z domu. Małżeństwo stało się jedyną formą egzystencji, a konserwatyzm tendencją inercjonalną, która zresztą już dziś maleje do zera.

Gdy Anna powtórzyła to pani Grażynie, usłyszała od niej jak zwykle proste i jasne wytłumaczenie:

— Przede wszystkim ja jestem konserwatystką, a czy masz mnie za tak niemądrą, bym była nią tylko z inercji?... A po drugie, zastanów się nad kwestią, w czym interesie leży utrzymanie instytucji rodziny i kto zatem stworzył patriarchat, czy kobiety, którym na tym zależało, czy mężczyźni mający zawsze skłonność do wypraw wojennych, polowań, podróży i do... niestałości małżeńskiej?

I Marian powiada, że kobiety nie mogą być myślicielkami! Taka ciotka Grażyna zawsze wie co myśli. Anna nie mogła powstrzymać się, by nie wytoczyć tego argumentu. Dziewanowski słuchał uważnie. Jak bardzo ceniła w nim to, że nigdy żadnego zdania nie odrzucał z lekceważeniem, że każde przyjmował z równą rzetelnością i rzetelnie rozważał. Tylko tak mądry człowiek jak on, uznający Pliniusza⁶⁷ pewnik, że nie ma nic pewnego, nie pozwala sobie na jednoczesny apriorystyczny stosunek do najdrobniejszej bodaj sprawy, do zagadnień, w których inni sypią gradem aksjomatów.

Dziewanowski mówił:

— Pani Grażyna niewątpliwie jest istotą myślącą. Jej racje są dobrane inteligentnie, jeżeli chodzi o skutek, gdyż przekonała ciebie. Trzeba wielu kobietom przyznać talent, spryt lub jeżeli wolisz eufemizm — *esprit d'à propos* — w wyszukiwaniu efektownych kontrargumentów. W danym wypadku można by wprowadzić zakwestionować niektóre zbyt pośpieszne wnioski, postawić poważny znak zapytania przy konserwatyzmie na przykład samej pani Grażyny... Hm... Uważanie siebie za konserwatystkę nie przesądza sprawy. Kwestia interpretacji samej nazwy i funkcji poglądu pozostaje otwarta... Ale wróćmy do zupy. Dobrze?... Weźmy modę.

— W strojach?

— We wszystkim. Jednak żeby nie rozszerzać zagadnienia, ograniczę się do mody w ubiorach, w uczesaniach itp. Tu zdaje się Platon ma więcej racji od hrabiego Castiglione, gdyż sam fakt powszechności i ustawicznej zmienności mody świadczy o niewielkich sympatiach kobiety do tradycjonalizmu. Przeciwnie, każda niemal zdolna jest do najdalej idących poświęceń, do fizycznych cierpień, a nawet do narażenia się na śmieszość, byle tylko nie opóźnić się w przemianie. Można wprowadzić dopatrywać się w tym instynktu współzawodnictwa, ale z chwilą, gdy ruch ten jest stały i masowy, impulsy indywidualne zapewne grają tu niewielką rolę.

Anna spojrzała na zegarek. Bardzo ceniła i bardzo wysoko stawiała wartość rozmów z Marianem, lecz zwykle po pewnym czasie zaczynało ją nużyć już samo to, że treść tych rozmów nie miała żadnego kontaktu z pilnymi przecie i bliżej obchodzącymi sprawami. Świata i tak nie zmienimy — myślała — a trzeba w nim żyć. I właśnie Marian nie umiał tego, a zatem jej obowiązkiem było czuwać, by nie oddalał się od zwykłych potrzeb życia za daleko.

Poza tym nie umiała z nim dyskutować. Cokolwiek mówił, gotowa była przyjąć, bo przyjmowała go przecie całego takim, jakim był, bo go kochała i te czy inne jego poglądy nie mogły mieć na to najmniejszego wpływu. Zapewne też dlatego nie umiała przeciw niemu argumentować. Nie było tego przymusu, który stwarzał konieczność wystrzonej uwagi, pamięci i myśli. Tu nie trzeba było natychmiast reagować na każde powiedzenie, trzymać się na baczności, by konsekwentnie dyskutować i mieć stale otwarty skład rekwizytów: nazwiska, cytaty, tytuły dzieł, których jest, czytało się, zasłyszano i zapamiętało tyle, że przecie zawsze można było znaleźć coś odpowiedniego, a nawet efektownego. Gdy jeszcze nie była z Marianem tak blisko i odnosiła się doń, jak do innych mężczyzn, stać ją było na szybką i sprawną mobilizację inteligencji i dyskutowanie nawet w najtrudniejszych kwestiach oderwanych z rezultatem nieraz zdumiewającym ją samą. Dowcip, ciętość, bystrość, gatunek przytoczonych dowodów składały się na całość błyskotliwą,

⁶⁷Pliniusza — właściwy Pliniusowi Starszemu (23/24–79 n.e.), rzymskiemu pisarzowi i historykowi, autorowi m.in. *Historii naturalnej*. [przypis edytorski]

interesującą, ozdobną i jakże często przekonywującą. Rozmowa, spór taki przypominał partię tenisa, a miał to do siebie, że im wyższej był klasy przeciwnik, tym doskonale reagowała jej własna inteligencja. Jak po tenisie czuła się też czasem zmęczona, wyczerpana i nieco oszołomiona.

Lecz partnerem w dyskusji nie mógł być ktoś całkiem obojętny lub zupełnie już bliski. Doping wewnętrzny zjawiał się tylko wówczas, gdy albo pragnęła w kimś wzbudzić sympatię i zainteresowanie dla siebie, albo poczuła do danego osobnika niechęć, spontaniczną antypatię i wprost pożądała nad nim zwycięstwa. Jeżeli takie zwycięstwo w oczach audytorium przynosiło jej laury, jeżeli dawało pole do efektownego popisu, a w przeciwniku odnajdywała podziw, nie żywiła już więcej dla niego niechęci. Mąż Anny robił nawet na ten temat różne dowcipy, które po trosze ją irytowały. Były zbyt trywialne. Karol zawsze brał ją zbyt płytko. Wszyscy mężowie tak traktują swoje żony. Gdy mu to kiedyś powiedziała, wzruszył ramionami:

- Znają je.
- Znali je również, kiedy się żenili.
- Wtedy były inne.
- Nie, były te same — odpowiadała spokojnie, chociaż wszystko w niej się burzyło
- tylko taki mąż po ślubie uważa za niepotrzebny wysiłek w ogóle rozmawiać z żoną.
- Nie znajduje w tym widocznie wiele ciekawego.
- Dziękuję ci — obraziła się.
- Ależ, moja droga — zatrzymał ją — nie mówię o nas, nie mówię o tobie. My przecie często rozmawiamy.

Była to nieprawda. Oczywiście rozmawiali o sprawach domowych, o Lituni i jej zdrowiu, o interesach, o służącej i to wszystko. Któż nazwie to rozmową?...

Władek Szerman twierdził:

— Małżeństwo jest instytucją w samym założeniu nietrwałą. Trwałość rodzi się z wymiany myśli, uczuć i rozkoszy. Po kilku latach rozkosz nabiera smaku razowca, uczucia ziębną i czułości kowieją. Myśli wszystkie znane są, jak wytarty od zużycia szeląg. Zostaje inna wymiana: złych humorów w dzień i złych zapachów w nocy.

Innym razem mówił:

— Tam, gdzie są wśród mężczyzn kobiety, nie może być dyskusji. Kobiety najwyższej zdolne są do rozmowy. Gdy zostają bez mężczyzn zadowala je gawędzenie, gadanie, sprzeczka lub kłótnia.

Pomimo wszystko Anna lubiła Władka, z uśmiechem znosiła to, co nazywała jego cynizmem, bawiło ją nawet to, co uważała za paradoksy, a złośliwość i kobietofobię Władka kładła na karb jego kalectwa.

Z Dziewanowskim lubiła rozmawiać, lubiła słuchać jego wywodów, lecz w tym tylko wypadku, gdy nie przeciągały się zanadto. A właśnie tak najczęściej się zdarzało. Nigdy nie mieli za dużo czasu i tracili godziny na zagadnienia dalekie, w żadnym stopniu nie stykające się z ich osobistymi sprawami. Zanadto tkwiła w życiu, by na dłuższy moment mogła zapomnieć o jego koniecznościach.

— Musimy już iść — spojrzała na zegarek.

— Proszę o rachunek — zawołał na kelnera.

Okazało się jednak, że kelner nie miał reszty, a Marian drobnych, co skwapliwie wyzyskała Anna. Zawsze pod różnymi pozorami starała się regulować wspólne rachunki, wiedząc, że on mało na to zwraca uwagi, a że tak bardzo potrzebnemu mu są pieniądze.

Zanim trzeba było wrócić do biura zdążyli jeszcze załatwić kilka sprawunków.

Gdy oddawała mu resztę ze stu złotych, zapytał:

— Czy muszę wstąpić do Mundusu i pokwitować w kasie?

Prędko odwróciła się, by ukryć rumieniec:

— Nie, nie, to już ja sama załatwiłam.

— Nie miałaś z tym kłopotów?

— Najmniejszych. Bądź spokojny. Pozostałość otrzymasz w przyszłym miesiącu.

— To w Mundusie też są trudności płatnicze? — zdziwił się.

— Bynajmniej, tylko takie różne formalności.

— Wiesz — uśmiechnął się — gdy biorę pieniądze, mam zawsze uczucie jakiegoś zdumienia: te papierki są niezbędne do życia, a mnie dostają się zawsze jakby przypadkiem.

Małżeństwo

Kobieta, Mężczyzna,
Mizoginia

— Jak to przypadkiem? — zmieszała się.
— Z nieba.
— Przecież zarobiłeś to!
— Nie. Ja nie umiem zarabiać. Pojechałem z tą wycieczką, by sprawić ci przyjemne złudzenie, że się do czegoś mogę przydać. Złudzenie rozwiało się. A pieniądze są. Zatem z nieba.

Anna nie mogła opanować zdenerwowania. Przez sekundę zdawało się jej, że on domyśla się, skąd pochodzi to ohydne sto złotych, że odgadł to intuicją czy wyczytał z jej oczu. Przeraziła się, lecz natychmiast odrzuciła niedorzeczny domysł.

— Teraz już idę — powiedziała — nie odprowadzaj mnie. Nie chcę, by nas wciąż razem widywano, zwłaszcza w okolicy mego biura.

Na rogu obejrzała się: stał i patrzył za nią. Uśmiechnęła się doń i szła coraz prędzej. Przed samym wejściem do Mundusa zawahała się, zatrzymała się na chwilę i zawróciła z wolna.

Tu gdzieś w pobliżu był ten sklep. Kilkakrotnie zauważyła biały napis na wystawie między pierścionkami, zegarkami i łańcuszkami: „kupuję brylanty, złoto, biżuterię — płacę najwyższe ceny”.

— Muszę się opanować — pomyślała — gotowi pomyśleć, że sprzedają kradzione.

Wyjęła z torebki lusterko, przejrzała się, lekko zapudrowała nos i weszła. Za ladą siedziała szczupła stara żydówka i czytała książkę.

— Chciałam to sprzedać — powiedziała Anna i położyła na szkłe lady bransoletkę.

Żydówka nie poruszyła się z miejsca, lecz jednocześnie skądś z jakiegoś kąta za kontuarem wysunęła się zażywna mała figurka młodego korpulentnego jegomościa.

Bez słowa wziął bransoletkę, obejrzał ją przez lupę, rzucił na małą mosiężną wagę i położył przed Anną:

— To jest antyk. Ja tego nie kupię. Mógłbym dać pani za to tylko cenę złota i kamieni.

— To znaczy ile?

Jeszcze raz obejrzał bransoletkę:

— Sto dwadzieścia, niech będzie i pięć.

— Ależ to bardzo mało. To jest rzecz cenna.

— Proszę pani — wzruszył ramionami Żyd. — Każdy to, co posiada, woli uważać za rzecz niezwykle cenną. Gdyby majątek wszystkich ludzi obliczyć według tego, co oni o tym myślą, okazałoby się, że wszystkie miliardy świata nie starczą. Ta bransoletka na amatora jest warta więcej...

— Ile?

— Może dwieście, dwieście pięćdziesiąt złotych. Mogę ją przyjąć w komis.

— A... dałby mi pan, powiedzmy, sto złotych zaliczki.

— Przy komisie? Nie. Nie mogę.

— A jak prędko sprzedać to można?

— Skądże ja wiem? Bywa, że i w tygodniu, a tak samo bywa, że i rok się czeka na amatora. To nie kurantowy artykuł.

Anna odwróciła się do okna i namyślała się.

— Mnie pieniądze są zaraz potrzebne — powiedziała wreszcie — da pan sto pięćdziesiąt?

— Dam sto dwadzieścia pięć.

— Dobrze — ucieła.

Otworzył szufladę i powoli odliczył pieniądze, po czym na firmowym arkusiku skreślił kilka słów:

— Pani będzie łaskawa podpisać, że pani sprzedała swoją własność. Proszę o wyraźne nazwisko i adres.

Czuła, że jest czerwona jak burak, jednak podpisała i bojąc się, że gotów ją jeszcze zapytać o legitymację, sama czym prędzej wyjęła dowód osobisty:

— Proszę, niech pan sprawdzi.

Żyd potrząsnął głową:

— Dziękuję, i tak pani wierzę. To tylko formalność.

Gdy wchodziła do biura, była już o kwadrans spóźniona, a należało zaraz po przerwie odesłać Minzowi korespondencję do podpisu, asygnaty i wykazy.

W jej boksie czekało już dwóch urzędników z teczkami i jakiś interesant stał przy drzwiach. W żaden sposób nie mogła przy nich przełożyć pieniędzy z torebki do kasetki. Załatwiała ich sprawy z gorączkowym pośpiechem. Jednak jak na złość przyszedł pod koniec kasjer:

— Przepraszam panią, czy pani nie ma w swojej podręcznej drobnych?

Anna opuściła wzrok i zacisnęła zęby. Wprost nie była w stanie wydobyć głosu.

— Byłbym pani wdzięczny za zmianę stułotówki.

— Ach... tak... służę panu... z przyjemnością... mogę panu zmienić... proszę...

Palce były jakieś zdrętwiałe, gdy otwierała torebkę i podawała mu zwitek dwudziestozłotówek, a chowała setkę.

— Pi... Pi... — zażartował — pani jest krezusem. Przed samym pierwszym, a floty⁶⁸ jak lodu. Dziękuję pani serdecznie i całuję rączki.

Została wreszcie sama. Obejrzała się. W tym boksie człowiek siedzi jak w latarni. Na szczęście nie spotkała niczyjego wzroku. Czym prędzej otworzyła kasetkę i włożyła do niej setkę. Gdy usiadła, odetchnęła z ulgą, z nieprawdopodobnie wielką ulgą. Przecie cała jeszcze trzęsła się jak galareta i była półprzytomna.

— Boże, jakie to okropne — szeptała do siebie — jakie to straszne. Już nigdy w życiu czegoś podobnego nie zrobię. Nigdy.

Uprzytomniła sobie dopiero w chwili wejścia kasjera, jakie mogłoby mieć skutki niezwrócenie wziętych pieniędzy. Minz miał prawo w każdej chwili zarządzić rewizję podręcznej kasy, a wtedy dymisja, policja, kompromitacja, wykreślenie z listy osób, którym się podaje rękę, wstyd dla całej rodziny, dla Karola i dla Lituni: tylko pomyśleć, na całe życie przywarłoby do niej to, że jej matka była złodziejką... Litunia zrozumiałaby to, przebaczyłaby, ale obie zostałyby zaszczone przez opinię publiczną, przez krewnych, znajomych. Karol nie darowałby jej tego nigdy, a może i Marian, który nawet przypuszczaćby nie mógł, że zrobiła to dla niego.

Jakże jasny, jakże pogodny był teraz świat. W chwili sprzedawania bransoletki tak trudno było z nią się rozstać, lecz teraz nie żałowała jej wcale: było to zero w porównaniu z sumą spokoju i radości, jakie przyniosło.

Jednego jej teraz brakowało do kompletnego szczęścia, to możliwości podzielenia się z kimś tym przeżyciem. Tego jednak musiała się wyrzec. Jedynym człowiekiem, któremu mogłaby się z tym zwierzyć, był Marian, jednemu tego za żadne skarby nie wolno było powiedzieć. Gdyby nie chodziło o niego, ach, wówczas byłoby to proste, a nawet konieczne. On, on jedyny na pewno nie potępiłby jej, lecz przeciwnie, odczułby wszystko i wszystko zrozumiał. Subtelność jego spokoju przypominała nieruchome jezioro: najdrobniejsze ziarno piasku, najlżejsze, najmniejsze słowo, rzucone w tę taflę, odzywało się drganiem fal, które szły szeroko, daleko aż do krańców.

Kiedyś powiedziała mu to i wówczas śmiał się:

— Innymi słowy pisze się na mnie niczym widłami na wodzie. Może to i prawda.

Lecz Anna wiedziała, że nie. Wiedziała, jak głęboko przeżywał wszystko, cokolwiek w tę toń wpadło. Nie uzewnętrzniał tego. Każde drgnienie przekazywane miliardom cząsteczek wody w jeziorze przenika w nim obszary, chociaż się tego nie widzi. A były przecie i takie burze, które nie dały się zamaskować pogodą powierzchni, które wciąż powracały.

I dziś powiedział jej znowu to samo. Udała, że nie słyszy, że nie przywiązuje do tego wagi, ale tak nie było. Wprawdzie z początku wierzyła sama, że to wszystko jedno, że to nie może odegrać w ich miłości żadnej roli. Wyjąwszy pierwszy raz, gdy była zaskoczona tym, co mogła wówczas uważać za brak pociągu fizycznego do siebie, czy za chorobliwy mankament u niego, z biegiem czasu uwierzyła, że potrafi z tym się pogodzić.

Jednakże już samo to, że on się zadręczał, nie dawało i jej spokoju.

— Jeżeli można w takiej chwili przepraszać — powiedział wtedy — to przepraszam cię. Gdybym umiał wstydzić się, na pewno wstydziłbym się.

Nie patrzyła nań: ona się wstydziła. Wstydziła się swej nagości i tego, że przyszła, i tego, co sobie po tym spotkaniu obiecywała. Nagle sam brak fizycznego aktu, głupiego przecie i bynajmniej niestanowiącego dla żadnego z nich dwojga treści ich miłości, na-

Kradzież, Wina, Kara

Miłość niespełniona

⁶⁸flota (gw.) — gotówka. [przypis edytorski]

gle ten brak jakby odsłonił brzydotę samej sytuacji, zwierzęcej i szablonowej: mężczyzna i kobieta w łóżku, oto wszystko.

Mówił, że męką jest potrzeba mówienia, a ona myślała, że jej nie kocha. Gdzieś czytała, że u przerasowionych zwierząt obserwuje się często impotencję w stosunku do mniej rasowych samic. I on znów mówił, mówił o psychastenii. Tłumaczył to psychastenią: nadmierne pragnienie powoduje niemożność realizacji pragnienia.

Ceniłaby siebie zbyt nisko, gdyby mogło to zmniejszyć jej uczucia do niego, a on cenił ją zbyt wysoko, by mógł sobie przebaczyć jej wspaniałomyślność, a sobie swoją psychastenię.

Wiedziała, że był u kilku lekarzy, chociaż jej tego nie powiedział. Sprzątając w jego pokoju, znalazła kilka świeżych recept: brom, kola⁶⁹ i inne środki w tym rodzaju. Wszystko na nerwy. Wierzyła, że czas i przyzwyczajenie zrobią swoje, lecz czas mijał, a przyzwyczajenie nie nadchodziło. Przeciwnie. Każda ponawiana próba przekonywała ich oboje o swej bezcelowości.

Sytuacja była tak przykra, że jedynym z niej wyjściem pozostawało milczące porozumienie, na podstawie którego z dalszych prób zrezygnowali. Po prostu unikali nawet pieszczot, gdyż te podniecały ich oboje.

Wszystko to było dziwne: Annie się zdawało, że spotkała się w życiu z niezwykle rzadkim wypadkiem, ani dobrym, ani złym, lecz mającym swą odrębną, jakąś niezbadaną wartość. A przecież kochała Mariana nie mniej, lecz z dniem każdym więcej. Robiła też, co mogła, by uwolnić go od refleksji na temat niezupełności ich związku. Sama w siebie wmawiała wyższość tego rodzaju stosunku.

— Najdroższy — mówiła — nie wyobrażaj sobie, bym czuła się przez to nieszczęśliwa czy pokrzywdzona. Odwrotnie, tym bardziej mogę cenić naszą miłość i tym bardziej mogę być z niej dumna, że wolna jest od zoologicznych elementów, które by ją tylko spospolitowały.

I naprawdę czuła się wyższą, wznioślejszą, szlachetniejszą, chociaż trochę zdezerorientowaną.

Byli jakby rodzeństwem. Zajmowała się jego codziennymi drobiazgami, z niezmierną przyjemnością robiła w jego pokoju porządki, przyszywała guziki, reparaowała bieliznę. Co najdziwniejsze było dla niej w tym wszystkim, to łatwość, z jaką Marian na to się zgodził. Więcej. Nieraz spostrzegła, że przygląda się jej w takich chwilach z uwielbieniem i z radością. Jego zastrzeżenia i protesty miały ton ściśle formalny.

Często czytywał jej głośno różne dzieła, przerywając czytanie krytycznymi uwagami. Czasami jednak milknął i wówczas czuła jego wzrok pełen jakiejś zaczajonej czułości, śledzący ruchy igły w jej ręku.

— Pełno tu ciebie — mawiał, wciągając w płuca powietrze tak, jakby oddychał pachnącym powietrzem lasu.

I rzeczywiście obecność Anny w pokoju Dziewanowskiego nie kończyła się z godzinami, jakie tam spędzała. Każdy przedmiot, każdy szczegół nosił tu ślady jej dbałości, upodobań, pracy. Początkowo ograniczało się to tylko do pracy naprawiania, porządkowania, przestawiania. Gdy jednak w trakcie tego wychodziły na jaw różne braki, Anna to i owo dokupywała, to i owo oddawała do naprawy, pokrywając koszty z tych swoich drobnych oszczędności, na jakie mogła się zdobyć.

Marian zbyt mało cenił pieniądze, by się nimi interesować. Dlatego mogła bez obawy dopuszczać się małych nieścisłości w rachunkach. Oczywiście nie podejrzewał wcale, by Anna zrobiła coś podobnego, tym bardziej, że dość często dawała mu małe podarki: krawat, książka, spinki, ręczniki z własnoręcznie wyhaftowanym monogramem itp.

Znała w jego pokoju najmniejszy kącik i właśnie dlatego nie mogły ujść jej uwagi bodaj nieznaczne w nim zmiany. W niektórych dopatrywała się ręki kobiecej.

Czy Marian miał inną — nie wiedziała. Nieraz aż do bólu musiała zagryzać wargi, by go wprost o to nie spytać, by się nie poniżyć do zazdrości.

Miłość platoniczna, Miłość niespełniona

Zazdrość

⁶⁹kola — prawdopodobnie chodzi o ekstrakt z nasion afrykańskiego drzewa kola, bogaty w kofeinę. [przypis edytorski]

Zresztą o cóż miała być zazdrosna? Miała jego miłość, a reszta nie przedstawiała przecie żadnej wartości. Kiedyś niepytany dał jej do zrozumienia, że dla kobiet typu Wandy ma nie pogardę, lecz niecierpliwą obojętność. Nazwał to u takich kobiet „falszem wewnętrznym”.

Pomimo to Anna unikała starannie spotkania z Wandą. Nie z powodu owego „falszu wewnętrznego”, lecz pod wpływem intuicji, która nie przestawała ostrzegać ją, że właśnie Wanda jest jej rywalką.

W duchu postanowiła sobie za wszelką cenę doprowadzić do odsunięcia jej od Mariana, lecz pobudką tej decyzji nie była zazdrość. Anna czuła, że tamta kobieta nie daje Marianowi nic, literalnie nic, że natomiast żywi się jego inteligencją, wiedzą — i ciałem.

Tymczasem wstrzymywała się od przedsięwzięcia jakichkolwiek kroków w tym kierunku, czekając na nadarzącą się sposobność. Jej własna sytuacja przedstawiała się na razie mgliście. O porzuceniu Karola nie mogła myśleć nie tylko przez wzgląd na Litunię, lecz i dlatego, że byłoby to równoznaczne z pozostawieniem męża bez środków do życia. Poza tym nie istniała jeszcze dostatecznie wyraźna przyczyna: Dziewanowski nigdy ani jednym słowem nie wspomniał o małżeństwie, a i w zasadzie, abstrahując od niepełności ich stosunku, małżeństwo z nim, właśnie z nim, wydawało się czymś nierealnym. Oczywiście byłoby to cudowne: małe mieszkanko gdzieś na kolonii Staszica, trzy, cztery pokoje, duża biblioteka dla Mariana i jasny słoneczny pokój dla Lituni. Codziennie, wracając z biura, cieszyłaby się ich oczekiwaniem. Na usposobienie Mariana na pewno świetnie wpłynęłoby obcowanie z tak rozkosznym małżeństwem jak Litunia. Pokochałby ją na pewno, jak własne dziecko... A jak dodatnio wpłynęłoby na rozwój umysłowy Lituni wychowywanie się pod okiem Mariana, w tej atmosferze kultury uczuć i spokoju, pogody i szczęścia...

Anna czuła całkowitą swobodę w snuciu marzeń na ten temat, swobodę tym większą, że wszystko to było nieskończenie dalekie od rzeczywistości. Przeczuciwała, że zwierzenie się z tych pragnień przed Marianem przeraziłoby go już samą perspektywą zmiany. Zmiana i konieczność decyzji zawsze go odstraszały, nawet w kwestiach niewielkiej wagi. Przed powzięciem postanowień tak kategorycznych i ostatecznych zawsze był zdolny do panicznej ucieczki.

A poza tym Litunia. Marian dotychczas nie stykał się z dziećmi i bał się ich. Nieraz obserwowała w ogrodzie czy w tramwaju, z jakim zdumieniem, bo nie chciała w tym widzieć niechęci, przyglądał się dzieciom. Unikał starannie dotyku ich małych rączek, uśmiech, którym odpowiadał na ich pytania i zaczepki był wymuszony, przykry i wystraszony. Chwilami odnosiła wrażenie, że brzydzi się dzieci. Kiedyś opowiedziała mu o Lituni i o jej inteligencji. Litunia tak tłumaczyła zjawisko wiatru:

— To płošte. Drzewka lobią wiatł. Machają gałązkami i lobią wiatł.

— Czyż to nie wspaniałe? — zapytała Anna.

Marian szeroko otwierał oczy, trochę śmiał się i mówił, że dzieci umieją zaskakiwać starszych swoją filozofią i logiką, że mają swoisty dar obserwacji, a dalej przeszedł do rozważań, ile to błędów popełniła i jeszcze popełnia nauka przez całkiem podobne odwracanie przyczyn i skutków. Odkrycie Kopernika⁷⁰, wiele przykładów z fizyki, medycyny, ekonomii, meteorologii, albo w historii kultów — ileż przykładów. Wreszcie przeszedł do kwestionowania różnych teorii o wpływie życia na sztukę i sztuki na życie.

Myśl jego uciekała od dzieci. Mężczyźni w ogóle nie rozumieją dzieci. Karol na przykład bezsprzecznie kocha Litunię, a nie umie spędzić z nią więcej niż pół godziny, bo się nudzi, a nudzi się dlatego, że nie potrafi zrozumieć i wczuć się w jej świat.

— Mój ojciec — powiedziała kiedyś Anna — twierdził, że jeden jest tylko sposób rozumowego uświadomienia nieśmiertelności: mieć dziecko i pojąć, że ono jest naszym dalszym ciągiem, że jednostka stanowi tylko jedno ogniwo w wielkim łańcuchu.

Marian milczał przez dłuższą chwilę i potrząsnął głową:

— To prawda, ale czyż to nie jest tragiczne?

— Dlaczego tragiczne?

— Stworzyć nową istotę i zmusić ją, by dziedziczyła nie tylko moje ułomności psychiczne i fizyczne, lecz cały potworny багаż, narzucony przez tysiące pokoleń?

⁷⁰Kopernik, Mikołaj (1473–1543) — polski astronom, prawnik, lekarz. Autor dzieła *O obrotach sfer niebieskich* przedstawiającego heliocentryczną wizję Wszechświata. [przypis edytorski]

— Widzisz tylko złe strony tego bagażu — zaprotestowała, — a przecie dziedziczy się również kulturę, inteligencję, subtelność, wiele innych dodatnich cech.

— Nie równoważy to zła. Ciężar odpowiedzialności za to dziedzictwo ludzkość doskonale wyczuwa. Weź na przykład stale powtarzający się w wielu religiach motyw odkupienia win. Zawsze ma wreszcie urodzić się taki potomek, który odkupi grzechy poprzednich pokoleń. Jeżeli istnienie będziemy pojmowali jako ciągłość nierozzerwalną, złożoną z istnień indywidualnych, równa się to staczaniu ciężaru odpowiedzialności na potomstwo. Ono ma być lepsze od nas, mądrzejsze, szlachetniejsze. Udajemy, że w to wierzymy, bo przecie nie możemy zamknąć oczu na prawdę, że przekazujemy mu wszystkie nasze winy, a nie stać nas na danie im sił większych niż posiadamy sami, ciężar wciąż rośnie, a siły wciąż maleją z pokolenia na pokolenie. I nie jest wygodną bajeczką odwracanie się za siebie ze czcią i czołobitnością dla przodków. Oni byli lepsi, musieli być lepsi. Bajeczką jest wiara w przyjście Mesjasza. W tym szukamy usprawiedliwienia, do tego dorabiamy sobie teorie.

— Mówi przez ciebie pesymizm — westchnęła Anna.

— Nie. Mówi strach przed odpowiedzialnością.

— Odpowiedzialnością przed kim?

Zmarszczył brwi i opuścił głowę:

— Nie wiem.

Powiedział to takim głosem, jakby przechodził największą udrękę. Ile razy mówił te słowa, zawsze zdawało się Annie, że sprawiają mu niecznośny ból. A przecie wokoło było jasno, słonecznie, zielono, ogród Botaniczny pachniał wszystkimi zapachami lipca, z dala dolatywał gwar miasta, pracującego wesoło, żywego, miał przy sobie ją, kochającą i kochaną i siedzieli przytuleni pod wielkim ślicznym kasztanem, którego gałęzie wachlowały spokojnie i uroczyście robiły wiatr.

I cóż chciał wiedzieć ponadto i po co wiedzieć?!

Przesunęła dłonią po jego czole. Pomyślała, że pozna Litunię i pokocha, i nie będzie patrzył na nią wystraszonymi oczyma. I miną mu smutne myśli, które oczywiście zrodziły się stąd, że w głębi, w duszy, chciałby na pewno mieć też dziecko, lecz nie może i boi się, że nigdy nie będzie mógł.

Było to już dawno, ale Anna pamiętała każde jego słowo i każde spojrzenie z tego lipcowego niedzielnego ranka. I teraz, pochylona nad papierami, nad bezdusznymi obcymi papierami przypominała sobie:

— Kto wie — powiedział — może ty jesteś stokroć mądrzejsza ode mnie.

— Nie żartuj — oburzyła się.

— Ty i twoja córeczka... Litunia. Bo mądrość może jest tylko prostotą. A czyż nie jest w grucie rzeczy obojętne, co stanowi przyczynę, a co skutek?...

— Z tobą muszę być szalenie ostrożna — zaśmiała się. — Ty z każdego zdania wynuwasz całe systemy filozoficzne, nawet ze zdania Lituni. Ale teraz powtórzę ci takie, z którymi już nic nie potrafisz zrobić. Uważaj: Kiedy byłam z Litunią w poznańskim ogrodzie zoologicznym i pokazałam jej węża, zapytała: — a jak wąż chce pomachać ogonem, to w którym miejscu zaczyna?

— Na pytania dzieci — zaśmiał się — rzadko można znaleźć odpowiedź. To są talumudyści i scholastycy.

— Ależ nie! To są czarujące stworzonka! — zawołała rozpaczliwie.

Zamyślił się i powiedział żartobliwie:

— Nie czuję tego po sobie.

— Dlaczego po sobie?

— Bo ja mam dla ciebie uczucie jakby także dziecka do matki, a jednak nie zaliczam się do czarujących stworzonek.

— Jesteś okropnym potworem — powiedziała głośno i jednocześnie zastanowiła się: rzeczywiście w ich stosunku jest coś z synostwa i macierzyństwa, co zresztą da się wyjaśnić bardzo prosto. Każda kobieta odnosi się do bliskiego sobie mężczyzny z pewnym odcieniem matczynej troskliwości, a podkreśla to jeszcze bardziej życiowa niepraktyczność Mariana, wymagająca nieustannej opieki.

Teraz, kiedy przyjeżdżał Karol i Litunia, i kiedy będzie musiała wiele czasu im poświęcić, z trudem uda się jej znaleźć kilka minut dla zajęcia się jego sprawami, tym bardziej, że i w Mundusie zaczynał się sezon wszelkich wycieczek jesiennych.

Z każdym dniem przybywało roboty, a teraz, gdy Minz wziął się kontrolować niemal wszystko, co robiła, trzeba było znacznie więcej uwagi poświęcać byle drobiazgowi. I tak pracowała z wrodzoną sumiennością i z tą dokładnością, którą już miała we krwi, lecz świadomość, że byle szczegół, byle drobne niedopatrzenie może ją narazić na przyczepki Minza, stwarzała pewną nerwowość w pracy.

Nadto miała sporo kłopotów z urzędnikami. W biurze nie ustawały plotki, intrygi, wzajemne oskarżania się i złośliwości, wynikające nie tyle może z zawiści, ile z samego faktu ustawicznego przebywania ze sobą. Nieraz musiała perswadować, godzić lub upominać podwładnych, a stale wysłuchiwać ich zwierzeń, pokątnych denuncjacji i żalów. Po niejakiem czasie знаła już doskonale prywatne stosunki nie tylko każdego z pracowników swego działu, lecz i z całego Mundusu. Ten bił się z żoną i przychodził podrapany, inny formalnie głodził się, bo kupił na raty plac w Piasecznie, inna miała narzeczonego, lecz chodziła po kinach z takim facetem od wyścigów, a prawie każdy poza tym w biurze robił coś komuś na złość, przewracał do góry nogami kartotekę, zamazywał najpotrzebniejsze pozycje w tabelkach, palił niezdrowe papierosy, a w ogóle opowiadał niestworzone rzeczy o kolegach.

Atmosfera w biurze, jak to zauważyła, uzależniała się głównie od dwóch czynników: od pogody i od daty wypłaty pensji. Im dalej było od pierwszego i im gorsza pogoda, tym bardziej atmosfera stawała się kwaśna, zjadliwa i naładowana elektrycznością.

Wszystko to oczywiście blisko obchodziło Annę, gdyż nie tylko odbijało się na wydajności pracy, lecz i na jej własnym usposobieniu. Zdążyła zauważyć, że dział turystyczny najlepiej i najsprawniej pracuje przez kilka dni po każdej wielkiej burzy, kiedy wszyscy byli pokłóceni, nie rozmawiali ze sobą i tylko czyhali, by przyłapać kogoś na błędzie, opóźnieniu czy nieścisłości. Wówczas wybuchał krótki skandalik i robota szła zawzięcie. Anna jednak w takich dniach czuła się wprost nieszczęśliwa. Nie umiała oddychać takim ciężkim powietrzem i robiła wszystko, by doprowadzić do jakiejś takiej zgody.

O ile orientowała się, ją samą lubiano o tyle, że docierające do niej plotki o jej prywatnych sprawach nie miały zbyt wiele złośliwości. Mężczyźni nadskakiwali jej z umiarem i szacunkiem, kobiety nie miały powodu do zazdrości, gdyż starała się ubierać zawsze najskromniej, a żadnego z urzędników nie kokietowała. W biurze naturalnie było kilka par zaręczonych, zaręczonych mniej lub więcej skutecznie, co w żaden sposób nie dawało się ukryć przed baczными spojrzeniami tego małego społeczeństwa i stanowiło temat licznych dowcipów. Anna właśnie nad tymi parami roztaczała szczególniejszą opiekę i to zjednywało jej życzliwość ze strony par, natomiast wśród samotniczek i samotników miała kilku nie wrogów, bo to byłoby zbyt silnym określeniem, lecz niechętnych.

Sama nie znosiła dwóch osób: panny Fuchsówny, starzejącej się utlenionej histeryczki i pana Kątkiewicza, szarmanckiego młodzieńca o pryszczowatej twarzy, snobizującego się swymi znajomościami w arystokracji. Nie cierpiała ich. Ilekroć też w jakimś interesie przechodziła przez biuro, nigdy nie ominęła okazji zatrzymania się przy ich biurkach i sprawdzenia, co robią i jak. Ponieważ zaś każde takie zatrzymanie się wymagało usprawiedliwienia, a nie zawsze znalazł się odpowiedni pretekst, używała uwag i przypomnień w takim tonie, by nie dopuścić sprzeciwu.

Kiedyś oboje zmówili się i poszli widocznie do Minza na skargę, gdyż Minz zapytał ją wprost, czy to prawda, że szykanuje Kątkiewicza i pannę Fuchs. Oczywiście zaprzeczyła, ale nie mogła im tego darować i powiedziała:

— Postaram się udowodnić panu dyrektorowi, że nie tylko ich nie szykanuję, lecz dotychczas pokrywałam wiele ich karygodnych błędów.

— Jak to pani pokrywała?

— Naprawiałam je sama.

— Bardzo słusznie, gdyż pani jest odpowiedzialna za wyniki pracy w swoim dziale.

Anna uczuła się tym dotknięta.

— Gotowa też jestem ponosić całkowitą odpowiedzialność, lecz jedynie w warunkach, gdy mam zaufanie do danego pracownika. Otóż do panny Fuchs absolutnie nie mam

zaufania. Ona ma kurzą pamięć i robi moc omyłek. Zaś pan Kątkiewicz pisuje w biurze listy, a w jego kartotekach panuje chaos.

— Należało mi o tym powiedzieć wcześniej — skrzywił się dyrektor.

— Miałam nadzieję doprowadzenia rzeczy do porządku we własnym zakresie, ale skoro moje napomnienia uznane zostały za szykany, nie widzę powodu do robienia wysiłków.

— Zatem żąda pani wydalenia Fuchsówny i Kątkiewicza?

Anna bez namysłu odpowiedziała:

— Tak, panie dyrektorze.

— Dobrze... Hm... zechce pani w ciągu najbliższych dni przedstawić mi konkretne wypadki.

— Jak pan dyrektor sobie życzy.

Nazajutrz po tej rozmowie przyszły jej jednak refleksje: w gruncie rzeczy ci oboje nie byli gorsi od innych, od reszty pracowników, z których każdemu to lub owo dałoby się zarzucić. Zwlekała tedy z dostarczeniem Minzowi dowodów przeciw nim w nadziei, że on zapomni i wszystko będzie po staremu. Jednakże Minz nie zapomniał. Przy łada sposobności wracał do tej sprawy, domagając się obiecanych dowodów. Jakkolwiek irytowało to Annę, jakkolwiek dopatrywała się w postępowaniu Minza objawów jego niedobrego charakteru, tym niemniej musiała dotrzymać słowa, o co zresztą nie było trudno. Kilka szybko po sobie zaszłych okazji doprowadziło do nieuniknionej konsekwencji; przed pierwszym Kątkiewicz i Fuchsówna otrzymali wymówienia.

Anna, która musiała podsygnować listy z wymówieniami, od rana chodziła jak struta. Zdawało się jej, że w spojrzeniach wszystkich kolegów dostrzega potępienie i niechęć. Kątkiewicz uklonił się jej ze zwykłą swobodą i jakby z ironią, natomiast Fuchsówna przez cały dzień miała zapłakane oczy, a przed siódmą przyszła do boksu Anny i nim zaczęła mówić, dostała ataku spazmów.

To było już nie do zniesienia. Anna drżącymi rękami podawała jej wodę, głaskała po szorstkich utlenionych włosach, własną chusteczką wycierała mokrą twarz, z której warstwą schodziła szminka. Wreszcie sama odwiozła ją taksówką do domu.

Fuchsówna mieszkała w małym odnajętym przy jakiejś niezamożnej rodzinie pokoiu, urządzonym pretensjonalnie, wypięknionym kretonowymi sztywnymi falbankami w jasne kwiaty i brązowanymi gipsami, przedstawiającymi różne sytuacje mitologiczne. Ręcznie robione abażury ze sztucznego jedwabiu, zakopiańskie drewniane potworności, trochę niedorzecznego folkloru, pasiaków i chust, zbieranina różnych *souvenir de*⁷¹ z taniach uzdrowisk, jakaś straszliwa akwarela z altanką i z włoskimi topolami, kilka tandetnych imitacji batików, sterty ilustracji tygodniowych i w pluszowej ramce portret pucułowanego kapitana o impertynenckiej minie, wzdętym biuście i baranim spojrzeniu. O tym kapitanie, byłym narzeczonym panny Fuchs, wiedział cały Mundus: kochał ją do szaleństwa i był stuprocentowym mężczyzną, ale umarł na ślepą kiszkę.

Przed portretem we flakonie z taniego szkła stały celofanowe kwiaty.

Wszystko razem było przygnębiające i tak bolesne, że Anna z trudem hamowała łzy. Na domiar w pokoju panował zapach perfum hiacyntowych, a zza ściany ryczało radio.

Fuchsówna chlipała i wśród chlipania rozżalała się coraz bardziej nad utraconą posadą, nad swoim losem, nad złym światem i zimnym sercem bliźnich. Anna pocieszała ją jak umiała, przyrzekała, że zrobi wszystko, by Minz wymówienie cofnął, że w ostateczności wystara się dla niej o inną posadę. Sytuacja była tym nieznośniejsza, że Anna śpieszyła się do Dziewanowskiego, a tu w żaden sposób nie wypadało wyjść, gdyż Fuchsówna zaczęła obszernie opowiadać historię swego życia, poczynając od dziejów pożycia rodziców, które zakończyło się porzuceniem matki przez wiarołomnego ojca, poprzez gimnazjum, wiele szkół kształcących zawodowo, wiele posad, utraconych wskutek redukcji i intryg, poprzez stosunki z bogatą, a złą i nieuczyzną rodziną... Wreszcie wydobyła swoją metrykę, by udowodnić, że naprawdę ma tylko dwadzieścia dziewięć lat, a nie czterdzieści dwa, jak mówią w biurze te, co ani wdziękiem, ani świeżością jej nie dorównują. Annie przy oglądaniu metryki chciało się już śmiać wobec rażącej dysproporcji między jej datą, a datą wypisaną skrupulatnie przez czas na twarzy biednej Fuchsówny.

⁷¹*souvenir de* (fr.) — pamiątka z. [przypis edytorski]

Przypomniawszy jej znowu Władek Szerman, który przy jakiejś okazji mówił o metryce kobiecej:

— Jest to dokument tak szanowny, że czasami gotów jestem uwierzyć w jego autentyczność.

Rozstały się najcieplej, jak tylko Anna umiała. I od tego dnia nabawiła się w biurze nowej dokuczliwej historii: panna Fuchs uznała się za jej serdeczną przyjaciółkę i przynajmniej dziesięć razy dziennie przychodziła do boksu z wszelkimi możliwymi i niemożliwymi interesami.

Cóż mogła na to poradzić, trzeba było cierpieć.

Z Kątkiewiczem sprawa przedstawiała się gorzej. Okazało się, że od szeregu miesięcy żył zaliczkami i przez czas wymówienia nic mu się już nie należało. Bystre oczy kolegów dostrzegły też wkrótce, że sprzedawał zegarek, papierosnicę i pierścionek. Podobno nawet usunięto go z mieszkania. Często przychodził do biura zablocony, brudny i z czerwonymi białkami. Zaczął pić. Razu pewnego przyszedł tak pijany, że zasnął przy biurku. Jak na złość licha przyniosło Minza właśnie w tej chwili. Oczywiście został natychmiast wydalony, a nazajutrz, gdy zjawił się, by zabrać z szuflad swoje drobiazgi, przeszedł obok Anny, nie kiwnąwszy jej nawet głową. Był blady i miał zacięty wyraz twarzy, a ramiona jakoś mu się garbiły. Anna wiedziała, że odmówiono mu wydania świadectwa i nie wiadomo dlaczego zaczęła prześladować ją myśl, że Kątkiewicz popełni samobójstwo.

Nie spała tej nocy, a z rana po drodze kupiła gazetę i przestudiowała rubrykę wypadków, lecz wzmianki o Kątkiewiczze nie znalazła. Długo nie mogła się pozbyć myśli o nim. Na szczęście przyjazd Karola i Lituni odciągał jej uwagę od spraw biurowych. Ileż dałaby za to, by nie trapić się wyrzutami sumienia z powodu tych dwojga wydalonych. Gdyby nie była kierowniczką, gdyby nie należało do jej obowiązków kontrolowanie innych — jakby to było dobrze. Taki Minz jest na pewno w jeszcze gorszym położeniu. Przecie musi dbać o interes biura i ten interes stawiać na pierwszym miejscu, a z drugiej strony nie może wyrzec się uczuć ludzkich. Jak pogodzić jedno z drugim, jak dozować kryteria?... Nie wolno przecie działać na szkodę instytucji, a krzywdzić ludzi to okropne, to nie daje spokoju...

Dziewanowski, któremu zwierzyła się z tych trosk i wątpliwości, powiedział:

— Są tacy, którzy kierują się zasadami i bezwzględnie umieją je zastosowywać do każdej okoliczności.

— Ależ nie można tego stosować do żywych ludzi! Każdy z nich jest inny, każdy inaczej przeżywa, inaczej reaguje. Dla jednego może być niczym, małą przykrością to, co innego doprowadzi do samobójstwa. A poza tym weźmy choćby pod uwagę wielkie różnice w warunkach materialnych. Tu nie można stosować zasad, stosować szablonu, gdy się ma do czynienia z życiem i śmiercią

— Jeżeli życie i śmierć — w zamyśleniu powiedział Marian — są aż tak ważne, jak się nam zdaje.

— Jak to nam? Czyż sądzisz, że taki Minz nie liczy się z tym wcale?... Nie można przesadzać. Każdy ma trochę sumienia.

— Ale sumienie to tylko manometr nastawiony do danej skali ciśnień.

— Chcesz przez to powiedzieć, że reguluje się według zasad?

— Coś w tym rodzaju — potwierdził Dziewanowski — większość ludzi przyjmuje pewne zasady, jako prawdy bezwzględne, jako dogmaty. Nigdy ich nie kwestionuje, nie bada, nie analizuje. I to stanowi ich siłę.

— I żyją na ślepo?

— Tego nie można powiedzieć, gdyż wierzą w swoje dogmaty, gdyż dorobili do tej wiary mniej lub więcej wymowne rozumowanie, rozumowanie w każdym razie dla nich samych wystarczające. I to, powtarzam, stanowi ich siłę.

— Raczej niższość.

— Może.

— Przecież to oczywiste — zniecierpliwiła się.

Marian uśmiechnął się:

— Uważaj, bo zawadzisz o dogmat! Pewność, z jaką klasyfikujesz relatywizm i dogmatyzm jest prawie dogmatyczna. A jakże ta pewność będzie wyglądała, skoro zapytam cię, jaką miarę stosujesz?...

Po tej rozmowie Anna w duchu uznała, że świat i jego urzędnicy, że człowiek i jego sprawy, to rzecz niesłychanie skomplikowana, przerażająca swym ogromem, powikłaniem i odpowiedzialnością za każdy uczyniony krok. W końcu doszła do wniosku, że najlepiej wcale o tym nie myśleć. Zresztą nawał bieżących aktualnych spraw ułatwiał jej wyzbycie się tych zmartwień.

Przyjechał Karol z boną i z Litunią. Dziewczynka była lekko zaziębiona i kaszlała. Na szczęście nie miała gorączki. Wyglądała wcale dobrze, trochę wyrosła i nabrała ciała. Karol natomiast schudł i jakby nieco się postarzał. Robił wrażenie dziwnie obce i szare.

Już na dworcu wyraził przypuszczenie, że Litunia dostanie zapalenia płuc, że w pensjonacie będą pluskwy, że tutejszą kuchnię zepsuje sobie żołądek i że wszelkie nadzieje na przeniesienie się do Warszawy na stałe okażą się pustymi mrzonkami.

Początkowo radość z przybycia Lituni wypełniała Annę tak całkowicie, że nawet na to nie zwracała uwagi. Ze śmiechem przyjęła nawet zawieruszenie się walizki, której długo nie można było odszukać z racji niezaradności Karola.

Postanowiła sobie, że wynajdzie jakiś sposób, że urwie małe pół godzinki, by pokazać Litunię Marianowi. Na razie nie było o tym mowy. Ulokowanie Karola w pensjonacie, omówienie różnych pilnych spraw i prezentacja Lituni na Polnej — zajęły zbyt wiele czasu. Pani Grażyna przyjrzała się dziecku uważnie i orzekła, że jest podobna do ojca, a Kuba chrząknął i zapytał:

— Cóż u ciebie słychać, moja mała?

Anna była rozczarowana takim przyjęciem jej córeczki, córeczki, która oczywiście nie jest żadnym cudem świata, ale bezsprzecznie najładniejszym i najlepiej rozwiniętym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziała.

Wieczorem, gdy Anna została sama z mężem, obojętnie słuchała jego utyskiwań, łagodnie, ale stanowczo unikała jego pieśnyczot i przygotowywała w myśli dłuższą przemowę, której sensem miało być: z pożycia ze mną musisz zrezygnować, gdyż kocham innego.

Do przemowy jednak nie doszło. W pokoju było prawie ciemno w drugim obok spała Litunia. Jej oddech wysiłony wskutek zakatarzenia był na szczęście równy i głęboki. Bona wyszła do kina i zostali sami.

Jeżeli próby pieśnyczot ze strony Karola stawały się coraz bardziej przedsiębiorcze, sprzyjały temu nie tylko okoliczności, lecz i słabnący opór Anny: ciało dopominało się o swoje prawa, skrupuły malały, przyzwyczajenie naskórka przyspieszało konkluzje myślowe i obowiązkowi małżeńskiemu stało się zadość.

ROZDZIAŁ 5

Bankiet miał się rozpocząć o ósmej, a już o siódmej pani Grażyna była gotowa. Nie miała tremy. W ciągu swego długiego życia uczestniczyła już w tylu podobnych uroczystościach i tyle razy przemawiała, że i dzisiejszy jubileusz, chociaż był jej własnym jubileuszem, nie mógł wyprowadzić z równowagi jej idealnie zrównoważonego systemu nerwowego.

Stojąc przed lustrem w nowej czarnej aksamitnej sukni, przyglądała się sobie nie tyle z upodobaniem, ile z uznaniem: wyniosła, poważna i prawie piękna w tej aureoli siwych włosów, w swojej majestatycznej zdrowej starości, była ściśle taka, jaką być pragnęła. Jej własny wzrok, ten najsurowszy z krytyków, nie mógł w odbiciu całej postaci znaleźć nic, literalnie nic, co chciałaby zmienić lub zastąpić. Właśnie tak wyobrażała sobie swoją starość i takiej starości dożyła.

— Starość — uśmiechnęła się do siebie i, odwróciwszy się od lustra, wolnym krokiem zbliżyła się do ściany, na której wisiał wielki olejny portret wysokiej młodej panny w atlasowej tualecie balowej.

Tak wyglądała przed pięćdziesięciu laty...

— Starość — powtórzyła z odcieniem zdziwienia.

Wcale nie czuła się stara. Raczej było odwrotnie: ta panna na portrecie, równie poważna i wyniosła, równie przedstawiająca wzór harmonii fizycznej i duchowej, nie była nigdy młoda. Może wynikało to z jej usposobienia, a może z tej przyczyny, że na młodość nie miała czasu.

Pożądanie, Seks

Starość

Pani Grażyna nie czuła się stara. Lata przepływały przez jej życie kolejnością dat, dat składających się na pięćdziesięcioletni kalendarz posiedzeń, zjazdów, rautów, wizytacji i narad. Czas mijał poza nią, dotyczył jej działalności, jej pracy, jej obowiązków, lecz nie jej samej. Wszystko, co stanowiło jej ściśle prywatne życie nie zajmowało w owych pięćdziesięciu latach prawie nic miejsca. Nie żyła dla siebie, lecz dla ogółu, dla narodu, dla społeczeństwa i właśnie dzisiejszy jubileusz ma być widowym wyrazem podziękii, czci i hołdu ze strony tego społeczeństwa, hołdu, na który zasłużyła w pełni.

Nie będzie to czcza manifestacja, lecz uczciwie zarobiona nagroda, którą przyjmie z wysoko podniesioną głową, z całkowitą świadomością prawa do tej nagrody.

Wszyscy, z którymi współpracowała, którzy z bliska przyglądali się jej nieustrudzonej pracy, którzy oceniali jej działalność, zbiorą się dzisiaj na bankiecie lub nadeślą gratulacyjne depesze. Już od rana pani Grażyna otrzymała ich kilkadziesiąt.

Przejrzała je jeszcze raz i przyszło jej na myśl, by pokazać te dowody uznania synowi.

Zapukała do jego drzwi. Siedział przy biurku i układał pasjansa, mrucząc coś pod nosem. Zerknął spod oka na matkę i zapytał:

— Cóż to mama dziś taka wystrojona?

— Mówiłam ci przecie, a zresztą mogłeś dowiedzieć się o tym z dzienników, że dziś jest obchodzony pięćdziesięcioletni jubileusz mojej działalności. Widzisz, ile depesz otrzymałam.

Chciała położyć przed nim plik depesz, lecz Kuba krzyknął:

— Co mama robi! Pasjans! O, Boże, wszystkie karty mama mi przesunęła. Do licha, sam nie wiem, czy potrafię je z powrotem ułożyć!

Pani Grażyna cofnęła się i zacięła wargi.

— Myślałam — powiedziała po pauzie — że więcej cię obchodzi twoja matka niż pasjans.

— No i nie wiem, jak Boga kocham, nie wiem, gdzie leżała ta ósemka trefl — płaczliwym głosem zawołał Kuba.

— Nawet mi nie powinszowałeś. Jesteś złym synem, Jakubie.

— No winszuję mamie, ale to jeszcze nie powód, by demolować komuś pasjans. O, tutaj leżała dama pik, ale teraz nie wiem... Mama nie zauważyła, czy na damie pik leżał walet karo?...

Pani Grażyna nic nie odpowiedziała. Zmieniła w ręku depesze i wyszła. W przedpokoju nie paliło się światło. Zatrzymała się tu i stała bez ruchu.

W mieszkaniu panowała zupełna cisza.

— Jakaż ja jestem samotna — pomyślała pani Grażyna.

Wanda również nie pamiętała o jubileuszu matki. Na pewno czytała o nim, ale nie uważała za potrzebne odezwać się. Nie poczuwała się do obowiązku. Można przecie być innych poglądów, można być złą do szpiku kości, zepsutą kobietą, ale choćby dla konwenansu pamiętać o dniu tak ważnym, takim uroczystym. Kuba co innego. To głupi chłopak. Po prostu kawałek mięsa, ale Wanda!... Podła.

Pani Grażyna czuła, że gardzi swymi dziećmi, że się nimi brzydzi. Pierwsza lepsza jej sekretarka, czy współpracownik, byli jej stokroć bliżsi, niż tych dwoje. Rodzone dzieci. O, gdyby wszystkie rodzone dzieci tak ustosunkowywały się do rodzonych matek, cóż byłyby warte szczytne hasła głoszone przez panią Grażynę Jelską-Szermanową, senatorkę i prezeskę, której jubileusz dziś obchodzono! Czyż to nie ironia losu, że właśnie ona jest skazana na takie dzieci, na taki dom rodzinny, pusty, zimny, obojętny, dom, w którym nic mieszkańców nie łączy...

— Gdyby żył Antoni — pomyślała o mężu i szybko odrzuciła tę nieszczerą próbę przeciwstawienia.

Wiedziała dobrze, że i Antoni nie był jej bliższy.

— Jakaż ja jestem samotna, jakaż ja jestem samotna — powtarzała cicho, opierając się o ścianę — samotna i stara...

I nagle zjawilo się pytanie: za co? Czym sobie na to zasłużyła ona, która przez pięćdziesiąt lat wyrzekała się siebie, wyrzekała się rozrywek, balów, strojów, wyrzekała się wszelkich radości?... Czym zawiniła?...

Zegar w jadalni wybił ósmą.

Dziecko, Matka, Pogarda

Samotność

Pani Grażyna ścisnęła palcami skronie i wolnym zmęczonym krokiem przeszła do siebie. Nie zadzwoniła na służącą. Sama nałożyła kapelusz i futro. Futro było ciężkie. Czuła się dziwnie zmęczona i osłabiona. A przy tym wydało się jej, że w pokoju jest duszno.

Na dworze był mróz, za silny mróz, gdyż również utrudniał oddech. Na dole czekał samochód, przysyłany przez panią Jabrzmęską, zawsze taką uważną i uprzejmą. Wielka czarna limuzyna o miękkich poduszkach obitych zamszem. Niesie tak cicho i lekko, że wystarczy przymknąć oczy, by stracić wrażenie ruchu. Pani Grażyna otworzyła je dopiero wówczas, gdy samochód się zatrzymał przed jaskrawo oświetlonym hotelem.

Jakżeby chętnie kazała szoferowi zawrócić. Położyłaby się do łóżka. Naprawdę była zmęczona jak nigdy. A tu tyle światła, tyle ludzi. Już w szatni powtórzyło się to przebiecie w sercu, które po raz pierwszy odczuła w ciemnym przedpokoju. Bardzo przykre przebiecie, jakby serce przepuściło jedno czy dwa uderzenia, a później gwałtownie chciało to nadrobić.

Witała się uśmiechnięta z tłumem znajomych, później siedziała przy stole na wielkim udekorowanym kwiatami fotelu i słuchała długich przemówień. Ale było stanowczo za duszno. Gdyby nie obawa, że inne panie w wydekoltowanych sukniach mogą się przeziębować, poprosiłaby o otwarczenie okna.

Mowy były piękne i podniosłe, pełne superlatywów dla jubilatki, pełne hołdu i wdzięczności za jej wieloletnią działalność. Przemawiali panowie i panie. Podnoszono zasługi pani Grażyny przy cementowaniu społeczeństwa ideą świadomej swych celów kobiety, która jest gwarantką instytucji, świętej instytucji rodziny.

„Jej to zawdzięczamy dzisiaj tysiące kobiet, żon i matek, które nie tylko nie są ciężarem dla swoich rodzin, lecz stanowią w nich element aktywny, współodpowiedzialny za dzieło tworzenia ducha nowych pokoleń...”

W sali było nieznośnie duszno, a przy tym zimno. Nogi i ręce pani Grażyny wprost lodowaciały. Na dłoniach pomimo to wystąpił pot. Stały się całkiem wilgotne.

Gdy wstała, by odpowiedzieć na toasty, serce zareagowało nowym przebieciem, w oczach pociemniało i z wolna opadła na fotel. Nie straciła przytomności. Widziała i słyszała wszystko, co się wokół działo, zdawała sobie sprawę z całego zamieszania, jakie nastąpiło. Wlewano jej do ust wodę, badano puls, wreszcie przeniesiono do bocznego pokoju, gdzie otworzono okno. Tylko hałas męczył ją straszliwie. Podano jej jakieś gorzkie krople. Nigdy nie chorowała i wydały się jej obrzydliwe.

Po kwadransie czuła się już o tyle lepiej, że mogła wstać. Po dwudziestu minutach oświadczyła, że pragnie wrócić do domu. Nogi były nieprawdopodobnie ciężkie, ale wspierając się na ramieniu dwóch panów, jakoś przeszła do samochodu. Odprowadziły panią Grażynę dwie panie. Jedna z nich, lekarka dr Sarnecka, zażądała od przestraszonego służącego, by poprosił zaraz syna pani senatorki.

Kuba zjawił się w pokoju matki zaspany i w szlafroku.

— Pani senatorka — poinformowała go lekarka — miała lekki atak serca. Niestety nie jest to moja specjalność. Na razie nie ma absolutnie żadnego niebezpieczeństwa, ale trzeba wezwać specjalistę. A w każdym razie byłoby dobrze, gdyby ktoś zawsze przy pani senatorce był.

— Ja nie mogę, proszę pani, ja muszę jutro bardzo wcześnie wstać, może sprowadzić jakąś pielęgniarkę — mówił Kubaś.

— Zdaje się, że to pański kuzyn doktor Szerman? To specjalista od chorób sercowych, może wezwałby pan jego?

Kuba spojrzał pytająco na matkę:

— Mogłbym zadzwonić po Władka, ale nie wiem, czy mama sobie życzy.

— Zadzwoni — krótko odpowiedziała pani Grażyna.

Dr Szerman przyjechał natychmiast. Wszedłszy do pokoju pani Grażyny, przede wszystkim zbadał jej puls, potem obudził chrapiącego na kanapie Kubę i wyprawił go do łóżka, a następnie usiadł przy pani Grażynie i zapytał:

— Jakże to było? Niech mi ciocia opowie. Na bankiecie? Może ciocia wypila za dużo wina?

— Nie piłam wcale. Jeszcze w domu miałam takie nieprzyjemne przebiecie w sercu, a na bankiecie powtórzyło się to dwa razy...

— Tak...

— Nigdy czegoś podobnego nie miałam. Powiedz mi, Władku... Czy ja umrę?

Choroba, Serce

— No, kiedyś z pewnością. Na razie nie ma niebezpieczeństwa. Ciocia pozwoli, że ją zbadam.

Przystąpił do szczegółowej auskultacji⁷². Pani Grażyna spod przymkniętych powiek przyglądała się jego czołu, na którym nabrzmiewały grube żyły, ilekroć pochylił głowę. Gdy jedną ręką, jaką posiadał, trzymał stetoskop, zdawało się jej, że straci równowagę. Niejednokrotnie słyszała o nim, jako o fachowcu bardzo przychylne opinie, nie podzielała ich jednak, gdyż Władka uważała za przemędrkowanego materialistę i cynika. Zresztą gdyby był dobrym specjalistą, dawno dorobiłby się jeżeli nie majątku, to przynajmniej dobrobytu, a on wciąż leczy na przedmieściach, w Kasie Chorych i w szpitalach.

Teraz jednak pani Grażyna wołała, że to jego wezwano niż innego lekarza. Ten przynajmniej powie szczerze, co jej jest i czy choroba wymaga poważnej kuracji.

— I jakże znajdujesz? — zapytała, gdy usiadł i spojrzał na zegarek.

— Znajduję, że jest dobrze — wzruszył ramieniem.

— Nic niebezpiecznego?

— Nerwica serca. Ile ciocia ma lat?

— Siedemdziesiąt.

— Ładny wiek, jak powiedziałby każdy lekarz. Cóż... skleroza, artretyzm... Czy wypróżnienia ma ciocia regularne?

Pani Grażyna nie cierpiała ani tego tematu, ani takiego sposobu nazywania rzeczy po imieniu. Odpowiedziała jednak:

— Różnie bywa.

— Tak i wątroba też — zawyrokował.

— Ale czy to jest niebezpieczna choroba?

— To zależy, jak kto na te rzeczy patrzy. Ja powiedziałbym, że to choroba całkiem bezpieczna: starość.

— Dziękuję ci, ale chciałabym wiedzieć, czy ten atak serca...

— Nerwicowy. Musiała ciocia czymś się przejąć, a że tam w sercu klapki nie domykają się, więc trzeba najmniej się ruszać. Najlepiej leżeć w łóżku.

— No dobrze, ale jak długo?

— Mówiąc stylem cioci, wyroki boskie są niezbadane. Ja radziłbym w ogóle nie wstawać.

— Jak to w ogóle?

— No, w ogóle, jeżeli ciocia nie chce przyspieszyć swojej podróży z padolu łez do wiekuistej szczęśliwości.

— Aha...

— Poza tym żadnej pracy, żadnego wysiłku, żadnych wzruszeń, zresztą ten ostatni zakaz dietetyczny jest dla cioci zbędny. Leżeć, czytać Kraszewskiego⁷³, pisma konserwatywne i jeść też kaszkę na mleku, pokarmy strawne, wizyty przyjemne... Hm, z tego ostatniego względu radziłbym też wezwać jakiegoś lekarza od większego ceremoniału. Na razie posiedzę, bo lepiej jeszcze poczekać, ale proszę nie rozmawiać, gdyż może to cioci zaszkodzić.

Pani Grażyna nic nie odpowiedziała. Wielkie osłabienie fizyczne, pozycja leżąca i poniekąd zależność od tego brutalnego człowieka uniemożliwiały należyte zareagowanie na jego impertynencje. Zresztą bała się, że odejdzie, a czuła wciąż niepokój w okolicy serca i obawiała się nowego ataku.

Władek wstał i mruknął:

— Proszę lekko się unieść!... Jeszcze...

Podciągnął wyżej poduszki, zbadął puls, podsunął sobie fotel, wielki, niezbyt wygodny, ale imponujący rozmiarami fotel, na którym siadywała zwykle pani Grażyna, gdy przyjmowała interesantów. Nie robiła tego przecie dla pozy czy komedii, ale dostojność swojej postaci w tym fotelu uważała za dobre podkreślenie wypowiadanych słów, cennych i dostojnych. Władek rozwalił się w tym fotelu z tą nieznośną semicką nonszalancją, której w innym wypadku nie zniosłaby.

Usiadł, przymknął oczy i milczał.

⁷²auskultacja — osłuchiwanie przy pomocy stetoskopu. [przypis edytorski]

⁷³Kraszewski, Józef Ignacy (1812–1887) — powieściopisarz, jeden z najpłodniejszych autorów w literaturze polskiej. Autor m.in. *Starej Baśni*, *Króla Piasta* czy *Za Sasów*. [przypis edytorski]

Starość

Antysemityzm

W głuchej ciszy słyszała tylko własny oddech i nierówne tętno serca. Nie wierzyła Władkowi. Umyślnie, przez wrodzoną małpią złośliwość powiedział jej, że już nie podniesie się z łóżka. Wszystko w niej buntowało się przeciw temu potwornemu unieruchomieniu. Gdyby nie zwykły fizjologiczny strach, że każdy szybki ruch może spowodować nowy atak, zaraz wstałaby...

A jednak musiało w tym być coś z prawdy. Nawet taki cynik nie zdobyłby się na podobnie bezczelne kłamstwo. Zaraz jutro wezwie doktora Lisowskiego i profesora Klenga. Jest wprost nonsensem wierzyć temu smarkaczowi, zarozumiałemu smarkaczowi. Ona, która nigdy nie chorowała, która nawet oba porody odbyła tak lekko, miałaby już umierać!... Ludzie znacznie słabsi żyją nieraz znacznie dłużej...

Przecie do dzisiejszego wieczora czuła się świetnie.

Chciałaby zapytać jeszcze Władka o stan swego zdrowia, wyciągnąć go na informacje o szczegółach niedomagania i przeprowadzić dyskusję, w której — była tego pewna — musiałby przyznać, że nie jest z nią tak źle. Wstydziła się jednak okazać wobec niego niepokój. Poniżałoby to jej godność osobistą. Milczenie wszakże było jeszcze bardziej nieznosne.

— Nudzisz się — odezwała się cicho — może byś wziął jakąś książkę?

Poruszył przecząco głową.

— Zobacz w salonie na półce przy biurku. Jest tam kilku nowych autorów, może cię zaciekawia.

— Dziękuję cioci. Wyobrażam sobie, jak znudziliby mnie autorzy popierani przez ciocię. A pozostając ze swymi myślami, mniej się nudzę, niż się cioci zdaje.

— Doceniam wartość twoich myśli, ale chyba nie jesteś tak zarozumiała, by myśli cudze lekceważyć.

— Wchłaniam ich sporo. A w ogóle ludzie postępują w tych rzeczach komicznie. Albo wchłaniają je na własny użytek, albo odrzucają. Żałują czasu na gruntowne przetrwanie własnych refleksji. Co więcej, swoje wygodnictwo i lenistwo intelektualne uważają za tytuł do chluby: tak zwane niewzruszone zasady, niezmiennie poglądy. Już wolę tych, co w pokorze ducha, a raczej w pokorze kurzego mózdzku, powiadają krótko, że wierzą. Wierzą i koniec. Na objawienie, na słowo honoru. Dawałem kiedyś korepetycje pewnemu oficerowi, przygotowującemu się do jakichś egzaminów sztabowych. W żaden sposób nie mógł zrozumieć, że suma kątów w trójkącie równa się dwu kątom prostym. Wreszcie zdenerwowany mówię mu: "daję panu na to słowo honoru, że tak jest!". Mój oficer od razu zgodził się: "Czemuż pan mi od razu tak nie powiedział!...". Swoją drogą nazajutrz ogarnęły go znowu wątpliwości. Chodziło o to, czy słowo honoru człowieka pochodzenia żydowskiego jest dostatecznie pewne. Nie o tym jednak chciałem mówić. Wiara jest niewątpliwie zdolnością godną pozazdroszczenia. Wszystkie wątpliwości, wszystkie problemy rozwiązane. Można zatem machnąć na nie ręką i zabrać się do praktycznych, rentownych i przyjemnych zajęć, jak lichwiarstwo, plotkarstwo i umoralnianie bliźnich. Wiara jest skarbem.

— To prawda, a ty najlepiej musisz to znać, gdyż bez objawień i bez słowa honoru pielęgnujesz materializm, który też jest wiarą.

Władek poruszył się niecierpliwie:

— A któż cioci powiedział, że jestem materialistą?...

— To jasne.

— Oczywiście. W piątek jadłam kielbasę, śpiam z kobietą na łóżku niepokropionym wodą święconą, należę do gminy bezwyznaniowej i zajmuję się naukami przyrodniczymi. Kto jestem? Materialista. Powinienem z obowiązku lekarskiego tu siedzieć, ale jak mi ciocia jeszcze powie, że mój światopogląd opiera się na pochodzeniu człowieka od małpy, to sobie pójdę. To jest dobre na posiedzeniu związku służby domowej. Do licha, oczywiście, że materializm, z którym ciocia tak walecznie wojuje, jest wiarą, a raczej był wiarą w dziewiętnastym wieku. Ale że dziś w ogóle nie istnieje, więc jest to walka z urojonym wrogiem. To zadziwiające, jak instytucja wroga jest potrzebna. Ludzie nie wytrzymaliby z nudów, gdyby nie mogli czegoś zwalczać. Obawiam się, że tkwi to w instynkcie.

— Ja myślę, że w dążeniu do prawdy.

Wiara

— Dążenie do prawdy przez rozprute flaki bliźniego. Ale wróćmy do materializmu i jego spraw. Oczywiście ciocia nie czyta takich heretyków, jak Bergson⁷⁴, Henryk Poincaré⁷⁵ czy Jeans⁷⁶? Więc nie wie ciocia, że współczesny materializm doszedł do zaprzeczenia samej swej nazwy, że odkrył, iż najdrobniejsza cząstka materii, elektron, nie jest materią, tylko wiązką fal, że materii zatem w ogóle nie ma, że stanowi ona jedną z krótkotrwałych faz energii, że istoty tej energii nie znamy, że być może jest ona energią woli lub myśli?...

Pani Grażyna spojrzała nań uważnie. Nerwowa twarz Władka skurczyła się jakoś dziwnie, palce jego ręki kurczyły się i rozprężały, a oczy w półmroku zdawały się świecić. Nigdy go takim nie widziała. Nadto jego słowa zdziwiły ją również.

— A cóż jest źródłem tej energii, tej woli czy myśli? — zapytała.

Zaśmiał się krótko i urwał:

— Któż to może wiedzieć!

— Więc ci ludzie, ci uczeni, których wymieniałeś, nie dają na to odpowiedzi?

Władek oparł głowę na rękę i milczał. Tylko jego wąskie bezkrwiste usta drgały chwilami. Wreszcie odezwał się:

— Ostrożnie z odpowiedziami! Zbyt pośpiesznie wyprowadzamy wnioski. Każdy z wyników laboratoryjnych badań obciążony jest olbrzymim ogonem myśli, każda z nich musi ulegać gruntownej analizie, ba, każda warta jest całego życia. Cóż jest prostszego, jak powiedzieć: jeżeli elektrony w ruchu falowym stanowią energię, a w ruchu wirowym materię, czymże są w bezruchu?... Niczym. Cóż łatwiejszego, niż wyprowadzić stąd wniosek: energia, materia, wszechświat, są li tylko myślą... Myślą o nieogarniętej potędze. A dalej, jeżeli myśl tworzy, jeżeli stwarza z niczego przedmioty dotykalne, uczucia, ruch, zmysły i naszą własną ludzką myśl, czy ta nasza myśl w takimż, lub mniejszym zakresie nie jest zdolna do stwarzania nowych światów, gdzie żyją istoty odczuwające ciepło i zimno, miłość i nienawiść, prawdę i fałsz?...

Roześmiał się nerwowo:

— Widzi ciocia do jakich „czortików” można dojść drogą logicznego rozumowania. O ile bezpieczniejsza jest wiara!

Pani Grażyna odetchnęła głębiej. Zdawało się jej, że natężona uwaga, z jaką słuchała rozważań, tak nieprawdopodobnych w jego ustach rozważań Władka, wstrzymywała normalną pracę jej płuc, co zaszkodziło sercu, gdyż puls uderzał w skroniach coraz szybciej.

— Czuję niejakie pogorszenie — odezwała się spokojnie.

Władek wstał, przesunął lekko dużym palcem po przegubie i nacisnął. Obserwowała wyraz jego twarzy, lecz wyglądał na pogrążonego w poprzednich rozmyślaniach. W gardle czuła coraz silniejszy ucisk, a w sekundę potem nastąpiło gwałtowne dwukrotne przebicie i serce zaczęło cichnąć.

— Umieram — pomyślała.

Chciała przynaglić Władka, żądać odeń ratunku, prosić, by telefonował po innych lekarzy, lecz nie mogła do tego się zmusić. Nogi i ręce lodowaciały, tył czaszki uciskał jakąś niezrozumiałą próżnią, w oczach robiło się ciemno, a słuch stał się tak ostry, że słyszała teraz nie tylko konające bicie własnego serca, lecz także oddech Władka, cykanie jego zegarka, cykanie zegara na serwantce i chrapanie Kuby w czwartym pokoju.

— Czuję się źle — powiedziała, ledwie poruszając wargami.

— Niech ciocia oddycha głęboko — odpowiedział — jeszcze głębiej, a ręce wyżej. Głębiej, dłuższy oddech.

Sam wstał, wziął swój neser lekarski i coś wyjmował. Śledziła go z przerażeniem. Wiedziała, że robi wszystko szybko i sprawnie, ale nie przemawiało to do jej strachu. Ileż dałaby za możliwość krzyknienia:

— Prędejj, prędejj, bo będzie za późno! Umieram!

Rozumiała, że Władek zdaje sobie sprawę z jej stanu i że przygotowuje zastrzyk kamfory. Nieraz słyszała, że umierającym dla wzmocnienia działalności serca wstrzykuje się

Śmierć

⁷⁴Bergson, Henri (1859–1941) — francuski filozof, francuski filozof, noblista (1927), twórca intuicjonizmu. [przypis edytorski]

⁷⁵Poincaré, Henri (1854–1912) — francuski fizyk, matematyk, astronom. [przypis edytorski]

⁷⁶Jeans, James Hopwood (1877–1946) — brytyjski matematyk i astronom. [przypis edytorski]

kamforę. Chciała go prosić o największą dawkę, chociaż już nie wierzyła w możliwość rakunku. Gdy on będzie wbijał igłę w jej ciało, będzie to już ciało trupie... Wyobrażnia podsuwała dalsze obrazy. Zbudzą Kubę, tego biednego głupiego chłopca, który prawdopodobnie nie ogarnie straty, jaką poniósł, zawiadomią Wandę... Wanda brzydzi się umarłych... Wątpliwe, czy w ogóle przyjdzie. A później katafalk i pogrzeb... Śmierć, czymże i w czym jej śmierć zmienić może bieg ich życia, ich myśli? W niczym. Najwyżej zakłóci porządek kilku dni! Pogrzeb i formalności prawne. Które z nich zapłacze?... Czyż mają tak oziębłe serca?... Czyż Kuba lub Wanda mogą pojąć jej tragedię, tragedię matki, umierającej w tej dzięk, zimnej samotności, siedemdziesięcioletniej kobiety, biednej, starej kobiety, zasłuchanej w przeraźliwie słabnący, już niewyczuwalny rytm serca?...

I serce, jakby targnięte tą niemą skargą, zerwało się nagle. Popędziło szalonym, nieprzytomnym tempem. Zdawało się rzucać we wszystkie strony, wpadło w bezsilny złowieszczy galop, zabulgotało, jakby dławiąc się panicznymi przełykami krwi...

— Umieram — zacharczało w gardle.

Jednocześnie w prawej ręce powyżej łokcia uczuła krótki ostry ból: zastrzyk kamfory. Otwarte oczy rozróżniały kontury tylko najbliższych przedmiotów, ale na skórze przedramienia czuła wyraźny ból sińca, rozcieranego gorącą dłonią. Zbawcza kamfora wsiąkała w krew, pędziła z nią do serca. W nozdrza uderzał oświeżający zapach eteru.

— Głębiej, głębiej oddychać — usłyszała niecierpliwy głos.

Nie mogła. Przy każdym o odrobinę głębszym wciągnięciu powietrza gardło zaciskało się i przychodziła pewność, że więcej się nie rozszerzy, że więcej nie przepuści do płuc ani najmniejszego lyku powietrza. Przecie i tak usta miała pełne zimnej śliny, a nie odważyłaby się jej przełknąć, bo jedno poruszenie krtani równałoby się uduszeniu. Ślina zaczęła ściekać po wargach. Musiało to wyglądać ohydnie. Wyciągnęła rękę po chusteczkę, lecz nie mogła jej znaleźć na zwykłym miejscu. Z wysiłkiem podniosła do ust rąbek kołdry i zwinęła weń nadmiar śliny, czując na ustach dotyk chłodnej weby⁷⁷ prześcieradła.

— Ręce nad głową — gniewnie zawołał Władek.

W chwilę potem znowu poczuła zapach eteru i nowe ukłucie, tym razem powyżej prawego kolana. Szybko przez głowę przebiegła myśl, że leży odkryta. Tak, musiała być odkryta, bo na piersi odczuła zimny, rozkosznie zimny dotyk mokrego kompresu, po chwili gorącą dłoń na przegubie ręki.

— Jak on to szybko robi — pomyślała — a przecie ma tylko jedną rękę.

I to ją nagle uspokoiło. Podniosła nań oczy i spotkała jego smutny, nieruchomy wzrok. Ten wzrok czarnych, jakby zamglonych oczu był dla niej niespodzianką, rewelacją. W danej chwili nie rozoznawała owego wrażenia, lecz dla czegoś uśmiechnęła się i we własnych oczach uczuła łzy.

Serce zwalniało swój paniczny cwał, biło jeszcze bardzo szybko, lecz już równo i pewnie.

— Proszę nic nie mówić — szorstko nakazał Władek i dopiero w tym momencie stwierdziła, że chciała mu powiedzieć coś dobrego, ciepłego, serdecznego.

Jego zakaz powstrzymywał słowa, lecz nie przeszkadzał myślom. Przecie on ją uratował, ten chłopak lekceważony przez nią, tak często poniżany, traktowany zawsze z niechęcią i z pewną dozą pogardy. I trzeba było takiej chwili, by odkryć w nim coś najbardziej nieoczekiwanego, jakąś filozofię mistyczno-materialistyczną, coś łączącego w sobie deizm⁷⁸ Tindala⁷⁹ i Lessinga⁸⁰ ze światopoglądem Schopenhauera⁸¹ i z panteizmem⁸²

⁷⁷weba — cienkie lniane płótno przeznaczone na bieliznę pościelową. [przypis edytorski]

⁷⁸deizm — pogląd religijno-filozoficzny, według którego Bóg jest Stwórcą wszechświata, jednak w niego nie ingeruje. [przypis edytorski]

⁷⁹Tindal, Matthew (1656–1733) — brytyjski filozof, jeden z głównych przedstawicieli deizmu. [przypis edytorski]

⁸⁰Lessing, Gotthold Ephraim (1729–1781) — niemiecki dramaturg, krytyk literacki, pisarz epoki oświecenia. [przypis edytorski]

⁸¹Schopenhauer, Artur (1788–1860) — przedstawiciel pesymizmu w filozofii, autor m.in. *Świat jako wola i przedstawienie* i *O wolności ludzkiej woli*. [przypis edytorski]

⁸²panteizm — pogląd religijno-filozoficzny, według którego świat jest Bogiem, a Bóg jest światem, całkowicie odrzucający ideę osobowego Boga. [przypis edytorski]

Giordana Bruna⁸³, Hegla⁸⁴ czy Spinozy⁸⁵. Pani Grażyna знаła te poglądy i potępiała, jako niezgodne z nauką kościoła, jednakże ich eklektyczne połączenie miało u Władka ten sam bodaj entuzjazm czy egzaltację, co u Bruna, szalonego dominikanina, spalonego na stosie, którego pani Grażyna uznawała za kacerza⁸⁶, za niebezpiecznego heretyka, lecz przecie nie tak niebezpiecznego, by go aż palić na stosie. Wzbudzał w niej pewną sympatię. Władek nie miał może tego ognia, lecz miał coś bardziej niespodziewanego: uczucie. Doskonale to widziała. Człowiek, którego uważała za niezdolnego do jakichkolwiek uczuć... Zatem tylko pozował na swój sceptycyzm, cynizm i niesmaczny nihilizm moralny.

Właściwie mówiąc, niewiele o nim wiedziała. Ich rzadkie rozmowy ograniczały się do nieprzyjemnych utarczek, ze strony Władka nieprzyzwoitych i niestosownych. O jego życiu prywatnym z rzadka tylko dobiegały ją informacje: zdał egzaminy, otrzymał dyplom, otworzył własny gabinet, zamieszkał z jakąś rozwódką. I to wszystko. Słyszała jeszcze, że powodzi mu się źle, że zarabia niedużo. Z jej dziećmi nie utrzymywał żadnych prawie stosunków. Nigdy nie pomijał sposobności do zadrwienia z Wandy lub Jakuba. O Wandzie powiedział kiedyś:

— Ona przeżywa w swoich artykułach wzruszenia erotyczne całej ludzkości.

Dodał jeszcze do tego coś dwuznacznego, czego pani Grażyna nie chciała pamiętać i nie pamiętała. O Kubie zaś mówił:

— Gdyby między jedzeniem i spaniem znalazł on czas na myślenie, myślałby co zjeść i kiedy się przespać.

Pani Grażyna nigdy nie zastanawiała się nad słusnością czy niesłusnością podobnie złośliwych opinii Władka o jej dzieciach. Po prostu wszelkich opinii Władka nie przyjmowała do wiadomości. Odrzucała je *a priori*⁸⁷. Słuchając go, bardziej niż kiedykolwiek ulegała nawykowi wielokrotnej przewodniczącej, która niepożądanemu mówcy w pewnym momencie odbiera głos i zarządza skreślenie jego przemówienia z protokołu.

Jednakże teraz odczuła wprost potrzebę znalezienia w kimś oddźwięku potępienia ich ośchłej obojętności i sobkostwa.

— Jesteś już zmęczony, Władku — odezwała się — a ja o tyle lepiej się czuję, że nie chciałabym cię przetrzymywać.

— Niech się ciocia nie krępuje. To mój zawód i każę sobie za to zapłacić — odpowiedział opryskliwie.

— Nie o to chodzi... Widzisz, Władku, ty masz talent do stawiania każdej kwestii w drażliwy i przykry sposób. Chodziło mi o wyrażenie ci wdzięczności...

— Ja myślę, że wszelkie trudności w wyszukaniu formy wdzięczności przestały istnieć od czasu, gdy Fenicianie wymyślili pieniądze.

Pani Grażyna udała, że się uśmiecha i powiedziała:

— Jednak sam nie cenisz pieniędzy.

— Cenię je za mało, by zarabiać, a za bardzo, by wydawać. Dlatego jestem goły, a jednocześnie uważają mnie za sknerę.

— Jesteś już zmęczony — zaczęła znowu pani Grażyna, chcąc powrócić do zamierzonego tematu — sądzę, że mogłabym już zostać sama... Może lepiej byłoby obudzić Kubę lub kogoś ze służby...

— Kubę — uśmiechnął się zjadliwie — można by obudzić tylko wiadomością, że już czas na posiłek. Innego sposobu nie widzę.

— Właśnie zastanawiałam się... Będę chyba zmuszona wziąć jakąś pielęgniarkę, by mieć opiekę, bo przecie ani na syna, ani na córkę liczyć nie mogę.

— Chyba.

— Jak to jest ciężko mieć siedemdziesiąt lat i dwoje dorosłych dzieci, z których żadne nie tylko nie poczuwa się do obowiązku najmniejszej bodaj uwagi w stosunku do matki, lecz... w ogóle...

⁸³Bruno, Giordano (1548–1600) — włoski dominikanin, teolog, poeta, przez Kościół katolicki uznany za heretyka i spalony na *Campo de' Fiori*. [przypis edytorski]

⁸⁴Hegel, Georg Wilhelm Friedrich (1770–1831) — uznawany za pierwszego filozofa w nowoczesności, twórca heglizmu. [przypis edytorski]

⁸⁵Spinoza, Benedykt a. Baruch (1632–1677) — niderlandzki filozof, przedstawiciel racjonalizmu. [przypis edytorski]

⁸⁶kacierz — heretyk. [przypis edytorski]

⁸⁷*a priori* (łac.) — z góry. [przypis edytorski]

Machnęła ręką: cóż mu będzie mówiła. Sam przecie zna dokładnie te sprawy.

Władek wyduł swoje wąskie wargi z miną zdziwienia:

— Nie rozumiem cioci?... Czy ciocia spodziewała się po nich czegoś więcej?

— Ja sędzę.

— A na jakiej podstawie? Przepraszam bardzo, na jakiej podstawie.

— Możesz udawać, że tego nie rozumiesz, ale to, że jestem ich matką pozostanie dla całego świata dostateczną podstawą.

— Za przeproszeniem, ale jak ciocia wyklada termin „matka”? Czy chodzi o rolę biologiczną czy o towarzyską, społeczną, czy prawną?

— O rolę rodzinną i uczuciową, oczywiście.

— Aha! Więc ciocia, główna ekspertka i najwyższa instancja krajowa w kwestiach rodzinnych, sądzi, że ma rodzinę?... Przepraszam bardzo, oczywiście z punktu widzenia prawnego jest to rodzina, ale to, co ciocia zrobiła ze swoją rodziną, wyklucza jakikolwiek wzajemny stosunek uczuciowy. Powiedziałbym, że nie jest to rodzina, lecz familia. W tym poniekąd staroromańskim znaczeniu...

— Mówisz głupstwa, Władku — oburzyła się pani Grażyna.

— Nie takie straszne, jak się cioci zdaje. Już abstrahuję od siebie, jestem dalszym kuzynem, ale, powiedzmy, Kuba? Co ciocia kiedy dla niego zrobiła? Nawet gotów jestem przypuścić, że sam fakt jego przyjścia na świat nie był ubocznym rezultatem zwykłej podniety zmysłowej. Gotów jestem założyć, że w wiadomej chwili nie chodziło cioci o, że tak powiem, uzyskanie satysfakcji, lecz o poczęcie nowego dzielnego obywatela kraju. Pocziwy stryj Antoni. Pamiętam jego wiecznie zakłopotaną minę. On i wtedy musiał liczyć się z dostojnością sakramentu małżeństwa i z tym, że... pracuje dla ojczyzny.

— Władysławie!

— Bardzo pięknie, ciociu. Ale nawet w takim wypadku zasłużyła ciocia na wdzięczność kraju, ojczyzny, pokoleń i czegoś tam jeszcze, lecz nigdy na wdzięczność Kuby. A dalej. Czy cioci zdaje się, że go wychowywała? Czy wynajmowanie guwernantek i ko-repetytorów jest równoznaczne z wychowywaniem, zwłaszcza w wypadku, gdy więcej uwagi poświęca się pilnowaniu moralności guwernantek niż rozwojowi dziecka? Poza tym, w ogóle ciocia nie zajmowała się Kubą nigdy, a Wandą dopiero wówczas, gdy ta poczuła wolę bożą, ale i to akurat o parę miesięcy za późno. Zatem...

Pani Grażyna przerwała:

— W jakim celu to mówisz? Czy sądzisz, że obecny mój stan jest najodpowiedniejszy do aroganckich i niesłusznych uwag?

Miał oczy znowu złe, ironiczne i wyzywające. To już najwyższa bezczelność robić jej, Grażynie Szymanowej zarzuty z powodu wychowania dzieci! I to właśnie w chwili, gdy oczekiwała odeń zrozumienia, a może nawet współczucia.

— Odpowiadam tylko na utyskiwania cioci — wzruszył ramieniem — nie można wymagać od nikogo szczególniejszych reakcji uczuciowych, jeżeli ze swej strony wyklu-czyło się wszelkie uczucia...

— Może byś był łaskaw objawów uczuć nie identyfikować z samymi uczuciami.

— Nie będę łaskaw. Uczucia nieobjawiane nie istnieją, obiektywnie nie istnieją. Od dziecka bywałem w tym domu, który kiedyś imponował mi bogactwem i zawsze odpychał swoją hotelową atmosferą. Póki jeszcze żył pocziwy stryj Antoni, zahukany *maitre d'hôtel*⁸⁸, od czasu do czasu pachniało tu, powiedzmy, pensjonatem. Później został tylko dom noclegowy, do którego mieszkańcy wpadali zjeść lub przespać się. Ile razy przychodziłem, uciekałem stąd czym prędzej do ubogiego mieszkanka na czwartaku, gdzie wprost fizycznie odczuwałem ciepło po ciocinej lodowni. Moja matka była niewykształcona, może nieinteligentna, może nieobyta, a na pewno była matką. Teraz ciocia zrozumie, dlaczego myśmy ją kochali, dlaczego z racji jej choroby Rena zerwała korzystne *engagement*⁸⁹, a ja straciłem rok na uniwersytecie?... I nic to nas nie kosztowało. Zrobiliśmy to, czegośmy najbardziej pragnęli: byliśmy przy niej.

Przygryzł wargi i odwrócił głowę.

— Wychowywała nas sercem — dodał — aż słodko było u nas od jej serca...

⁸⁸*maitre d'hôtel* (fr.) — gospodarz domu. [przypis edytorski]

⁸⁹*engagement* (fr.) — angaż, zobowiązanie. [przypis edytorski]

— Daruj — zimno zauważyła pani Grażyna — ale przeciwstawiając moje metody wychowania metodom twojej matki, nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że wyniki jej pedagogiki są godne pozazdroszczenia.

— A dlaczegoż by nie?

Pani Grażyna uśmiechnęła się pobłażliwie:

— Dlatego, że przypuszczam, że masz dostateczną dozę samokrytycyzmu by nie uważać siebie za wzór... A co dotyczy twojej biednej siostry... Kariera szansonistki kabaretowej nie jest na pewno godna pozazdroszczenia. Ani kariera, ani opinia. Atmosfera czułościowości i owego ciepła, jak widzę na waszym przykładzie, nie była zatem zbyt mądrze pomyślaną wylęgarnią.

— Powiedzmy — łatwo zgodził się Władek — ale ta wylęgarnia miała chociaż to ciepło. Jestem w ogóle przeciwnikiem powierzania kobietom jakichkolwiek funkcji poza rodzeniem i wykarmianiem dzieci. Moja matka była tylko kobietą, ale kiedy mówię o tym do cioci, powinienem powiedzieć, że była aż kobietą.

— Dodaj: kobietą o ograniczonych horyzontach i aspiracjach, która nie zajmowała w życiu publicznym najmniejszego miejsca. Mój Władku, cenię twoją synowską miłość, ale nie należy posuwać się do tak ryzykownych przeciwstawień, zwłaszcza w dniu mego jubileuszu. Posądzam cię jeżeli nie o obiektywizm, to przynajmniej o dążenie do obiektywizmu. Połóż zatem na jedną szalę moją pięćdziesięcioletnią pracę społeczną, a na drugą owoc życia twojej dobrej matki: siebie samego i twoją siostrę.

Władek poruszył się niecierpliwie:

— Nie rozumiemy się, ciociu...

— Ty mnie nie chcesz zrozumieć.

— Ciocia sama siebie nie rozumie. Przepraszam! Więc pół wieku strawiła ciocia na robienie rzeczy, przypuśćmy pożytecznych. Przysłużyła się ciocia ludzkości, powiedzmy, ojczyźnie, dobrej sprawie, czy jak tam brzmią te dęte komunały, ale zaniedbała ciocia to, co według głoszonych przez nią haseł, było właśnie jej obowiązkiem: rodzina, dzieci, dom. Jestem ostatnim z tych, którzy cokolwiek robią tylko z głupiej racji tak zwanego obowiązku. Nikogo też do spełnienia jego obowiązków zapędzać nie myślę. Niech robi każdy, co mu się podoba, ale proszę szanownej cioci, niechże nie ma o to później pretensji do innych. Zgadzam się z tym, czego ciocia nie powiedziała, a co leży jej na sercu, że Kuba i Wanda to szmelnicy życiowi, ale niechże się pani majstrowa na to nie skarży, skoro robotę zostawiła czeladnikom, a sama furt przesiadywała w maglu na ploteczkach.

— Ślicznie się wyrażasz!

— W maglu. Bo to całe wasze babskie społecznictwo i politykierstwo, to zwykły magiel, gdzie schodzą się kumoszki na mielenie językami. Arena trochę szersza, języki bardziej wyszlifowane, postacie wydostojnione, ale odbywa się w gruncie rzeczy to samo: — Moja pani, moja pani... Kładzie się podwaliny świata, układa się traktaty i przepisy na soloną pietruszkę, kuje się myśl spiżową i szkaluje się sąsiadki. A tymczasem bachory robią, co chcą i wyrastają z nich rarogi z katarem kiszek, bo kuchni nikt nie pilnuje. W maglu pytluje się o świętej instytucji rodziny, bzdurzy się o świętym ognisku domowym, a tymczasem ognisko kopci we własnym domu, świętą instytucję rodziny biorą wszyscy diabli, a zdziwiona paniusia, która po pięćdziesięciu latach znalazła chwilę czasu, by zajrzeć do domu, ze zgrozą dowiaduje się nareszcie, że to tylko pokoje umeblowane, a jej rodzone dzieci nawet palcem dla niej nie kiwną. I mają do pioruna rację! Mają, czy nie mają?!

Pani Grażyna wprost trzęsła się z oburzenia. Stokroć wolałaby umrzeć, a jeżeli nie umrzeć, to przynajmniej ulec silniejszemu atakowi serca, niż być narażoną na wysłuchiwanie podobnie ordynarnych impertynencji. Nikt i nigdy nie ośmielił się tak do niej mówić. Ten smarkacz wprost oszalał.

— Jak śmiesz, jak śmiesz! — zdołała wyrzucić z siebie — błźnie!

Szukała w myśli najbardziej druzgocących słów, lecz nic dość silnego znaleźć nie mogła. Ma się rozumieć ani przez jeden moment nie przyszło jej do głowy, by polemizować z tymi wulgarnymi inwektywami. Nie mogły swym błotem sięgnąć nawet do jej stóp. Była wyższa ponad to.

— Jeżeli wolno ciocię spytać — znowu spokojny odezwał się Władek — dlaczego nazywała mnie ciocia błaznem?

— Bo tylko trywialne błazeństwo i zarozumiałość smarkacza — wybuchnęła pani Grażyna — mogą ci pozwolić na taki brak szacunku dla mnie, szacunku, nakazywanego poza wszystkim innym, chociażby przez mój wiek!

— Niech się ciocia nie irytuje. Mówię to nie jako błazen, lecz jako lekarz. A poza tym z jakiej niby racji mam szanować podeszły wiek? Że ktoś urodził się o kilka czy kilkadziesiąt lat przede mną, to chyba żadna jego zasługa, ani tytuł do szacunku. Może być matolem, zbrodniarzem, idiotą czy po prostu śmieciem niezależnie od wieku. Między nami mówiąc, wśród czcigodnych starców domagających się szacunku nie udało mi się znaleźć osobnika, któremu mógłbym tym uczuciem służyć. Nie byli ani mądrzejsi, ani etyczniejsi od młodych. Wyróżniali się tylko reumatyzmem, sklerozą, uwiązaniem rdzenia i hemoroidami. Ale to chyba może obudzić w nas współczucie, litość czy, mówiąc po prostu, obrzydzenie, a na szacunek nie widzę tu miejsca.

Pani Grażyna starała się nie słyszeć go wcale. Jej zdenerwowanie rosło. Najpierw obawiała się powtórzenia ataku, lecz serce pozostawało spokojne. Stanowczo nie mogła znieść dłużej obecności Władka.

— Proszę cię — odezwała się tonem nieznoszącym sprzeciwu — zostaw mnie samą.

— Jak ciocia chce. Czy mam przysłać pielęgniarkę?

— Dziękuję ci. Zadzwoń na służbę i możesz wyjść. Jak żyję nie widziałam lekarza, który by w ten sposób traktował swoje obowiązki.

— Nigdy nie twierdziłem, że jestem dobrym lekarzem.

— Jesteś nie tylko złym lekarzem, lecz i złym człowiekiem. Żegnam cię. Jutro odeślę ci honorarium.

— Ha, do widzenia kochanej cioci — powiedział z westchnieniem.

Odwróciła głowę, by nań więcej nie patrzeć, a gdy drzwi za nim się zamknęły, wymówiła jedno słowo:

— Bolszewik.

Służba widocznie nie obudziła się na dzwonek, gdyż nikt nie przyszedł. Pani Grażyna mogła wprawdzie sięgnąć ręką do guzika i dzwonić póty, aż ich nie rozbudzi, wołała jednak przez jakiś czas zostać sama. Paplanina Władka nie tylko ją ziryutowała, lecz i zmęczyła. Przeszło godzinę leżała z przymkniętymi powiekami, odpędzając wszelkie myśli. Około czwartej usłyszała trzask drzwi wejściowych i kroki w przedpokoju. To wracała Anna.

— Anno! — zawołała najgłośniejszym głosem, jak mogła.

Kroki ucichły, a po chwili rozległo się pukanie.

— Wejdz, Anno.

— Ciocia mnie wołała?

— Tak, moja droga, chciałam cię prosić, byś tę noc spędziła ze mną.

— Ciocia jest chora? — przestraszyła się Anna.

Pani Grażyna pokrótce opowiedziała, że miała atak serca, że odwieziono ją i sprowadzono Władka, którego obecności nie mogła jednak dłużej znieść.

— Weź Anno swoją pościel i połóż się tu na otomanie. Właściwie czuję się znacznie lepiej, wołałabym jednak mieć kogoś pod ręką, a służby nie mogą się dobudzić.

— Dobrze, ciociu — skinęła głową Anna i po chwili wróciła w szlafroku z poduszką i pledem w rękę.

Zamieniły ze sobą jeszcze kilka zdań i Anna ułożyła się na otomanie. Pani Grażyna długo nie mogła zasnąć. W przyćmionym świetle przyglądała się Annie. Właściwie mówiąc, powinna była zapytać Annę, skąd tak późno wraca. Bądź co bądź mieszka w jej domu, jest jej siostrzenicą i nie wypada, by cała kamienica wiedziała, że młoda mężatka połowę nocy spędza gdzieś na mieście. Co prawda wszyscy i tak wiedzą, jak było z Żermką, a dawniej z Wandą. Już jeżeli o to chodzi, Anna zawsze zachowywała się bardzo przyzwoicie i dzisiaj... No... ostatecznie ten Dziewanowski to zwichnięty człowiek, ale w gruncie rzeczy nic mu zarzucić nie można. Pani Grażyna odczuwała nawet rodzaj zadowolenia, że Dziewanowski zerwał z jej córką dla Anny. Oczywiście dowiedziała się o tym w Towarzystwie Dobroczynności. One tam zawsze wiedzą wszystko... Dziewanowski, o ile mogła zauważyć, nie przychodził nigdy do Anny, natomiast kilka razy spotkała ich razem na mieście. Wyglądali jak zakochani.

Pewnego dnia pani Grażyna spytała Annę:

— I cóż z twoim mężem? Przecie to niepodobieństwo, by mężczyzna z fachem w ręku, rozporządzający niejakimi stosunkami nic nie zarabiał.

— Na szczęście chociaż ja teraz zarabiam nieźle — odpowiedziała Anna — Karol jest bardzo ciężki i różni ludzie zabierają mu interesy sprzed nosa... Zresztą mężczyźni w ogóle nie umieją sobie radzić.

— Za czasów mojej młodości było inaczej — westchnęła pani Grażyna i przypomniała sobie, co się za czasów jej młodości działo na Polesiu. Młodzi ludzie chyłkiem wracali z powstania, z zagranicy, z Syberii i jakże świetnie dawali sobie radę na roli, zabierając się własnoręcznie do pługa. Wszystkim było ciężko. W milczeniu zaciskano zęby i pracowano. Cicho płakano po zabitych, nie mówiono, nie wspomniano o powstaniu. Panie chodziły w grubej żałobie, a panowie nie śmieli się nigdy.

Dwór w Sochowie pełen był jednak ludzi, dzielnych mężczyzn, którzy pod przybranymi nazwiskami ukrywali się tu jako praktykanci, parobcy, rezydenci. Dwór Jelskich był jakby etapem, skąd przemycano do dalszych stron nieszczęsnych rozbitków, tragicznych bohaterów. Trzeba było z niezwykłą ostrożnością wyszukiwać dla nich dzierżawy, posady, lub chociażby bezpieczne kąty. Wtedy to poznała Antoniego. Był młody i całą duszą oddany sprawie. Przyjeżdżał nocami i za każdym razem zabierał tego czy innego, by zawieźć go do Warszawy i umieścić w jednej z fabryk swego ojca. Ryzykował własną wolnością i majątkiem, bo konfiskaty sypały się wówczas bez opamiętania. A był tym gorliwszy, że pragnął podkreślić swoją polskość.

Było to w bezksiężycową noc w bocznej alei, gdy pakowała prowianty do bryczki. Upadł jej do kolan i wyznał miłość. Dała mu słowo, a ojciec słowa córki nie cofnął. Po czteroletnim narzeczeństwie została żoną Antoniego.

Nigdy go nie kochała, lecz zbyt wielkie, zbyt bolesne, zbyt ważne były inne sprawy, które ich połączyły, a małżeństwo nie polega przecie na miłości.

Jeżeli nawet zrobiła błąd, wychodząc za Antoniego, nigdy tego nie żałowała. Człowiek, który raz powziął postanowienie, nie powinien pozwalać sobie później na podważanie jego słuszności. I pani Grażyna była wierną żoną. Nigdy ani przez moment nie myślała o szukaniu osobistego szczęścia poza małżeństwem, które tego szczęścia jej nie dało, nigdy przez myśl jej nie przeszła ewentualność rozwodu.

Gdy jednak patrzyła na Annę, wbrew zasadom, wbrew przeświadczeniu o konieczności surowego przestrzegania nierozzerwalności małżeństw, myślała o rozwodzie.

Po prostu szkoda było Anny dla takiego nieroby⁹⁰, jak Karol Leszcz. Byłoby wszystko w porządku, gdyby nie jakieś potworne lenistwo tego człowieka. Ostatecznie dobrze jest, że Anna zarabia i może go utrzymywać, ale i on powinien pomyśleć o przyszłości. Gdy ostatnio przed dwoma miesiącami był w Warszawie, pani Grażyna powiedziała mu to w cztery oczy i dostatecznie dobitnie. A on tylko rozłożył ręce. Gdyby Anna przestała posyłać mu pieniądze, może by się do czegoś wreszcie wziął.

Na dworze zaczęło świtać. Przez ciężkie zasłony okien przenikały do sypialni szare smugi zimowego brzasku, mieszając się z żółtym światłem lampy. Pani Grażyna wyłączyła kontakt i poprawiła jasek. Czuli się znacznie lepiej, prawie zupełnie dobrze. Trzeba teraz zasnąć, myślała, a jutro wstanę zupełnie zdrowa. Ten Włodek nie ma pojęcia o medycynie.

Nazajutrz jednak okazało się, że miał pojęcie. Po śniadaniu, które pani Grażyna zjadła już ubrana przy stole, przyszedł nowy atak, tym razem połączony z ostrym bólem w okolicy serca i w lewej ręce. Jednocześnie ogarnął panią Grażynę paniczny lęk śmierci. Służący wytelefował lekarza, a ten nie ukrył przed pacjentką poważnego stanu jej choroby: *angina pectoris*⁹¹ nerwicyowa na tle silnie rozwiniętej arteriosklerozy⁹². Rzecz nie byłaby sama przez się niebezpieczna, gdyby nie niedomykalność zastawek. Dlatego trzeba stanowczo leżeć w łóżku. Spokój, cisza, lekkostrawne pokarmy i żadnego wysiłku fizycznego.

Teraz już pani Grażyna wiedziała, że jest ciężko chora, że nie tylko musi zrezygnować z dotychczasowego ruchliwego życia, lecz i z życia w ogóle. Nie przerażało jej to wcale.

Powstanie, Żałoba

Choroba

⁹⁰nieroba — d. forma słowa *nierób*, darmożjad, leń. [przypis edytorski]

⁹¹*angina pectoris* (łac.) — dławica piersiowa, objaw choroby wieńcowej. [przypis edytorski]

⁹²*arterioskleroza* — miażdżyca, przewlekła choroba układu krążenia. [przypis edytorski]

Śmierć leżała w programie naturalnego porządku rzeczy, a skoro, wprawdzie niespodziewanie, dowiedziała się, że i jej to dotyczy, przyjęła wiadomość spokojnie. Na razie lekarz zabronił wszelkich wizyt, a i w ogóle ich nie zalecał, lecz musiała wezwać rodzone dzieci, by im zakomunikować stan rzeczy.

Kuba wysłuchał wszystkiego, dłużej z zakłopotaniem w zębach i powiedział:

— To doprawdy bardzo przykre, ale cóż ja na to poradzę?... Ech... jeszcze się mamie polepszy.

Pocałował matkę w rękę i poszedł do swego pokoju, gdyż miał pilną robotę. Pani Grażyna wiedziała, że układa pasjansa.

Wanda przyjść nie mogła. Zatelefonowała, że jest bardzo zajęta i zjawiała się dopiero po dwóch dniach, kiedy już była pielęgniarzka. Nawet nie umiała wysilić się na zdawkowe współczucie. Oświadczyła, że „mama wygląda wcale nieźle, a lekarze często się mylą”, po czym zaczęła opowiadać o swojej szwaczce, której córka, osiemnastoletnia dziewczyna, została porzucona przez pewnego telegrafistę, i jacy są ludzie...

— Przestań — przerwała pani Grażyna.

— Czy to mamę męczy?

Nie odpowiedziała, dając tylko ręką znak, by odeszła. Wstydziła się tej paplaniny córki przy pani Jankowskiej, byłej woźnej, pełniącej obecnie funkcję pielęgniarzki. Wanda była zawsze zimna, lecz ta obojętność to wynik zgubnych wpływów Szczedronia.

Po wyjściu Wandy pielęgniarzka powiedziała:

— Przypadkowo znam tę historię, proszę pani, bo to w naszej kamienicy, na Kopernika pod siódmym...

— Jaką historię? — zdziwiła się pani Grażyna.

— Tej córki krawcowej, proszę pani. To bardzo ładna dziewczyna i zdolna. Skończyła szkołę powszechną z odznaczeniem, a szyje nawet lepiej od matki, wprawdzie wolniej, bo to jeszcze wprawy takiej nie ma, ale ja, proszę pani, wolę jej robotę, bo i ścięgi równiejsze stawia i wszystko zawsze wyszykuje jak się należy. Wprawdzie czasem spóźni o dzień, dwa, ale proszę pani, jak ma być zła robota, to już wolę poczekać. Otóż rzeczywiście ta Felka, córka krawcowej, Jamiołkowskiej, chodziła z takim telegrafistą, nawet niczego warty chłopak, i czyściutki i grzeczny, bywało na schodach zawsze drogi ustąpi. Kto by to, mój Boże, pomyślał, że ją porzuci! A wszystko przez te girlsy⁹³!

— Przez kogo?

— Przez taką girlsę, proszę pani, co to w teatrze tańczy. Zapoznał ją gdzieś, nie powiem akuratnie gdzie, bo nie wiem, ale szast prast z pieniędzy się wysuptał i do zajęcia nie tak już sumiennie uczestniczył. To i wyleli. Patrzę ja, a on znowu zaczął chodzić do Jamiołkowskiej. Tamta girlsa puściła go, za przeproszeniem, kantem, bo bez pieniędzy to takiej co? Otóż ta Felka, że to głupia, dalej z nim od nowa, jakby nigdy nic. A to mu to, a to tamto, a użalać się nad nim, że to bezrobotny i z tego użalania się, to tam matka do miary poszła, a ona mu i przyzwoliła. Niech, powiada, choć taką pociechę biedaczyna ma. A że, za przeproszeniem szanownej pani, bez nijakiego zepsucia była, to i to dowód, że sama mi mówi na moje upominania: — Głodnego, powiada, nakarmić nie grzech, spragnionego napoić nie grzech, a co ja, to znaczy niby ona, robię?... To ja jej mówię: — Nie kłamałaby panna Felka, bo dla własnej rozpusty, dla satysfakcji, a nie przez miłosierdzie! To ona mi przysięgać się, że ani nawet! Że to, za przeproszeniem, sama dziwi się, jak inne kobiety mogą czymś takim zajmować się, bo i obrzydliwie i boleśnie.

Jankowska zaśmiała się, zasłaniając usta ręką i dodała:

— Bo to jeszcze mała, woli Bożej nie czuje.

— I cóż dalej?

— Ano wiadomo, diabeł nie śpi. Matka raz patrzy, drugi i powiada: a ty taka owaka, z domu wypędzę!...

— A cóż ten telegrafista? — zapytała pani Grażyna.

— On? Tyle go widzieli. Jak przekonał się, że ona niby w ciążę zaszła, to fiut!... Mówią, że do Milanówka pojechał. Nasamprzód to i on jej radził, rower chciał sprzedać, żeby ona, za przeproszeniem, popsowała się. A ona nie i nie. Matka krzyczy: z domu wypędzę, a ta powiada: — A niech!

⁹³girls — tancerka rewiowa. [przepis edytorski]

— Dlaczego nie próbowaliście skłonić tego telegrafisty do małżeństwa, to byłoby najprościej.

— Żeniaty był, proszę pani! Żeniaty, tylko żona gdzieś z drugim uciekła. A na rozwód trzeba pieniądze mieć. Więc, co to ja chciałam powiedzieć, że ta dziewczyna w oczach już zaczęła zmieniać się, a matka jak w dym do córki szanownej pani, do pani Szczedroniowej, że to oni tam umieją te literaty robić, żeby dzieci nie było. Pani Szczedroniowa wzięła dziewczynę na bok i dalej ją przekonywać, żeby głupstwa nie robiła, że bólu nijakiego nie będzie i na gwałt żeby się psuła. A ta mała ani rusz. — Chcę mieć dziecko — powiada — i koniec. To matka, długo nie namyślając się, wygoniła ją z domu, wstydu przed oczami żeby nie mieć. A Felka nic. Poszła, no i...

Pani Grażyna nie słuchała. Cóż ją to mogło obchodzić. Zapewne, dziwaczny objaw społeczny, skutek przewracania młodzieży w głowie. Właściwie mówiąc nawet ciekawy temat do poruszenia w Obywatelskim Związku Kobiet... I cóż z tego, skoro już nie ona mogłaby zabrać głos i wskazać słuszne drogi postępowania. Jeżeli dawniej mogła z powagą i nie ukrywając zainteresowania słuchać nawet zwykłych plotek, gdyż wszyscy wiedzieli, a i ona sama była przeświadczona, że plotki te są wartościowym materiałem do rozważań społecznych, jako pewne charakterystyczne przejawy otaczającego nas życia, dzisiaj zajmowanie się czymś podobnym poniżałoby tylko jej godność.

Dlatego często przerywała opowiadania gadatliwej pielęgniarce, czasami nawet w momentach istotnie zaciekawiających. Tak, mówiły one o życiu, które toczy się dalej i będzie toczyło się mimo niej, bez jej udziału i wpływu. Została wyrzucona z nurtu na jakiś brzeg, skąd już nie ma powrotu, gdzie pozostanie bezużyteczna i nikomu niepotrzebna do końca.

Póki pracowała, działała, skupiała w swoich rękach nici wielu spraw, jej samej zdawało się, że jest niezastąpiona, że przedłużenie o tydzień jej wypoczynku na wsi wywołałoby niepowetowane straty w biegu spraw publicznych. Dzisiaj aż dziwiła się jasności, z jaką widziała małość uszczerbku dla tych spraw z racji jej nieobecności. Pójdą normalnym biegiem. Jej miejsce zajmą inni. Może mniej odpowiedni, może mniej zdolni, ale nawet nie o tyle, by dało to widoczną różnicę.

Więc jakże? Jaką nagrodę, jaką satysfakcję duchową zabrała ze sobą na ten pusty brzeg, między te cztery ściany? Jakież jest cel życia? Długie lata, bardzo długie lata służyła ogółowi swą pracą, ofiarną, rozumną, nieustrudzoną i ten ogół załatwił z nią rachunki ochłapem bankietu jubileuszowego. Oczywiście, gdy umrze, urządzi jej pogrzeb, zapewne wspaniały, zapewne uroczysty, lecz obojętny i sztywny.

— Nikt nie będzie płakać na moim pogrzebie — uświadomiła sobie.

I przyszedł bunt: dlaczego?! Czyż jej śmierć nie będzie stratą? Czyż wraz z nią nie odejdzie istota wysokiej wartości moralnej, ba, pozytywnej wartości społecznej?... Nawet wrogowie nie potrafili rzucić na jej trumnę kamieniem. Mogą powiedzieć, że się myliła, lecz nie odmówią jej uczciwości, poświęcenia, użyteczności i dobrej wiary. Kogóż mają żałować, jeżeli nie jej?...

Przed zamkniętymi oczyma pani Grażyny przesuwali się twarze ludzi, z którymi stykała się w swojej działalności. Były poważne i uroczyste, lecz na żadnej z nich nie mogła dostrzec łez.

— A dzieci?

Jeżeli nawet popełniła jakieś błędy w ich wychowaniu, to taki ograniczony człowiek jak Kuba, nie może mieć o tym swojego zdania, a tak zarozumiała kobieta jak Wanda, nie może też rościć do matki żadnej pretensji, gdyż uważa się za pewne za ideał.

A jednak na ich twarzach również łez nie będzie.

Czy tylko dlatego, że nie rozpływała się nad nimi w czułościach, że nie pieściła ich, nie psuła ich żółdków słodyczami?... Antoni też tego nie robił, bo mu stanowczo zabroniła wszelkich czułościowości w stosunku do dzieci, a jednak, jednak na jego pogrzebie płakały.

I do dziś dnia żywią dłań jakiś sentyment. Czy tedy to, co nas z życiem i z ludźmi łączy, wiąże, zespala, to, co sprawia, iż po naszej śmierci nie mówią „szkoda”, tylko „żał” i żałują naprawdę, to wyłącznie sentymenty?...

Niepodobieństwo. Oczywiście nonsens nawet wówczas, gdy się lekkie słowo „sentymenty” zastąpi słowem głębszym „uczucie”.

Przemijanie

Śmierć, Pogrzeb

Mijały dni i tygodnie, a myśl pani Grażyny wciąż wracała do tych zagadnień, że zaś nie licząc półinteligentnej pielęgniarki, skazana była na ustawiczne towarzystwo tych myśli, zagadnienie wyrastało, olbrzymiało, komplikowało się, wypełniało sobą wszystko.

Kuba wyjeżdżał do Zakopanego na dwa tygodnie. Przyszedł pożegnać się, a w przedpokoju głośno wydał służącemu dyspozycję, by depeszował w razie „jeżeli coś zajdzie”. I pani Grażyna słyszała jego ton i wiedziała, że to coś, co ma zajść, czego się Kuba spodziewa, to jej śmierć.

Tej nocy przyszedł nowy atak, bardzo silny, lecz pani Grażyna nie umarła.

ROZDZIAŁ 6

Buba wróciła do domu niezwykle podniecona. Oczy jej błyszczały, a wypieki na twarzy musiała przypudrować w przedpokoju, nie chcąc, by rodzice, którzy już zapewne kończą kolację, dostrzegli jej wzburzenie. Puder jednak nie pomógł. Gdy zjawiła się w jadalni, spotkała zaniepokojone spojrzenia matki i ojca.

— Czy miałaś jakąś przykrość? — łagodnie zapytała pani Kostanecka.

— Ależ, broń Boże, mamu. Przeciwnie. Spędziłam czas bardzo miło. Poznałam tylu ciekawych ludzi... Same głośne nazwiska. Czułam się tam taką głupią gąską...

— Gdzie tam? — odezwał się pan Kostanecki.

— W Kolchidzie! — z dumą odpowiedziała Buba.

— Gdzie, kuchassju?

Pani Kostanecka wyjaśniła, że Kolchidą nazywa się rodzaj klubu grupy literatów. Pan Kostanecki odpowiednią miną wyraził podziw:

— A któż cię tam, kuchassju, wprowadził?

— Sama Wanda Szczedroniowa.

— Któż to ta dama?

— Tatusiu! Jak można nie wiedzieć! — oburzyła się Buba. — To znakomita pisarka!...

— Ja ojcowi powiem — przerwał Ryszard. — Cała ta Kolchida, to żydy i masony, a w ogóle bolszewiki. I doprawdy, dziwię się, że mama pozwala Bubi z nimi przestawać. Jeżeli dojdzie to do mojej korporacji, zobaczysz Buba, na balu korporacyjnym będziesz podpierała ściany. Żaden z tobą nie zatańczy. Żaden, a ja będę miał tylko wstyd, że moja siostra afiszuje się w publicznych lokalach z takimi ludźmi!

Buba poczerwieniała i odpowiedziała najbardziej pogardliwym tonem, na jaki umiała się zdobyć:

— W ogóle na wasz bal nie pójde. Czy tobie naprawdę zdaje się, że mi coś zależy na powodzeniu u jakichś tam bubków i gołowąsów? Jesteś paradny!

— Najlepsza i najprzystojniejsza młodzież, chłopcy z najlepszych domów — zirytował się Ryszard — cała arystokracja, a ty...

— Kpię sobie z arystokracji!

— Naturalnie! Wolisz różne podejrane typy i jakieś panie Szczedroniowe! Wie tatuś, kto jest ta pani Szczedroniowa? Otóż to żona jakiegoś stróża czy szewca, która pisze bezwstydne, wyuzdane rzeczy!

— Poczekaj, kuchassju, niechajże Buba nam powie.

— Uspokój się, Rysiu — dodała pani Kostanecka.

— Otóż pani Szczedroniowa, którą Ryś tak obraża, jest córką pani senatorki Jelskiej-Szermanowej, a poza tym cioteczną siostrą pani Anny Leszczowej. Więc rachuj się ze słowami. A rozumu ma w jednym palcu więcej, niż może się zmieścić pod wszystkimi waszymi korporanckimi deklami. Poza tym jej mąż nie jest szewcem, lecz sławnym bakteriologiem. I trzeba być takim ignorantem jak ty, żeby o tym nie wiedzieć!...

— Spokojniej, kuchassju — przerwał córce pan Kostanecki — więc skądże ty ją znasz?

— Pani Leszczowa poznała ją kiedyś, już dawno — wyjaśniła pani Kostanecka.

— Diabli wiedzą po co — warknął Ryszard.

— Ryszardzie — upomniała go matka — pani Anna jest osobą tak dobrze wychowaną i mającą tyle taktu, a w dodatku niewątpliwie dla Buby życzliwą, że skoro postąpiła tak, a nie inaczej, widocznie było to albo stosowne, albo nieuniknione.

Pan Kostanecki chciał dowiedzieć się dalszych szczegółów o Kolchidzie, lecz Buba czuła się rozżalona i do końca kolacji odpowiadała monosylabami. Nikt tu nie doceniał zaszczytu, jakiego dostąpiła, nikt nie orientował się, jak ważna jest Kolchida i ile tysięcy ludzi będzie zazdrościło Bubie tego, że siedziała przy jednym stoliku i rozmawiała z takimi ludźmi, jak Szawłowski, Szczedroniowa, Kalmanowicz, Jan Kamil Pieczętkowski, Dziewanowski i inni...

Na usta cisnął się jej epitet „mieszczanstwo”. Kochała rodziców bardzo i nawet Rysia też, ale cóż oni w ogóle mogą o tym wiedzieć! Czy któryś z nich zajmuje się jakimiś zagadnieniami? Matka całe swoje zainteresowanie skupia na powszednich sprawach domowych, ojciec na sesjach i fabryce, a Ryszard to w ogóle naiwny młokos.

Gdy wracała do domu, była przygotowana na to, że znajdzie odpowiedni moment, by zaimponować im którymś z świeżo zasłyszanych w Kolchidzie poglądów. Oczekiwała sprzeciwu, a może nawet zgorszenia, lecz tak była pewna słuszności tych poglądów, że gotowała się bez obawy do dyskusji. Tymczasem wszystko spelzło na niczym. I to przez Rysia. Aż dziwne, jaki on jeszcze głupi, jak zacofany!

Zniechęcona oświadczyła, że boli ją głowa i położyła się do łóżka. Zasnąć jednak nie chciała i nie mogła. Wrażenia wieczoru były zbyt głębokie, zbyt rewelacyjne. Już nawet mniejsza o sam fakt poznania tych wszystkich znakomitości, mniejsza o lechzące poczucie zainteresowania, a może zazdrości, jakie czytała w natarcywych spojrzeniach publiczności przyglądającej się jej, zwykłej sobie pannie Bubie Kostaneckiej, siedzącej w gronie kwiatu intelektualizmu polskiego.

Ale w jej głowie zaszedł przewrót tak szybki, tak niespodziewany, a tak mocny, że wprost upajał. Mówiąc po prostu, dotychczas była głupią gęsią. Patrzyła na świat i jego sprawy, na ludzi i ich życie nic niewidzącymi oczyma. Bez kwestii zastanawiały ją niektóre rzeczy, wydawały się niesłuszne lub sprawiedliwe, a najczęściej dziwne i przede wszystkim niezmiernie skomplikowane.

I nagle wszystko stało się przeraźliwie jasne.

Po wyjściu z Mundusu spotkała przypadkowo panią Szczedroniową. Gdy kłaniała się jej, miała obawę, czy pani Szczedroniowa ją pozna. Dotychczas widziały się tylko raz i to króciutko. Jednak poznała. Była od razu tak miła, że zwróciła uwagę na krój futra Buby i jej czapeczkę. Aprobata dobrego gustu z ust takiej kobiety jak pani Szczedroniowa to też nie byle co. A później zaproponowała:

— Czy nie wstąpiłaby pani ze mną na filiżankę kawy. Pozna tam pani bardzo zajmujących ludzi.

O czymże bardziej Buba mogła marzyć! Po drodze słuchała z nabożeństwem opowiadania pani Szczedroniowej o bywalcach Kolchidy, a gdy ich wreszcie poznała, bała się odezwać bodaj jednym słowem, by nie palnąć jakiegoś kawału i nie skompromitować się w ich oczach.

Prowadzono właśnie rozmowę o nowej powieści Szawłowskiego i on sam mówił najwięcej. Gdy na chwilę przerywał i skupionym wzrokiem szukał w przestrzeni jakiejś głębokiej myśli, wydawał się wprost natchnionym. Buba już czytała tę powieść, jak i wszystko, co Szawłowski, Szczedroniowa i inni Argonauci pisali. Czytała niezbyt może dokładnie, z pominięciem długich ustępów rozważań filozoficznych, ale skoro i tak wiedziała, że konkluzje muszą być słuszne, po co miała zadawać sobie trud przegryzania się przez nudniejsze kawałki. Tak było i z powieścią *Bez ognia i bez miecza*, którą dostatecznie świeżo miała w pamięci, by śmiało odpowiedzieć, gdy Szawłowski niespodziewanie zwrócił się do niej:

— A pani czytała to?

— Naturalnie!

— Tak — skinął głową Szawłowski i więcej już na nią nie zwracał najmniejszej uwagi, ale w jego krótkim „tak” brzmiała niewątpliwie pochwała.

Bez ognia i bez miecza była to powieść wymierzona przeciw barbarzyństwu wojny, przeciw karze śmierci i podobnym ohydnyh rzeczom. Buba sama nie lubiła oficerów, uważając przebywanie w ich towarzystwie za brak wybredności w doborze znajomych i dlatego nie znalazła w sobie najmniejszego sprzeciwu przeciw pacyfizmowi książki. Tu jednak, w Kolchidzie, mówiono o innej tezie tejże powieści: o końcu cywilizacji męskiej i o nadchodzącej erze cywilizacji kobiecej. Oczywiście, gdy kobieta zacznie organizować

świat, mowy nie będzie o wojnach i innych okrucieństwach. Kobieta w rządy światem wniesie swoją subtelność, wrażliwość i uczciwe, życiowe, praktyczne pojmowanie zagadnień społecznych i politycznych. Dzisiaj dyplomaci i generałowie zajmują się tylko robieniem własnych karier, tak, jak dawniej monarchowie, kosztem milionów istnień ludzkich i nędzy mas.

— Często odnoszę wrażenie — powiedziała pani Szczedroniowa — że ci panowie, ci mężczyźni, rządzący państwami, są świetnymi aktorami: umieją zachować poważną minę i szlachetny wyraz oblicza w chwilach, gdy po prostu bawią się robieniem różnych nieuczciwych machinacji.

Ktoś inny powiedział:

— Mamy zresztą przykłady w historii. Gdzie tylko rządziła kobieta, nastawał niebywały rozkwit handlu, przemysłu, dobrobyt ogólny. Weźmy chociażby czasy Elżbiety angielskiej czy Katarzyny w Rosji.

— To racja. Nadto wspinały rozwój nauki i sztuki pod ich panowaniem też tu może służyć argumentem.

Buba słuchała wszystkiego z zapartym oddechem. Jakże wiele rzeczy wyjaśniało się szybko i łatwo. Na przykład ta niechęć mężczyzn do kobiet w życiu publicznym. Po prostu mężczyźni chcą utrzymać dokoła swych wcale już nie tak ważnych i zupełnie niemądrych dziedzin pracy nimb czegoś niezwykle. A przychodzi kobieta i robi to samo bez żadnych trudności.

Towarzystwo rozeszło się wcześniej, a ponieważ była ładna pogoda i niewielki mróz, pani Szczedroniowa zaproponowała Bubi spacer. Poszły w Aleje aż do Belwederu i z powrotem pieszo.

I właśnie ta przechadzka była największą rewelacją wieczoru.

Zaczął się od zapytania, czy Buba nie znajdzie wolnego czasu, by zaopiekować się pewną młodą szwaczką, która jest świeżo po porodzie i znajduje się w fatalnych warunkach materialnych, gdyż matka wypędziła ją z domu. Jeszcze słuchając historii owej dziewczyny, którą pani Wanda nazywała bohaterką macierzyństwa i ofiarą barbarzyńskich przesądów, Buba, chociaż od razu zdecydowała się najserdeczniej zająć się nieszczęśliwą, nie bardzo orientowała się w jej bohaterstwie. Oczywiście romans musi być czymś niesłychanie emocjonującym, kuszącym i najprościej w świecie zaciekawiającym. Ale licząc się z następstwami, wystarczy na razie czytać książki lub dowiadywać się od koleżanek, które już rozstały się z niewinnością. Ale samej i to z telegrafistą, w dodatku żonatym!... Brr... Owa Jamiółkowska źle postąpiła, wypędzając córkę z domu, ale córka postąpiła gorzej.

— Dlaczego? — zapytała pani Wanda.

Buba odczuła w jej głosie ironię i spieszyła się:

— No, bo naraziła się na kompromitację — powiedziała niepewnie.

— Panno Bubo — spokojnie odpowiedziała pani Szczedroniowa — a czy wie pani, iż wśród żydowskich ortodoksów największą kompromitacją dla kobiety jest bezdzietność, że u Jakutów wstyd jest jeść przy mężczyźnie, a w Chinach uchodzi za szczyt wyuzdania obnażenie tułowia? Czy wie pani, że w starożytnej Grecji matka, której pierworodne było dziewczynką, narażała się na pośmiewisko i chwalono jej zamordowanie tego dziecka?

— Ależ to straszne!

— Ja myślę. Otóż dla kulturalnego człowieka za lat sto będzie równie straszna nasza nieszczęsna stadowa obyczajowość. Pani jest jeszcze młoda i nie rewidowała w sobie poglądów przejętych od starszych pokoleń. Im dalej się cofnąć, tym obyczajowość była potworniejsza, a to, co czcimy jako tradycję, jest po prostu zbrodnią przeciw człowieczeństwu. Abstrahując od tego, czy pani wierzy w Boga czy nie, ale...

— Nie wierzę — skwapliwie przerwała Buba.

— Tym lepiej, ale gdyby nawet był jakiś Bóg mądry i surowy, popełniłby nonsens, stwarzając ludzi obdarzonych poczuciem piękna, zmysłami dotyku, powonienia, słuchu i wzroku, zmysłami służącymi przecie wyłącznie funkcji rozmnażania się, a jednocześnie stawiając najeżoną anatemami⁹⁴ barykadę zakazów w korzystaniu z tych zmysłów. To absurd. Jeżeli zaś przypatrujemy się naturze, gdzie pani widzi wstyd?... Czy kwiaty wstydzą się zapłodnienia? Przeciwnie, ich miłość przejawia się krzykiem najwspanialszych barw,

Władza, Męczyzna

Seks, Miłość

⁹⁴anatema — klątwa. [przypis edytorski]

pociągają rozkosznymi zapachami. Zdają się robić wszystko, by zwrócić uwagę na swą gotowość do przyjęcia miłości. Wśród zwierząt również nie ma cienia tak zwanego wstydu. Ich akt płciowy jest wspaniałą orgią piękną. Czy widziała pani kiedy spółkujące konie?

Buba zaczerwieniła się:

— Tylko psy, proszę pani.

— No, u psów to nie wygląda estetycznie. Zresztą nie możemy kryteriami ludzkiej estetyki kwalifikować tego, co w psiej na pewno nie razi, lecz przeciwnie, pociąga. Słowem jeden tylko człowiek z miłości zrobił coś brudnego, wstydliwego i grzesznego. Właściwie mówiąc, nie człowiek lecz jego przemądrkowana moralność, ciemnota średniowiecza. Dlaczego otoczono hańbą i obwarowano sakramentami tę najważniejszą, tę jedynie ważną funkcję człowieka, jaką jest rozmnażanie się?... Wprost trudno na to znaleźć logiczną odpowiedź. Zresztą cała etyka seksualna jest wytworem mężczyzny, który sam nigdy się do niej nie stosował, a tylko zmuszał kobiety do monoandrii⁹⁵, przeciwnej ich naturze, do wierności dla jednego samca. Wszelkie zaś próby wyzwolenia się z tego jarzma mścił z nieludzkim okrucieństwem. W wiekach średnich niewierne żony obdzierano żywcem ze skóry, kazano im zjadać serca pomordowanych kochanków, karmić własną piersią psy, a wierne zakuwano w żelazne pasy cnoty. Zwykła zazdrość i pycha samca stworzyła całą moralność seksualną i jej sprytnie przepisy podniosła do godności najwyższych praw boskich i ludzkich. Taki barbarzyńca, który sam używał podczas wypraw wojennych czy podczas rządzenia we własnych włościach rozkoszy, ile chciał, na przykład choćby weźmy *ius primae noctis*⁹⁶, żonie zabraniał nawet widywania innych mężczyzn, otaczał ją szpiegami, spowiednikami lub jak u muzułmanów wręcz eunuchami! Gdyż rościł sobie w swej dumie prawo do wyłączności, chociaż na pewno nie zaspokajał cielesnych pragnień więzionej kobiety, skazując ją na samogwałt lub na miłość lesbijską. I oto stąd pochodzi pani naiwne, proszę się nie obrazić, panno Bubo, bardzo naiwne przeświadczenie, że taka Felka postąpiła źle. A człowiek umysłowo dojrzały niczego nie powinien brać bezkrytycznie, cóż dopiero takich zabytkowych potworności, jak nasza smutna barbarzyńska moralność. Czy zgadza się pani?

Buba nie wiedziała, co odpowiedzieć. Lecz pani Szczedroniowa nie czekała na jej odpowiedź.

— Ludzie dzięki swej głupocie — mówiła swoim beznamiętnym, lecz jakże przekonującym, głosem — przez całe tysiąclecia dobrowolnie wyrzekali się najprzyjemniejszych uczuć i wrażeń. Jak mogli, utrudniali i obrzydali sobie to krótkie życie. Bo należy i na to zwrócić uwagę, że właściwe życie trwa zaledwie jakieś trzydzieści pięć lat od dojrzałości płciowej do bezpłodności i właśnie na ten krótki okres, który ma być naszym szczęściem, rzuciły się sępy: kapłani, moralisci, prawodawcy. I rzecz ciekawa: prawie bez wyjątku są to ludzie starzy, ułomni, niemogący zaznać rozkoszy lub skazani na korzystanie z miłości płatnej. Wielu spośród nich, rzecz niemal dowiedziona, było najzwyczajszymi obłudnikami, po cichu uprawiającymi nierząd, zboczeniami... Na przykład Platon był homoseksualistą.⁹⁷ Oczywiście każdemu wolno ze swego ciała i ze swych upodobań robić dowolny użytek. Nigdy nie należy potępiać ludzi, którzy na skutek pewnych odchyłeń w ich popędach, będących wynikiem albo zmian fizjologicznych, albo kompleksów psychicznych, wolą przypuścić rozkosz ze zwierzętami czy z osobnikami własnej płci niż normalną. Ale to jeszcze nie powód, by tych panów robić apostołami moralności, by dawać im prawo stanowienia o obyczajach ludzkości. Takiemu Platonowi nietrudno narzucać kobietom miłość platoniczną, kiedy sam znajduje zaspokojenie swych zmysłów z kilkunastoma podobno cudownie zbudowanymi mężczyznami. Poza tym często moralisci są sami wyuzdanymi erotomanami. Czy pani czytała Freuda⁹⁸?

— Nie, proszę pani.

— Jak to i nie słyszała pani nic o psychoanalizie?

⁹⁵monoandria — związek, w którym kobieta ma za partnera (męża) tylko jednego mężczyznę. [przypis edytorski]

⁹⁶*ius primae noctis* (łac.) — prawo pierwszej nocy. [przypis edytorski]

⁹⁷Wielu spośród nich, rzecz niemal dowiedziona, było najzwyczajszymi obłudnikami, po cichu uprawiającymi nierząd, zboczeniami... Na przykład Platon był homoseksualistą (...) — zrównanie homoseksualizmu ze zboczeniem to wyraz homofobii; w czasach współczesnych autorowi (lata 30. XX wieku) takie przekonanie funkcjonowało i było bezrefleksyjnie powtarzane. [przypis edytorski]

⁹⁸Freud, Sigmund (1856–1939) — austriacki psychiatra i neurolog, twórca psychoanalizy. [przypis edytorski]

— Owszem — zawstydziała się Buba — słyszałam, ale u nas w domu takich książek nie ma.

— Naturalnie — przytaknęła pani Wanda — postaram się dla pani o kilka dzieł z tego zakresu. Poproszę Dziewanowskiego, by pani przesłał. On ma wspaniałą bibliotekę. Na początek musi pani przeczytać Freuda i hm... Lindseya⁹⁹, a później Bertranda Russella¹⁰⁰. To pani wiele rzeczy wyjaśni.

Wyjaśni! Czyż potrzebowała jeszcze jakichkolwiek wyjaśnień! Nagle otworzył się przed nią świat, ten sam, a przecież zupełnie inny. Zrozumiała, prosty, genialnie prosty! Tylko dotychczas ukrywano przed nią sens tego świata. Niepodobieństwo, by taki mądry człowiek, jak jej ojciec, nie wiedział o wszystkim. Ukrywano to ze względów wychowawczych. Co za naiwność!

Rozmawiały jeszcze dość długo, a teraz przytulona do poduszki Buba starała się przypomnieć sobie każde słowo tej mądrej i odważnej kobiety.

— Jesteśmy, a raczej byliśmy — mówiła pani Wanda — niesłuchanie zrozumieli. Uważaliśmy Ziemię za centrum wszechświata, póki nauka nie dowiodła, że nasz glob jest tylko mikroskopijnym pyłkiem. Siebie uważaliśmy za jakieś półbóstwa z jakąś nieśmiertelną duszą, której odmawialiśmy zwierzętom, i szukaliśmy nieba i piekła, by znaleźć cel życia. A dziś wiemy, że celem jest życie samo w sobie, życie, które należy wykorzystać w jego biologicznym znaczeniu. Wiemy, że utrudnianie tego życia jest więcej niż zbrodnią, bo głupotą. Człowiek to płeć, a wszystko, co człowiek posiada, ma służyć tej płci, ma być wabikiem, jak na przykład uroda, stroje, perfumy, inteligencja, lub ma zapewnić nam możliwość jak najdłuższego korzystania z naszej płci, jak lecznictwo, higiena, sport. Temu podświadomie czy świadomie służy cała wiedza, cała kultura, cała cywilizacja, które stopniowo wyzwalają się z pęt przesądów.

W nocy śniło się Bubie, że Platon z twarzą dyrektora Minza zalecał się do nowego kierownika działu reklamy i propagandy, pana Tańskiego. Było to obrzydliwe i podniecające. Pan Tański wyglądał jak kobieta i zachowywał się z jakąś nieprzyzwoitą kokieterią.

Nazajutrz Buba przyjrzała mu się uważniej niż zwykle. Bywają przecie sny prorocze. A nuż on naprawdę jest homoseksualistą?

Prędko jednak odrzuciła te podejrzenia. Po pierwsze było to silne, zdrowe chłopisko, które śmiało się może nawet za głośno (czyli zupełnie inaczej niż we śnie), a po drugie nie ukrywał swego zainteresowania Bubą. Ona ze swej strony była przekonana, że Tański w ogóle może się podobać. Kto ma takie szerokie bary, temu można nawet darować owłosione ręce.

W każdym razie w całym biurze był to jedyny interesujący mężczyzna, a ponieważ pani Leszczowa nie zawsze miała dość czasu, by osobiście dostarczyć działowi reklamy i propagandy szczegółowych danych o projektowanych wycieczkach i o różnych międzynarodowych imprezach turystycznych, Buba chętnie ją zastępowała. Nie przez wzgląd na umizgi Tańskiego, ale w ogóle lubiła kolegów, biuro i jego sprawy, wszystkim się naprawdę interesowała, a jeżeli coś ją tu nudziło, to właśnie załatwianie zapisów na wycieczki krajowe, co należało do niej.

Rozmowy z Tańskim miały zawsze nie wiadomo dlaczego posmaczek przekomarzania się: może traktował ją trochę jak dziecko, ale to nie sprawiało jej przykrości. Nieraz wprawdzie przemysliwała nad sposobem zaczerwienia z nim rozmowy poważnej, ale po prostu nie było na to miejsca. Wyjątkowo po kilku dniach zdarzyła się sposobność, a było to tak: wieczorem w niedzielę pani Szczedroniowa przysłała jej obiecane książki. Schowała je zaraz do swojej szafy, lecz idąc do biura, pomyślała, że byłoby dobrze jedną wziąć ze sobą. Wybrała taką, której tytuł wydał się jej najpoważniejszy i najbardziej uczony: *Zur Psychopathologie des Alltagslebens*¹⁰¹.

Książka leżała na brzegu biurka i pan Tański, rzuciwszy na nią okiem, zapytał zdziwiony:

⁹⁹Lindsey, Ben B. (1869–1943) — amerykański sędzia i reformator społeczny. Zwolennik tzw. małżeństw na próbę, pozwalających sprawdzić parze młodych, czy są dla siebie odpowiedni. [przypis edytorski]

¹⁰⁰Russell, Bertrand (1872–1970) — brytyjski filozof, logik, matematyk, noblista (1950), twórca filozofii analitycznej, sprzymierzeniec wolnej miłości. [przypis edytorski]

¹⁰¹*Zur Psychopathologie des Alltagslebens* — *Psychopatologia życia codziennego. O zapominaniu*, jedno z dzieł Z. Freuda. [przypis edytorski]

— Pani czyta Freuda?
— Cóż w tym nadzwyczajnego? Czy uważa mnie pan za tak płytką, że nie mogę interesować się poważnymi rzeczami?

— Ale, broń Boże — zaprzeczył — tylko... tylko, że...

Wziął książkę do ręki i przerzucał kartki. Robił to odruchowo, coś go jednak zajęło i zaczął czytać.

— Czy to pani podkreślała tu niektóre ustępy? — zapytał ze zdziwieniem.

— Oczywiście, że ja — odpowiedziała bez namysłu — to, co zwraca moją szczególną uwagę, zawsze podkreślałam.

Powiedziała nieprawdę. Nigdy tego nie robiła, a o istnieniu jakichś podkreśleń w tej książce w ogóle nie wiedziała. Chodziło jednak o zaimponowanie Tańskiemu i swego dopięła. Uśmiechał się jakoś niewyraźnie i był zdumiony.

— A dlaczego pani to podkreśliła? — zapytał, pokazując jej większy ustęp zamazany ołówkiem.

Spojrzała i przeczytała jedno zdanie. Najgorsze to, że nie mogła zapanować nad rumieńcem: była tam mowa o impotencji.

Wyrwała Tańskiemu książkę i schowała ją do szuflady:

— Och — powiedziała — biuro nie jest miejscem dla rozmowy o tych kwestiach. Bardzo to nieładnie z pańskiej strony.

— Jeżeli pozwoli pani — zaczął — pomówimy o tym gdzie indziej, na przykład...

— O, pani Leszczowa jest już wolna — przerwała mu — niech pan śpieszy, bo ona zaraz pójdzie do dyrektora.

— Już idę. Ale dziś panią odprowadzę, dobrze?

— Żle.

— Dlaczego?

— Niechże pan śpieszy. Jutro pan mnie odprowadzi.

Z uśmiechem kiwnął głową i pobiegł do boksu pani Anny. Buba rozłożyła przed sobą wielki zeszyt wycieczek narciarskich i obejrzawszy się, położyła pod nim otwartą książkę. Zaczęła czytać miejsca podkreślone, gdyż te zawierały najciekawszą treść. Jednak, czy to z racji pośpiechu, czy dlatego, że tekst był najeżony kilometrowymi terminami naukowymi, których zwłaszcza po niemiecku nie знаła, nie mogła nic zrozumieć. Jedno nie ulegało wątpliwości, że była tam mowa o impotencji, o kompleksie Edypa i, nie wiadomo dlaczego, o łozu matki. Tak to się nie dawało czytać i Buba postanowiła zasiąść po powrocie do domu do sumiennego przestudiowania tych rzeczy z niemieckim słownikiem pod ręką.

Wiedziała już, że to jej nie znudzi, gdyż na pewno znajdzie wiele rzeczy pikantnych, a poza tym przeczytać i tak trzeba, bodaj po łebkach, bo pani Szczedroniowa gotowa powrócić do tematu, a Tański robi to na pewno: tak go zafrapowało to, że ona nie jest zwykłą gąską. Właściwie mówiąc, Tański mógłby złożyć wizytę i bywać. Jest wykształcony, ma bardzo przyzwoity sposób bycia i pochodzi z dobrej rodziny. Nawet taki snob jak Ryś nie może mieć nic przeciw niemu. Na wszelki wypadek wypadało poradzić się co do tego pani Leszczowej, do której Buba miała nieograniczone zaufanie i sympatię, może nieco osłabioną wypadkiem z wymówieniami dla dwóch kolegów, lecz przecież ogromną i znacznie większą niż inni.

Od czasu owych wymówień i wydalenia Kątkiewicza, wszyscy odnosili się do pani Anny z jakąś rezerwą. Wprawdzie i ona sama jakoś odsunęła się od biura. Buba wiedziała, że pani Anna ma duże kłopoty rodzinne, że niejednego musi sobie odmawiać, by mieć co wysłać mężowi do Poznania, że jej mała córeczka przechodziła niedawno koklusz¹⁰², a ciotka, senatorka Szermanowa, leży ciężko chora i wymaga od pani Anny długich godzin przesiadywania przy swoim łóżku. Poza tym opowiadano w biurze, że ten i ów widział ją na mieście z Dziewanowskim, z czego wysnuwano niedorzeczne podejrzenia, że są kochankami. Buba nie wierzyła w to nigdy; po pierwsze dlatego, że uważała panią Annę za szczyt wzorowości, a po wtóre wiedziała, że Dziewanowski — stanowiło to przecie od bardzo dawna publiczną tajemnicę — jest kochankiem pani Szczedroniowej.

¹⁰²koklusz — in. krztusiec. [przypis edytorski]

I rzecz dziwna: gdy chodziło o panią Szczedroniową, taki romans nie wydawał się Bubie ani gorszącym, ani skandalicznym, a każdą plotkę tegoż rodzaju o pani Annie uważała wręcz za potwarz.

Oczywiście nigdy by nie ośmieliła się powtórzyć jej tych plotek. Ich wzajemny stosunek, chociaż serdeczny i niewyłącznie biurowy, nie upoważniał do tego rodzaju zbliżenia. Buba wprawdzie wiele mówiła pani Annie o sobie, ale to było coś innego.

I tym razem nie wytrzymała, by nie pochwalić się jej bytnością w Kolchidzie i swoim zachwytem dla tej elity umysłowej.

— Wiem, że pani tam była — uśmiechnęła się pani Anna — i wiem, że wywarła pani bardzo miłe wrażenie.

— Tak mówiła pani Szczedroniowa?!

— Nie, nie widziałam Wandy od dość dawna, ale wczoraj spotkałam pana Dziwanowskiego i od niego miałam te relacje.

— Zachowałam się tam jak pensjonarka — skromnie odpowiedziała Buba i pomyślała, że absurdem jest podejrzewanie pani Leszczowej o romans z Dziwanowskim. Gdyby ich coś łączyło, na pewno nie wspominałaby o nim i o tym, że go spotkała.

Wprost z biura Buba poszła na Solec. Trochę się bała, gdyż trzeba było wejść aż w trzecie podwórze brudnej kamienicy i wejść na trzecie piętro po okropnych schodach. Ludzie, których tu spotkała, a którzy przyglądali się jej dziwnym wzrokiem, na pewno należeli do najgorszych mętów społecznych. Tak musieli wyglądać bandyci i złodzieje, o jakich czyta się w powieściach kryminalnych, a których nie widuje się w śródmieściu. Przemykają niczym drapieżne zwierzęta chyłkiem, by nie dostrzegło ich oko policjanta, a tu gnieźdzą się w brudzie i w zaduchu, gdyż tu nawet policja nie odważy się zapewne wkroczyć.

I Buba, idąc po schodach, chociaż kolana jej nieco się trzęsły pod wpływem wyobraźni, była dumna, że ona się przecież nie ulękła. Matka na pewno nie puściłaby jej tu samej i albo uparłaby się jej towarzyszyć, albo posłałaby z nią kogoś ze służby. A właśnie Buba chciała pójść sama. Dlatego nie wspominała w domu ani jednym słowem o tej nieszczęśliwej dziewczynie i o obietnicy danej pani Szczedroniowej. Nie przewidywała wprawdzie ewentualności, że jej w ogóle zabronią wziąć pod opiekę tę biedną ofiarę barbarzyńskich przesądów, na to matka jest za dobra i zanadto ludzkie ma serce, jednakże bezpiecznie było zwierzyć się jej już z faktu dokonanego.

Izba, w której leżała chora, pełna była pary: tęga kobieta z czerwoną twarzą, o rękach potwornej grubości, dźwigała z płyty wielkie blaszane kotły i ich parującą i niezdolnie wonującą zawartość wysypywała do dwóch balii. Przy jednej prała ona sama, a przy drugiej mały czarniawy mężczyzna w brudnej koszuli z zawiniętymi rękawami.

— Czy tu mieszka panna Felicja Jamiołkowska? — zapytała Buba możliwie ugrzecznym tonem.

— Pani drzwi zamyka, zamróż idzie — wysokim ostrym głosem powiedziała kobieta, a gdy Buba pośpiesznie zatrasnęła klamkę, dodała: — mieszkać nie mieszka, bo niemeldowana, tylko tak gościnnie po znajomości.

— Czy mogłabym z nią pomówić? Czy pani pozwoli?

Czarniawy młody człowiek uprzejmie odsunął taboret, na którym piętrzył się stos mokrej bielizny. Był przeraźliwie chudy, ręce jednak miał ogromne, czerwone i obrzękłe. Rozpięta brudna koszula odsłaniała klatkę piersiową pokrytą niebieskim tatuażem.

— Tamuj, w alkowie, jeżeli pani ma życzenie — uśmiechnął się do Buby i uśmiech ten wydał się jej najokropniejszy ze wszystkich.

— Rób, co się gapisz! Twój interes?! — krzyknęła kobieta.

Alkova była zasłonięta frędzlą z czerwonych i zielonych pasków bibułki. Na czysto zasłanym łóżku leżała bardzo młoda i niebrzydka dziewczyna, śmiertelnie blada, z wielkimi sińcami pod oczyma. Obok niej w ogromnej poduszce opakowane było dziecko o czerwonej pomarszczonej twarzy i lysej czaszce, na której sterczały czarne szczeciniaste kosmyki włosów, co wyglądało jak liszaj czy egzema. Bubę ogarnęło przejmujące uczucie litości: w tej nędzy, w tym zaduchu powstało nowe życie, pokraczne, nieświadome a tak cenne, że ta dziewczyna zdecydowała się na cierpienia, na straszny ból, na szykany i przykrości, by tylko dać to życie światu.

Matka

I nagle Buba zrozumiała, że nie ma w tym bohaterstwa, że nie ma skandalu ani wstydu, że była to potrzeba. Konieczność! Nie wyobrażała sobie, że stanąwszy tu poczuje pełną solidarność, nie przemyślaną, nie uzasadnioną, nie wyrozumowaną, lecz całkiem niezależną od własnej woli solidarność z tą kobietą. Przecie tu nawet na litość nie może być miejsca, bo jakże się litować nad szczęściem.

Buba przedstawiła się, powiedziała, że adresu udzieliła jej pani Szczedroniowa, że przyszła zapytać, czy nie może w czymkolwiek dopomóc?

— Dziękuję pani. Tymczasem nie. Dobrzy ludzie przygarnęli mnie, znajomy doktor zajrzy od czasu do czasu, dziecko dzięki Bogu, zdrowe..

— Czy to synek?

— Tak, proszę pani. Dziękuję za życzliwość.

— I... i nie żałuje pani — zawahała się Buba — nie żałuje pani tego, co się stało?...

— Gdybym i żałowała — odpowiedziała Felka — to niewiele pomogłoby, ale co mam żałować? Z głodu nie umrę, tak czy inaczej na siebie i na dziecko zarobić potrafię.

— A nie będzie pani miała trudności ze znalezieniem pracy?

— Komu teraz łatwo o pracę?

Buba zamyśliła się:

— Gdy pani wyzdrowieje, na pewno dla pani zajęcie znajdzie. Poproszę ojca, a on już to zrobi.

— Bardzo dziękuję.

— A teraz pani niczego nie trzeba?

— Niczego, dziękuję pani.

Z końca izby odezwał się ostry głos praczki:

— Co głupia gadasz! A to nie możesz panienki poprosić, żeby ci jakiego lepszego jedzenia przyniosła. Bo to proszę pani, jak jest karmiąca to nijak samymi kartoflami i kaszą żyć.

— Ależ naturalnie, naturalnie — zerwała się Buba.

Chciała zaraz zbiec na dół i kupić śmietanki, czekolady, bułek, owoców, lecz gospodyni zaproponowała:

— Jak pani da pieniędzy to mój syn skoczy.

— Bardzo pani dziękuję — ucieszyła się Buba i podała jej banknot.

Praczka spojrzała na banknot, zerknęła na syna, zawahała się i obtarła ręce:

— To już ja sama lepiej pójde.

— Co się mama będzie trącać po schodach. W try miga skoczę.

— Rób swoje — ofuknęła go matka — już tam pieniądze będą pewniejsze.

— Matka to też — obraził się i z pogardą wzruszył ramionami.

Praczka nie odpowiedziała, narzuciła na szerokie bary wełnianą chustkę i wyszła. Jej syn splunął przez zęby w kąt i zabrał się do prania.

— Czy pani go bardzo kochała? — zapytała półgłosem Buba.

— Kogo? — zdziwiła się Felka.

— No... ojca tego dziecka.

— I pewno...

— A teraz go pani nienawidzi?...

— Niech go tam — obojętnie wzruszyła ramionami — nie jego wina. Sama chciałam. I cudze zawsze lubiałam... A tak już miałam dwóch narzeczonych i żaden nie chciał się żenić, bo to praca niestała albo całkiem bezrobotny. Gdybym ja jaki posag miała albo dobry zarobek, żeby i na mnie i na jego starczyło, ale tak to każdy mówi: co będę się żenił? To myślałam sobie, że i tak mnie małżeństwo niepisane, żeby choć dzieciątko mieć, jakąś swoją bliską duszę, no i dzięki Bogu mam.

— Dzięki Bogu! — zaśmiał się syn praczki ironicznie — niech panna Felka strzyma się z dziękowaniem Bogu, bo na ten przykład jeszcze nie wiadomo, czym takim to dziecko zostanie.

— Niech już pana Stefana o to głowa nie boli — niecierpliwie poruszyła się chora.

— Co ma boleć? Mój, czy co? Tylko mówię, że baby to zawsze. Każdej zdaje się, że frajer na dziecko poleci i wróci do niej. A chłopu po co na ten przykład dziecko? Chleba za dużo na świecie czy co? Owszem, nie mówię żeby całkiem odżegnywać się. Jak się ma za co, to miej bachorów i pół tuzina. Ale trzeba swoje zrozumienie mieć: sam

z głodu zdychasz. A baby to tak: nie pomyśli i bez nijakiej karkulacji dawaj jej dzieci. A tu i bezrobocie, i choroby, i takżesamo do szkoły niby posłać trzeba, a i w domu dopilnować, i pomięszkanie mieć. Bez nijakiego względu.

— Już ja się nie boję — mruknęła Felka.

— Otóż to! Baba nigdy się nie boi, bo i co? Takżesamo widziałem taką. Samochód prowadzi, kierownicą kręci, na prawo na lewo i nic niebojąca, aż tu zza rogu, na Granicznej było jak nie wyskoczy tramwaj. To patrzę: da baba tylny bieg czy nie, a ona w lewo! A tu placforma z mąką, a ona, ścierwo, rączki do góry i krzyczy!... Cholera. Maszyna była jak się patrzy i w drebiezgi, nie warto zbierać, a ona to tylko się trzęsie i płacze... Do szpitala zabrali. I czego się było pchać?...

— A bardzo się pokaleczyła? — zapytała Felka.

— Wiadomo. Ruch kołowy swego zrozumienia wymaga. Na drugi raz to do samochodu nie siędzie.

— A co mnie pan Stefan z samochodem równa, co ma piernik do wiatraka — oburzyła się chora.

— Ja nie równam, tylko tak mówię. Jak jeszcze szoferem u hrabiny z Młodziejowic byłem to też. Krzyczy prędzej, prędzej, a to sobie nie karkuluje, że na ten przykład ślisko, a niech furmanka wyskoczy. Jej tylko żeby prędzej. I powiada, że ja się boję. Nie boję się, tylko męskie zrozumienie mam, wiem, kiedy trzeba uważać, a kiedy można gazować na całego. A na ten przykład baby...

Drzwi otworzyły się i umilkł. Pracza przyniosła wędlinę, mleko i bułki.

— A tu reszta, proszę panienki — wyciągnęła do Buby garść drobnych.

— Proszę to zatrzymać — szybko odpowiedziała Buba — przyda się na jutro.

— Na jutro? To i na pięć dni starczy. Tylko niech panienka nie myśli, że my to będziemy jedli. Wszystko dla Felki.

— Ależ proszę bardzo!

— Serdecznie pani dziękuję — odezwała się Felka — jak wstanę to odwdzięczę. Bie-liznę dobrze robię i inne takie rzeczy...

Buba pożegnała się, zapowiedziała, że jutro lub pojutrze znowu przyjdzie i wyszła.

Mróz ku nocy stęzał i po wilgotnym rozgrzanym powietrzu izby ogarnął ją nieprzyjemnym dreszczem. Na rogu Tamki wzięła taksówkę. Szyby były zupełnie zamarznięte i Buba przyszło na myśl, że szofer mógłby zawieźć ją na odludzie i zamordować. W ogóle tego dnia była odważna. Nie każda inna na jej miejscu zdobyłaby się na tyle samodzielności.

Przewidywała z góry, że przestraszy matkę tą swoją eskapadą. Pomimo to postanowiła nie tylko przyznać się do bytności u Felki, lecz ultimatywnie postawić kwestię dalszego pomagania tej biednej dziewczynie.

Matkę zastała w pokoju Rysia, pakującą jego walizy. Dziś wieczorem wyjeżdżał na narty do Krynicy, lecz nie było go jeszcze w domu.

— No, nareszcie — zawołała pani Kostanecka — gdzieś ty była!? Jak można nie zatelefonować i nie uprzedzić mnie. Tak niepokoiłam się o ciebie.

— Mamusiu, przecie nie jestem już dzieckiem.

— Moim dzieckiem jednak jesteś i zostaniesz zawsze.

Buba pomimo łagodnego tonu matki dostrzegła w jej oczach niepokój, a nawet obawę.

— Byłam u pewnej biednej dziewczyny, wypędzonej z domu za to, że urodziło się jej dziecko — wypaliła jednym tchem.

— Ty? Z kim?...

— Sama. Dlaczego koniecznie miałabym być z kimś?

Pani Kostanecka odłożyła trzymany w ręku pęk kołnierzyków i zapytała:

— Co ty mówisz, dziecko drogie!

— Czy popełniłam przez to coś nieuczciwego czy hańbiącego, że chciałam przyjść z pomocą nieszczęśliwej? — podniosła głowę Buba.

— Popełniłaś błąd, ukrywając to przede mną. Cóż to za dziewczyna?

— Córką ubogiej szwaczki. Nazywa się... zaraz, mam tu zapisane... Felicja Jamiołkowska.

— Któż cię namówił do... tych odwiedzin, pani Szczedroniowa?

— Nikt mnie nie potrzebował namawiać. Sama postanowiłam zająć się tą Felką i jej małością. Mamusia wciąż wyobraża sobie, że jestem podlotkiem, a proszę mi wierzyć, że ja niejedno wiem i niejedno bardzo dobrze rozumiem. Bo jeżeli...

— Poczekaj — przerwała pani Kostanecka — zdaje się że idzie tu ojciec.

— Więc cóż z tego?

— Nie zechcesz chyba zmartwić go swoim wybrykiem. Daruj, ale inaczej tego nazwać nie umiem.

— Ja — zimno odpowiedziała Buba — jestem wręcz odmiennego zdania, a przed ojcem nie zamierzam robić tajemnicy, gdyż musi wystarać się o posadę dla Felki.

W drzwiach ukazała się wielka postać pana Kostaneckiego:

— A jesteś, kuchassju, gdzieś to była? No dzień dobry, nie widziałem cię jeszcze dzisiaj. Zmarzłaś, co?

— Nie, tatuniu — pocałowała go w policzek — było tam nawet duszno, bo właśnie prano bieliznę. Ja byłam u pewnej dziewczyny, której urodził się synek i matka ją za to wyrzuciła bezlitośnie z domu. Ciemna, głupia kobieta.

— Zaczekaj, kuchassju, bo nic nie rozumiem. Opowiedz mi po porządku. O, siadajmy i opowiedz. Więc co i jak?

Buba opowiedziała całą wstrząsającą historię Felki, opowiedziała przebieg swojej wizyty na Solcu i zakończyła oświadczeniem:

— Ma się rozumieć, że i nadal będę się nią opiekowała.

— Czuję w tym pomysł owej pani Szczedroniowej — zwróciła się do męża pani Kostanecka.

— Czekaj kuchassju — z uśmiechem wziął żonę za rękę — nie o to przecie chodzi, czyj pomysł.

— Więc tatuś też uważa, że popełniłam zbrodnię? — wojowniczo zapytała Buba, gotując się do zawziętej obrony swego czynu.

— Tylko nie gorączuj się kuchassju. Postąpiłaś słusznie, w zasadzie słusznie. Cierpiącym i pokrzywdzonym należy dopomagać, ale...

— Ta dziewczyna wcale nie jest cierpiąca i pokrzywdzona. Wprost przeciwnie. Posiadanie dziecka sprawia jej wielką radość, chciała mieć to dziecko i ma, i w tym widzi swoje szczęście, a ja ją doskonale rozumiem. Co się mama tak na mnie patrzy?... Wiem doskonale, że nie podziela mama mego poglądu, ale wolno mi mieć mój własny. Wyrosłam już z tych lat, kiedy do obowiązków moich należało patrzeć na świat przez katechizm w pytaniach i odpowiedziach, dla szkół opracowany przez księdza Gołąbka. I otóż jestem zdania, że przestępstwem przeciw człowieczeństwu jest wtrącanie się opinii publicznej i w ogóle każdego, komu się zechce, w ściśle prywatne życie jednostki. Jak można zmuszać kogoś, by miał dzieci, skoro ich nie chce, lub nie miał, skoro to jest jego największym pragnieniem! To barbarzyństwo! I że taka Felka ma dziecko, postąpiła słusznie. A społeczeństwo, wypychając swój wścibski nos w płciowe życie człowieka, to dzicz średniowieczna. Na szczęście coraz więcej jest takich, którzy nie dają się oglupiać wstecznymi przesądami, nie dają się zepchnąć z drogi postępu i drwią z naiwnych bajek i morałów, które każą nam wyrzekać się prawa do stanowienia o osobistym szczęściu i utrudniać sobie życie pustymi rytuałami i formułkami, jak na przykład małżeństwo. Co komu do tego, jaki ja robię użytek z siebie, ze swego ciała!? Kto może mnie zmuszać, bym wyrzekła się dziecka dla jakichś mieszczańskich przesądów lub miała być na zawsze związana z jednym mężczyzną, chociażbym go znienawidziła! Nie, tatusiu, te czasy już minęły i ludzie za sto lat w ogóle nie będą mogli uwierzyć, że taka ciemnota trwała wieki, zanim oświata i kultura nie zrobiły swego.

Buba podniecała się własnymi słowami. Sama dziwiła się sobie, że potrafiła być tak wymowna i że tak dobrze zapamiętała druzgoczące argumenty pani Szczedroniowej z jej artykułów.

Widziała, jak przytłaczające wrażenie wywarło to na matce, lecz jej przestraszone oczy zachęcały Bubę do tym kategorijszego, tym ostateczniejszego postawienia kwestii. Ojciec też był trochę zdziwiony i na początku uśmiechał się kąsikami oczu, ale później słuchał, już z powagą. Gdy skończyła, powiedział:

— Nie przypuszczałem, że tak zapatrujesz się na te sprawy...

— Bo tatuś nigdy ze mną o nich nie rozmawiał, uważając mnie za naiwną — odpaliła Buba.

— Odwrotnie, kuchassju. Sądziłem, że już jesteś o tyle dojrzała, że umiesz patrzeć na życie rozsądnie.

— Rozsądnie, to znaczy tak, jak każą starsi?...

— Dziecko drogie — odezwała się pani Kostanecka — jakim ty tonem mówisz do ojca!

— Otóż to. I to jest cały kontrargument! — zachnęła się Buba — tak nie można w ogóle dyskutować. W dyskusji muszą być równe prawa i wiek, czy pokrewieństwo nie odgrywają tu żadnej roli.

— Masz rację, kuchassju — zgodził się pan Kostanecki — więc dla zrównania naszych praw albo ja muszę też zacząć mówić opryskliwie i niegrzecznie, albo ty zechcesz rozmawiać spokojnie i uprzejmie. Ze swej strony proponowałbym to drugie.

Buba zawstydziała się. Uprzątnęła sobie, że przecie ojciec jest zawsze dla niej taki dobry i serdeczny, że w tej chwili sprawiła mu dużą i niezasłużoną przykrość.

— Przepraszam tatusia — odezwała się — wcale nie chciałam być niegrzeczna. Tylko ja wiem z góry, co tatuś mi powie.

— Może i ja wiedziałem, kuchassju, co ty mi powiesz, a jednak wysłuchałem cię z uwagą. Pozwolisz i mnie prosić cię o odrobinę wzajemności. Dobrze?...

Buba chciała powiedzieć, że trudno, gotowa jest wysłuchać kazania, lecz pohamowała się i tylko kiwnęła głową.

— Bardzo ci dziękuję. Otóż, o ile cię zrozumiałem, nazywasz wstecznictwem to, co w pewien sposób reguluje życie jednostki i zbiorowości.

— Co utrudnia — poprawiła Buba.

— Wszelkie formy życia i współżycia człowieka w społeczeństwie, formy zawarte w obyczajach, w etyce i w prawie utrudniają życie o tyle, o ile regulacja rzeki utrudnia jej swobodny bieg, o ile policjant kierujący ruchem utrudnia swobodne przejeżdżanie samochodów. Wyobraź sobie, czy łatwiejsze byłoby spłynięcie rzeki do morza, gdyby nie miała pogłębionego dna i ocembrowanych brzegów? Czy łatwiej byłoby przejechać przez miasto, gdyby na rogu nie stał policjant, który wprowadza pewien porządek w cyrkulację pojazdów? To samo dotyczy i kwestii, które cię tak irytują. Sama prowadzisz samochód, więc powiedz, czy nie oburzy cię widok auta, które jedzie nieprawidłową stroną? Ten jegomość niestosujący się do ogólnie przyjętego porządku nie będzie według ciebie na pewno postępowcem, tylko albo głupcem, albo beczelnym warchołem. Umyślnie używam tak mocnych epitetów, żeby ci unaocznili, że czyjeś występowanie przeciw ustalonemu porządkowi wywołuje u nas bardzo silny sprzeciw. Jeżeli zaś zwykle nieposzanowanie ogólnie uzasadnionych przepisów o ruchu drogowym może nas oburzać, cóż dopiero mówić o naruszeniu ustalonego porządku w ważniejszych dziedzinach. Prowadząc auto, nie zastanawiasz się przecie nad celowością i słuszością przepisu jazdy prawą stroną. Przyjmujesz ten przepis i stosujesz się doń automatycznie. Nie przyjdzie ci do głowy zwalczać jego słuszość w ten sposób, by wjeżdżać na lewą stronę. Dlaczego zatem pochwalasz wjeżdżanie na lewą stronę w życiu?... Powiadasz postęp! Postęp to wielkie słowo. Tylko trzeba umówić się co nazywamy postępem? Na przykład mnie się zdaje, że małżeństwo i domowe wychowanie dzieci jest postępem. Powiadasz, że nasza moralność jest zabytkiem ciemnego średniowiecza, a życie trzeba ułatwić przez wyrzucenie za okno etyki seksualnej, to znaczy w praktyce, przez skasowanie przepisów. Bardzo pięknie, ale gdzie tu postęp? Był przecie w dziejach ludzkości okres i to okres bardzo długi, gdy nikogo nie krępowały żadne przepisy, żadna moralność, żadne zakazy, każdy żył jak chciał, miał dzieci lub nie, uprawiał zupełną wolność cielesną, czyli, według ciebie świat znajdował się wówczas w kwitnym postępie, a było to za czasów jaskiniowych. Tak, kuchassju, jaskiniowych! Ludzie wówczas trwali w dzikości i nawet prawdopodobnie nie umieli jeszcze mówić. Nie mieli żadnych pojęć, z których powstają przeświadczenia i zasady, nie mieli zorganizowanego życia i społeczeństwa. I w moim rozumieniu postępem jest to, co odróżnia społeczeństwo od stada, a człowieka od zwierzęcia. Im bardziej wzrasta różnica, tym głębszy jest postęp. A różnice te polegają w społeczeństwie na organizacji i na poszanowaniu zasady, że wolność jednostki nie może być groźbą dla wolności in-

Prawo, Społeczeństwo

nych, a w człowieku na przewodze jego rozumu, woli i w ogóle ducha nad pierwotnymi instynktami zwierzęcymi. Czy zgadzasz się, kuchassju na taką definicję?

Buba słuchała, usiłując skupić myśli. Ojciec rzadko rozmawiał z nią tak poważnie, a ile razy to robił, czuła się dojrzałą i rozumną, dojrzalszą i rozumniejszą niż wówczas, gdy onieśmielona rozmawiała z panią Szczedroniową, chociaż teraz właśnie była jakby zastępczynią jej poglądów. Buba nieraz zdumiewała się niezwykłym zjawiskiem: ta sama rzecz przedstawiona przez różne osoby zawsze zawierała w sobie słuszość. Widocznie słuszość jest rzeczą względną i po wysłuchaniu kilku poglądów niepodobna wyrobić sobie zdania. I teraz ojciec oczywiście miał rację. Musi być jakiś porządek.

— To prawda, tatusiu — przyznała — ale gdzież w tym miejsce na osobiste szczęście człowieka?

— A widzisz, kuchassju — ucieszył się pan Kostanecki — tu zmierzamy do celu. Każdy inaczej pojmuje swoje szczęście. Prawda? Otóż szczęście człowieka polega na zaspokojeniu, a przynajmniej na zaspokajaniu jego pragnień. Pragnienia te, im stoimy na wyższym stopniu człowieczeństwa, tym są wyższe i bardziej odległe od potrzeb organizmu. Zwierzę jest szczęśliwe gdy zaspokoi swoje instynkty. Natomiast kulturalny człowiek przeciwnie: najwyższe zadowolenie daje mu przewyciężenie tych instynktów, umiejętność hamowania popędów, zdolność opanowania odruchów. Nazwałaś to utrudnianiem sobie życia, ale grasz w szachy, prawda?

— Gram.

— Po co? Po co utrudniasz sobie życie? Czy życie wymaga od ciebie głowienia się nad tym, którą figurę gdzie przesunąć?... Nie. Sama dobrowolnie zadajesz sobie ten trud dla własnej przyjemności. Zatem leży w twojej naturze nie tylko nieunikanie trudności, lecz wyszukiwanie ich sobie. I tym się różni natura człowieka od zwierzęcej. Szczęście, kuchassju, to odpowiedź, jaką daje nasze życie na nasze postulatory wewnętrzne. Jeżeli umiemy te postulatory urzeczywistnić w praktyce, jesteśmy szczęśliwi. I tym bardziej szczęśliwi im więcej przeciwności zdołaliśmy pokonać. Nieprzypadkowo wszyscy ludzie nadają pewien pogardliwy ton określeniu „łatwy”. Łatwe zwycięstwo jest lekceważone, a dlaczego? Bo szczęście nie polega na łatwości, lecz odwrotnie na dokonywaniu rzeczy trudnych.

— Jednakże — zastrzegła się Buba — tylu mądrych ludzi walczy o uproszczenie, o ułatwienie życia. Nie robią przecie tego bezmyślnie.

Pan Kostanecki z wolna wyjął papierośnicę i po chwili namysłu zaczął:

— Weźmy zatem z innej beczki. Wyobraź sobie, że do Europy przyjechał jakiś kacyk¹⁰³ murzyński¹⁰⁴. Przyjrzał się naszemu życiu i naszym obyczajom, a później otrzymał prawo przeprowadzenia reform i ulepszeń. Przyjmijmy zatem, że byłby to osobnik najlepszej woli, ożywiony uczuciami najbardziej humanitarnymi. Cóż by zrobił?... Oto nie mógłby patrzeć na nasze męczarnie. Widzi na przykład człowieka idącego w upał w ubraniu i pot na jego czole. Kazałby mu rozebrać się na ulicy. Widzi głodnego, który czeka, aż wszyscy siądą do stołu, by zacząć jeść i każe mu rzucić się na jedzenie. Następną reformą byłby zakaz szkodenia zdrowiu przez powstrzymywanie nie wiadomo po co swoich funkcji fizjologicznych. Po co szukać miejsc oznaczonych dwoma zerami¹⁰⁵, niech każdy ulży sobie, gdzie stoi. Dalej zniesione będą małżeństwa, związane z kłopotami, wymagające pokonania trudności. Po prostu odtąd na ulicy spotyka się przechodnia, który się spodobał i załatwia się rzecz na miejscu, a potem idzie się dalej. Czy myślisz, kuchassju, że taki kacyk uszczęśliwiłby nas swymi reformami?... Ja myślę, że wywołałby bunt, a po ulicach chodziłyby rewolucyjne pochody z transparentami: *My nie chcemy łatwego życia!* Bo widzisz, kacyk nie umiałby pojąć, że nasze szczęście, szczęście człowieka kulturalnego, nie polega na tym, na czym polega jego szczęście. I ci mądrzy ludzie, którzy dążą do takiej reformy obyczajów, o jakiej mówiłaś, bynajmniej nie są zli czy perfidni. Przeciwnie.

Szczęście

Szczęście, Natura, Człowiek

¹⁰³kacyk (pejorat.) — wódz. [przypis edytorski]

¹⁰⁴kacyk murzyński — określenie murzyński oraz kontekst, w jakim się tu pojawia, są rasistowskie. W czasach współczesnych autorowi (l. 30 XX wieku) przekonania, podobne do tych prezentowanych przez pana Kostaneckiego, funkcjonowały bezrefleksyjnie w społeczeństwie. [przypis edytorski]

¹⁰⁵miejsce oznaczone dwoma zerami — dawniej tak oznaczano toaletę w miejscach publicznych. [przypis edytorski]

Głoszą swoje poglądy w najlepszej wierze, ale mylą się, mierząc nasze szczęście swoim szczęściem.

Pan Kostanecki wstał i poglądził Bubę po głowie:

— Ot jak, kuchassju, a co dotyczy tej twojej biednej dziewczyny, postąpiła głupio. Nie widzę jednak nic zdrożnego w tym, jeżeli zaopiekujesz się nią nadal. Chodzi mi tylko o jedno: żebyś opiekowała się nią dla niej, a nie dla siebie.

— Jak to tatusiu?

— A tak. O co ci chodzi: czy żeby ulżyć jej doli, czy żeby popisywać się tą opieką?

— Tatusiu! — zaczerwieniła się Buba.

— No widzisz. Zatem obiecuję ci, że zajmie się nią moja sekretarka, pani Sierzpowska, osoba starsza, bardziej doświadczona i bardzo pocziwa. Zatelefonuj jutro do mnie do fabryki, żeby przypomnieć i podać adres. Niczego twojej pupilce nie zabraknie. Możesz być spokojna. A teraz pocałuj mnie, kuchassju, tylko nie za mocno, bo jestem nieogolony.

— Dziękuję tatusiowi — uściskała go Buba.

Czuła się przez cały wieczór stropiona i nieswoja. Na szczęście wszyscy byli zajęci wyjazdem Rysia i nikt na nią nie zwracał szczególniejszej uwagi. Pomimo to odetchnęła dopiero, gdy znalazła się sama w swoim pokoju i zabrała się do czytania Freuda. Postanowiła sobie czytać systematycznie i nie przepuszczać ani jednego niezrozumiałego zwrotu. Jednak już po dwóch stronicach znudziło ją to do reszty. Szperanie w grubym i ciężkim słowniku niemieckim wprost męczyło ręce i oczy. Poza tym nic tu nie było ciekawego. Przejrzała spis rozdziałów i zaczęła dwa czy trzy o bardziej frapujących tytułach, lecz przy tej sposobności odnalazła miejsca podkreślone. Na niektórych kartkach widniały nawet dopiski.

Ze zdumieniem stwierdziła, że wszystkie podkreślenia i dopiski dotyczą jednej i tej samej kwestii. O ile mogła zrozumieć, chodziło tu o impotencję, wynikającą z jakiegoś kompleksu, a cała rzecz polegała na tym, że jeżeli mężczyzna opanowany przez ten kompleks zakocha się w jakiejś kobiecie, to w stosunku do niej jest impotentem, gdyż w podświadomości kochał się kiedyś we własnej matce i czuł do niej pociąg (co za obrzydliwość!), a później, podrastając, dowiedział się, że tego nie wolno i nastąpiło jakieś zahamowanie. Taki ma pecha!

Nagle Bubę olśniła myśl: przecie książka należy do Dziewanowskiego!... Czyżby to on, ależ na pewno on zrobił te podkreślenia i notatki!...

Wszystko nagle wydało się Bubie nad wyraz komiczne i Dziewanowski, który zatem jest impotentem, a kochając się w pani Szczedroniowej, nie może z nią wcale! A to historia! Więc i jest jej kochankiem, i nie jest!

— A wcale na to nie wygląda! — zastanowiła się. — Kto by to pomyślał.

Była zemocjonowana i rozbawiona swym odkryciem i postanowiła zaraz nazajutrz wpaść do Kaśki Danglowej, by jej obszernie rzecz wyłożyć. Toż to sensacja. Oczywiście Kaśka nie uwierzy, jeżeli nie pokaże dowodu rzeczowego w postaci tej książki.

Dlatego idąc rano do biura, Buba zabrała ją ze sobą. Niestety dowiedziała się, że Kaśki nie ma w Warszawie. Wyjechała na trzy dni do męża na wieś. Buba właśnie głowiła się nad tym, komu by się wobec tego zwierzyć ze swego odkrycia, gdy usłyszała nad głową głos pani Leszczowej:

— Jakże tam Bubusiu, wykaz gotów?

— W tej chwili kończę... Ale... nie wyobrazi pani sobie o czym się ja dowiedziałam i w jaki sposób!

— Cóż takiego?

— Doprawdy, mogłabym być detektywem. Powiadam pani, że sensacja! Ale tu nie mogę...

— Więc dobrze — uśmiechnęła się pani Anna — niech pani skończy wykaz i przyniesie mi do boksu.

Buba zabrała się do roboty w rekordowym tempie i myślała:

— Jaka ona miła, ta pani Anna. Gdybym była mężczyzną, na pewno zakochałabym się w niej od razu.

Tu przypomniał się Bubie Tański i uczuła lekki niepokój: byłby ślepy, gdyby nie zakochał się w pani Annie. Wprawdzie dotychczas więcej uwagi zwraca na kogoś innego,

ale to może tylko dlatego, że pani Anna nie pozwala nikomu z mężczyzn na zbytne zbliżenie. Ma przecie męża i córeczkę i kocha ich bardzo. Gdyby jednak spostrzegła Tańskiego... W każdym razie ona jest zbyt szlachetna, by zdobyła się na wchodzenie w drogę młodszej koleżance i jeżeli Buba powie: — pani Anno, ja odrobinę interesuję się panem Tańskim... — pani Anna na pewno palcem nie ruszy, by mu się podobać. A zresztą, jeżeli on jest taki, to w ogóle nie wart, żeby się nim zajmować.

Rozmyślenia te nie przeszkadzały Bubi w uzgadnianiu wykazu, w którym znalazło się kilka poprawek. W kwadrans była gotowa i zapukała do boksu pani Anny. Tak zajęta była swoją sensacją, że nawet nie przejęła się zbyt wymówkami zwierzchniczki. Tylko Pan Bóg jest nieomylny.

Wreszcie wykaz poszedł do szuflady i Buba z tajemniczą a triumfującą miną położyła przed panią Anną dzieło Freuda.

— Freud? — zdziwiła się pani Anna.

— Tak, proszę pani. A wie pani czyja to własność?... Mariana Dziewanowskiego!

— Czyja?!

— Dziewanowskiego.

— Skądże pani to ma?

— Pożyczyła mi pani Szczedroniowa. Nie tu jest pikanteria tej sprawy, bo że oni są... bardzo bliscy sobie, to żadna tajemnica. Ale niech pani zobaczy o tu, umyślnie założyłam... I tu... A to awantura! Jacy ci mężczyźni są nieostrożni! Żeby pożyczać książki, w których nieopatrznie porobili takie intymne wyznania!... Niech pani przeczyta. Przecie to jasne, że chodzi tu o niego samego!

Efekt był kolosalny. Buba nawet nie spodziewała się, że panią Annę to tak zafrapuje. Obserwowała podniecenie, z jakim pani Anna pośpiesznie czytała podkreślone miejsca i komentarze dopisane ołówkiem. Policzki, czoło, a nawet szyja pani Anny stały się mocno różowe. Jak można, będąc już mężatką, być jeszcze tak wstydliwą!

— To jasne, że on miał siebie na myśli, prawda? — zapytała Buba, gdy pani Anna skończyła czytać i niezdecydowanym ruchem zamknęła książkę.

— Możliwe — cicho odpowiedziała pani Anna.

— Zatem między panią Szczedroniową a nim jest... jak się to mówi po łacinie... *ratura sed non*¹⁰⁶... nie pamiętam, jakoś że nieskonsumowane!...

Nie mogła powstrzymać głośnego śmiechu, a pani Anna uśmiechała się również, lecz jakby z przymusem.

— A może pani, kochana pani Anno, bierze mi za złe, że się zajmuję takimi nieprzyzwoitymi rzeczami? — połapała się Buba i zrobiła skromną minkę.

— Nie, cóż znowu...

— Bo ja bynajmniej... To po prostu przypadek. Ale ten pan Dziewanowski! No, trzeba mieć pecha!... Czy pani mogła przypuścić coś podobnego?

— Cóż znowu — jakby z niezadowoleniem odpowiedziała pani Leszczowa.

— Ale prawda, proszę pani, że to zabawne?

— Nie sądzę... by czyjeś nieszczęście czy kalectwo mogły zasługiwać na takie określenie. A poza tym wydaje mi się w ogóle wątpliwe, czy pan Dziewanowski osobiście porobił te notatki. On pożycza książki wielu osobom.

— Chyba nikt w cudzej książce nie gospodarowałby w ten sposób!

Pani Leszczowa wzruszyła ramionami trochę niecierpliwie:

— Droga panno Bubo, ludzie nie mają zbyt poszanowania dla rzeczy bardziej cennych, jak na przykład dla cudzych intymnych spraw.

Buba zmieszała się. Rzeczywiście, postąpiła nieładnie. To, że wpadła na całą historię Dziewanowskiego, nie było jej winą, ale powinna była zostawić swoje przypuszczenia przy sobie. Nauczka, jaką otrzymała od pani Leszczowej, była zupełnie zasłużona i zepsuła Bubi humor na kilka godzin. Na dobitkę niespodzianie wyszedł na jaw okropny błąd, który popełniła w zapisie na wielką wycieczkę do Częstochowy. Podała cyfrę uczestników o czterdzieści większą od faktycznej, wskutek czego niepotrzebnie zamówiono za dużo pokojów w hotelach. Obecnie rzecz doszła do Minza i Buba została wezwana dla

¹⁰⁶*ratura sed non*, właśc. *raturum sed non consummatum* — małżeństwo ważne, lecz niedopełnione. [przypis edytorski]

wytłumaczenia się. Okazało się, że Mundus poniósł kilkaset złotych straty i Minz bardzo się gniewał. Największa jednak przykrość zdarzyła się tuż przed zamknięciem biura i to właśnie przy panu Tańskim. Mianowicie przyszła interesentka w identycznym, ale to w identycznym futrze jak Buby. Wprost oczom swoim nie chciała wierzyć. W firmie Leopold Safirstein, gdy kupowała swoje, zapewniano ją, że to model i drugiego takiego na całym świecie nie będzie. Na nieszczęście Buba była już gotowa do wyjścia i stały przed sobą, jak dwie siostry syjamskie. Rozplakałaby się, gdyby nie to, że tamta była znacznie grubsza i wyglądała nieporównanie gorzej. W każdym razie wychodząc, była usposobiona wojowniczo i oznajmiła Tańskiemu, że rozmyśliła się i pójdzie sama. I naprawdę musiałaby iść sama, gdyby nie Tański, który dzięki Bogu był uparty.

Wiedział o jej przeprawie z Minzem i usiłował ją pocieszać.

— Dyrektor jest rzeczywiście trochę szorstki w stosunku do podwładnych — mówił — ale niech się pani nie martwi.

— Obrzydło mi to biuro i Minz, i te głupie wycieczki, i wszyscy — wybuchnęła Buba.

— A po co pani właściwie pracuje? — zapytał poważnie.

— Czy ja wiem — wzruszyła ramionami, lecz natychmiast zreflektowała się i dodała:

— Pan też może pozamykałby wszystkie kobiety w domu? Pracuję, bo każdy człowiek powinien pracować i już.

— W biurze?

— Gdziekolwiek.

— A więc i w domu?

Buba nagle zatrzymała się:

— Wie pan, że już mam dosyć podobnie niedorzecznych poglądów! Chciałam iść sama. Jestem dziś zirytowana i nie mam najmniejszej ochoty do wysłuchiwania imperytynencji.

Nic nie odpowiedział, tylko przyglądał się jej swymi ślicznymi oczami.

— Jak panu nie wstyd — dodała znacznie łagodniej — no chodźmy! Nie każe mi pan chyba stać tu godzinę na ulicy!

Szli chwilę w milczeniu.

— Zbyt zabawnym towarzyszem pan nie jest — powiedziała cierpko.

— Po co pani pracuje? — odezwał się z niezmąconym spokojem.

— Bo chcę, a panu się zdaje, że powinnam siedzieć w domu i czytać powieści dla dorastającej młodzieży? A ja właśnie pracuję i czytam Freuda. Po prostu nie mogę wyjść z podziwu, jak bardzo zacołani są mężczyźni.

— I podoba się pani Freud?

— Jak to, czy podoba się?! Ładny stosunek do nauki! Podoba się! Cóż za dziwne określenie.

— Dlaczego dziwne?

— No, bo można zgadzać się z jakąś teorią naukową lub nie zgadzać się, ale co ma do rzeczy podobać się!

— Wiele, proszę pani. Proszę mi wierzyć, że najpierw następuje podobać się lub nie, a później podzielenie danego poglądu lub odrzucenie.

— To może u mężczyzn.

— U mężczyzn też, lecz mężczyźni starają się zamaskować to nawet przed sobą. Więc jakże z Freudem?

— Pan oczywiście nie uznaje go wcale — ostrożnie rzuciła Buba.

— Przeciwnie. Sądzę, że w psychiatrii jego teoria może być pożyteczna. Natomiast jako lektura dla szerszych warstw inteligencji musi być rzeczą szkodliwą.

— O! Niechże się pan nie krępuje. Proszę dodać jakiś wzniosły frazes o demoralizacji.

— Myli się pani. Tu nie chodzi o demoralizację, lecz o chaos myślowy. Większość naszej inteligencji nie posiada przygotowania przyrodniczego ani gruntownej zaprawy filozoficznej. Nie rozporządza zatem ani materiałem, ani zdolnością operowania tym materiałem, wskutek czego skazana jest na bezkrytyczne przyjmowanie twierdzeń i argumentów naukowych. A co najgorsze, w naturalnym dążeniu do upraszczania pojęć, wyrabia sobie bardzo szybko światopogląd niezdolny symplistyczny¹⁰⁷, uogólnia wyjątkowe chorobyli-

¹⁰⁷symplistyczny — uproszczony. [przypis edytorski]

we przejawy i przyjmuje je jako miernik wszystkich rzeczy ludzkich w przeświadczeniu, że idzie z prądem postępu i ma naukowe spojrzenie na życie. Dlatego zaś popularyzacja Freuda wydaje mi się szczególniej szkodliwa, że sprzyja rozpowszechnianiu się pojęć wyprowadzających wszelkie rzeczy ludzkie od impulsów erotycznych. Płeć i jej działanie rozciąga się na wszystko, aż do granic komizmu. Znałem pewną dojrzałą już damę, piszącą wiersze i lakierującą paznokcie na czerwono, która zapewniała mnie, że pobudką wszelkich czynów i myśli jest instynkt płciowy. Honor, kryteria moralne, zamięłowanie do muzyki, przelot Atlantyku, teoria względności, podwyżka dyskonta, robienie pończoch na drutach, szlemik¹⁰⁸ licytowany, okupacja Mandżurii, dwumian Newtona¹⁰⁹, zniżka cen ropy naftowej, spinacze automatyczne, system Taylora¹¹⁰ i bitwa pod Verdun¹¹¹ — to wszystko skutki działania instynktu płciowego. Jakie to wzruszające: na przykład dziewięćdziesięcioletni Midlenox ślepnie nad mikroskopem, śledząc osmozę w komórkach roślin głębinowych pchany żądzą płci! Mucjusz Scevola¹¹² oczywiście jest masochistą, a Mahomet dlatego ustanowił wielożeństwo, że cierpiał na *satyriasis*¹¹³. Oczywiście ta pani pisząca wiersze jest krańcowym przykładem, lecz zapewniam panią, panno Bubo, że miliony kobiet pod wpływem dzieł naukowych doszły do równie komicznych poglądów. I dlatego, gdy widziałem u pani Freuda, było mi przykro, gdyż nie chciałbym pani do owych milionów zaliczyć.

Powiedział ostatnie zdanie bardzo ciepłym tonem i tak jakoś poważnie, że Buble sprawiło to dużą przyjemność. Gdyby nie wstydziła się, zapewniłaby, że w ogóle Freud ją znudził i że nigdy nie myślała, jakoby Mucjusz Scevola był masochistą. Tański zresztą zaczął znowu mówić:

— Nasza inteligencja przypomina węża, a raczej ogon węża, którego głową jest nauka. Głowa dawno wysunęła się z labiryntu pojęć materialistycznych, dawno minął Demokryt¹¹⁴, Büchner¹¹⁵, Engels¹¹⁶, Buckle¹¹⁷ i Moleschott¹¹⁸, a my wciąż oddychamy ich przebrzmiałą mądrością i wierzymy święcie, że idziemy z postępu wiedzy, że zaśmiejając nasze praktyczne życie transplantacjami z obalonych poglądów, rozjaśniamy świat. Pani wspominała mi kiedyś, że zna osobiście panią Szczedroniową, prawda?

— Owszem, znam.

— I cóż pani o niej sądzi?

— Jest czarującą...

— Nie, nie chodzi mi o jej osobę, lecz o to, co pisze.

— Mówiąc stylem pana, podobają mi się jej artykuły.

— To szkoda — powiedział zmartwiony.

Buba roześmiała się:

— A cóż to panu szkodzi?

— Wolałbym, by pani podzielała moje zdanie.

— To jasne, ale co pan ma do zarzucenia pani Szczedroniowej? To chyba najinteligentniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek znałam.

— Na mnie jej inteligencja robi pocieszne wrażenie — skrzywił się Tański — jest nieprawdopodobnie naiwna. I... jeżeli... Ale pani nie przyjmuje bezkrytycznie tego całego

¹⁰⁸szlemik — w brydżu: wzięcie dwunastu lew. [przypis edytorski]

¹⁰⁹dwumian Newtona — wzór algebraiczny pozwalający na podniesienie dwóch wyrażeń do dowolnej potęgi naturalnej. [przypis edytorski]

¹¹⁰system Taylora — metoda organizacji pracy opracowana przez F. Taylora na początku XX wieku. [przypis edytorski]

¹¹¹bitwa pod Verdun — jedna z najbardziej krwawych bitew podczas I wojny światowej, odbyła się we Francji, w Verdun, między lutym a grudniem 1916. [przypis edytorski]

¹¹²Mucjusz Scevola — bohater rzymskiej legendy. [przypis edytorski]

¹¹³satyriasis — nadmierny popęd płciowy u mężczyzn, hiperseksualność. [przypis edytorski]

¹¹⁴Demokryt (ok. 460 r. p. n. e. – ok. 370 r. p. n. e.) — Demokryt z Abdera, „śmiejący się filozof”, ojciec starożytnego materializmu i atomizmu. [przypis edytorski]

¹¹⁵Büchner, Ludwig (1824–1899) — filozof i lekarz, przedstawiciel skrajnego materializmu i ateizmu. [przypis edytorski]

¹¹⁶Engels, Friedrich (1820–1895) — niemiecki socjolog i filozof, jeden z ideologów socjalizmu, współtwórca marksizmu, współautor *Manifestu komunistycznego*. [przypis edytorski]

¹¹⁷Buckle, Henry Thomas (1821–1862) — brytyjski filozof, historyk, szachista. [przypis edytorski]

¹¹⁸Moleschott, Jakob (1822–1892) — lekarz, filozof, fizjolog. Zwolennik tzw. materializmu wulgarnego. [przypis edytorski]

bagażu?... Tak chciałbym mieć pod ręką któryś z jej artykułów, by udowodnić pani, co to za mętność.

— No wie pan — oburzyła się Buba — już chyba nikt tak jasno nie pisze.

— Tak, jasny język, styl, ale mętne pojmowanie zagadnień.

— Wcale tego nie znajduję.

— Przekonam panią.

— Kiedy?

— Kiedy pani pozwoli... Już tutaj pani mieszka?

— Tak... A może pan... wstąpiłby kiedyś do nas. Rodzicom będzie miło pana poznać.

Tański skłonił się:

— Z prawdziwą przyjemnością. Jeżeli pani nie będzie miała nic przeciw temu, złożę swoje uszanowanie w najbliższą niedzielę.

— Mój Boże! Aż uszanowanie! Niech pan nie będzie tak uroczysty. Po prostu niech pan wpadnie.

Po powrocie do domu Buba powiedziała matce:

— W niedzielę przyjdzie z wizytą pan Tański, o którym ci kilka razy wspominałam.

Pani Kostanecka, nie podnosząc oczu znad rachunków, zapytała:

— On ci się podoba?

— Mnie? — obojętnie wydeła usta Buba — owszem, tak sobie. Niech mamusia nie wyobraża sobie zaraz Bóg wie czego.

— Niczego sobie nie wyobrażam, dziecko drogie. Z tego, coś mówiła, odniosłam wrażenie, że jest to człowiek miły, dobrze wychowany, przystojny, no i że odczuwacie dla siebie pewną sympatię. Dlatego dobrze zrobiłaś, żeś go zaprosiła.

— Gdybym myślała o nim tak, jak mama przypuszcza, nie zapraszałabym go do domu.

— Dlaczego?

— No, bo moglibyśmy widywać się w cukierni, chodzić na spacer... To tylko dawniej młodzi ludzie musieli koniecznie siedzieć w rodzicielskim salonie, przeglądać albumy, grać na fortepianie i mówić o różnych banalnych rzeczach pod okiem matki czy ciotki.

— I cóż w tym widzisz złego?

— Hipokryzję. Bo jeżeli podobali się sobie, no to chcieli się całować, a tymczasem... Co mama tak na mnie patrzy?! Czyż to nie naturalne?... Oczywiście chcieli się całować, a udawali przed sobą istoty bezcielesne, anielskie, czyste duchy, kąpiące się w poezji. I to jeszcze dobrze było, gdy kochali się. Najczęściej po prostu on obliczał jej posag, a ona jego długi albo dni do ślubu, kiedy nareszcie wyjdzie spod kurateli rodziców i będzie mogła uprawiać romansy. Obluda i tyle. To się nazywało, że młody człowiek „bywa” w domu panny. Dziś nie ma tej hipokryzji, nie ma sakramentalnego fortepianu, na którym bębni się *Modlitwę dziewicy*, nie ma wzajemnego oszukiwania się. Młodzi podobają się sobie, to się spotykają na dancingu, w cukierni, w teatrze, flirtują i całują się, a chcą się pobrać — załatwiają to bez anielskich i sielskich preludów. Jeżeli zaś zwyczajnie lubią czyjeś towarzystwo, tak na przykład, jak ja towarzystwo pana Tańskiego, zapraszają go do domu. I właśnie chcę, by mamusia mnie zrozumiała i nie uważała go za jakiegoś konkurenta do mojej ręki. Trudno, urodziłam się w czasach, kiedy hipokryzję wykreślono z życia i kiedy nareszcie zapanowała prostota i otwarte stawianie spraw.

— Nie sądzę, drogie dziecko — powoli odpowiedziała pani Kostanecka — by prostota i otwarte stawianie spraw były czymś godnym podziwu.

— Ładnych rzeczy mama mnie uczy. Zatem mam być hipokrytką?

— Prostota w tych formach, w jakich obserwuję ją dzisiaj, jest raczej prostactwem — ciągnęła pani Kostanecka — a otwartość raczej brutalnością i brakiem wychowania.

— Więc mam udawać, że wierzę w bociany, rumienić się przy słowie „łóżko” i z chłopcami rozmawiać o kwiatkach i ptaszkach?

Pani Kostanecka odłożyła zeszyt z rachunkami i spojrzała Bubie w oczy:

— Odpowiem ci pytaniem: czy kierując się tymi zapatrywaniem, gdy uczujesz potrzebę naturalną, a zapytają cię w salonie, dokąd idziesz, oświadczysz...

— Powiem, że idę umyć ręce. To i tak wszyscy rozumieją.

— Więc po cóż ta hipokryzja? Wszyscy rozumieją i wszyscy się okłamują?... Dziecko drogie, pomyśl, że i tamte inne rzeczy dawniej ludzie równie dobrze rozumieli. I to, co nazywasz obludą, hipokryzją, oszukiwaniem się, było jedynie pewnym poziomem kultury

towarzyskiej i kultury w ogóle. Nazywanie rzeczy po imieniu nie jest prostotą. Są rzeczy brzydkie, niemile lub wulgarne i bynajmniej nie zapominamy o ich istnieniu przez to, że o nich nie mówimy...

— Ale za to robimy je.

— To prawda. Brudzimy też bieliznę, ale nie potrzebujemy pokazywać tego wszystkim, a nawet sami wolimy nie przyglądać się jej.

— Zgadza się z mamą, jednak nie mogę zgodzić się na to, że do gatunku takiej brudnej bielizny zaliczono rzeczy tak piękne jak miłość. Cóż może być piękniejszego niż na przykład miłość... koni?! Obrzydzono też ciało ludzkie...

— Przestań, dziecko drogie — stanowczo ucięła pani Kostanecka. — Mówisz głupstwa.

— Ale to nie argument, mamusi!

— Jesteś zbyt młoda i niedoświadczona i opowiadasz mi okropne rzeczy. Przebierz się teraz, bo za kwadrans podadzą kolację.

Odwróciła się do swoich rachunków. Buba wzruszyła ramionami:

— Pruderia — pomyślała i poszła do siebie.

Wieczorem czytała książkę Lindseya *Bunt młodzieży*. I to ją utwierdziło jeszcze bardziej w przekonaniach. Przede wszystkim rzecz była napisana lekkostrawnie, życiowo, a poza tym była bardzo rozumna.

— Trzeba naprawdę być ślepcem, by nie widzieć tych oczywistych prawd, a człowiekiem nieuczciwym, by trzymać się starych przesądów, które sprowadzają tyle nieszczęść — myślała, zasypiając.

Książki Lindseya *Bunt młodzieży* i *Małżeństwo koleżeńskie* zajęły Bubię kilka wieczorów. Połykała rozdziały zachłannie. To już nie była filozofia, to było życie, wobec którego musiały ustąpić wszelkie abstrakcyjne i nierealne poglądy moralizatorskie. Cóż znaczyły może i słuszne dowodzenia ojca czy pana Tańskiego, skoro życie zadaje im kłam nagimi, stwierdzonymi nie przez byle kogo, lecz przez sędziego, faktami! Stare obyczaje przeżyły się i już nie znajdują zastosowania. Nie mogą znaleźć. Zmieniło się tempo życia, warunki bytu, zmieniło się społeczne położenie kobiet. I konserwatyzm, który nie chce widzieć tych zmian, popełnia najzwyczajszą zbrodnię, uniemożliwiając młodzieży egzystencję w nowych warunkach. Cóż z tego, że będą zabraniali, że będą utrudniali, że będą szykanowali, skoro kochająca się para, ona i on, para o wcześniej obudzonych instynktach płciowych i tak znajdzie zawsze możliwość spotykania się poza zasięgiem szpiegujących oczu. Lindsey przytacza tyle przykładów. Młodzi ludzie mają swoje samochody i któż im zabroni wyjeżdżać w ustronne miejsca?! Albo po prostu mają garsoniery, a poza tym istnieją hotele. A że muszą ukrywać się z tym, w czym przecie ani żadnej winy, ani zła nie ma, ponoszą fatalne skutki: choroby weneryczne, niebezpieczne dla zdrowia sztuczne poronienia itp. Za sto lat, kiedy wszystko pójdzie po myśli Lindseya i wymrą już stare zaśniedziałe mamuty, instytucja proponowanych przez sędziego małżeństw na próbę znajdzie szerokie zastosowanie. Nie każdy dziś może się od razu ożenić, a tym bardziej mieć dzieci. A w gruncie rzeczy po co ma się wyrzekać miłości?... Dla czyichś kaprysów czy uprzedzeń?...

Taki na przykład Tański mógłby się ożenić. Ma dużą pensję i poza tym majątek. Ale dla niego kwestie płciowe są godne pogardy.

— Dobry sobie — pomyślała — a dlaczego w takim razie mnie asystuje? Gdybym była stara i brzydka, palcem nie ruszyłby dla mnie, nie zapowiadałby wizyty i byłoby mu obojętne, czy czytam Freuda czy nie.

Po prostu hipokryzja. Wszyscy uwzięli się udawać, że te kwestie nie są warte wspomnienia lub są godne obrzydzenia. A sami o niczym innym nie myślą.

W sobotę Buba odniosła pani Szczedroniowej książki. Ma się rozumieć nie napomknęła ani słówkiem o swych podejrzeniach co do Dziewanowskiego, chociaż była bardzo ciekawa, jak się to naprawdę przedstawia, a od tak postępowej osoby jak pani Wanda mogła oczekiwać swobodnego potraktowania każdego, bodaj najdrażliwszego tematu.

Rozmowa szybko zesłała na interesującą kwestię małżeństw koleżeńskich, które pani Szczedroniowa uważała za najpilniejszą reformę społeczną.

Buba czuła się z początku trochę dziwnie w tym dziwnym mieszkaniu. Oczekiwała, że lada chwila może przyjść albo mąż pani Szczedroniowej, albo ktoś z Kolchi-

Seks

Młodość, Miłość

dy. Gdy jednak dłuższy czas były same, zauważyła w myśli, że znajduje się w cokolwiek śmiesznym położeniu: nie można przecie ograniczyć swojej roli w rozmowie do ustawicznego potakiwania. Dłuższy czas głowiła się nad wynalezieniem jakiejś wątpliwości czy sprzeciwu. Wkrótce też nadarzyła się ku temu sposobność.

Pani Wanda mówiła właśnie o szczęściu i o postępie, który człowiekowi zapewni szczęście przez umożliwienie korzystania z dobrodziejstw swoich zmysłów. Tu Buba przypomniała słowa ojca i odpowiedziała:

— Jednakże wie pani, że niezupełnie z tym się zgadzam.

— Z czym? — zdziwiła się pani Szczedroniowa.

— Z tym, że szczęście leży w ułatwianiu życia. Człowiek prawdziwie kulturalny wyszukuje nawet sobie utrudnienia i dopiero w pokonywaniu ich znajduje szczęście.

Pani Wanda zamyśliła się.

— Na przykład po co gramy w szachy? — dodała Buba — albo dlaczego narażamy się na niebezpieczeństwa, zdobywając Everest?...

Pani Szczedroniowa skinęła głową:

— Ma pani rację. Prawdziwe szczęście osiągamy nie w dziedzinie materialnej, lecz powinniśmy walczyć o to, by nie odbierano człowiekowi jego praw do szczęścia naturalnego, wyznaczonego mu przez przyrodę. Szczęście zwycięzcy Everestu nie może być kompletne i w ogóle nie jest szczęściem, jeżeli trapi go jednocześnie głód i nienasycone pragnienie kobiety. Nie można myśleć o szczęściu wyższym, póki nasze życie zbiorowe tępi wszelkie próby zaspokojenia normalnych potrzeb naszego organizmu. I właśnie mężczyźni narzucili ludzkości z gruntu fałszywy pogląd, że wszystko jest nic niewarte wobec wyższych celów. Z chwilą, gdy kobieta zdobędzie decydujący wpływ na cywilizację, zmiana zostanie przeprowadzona ostatecznie. Ciało nareszcie otrzyma swoje prawa, które dziś bezrozumnie są deptane.

Buba przygryzła wargi i pomyślała:

— Jakaż ja jestem głupia! Naprawdę głupia. Gdyby to, co pani Wanda mówi, przyszło mi na myśl wtedy, podczas rozmowy z tatusem, musiałby mnie przyznać rację.

Pani Szczedroniowa z jakąś dziwną poufałością wzięła ją za rękę:

— Tylko niech pani z tego, co mówię, nie wyrobi sobie niechęci do mężczyzn — zaśmiała się — upewniam panią, że razem ze swymi wadami, przesadami, uprzedzeniami, razem ze swoją duchowością i intelektualizmem, razem z pewną brutalnością, a nawet może głównie dlatego, są to istoty czarujące. Wprost nieodzowne. Największym nieszczęściem, największą katastrofą, jaka mogłaby spotkać świat, byłoby wyginięcie tego gatunku. I przed jedną rzeczą uczuвам strach: czy postęp cywilizacji, odbierając resztę władzy z rąk mężczyzn, nie zmieni ich, nie odbierze im tego, bez czego przestaną być mężczyźni, stracą cały swój wdzięk, mianowicie siły, kanciastości, zarozumiałości, może i na pewno całkiem nieuzasadnionej, ale tej zarozumiałości, która pozwala im uważać siebie za autorytety, a nam przyjmować to za wiarę. Dzięki temu — zna to pani? — odczuwamy przy mężczyźnie swego rodzaju pewność bezpieczeństwa i władzę nad nim, niebezpieczną władzę, jaką posiada pogromca w klatce lwów.

Służąca podała kawę. Buba chciała powiedzieć, że rzeczywiście i ona takich właśnie mężczyzn lubi, lecz przypomniała sobie Dziewanowskiego, który chyba był w ogóle zaprzeczeniem męskości i pomyślała, że dlaczego pani Szczedroniowa wybrała sobie takiego właśnie kochanka i że na przykład (nie specjalnie, ale na przykład) Tański jest mężczyzną *par excellence*.

— Pozwoli pani cukru?... — zapytała pani Wanda.

— Proszę bardzo...

— Ja piję bez. Otóż wracając do naszego tematu — z uśmiechem mówiła pani Szczedroniowa — jedno mnie tylko pociesza, że wówczas, kiedy zaniknie taki gatunek samca, mnie już nie będzie na świecie, a pani zapewne będzie zgrzybiałą staruszką i swoim wnuczkom będzie pani opowiadała, o ile była za młodu szczęśliwszą od nich, skazanych na ślamazarnych, bezwolnych i nudnych mężczyzn. Brr...

Wstrząsnęła się i dodała:

Ciało, Kobieta, Cywilizacja

Mężczyzna

— Będą słuchały tego tak, jak my legend o Casanovie¹¹⁹ czy Janosiku¹²⁰... A co najciekawsze, nie uwierzą!...

Roześmiała się:

— Nie uwierzą, tak, jak my dziś nie wierzymy w tak zwane stare dobre czasy. Tylko my mamy rację, a one nie będą jej miały.

— A może — nieśmiało podsunęła Buba — może i my nie mamy?

— Nie sędzę — zawahała się pani Wanda — zresztą, czyż to jest istotne? Dla nas ważne jest nasze życie i jego sprawy. Każde pokolenie musi myśleć o sobie, a *après nous — le déluge*¹²¹. Doprawdy za wiele mamy trosk własnych, by się zajmować tym, co kiedyś będzie.

Gdy Buba wróciła do domu, rodziców nie zastała. Pojechali z wizytą do państwa Zaleskich, gdzie przyjęcia przeciągają się zazwyczaj do późnej nocy. Zabrała się wobec tego do przeglądania żurnalów mód. W „Feminie” znalazła dwie bardzo ciekawe kreacje wieczorowe i taką sportową sukienkę, jaką miała przed kilku dniami pani Rzepecka w cukierni. Podczas przerwy obiadowej Buba wpadła z koleżankami biurowymi na filiżankę czekolady i widziała tę nieznosną Rzepecką w takiej właśnie sukni i w brejtszwancowym¹²² żakiecie. Po powrocie rozmawiały o tym, kiedy nadszedł Tański, zachował się nawet trochę niegrzecznie:

— Pani też chodzi wysiadywać po kawiarniach? — zapytał.

— Nie wysiadywać. Poszliśmy na czekoladę.

— Znieść nie mogę tej atmosfery kawiarnianej — wybuchnął — i tych straszliwych tłumów wymalowanych bab, wysiadujących całymi godzinami krzesła, rozplotkowanych, węszących, przywiedłych lub wędnących meger¹²³, które schodzą się tam na żerowiska. Nie znam nic wstrętniejszego. Sieklbym batami to bezmyślne stado.

— Panie Henryku! Jak się pan wyraża! — zawołała bardziej przestraszona niż oburzona.

— Wybacz pani, panno Bubo, ale nie przypuszczałem, żeby pani dała się wciągać do tego, a w ogóle nie panuję nad sobą, jestem zdenerwowany, przepraszam.

Wyrzucił to z siebie i odszedł bardzo szybko. Nie miał żadnego prawa robić jej uwag i to takim tonem, co było oburzające, lecz zrobił je i to było — przyjemne.

Buba przypominała sobie teraz brzmienie jego głosu i wyraz twarzy. Oczy mu się tak ładnie iskrzyły, a górna warga unosiła się raz po raz poirytowanym skurczem, odsłaniając zęby. Wyglądał tak, jakby chciał gryźć.

Przymknęła powieki i podciągnęła nogi pod siebie: właśnie przypominał wielkie silne i drapieżne zwierzę... I to była ich ostatnia rozmowa. Może gniewa się na nią?... Nie miałby za co, a jednak...

Wstała i wzięła katalog telefoniczny. Chyba ma swój telefon... Jak to dobrze, że w domu nikogo nie ma. Można będzie swobodnie porozmawiać. Czuła się trochę podniecona. Wprawdzie nieraz telefonowała do różnych młodych ludzi, ale wówczas robiła to w imieniu matki, zapraszając ich na bal lub coś w tym rodzaju. Poza tym nie obchodzili jej wcale. A pan Tański?

Po cóż miała to ukrywać przed sobą: obchodził ją bardzo. I jeżeli obraził się i w niedzielę nie przyjdzie, byłoby to okropne.

Telefon był zajęty. Z kim on może rozmawiać?... Właściwie mówiąc, mogliby zobaczyć się choćby dziś. Gdyby na przykład tu przyszedł... Nie ma nikogo. Żeby miał swoje auto, mogliby pojechać na godzinkę. W Ameryce żadna panna nie robiłaby sobie z tego nic. Nawet prościej, uważałaby za rzecz zupełnie normalną pójść do niego. A gdyby tak...

Odezwała się telefonistka. Numer Tańskiego był wolny. Niski, poważny głos odezwał się stereotypowym „hallo” (zupełnie jak w Ameryce).

— Dobry wieczór, panie Henryku — Buba mocno przycisnęła słuchawkę do ucha.

¹¹⁹Casanova, Giacomo (1725–1798) — pisarz i podróżnik. Awanturnik i uwodziciel, autor *Pamiętników*, w których opisywał swoje podróże po Europie i podboje miłosne w ich trakcie. [przypis edytorski]

¹²⁰Janosik, właśc. Juraj Janosik (1688–1713) — słowacki zbójnik, postać autentyczna, ale też bohater legend. [przypis edytorski]

¹²¹*après nous le déluge* (fr.) — a po nas choćby potop. [przypis edytorski]

¹²²brejtszwanc a. brajsztuwan — z niem. *Breitschwanz*, futra z przedwcześnie urodzonych jagniąt karakulów. [przypis edytorski]

¹²³megera — określenie złośliwej, plotkującej kobiety. [przypis edytorski]

— Dobry wieczór. Kto mówi?
 — Nie zgadnie pan?... Buba Kostanecka.
 — Pani? — zdziwił się.
 — Zmartwiłam pana?
 — ...
 — No, co pan nie odpowiada! Niezadowolony pan, że do niego dzwonię?
 — I tak, i nie — odpowiedział po chwili wahania.
 — W takim razie dobranoc — obraziła się naprawdę.
 — Ależ panno Bubo, niechże mi pani pozwoli wytłumaczyć się.
 — Och, to jest nieciekawe.
 — Jestem po prostu szczęśliwy, że pani o mnie pamięta. Nie umiem tego wyrazić, jak dalece szczęśliwy, ale z drugiej strony...
 — Przeszkodziłam panu? — zapytała zimno.
 — Bynajmniej... Widzi pani, ja nigdy nie przypuszczałem, że pani zadzwoni do mnie, że pani w ogóle może zadzwonić do jakiegoś mężczyzny, tak, jak robią to dzisiaj wszystkie inne panny.
 — Aha! Wie pan, panie Henryku, pan jest apokaliptycznie nudny z tym swoim wiecznym moralizatorstwem. Musiały pana porzucić wszystkie kochanki, jeżeli w ogóle miał pan kiedy jaką kochankę.
 W słuchawce zaległo milczenie. Oczywiście uczuł się zgorszony. Buba miała wypieki, ale fakt, że mówiła do aparatu, a nie wprost do niego, dodawał jej odwagi.
 — Miał pan kochankę? — powtórzyła.
 — Panno Bubo! Ja z panią w taki sposób i na taki temat nie umiem mówić.
 — Uważa mnie pan za świętość, za leliję?
 — Nie o to chodzi. Nie mówiłbym o tym z matką, z siostrą i nie będę mówił z panią.
 — Dlaczego?
 — Bo szanuję panią i chcę szanować.
 — To źle się pan wybrał.
 — Jak mam to rozumieć?
 — Jestem taką samą dziewczyną, jak wszystkie inne. Może nawet znacznie gorszą. A pan jest hipokrytą i to nie po dżentelmeńsku.
 — Ależ co?
 — Skoro się ma kochankę, to nie wolno nią gardzić. Gardzić do tego stopnia, by uważać za ujmę dla osób szanowanych samo wspomnienie o nich. Wie pan... Myślałam o tym, żeby zostać pańską kochanką... Proszę nie przerywać!... Myślałam, że szkoda, że pan nie ma auta, bo moglibyśmy robić sobie mile weekendy. Pan mi się podoba, ja panu też. Byłoby wszystko cudownie. Ale teraz kwita! Tak, nic z tego, a szanować mnie pan nie potrzebuje, bo jestem taką, jak wszystkie, jestem wyuzdana, rozpustna i wiem o tym, że z moją urodą zawsze znajdę sobie... partnera, tak, właśnie partnera!
 Wypowiedziała to jednym tchem i tak była podniecona, że nawet nie mogła z początku rozróżnić dźwięków, jakie rozległy się w słuchawce. Dopiero po chwili zorientowała się: śmiał się! Najzwyczajniej w świecie śmiał się. Ach, co by teraz dała za to, by go przekonać, by udowodnić mu, że istotnie jest rozpustna. Niestety, było to zwłaszcza przez telefon niewykonalne.
 — Panno Bubo — odezwał się jego głos — żeby pani wiedziała, jak ja bardzo, jak głęboko panią kocham, nie żartowałaby pani ze mnie.
 — Co?... Co pan powiedział?...
 — Kocham panią.
 Buba chciała coś odpowiedzieć, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu.
 — Kocham panią i wiem, że pani mnie też pokocha. Nie wiem tylko, jak prędko i o to panią w niedzielę zapytam. Czy dobrze?... A teraz już chyba dobranoc. Dobranoc śliczna, cudna, jedyna dziewczyno. Dobranoc.
 — Dobranoc — odpowiedziała półprzytomnie i kiedy już położył słuchawkę, krzyknęła: — Panie Henryku!...

Ale było już za późno. Powoli wstała i podeszła do lustra, lecz nie widziała swego odbicia. Kręciło się jej w głowie. Boże, jakież dziwne jest świat!...

Usiadła w kącie na niskim fotelu i zamyśliła się. Rozumiała, że w jej życie weszło

Szczęście, Miłość

coś nowego, niepomniecznie ważniejszego od wszystkich dotychczasowych codziennych spraw, weszło może samo szczęście... Osobiste szczęście jednostki, deptane od wieków przez brutalną przemoc zakazów... Nie, nie to... Szczęście znajduje człowiek w pokonywaniu trudności... Ach, cóż ją to wszystko mogło obchodzić! Jej szczęście było przecie czymś małym, cichym, co się słodko rozplątało w piersi. I na próżno starała się znaleźć jakieś mądre słowa na określenie swego stanu, na próżno usiłowała nazwać ten stan, tę rzeczywistość, która składała się z ciepła, ciszy, rozpamiętywania rozmowy i jakiejś nieokreślonej radości.

Na progu stanął służący:

— Czy jaśnie panienka każe podawać?

— Co? — ocknęła się.

— Już dziewiąta. Kolacja gotowa.

— O nie, nie będę jadła.

Służący oniemiał.

— Niech Jan sprzątnie ze stołu. Nie będę jadła.

— Czy jaśnie panienka, broń Boże, źle się czuje?

— Tak. Głowa mnie boli.

— Może przyniosę proszek?... A może jednak panienka zjadłaby coś lekkiego?... Omlet z konfiturami?... Może chociaż herbatę i sucharki?...

Stanowczo odpawiła Jana. Jakżeby mogła jeść w takiej chwili! Nie była głodna, nie mogła być głodna. Wprawdzie zjadłaby chętnie kolację... Nawet bardzo chętnie. Od obiadu właściwie nic w ustach nie miała, bo przecie nie można liczyć kilku mikroskopijnych owsianych herbatników zjedzonych u pani Szczedroniowej. Ale, jak w ogóle można teraz o tym myśleć!

On na pewno teraz siedzi również samotny i marzy o niej. Na pewno też stara się wyobrazić sobie ją, odgadnąć, co ona czuje, o czym myśli. Jaki on miał głęboki głos, gdy mówił:

— Kocham panią.

Zapewne te wyrazy były już powtarzane tysiąckrotnie od początku świata, lecz należało wątpić, czy brzmiało w nich kiedykolwiek tyle prawdziwego uczucia.

Salon był stanowczo za duży na jej skupiony nastrój. Zupełnie samotną można się czuć dopiero w łóżku, gdy się szczelnie otuli kołdrą i gdy jest całkiem ciemno.

Przeszła do łazienki, umyła się i prędko położyła się do łóżka. Dotyk gładkiej zimnej weby i cichutkie cykanie zegarka — i była sama ze swoimi myślami, a raczej z marzeniami.

Przejdzie jeszcze kilka dni, a później będą zaręczeni. Ojcu on na pewno bardzo się spodoba. Prawdziwy mężczyzna. Ojciec, gdy był młody, musiał go przypominać sposobem bycia i uśmiechem. Mówiąc szczerze, Henryk jest śliczny. Takiego męża niełatwo znaleźć. Wszystkie koleżanki będą jej zazdrościły. Oczywiście musi być cichy ślub. On będzie w zakiecie, a ona w takim szarym kostiumie, w jakim była księżna Yorku¹²⁴ na wiosnę w Arcachon. Do tego zwykły filc z cieniutkim ciemnoczerwonym sznureczkiem i szare reniferowe pantofelki na średnich obcasach. Będzie przy nim wyglądać jeszcze drobniej, ale to właśnie dobrze. Wprost z kościoła pojadą na dworzec.

— No tak — zastanowiła się — ależ on będzie musiał się przebrać!

Zresztą o tym już pomyśli mama. Ona jest taka zaradna. A po powrocie z podróży (bo podróż koniecznie musi być!) zamieszkają najlepiej na kolonii Staszica¹²⁵. Kupią sobie taki domek z hallem i ze schodami, i z dużą łazienką, taką z oszklonym sufitem jak u Toli Rzewuskiej, tylko nie z lagrowym szkłem, bo znacznie ładniejsze światło daje matowe. I codziennie z rana będzie mu sama przygotowywała wszystko do kąpieli, do golenia się, do ubierania. Sama będzie wybierała na każdy dzień garnitur i krawat, i koszulę. Przecie musi wyglądać zawsze jak z żurnalu. Będzie wstawiała o pół godziny przed nim...

— Boże, jakież to będzie cudowne!

A wieczorami będą się całowali. Dużo, bardzo dużo i będzie siadywała u niego na kolanach...

¹²⁴księżna Yorku — od 1923 do 1936 roku tytuł ten nosiła Elżbieta Bowes-Lyon (1900–2002). [przypis edytorski]

¹²⁵kolonia Staszica — zabytkowe osiedle na warszawskiej Ochocie. [przypis edytorski]

— No, to wszystko można by robić i bez małżeństwa — pomyślała — tak, jak u Lindsey. Ale to nie byłoby to samo, o, zupełnie coś innego.

I sama zdziwiła się sobie; właściwie przecie nie prosił jej o rękę. Nie powiedział, że chce z nią się ożenić. A kochać można i tak. Dlaczego zatem nie przyszło jej do głowy na przykład zawiązanie z nim flirtu?

Zaśmiała się: Henryk i flirt. Nie. On naprawdę ją kocha! Gdyby nie kochał, nigdy by jej tego nie powiedział i flirt, co to w ogóle jest flirt?!... Jakie to szczęście?... Będzie go nazywała całym imieniem, bez zdrobnień: — Henryku — mój Henryku — mój najdroższy Henryku — z rozmachem objęła poduszkę i przytuliła do siebie.

I nagle poczuła coś wysoce nieprzyzwoitego, coś obrażającego podniosły nastrój jej uczuć: zwykły głód. Piekielnie chciało się jej jeść.

W szufladzie obok na szczęście było pudełko czekoladek. Wydobyła je i jadła jedną po drugiej, bez namysłu i wyboru. Jaka to wyśmienita rzecz, czekolada! Zjadła masę i odetchnęła z ulgą.

— Zaspokojenie zwierzęcych instynktów — uśmiechnęła się przekornie trochę do siebie, a trochę do pani Szczedroniowej, po czym owinęła się w kołdrę i zasnęła.

ROZDZIAŁ 7

Był to bodaj pierwszy wypadek w życiu Anny, kiedy zawiódła się na intuicji pierwszego wrażenia.

Przyjęta na miejsce Buby Kostaneckiej panna Stopińska podobała się zresztą nie tylko kierownicze, lecz i wszystkim kolegom. Buba, zdając swej następczyni książki i wykazy wycieczek krajowych i objaśniając szczegóły, powiedziała półgłosem, ale tak, by stojąca obok Anna mogła to usłyszeć:

— Pani Leszczowej pani bardzo się podoba i jestem pewna, że będziecie panie z czasem w wielkiej przyjaźni.

— Chciałabym na to zasłużyć — poważnie odpowiedziała panna Stopińska.

Była skupiona i cokolwiek sztywna, lecz miała miły uśmiech i rodzaj uprzejmości rzeczowej, cokolwiek szorstkiej, lecz zdawało się szczerzej. W Mundusie nikt nic o niej nie wiedział, wówczas zresztą nikt nie przypuszczał, by miała w biurze i w całej firmie odegrać jakąkolwiek rolę. Zabrała się do pracy bardzo sumiennie i już po dwóch dniach poprosiła Annę o dodanie jej zajęć, gdyż nie ma co robić. Istotnie, pracowała szybko, dokładnie, orientowała się we wszystkim bardzo prędko, nie tracąc przy tym czasu na rozmowy i nawet nie korzystając z przysługującej jej co drugi dzień przerwy obiadowej.

— Zabieram ze sobą drugie śniadanie — odpowiadała Annie, gdy ta zapytała o przyczynę tej rezygnacji — a do domu nie mam po co wracać.

— Mieszka pani sama?

— Tak proszę pani. Prawie sama — uśmiechnęła się zdawkowo i pochyliła się nad papierami.

Miała ten takt, jaki spotyka się u osób pochodzących z niezbyt kulturalnego środowiska, lecz oglądzonych osobiście w stosunkach z obcymi ludźmi, ubierała się bardzo skromnie, doskonale знаła francuski i niemiecki, lecz obu tymi językami mówiła złym akcentem, co zresztą nie przeszkadzało jej funkcjom w Mundusie. Oczywiście nie była wyrobiona towarzysko i Anna nie zamierzała swego zbliżenia z nią posuwać za daleko, lecz i panna Stopińska nie starała się zawiązać z nią bliższych stosunków.

Któregoś dnia Anna powiedziała Minzowi:

— Mam wrażenie, że panna Stopińska jest doskonałym nabytkiem.

— Zatem sądzi pani, że warto ją zatrzymać?

— Bezwarunkowo.

— A kiedy upływa termin próbny?

— Dopiero za półtora miesiąca. Jeżeli jednak o mnie chodzi, byłabym zdania, że można już obecnie zaangażować ją na stałe.

— Po cóż ten pośpiech?

— Chciałabym, proszę pana, od połowy czerwca wziąć urlop, a jestem przekonana, że ona mogłaby mnie z powodzeniem zastąpić.

— Aż tak? No... hm... zobaczmy.

Anna nawet nie przypuszczała ani wtedy, ani przy kilku następnych sposobnościach, gdy zachwalała Stopińską, jak szkodzi sama sobie.

Wówczas jednak nic nie dawało się przewidzieć. Poza tym Anna zbyt była zajęta innymi bliższymi i ważniejszymi sprawami.

Przed wszystkim postanowiła wyprowadzić się z Polnej. Ciotka Grażyna, która nie opuszczała łóżka, stawiała się coraz bardziej wymagająca. Zresztą trudno było dziwić się staruszce. Ustawiczna samotność lub towarzystwo półinteligentnej kobiety sprawiały to, że zaborczo przytrzymywała przy sobie Annę, ilekroć ta przyszła do domu. A Anna i tak bardzo mało miała czasu dla siebie, szczególnie od śmierci stryjenki Mariana.

Pani Dziewanowska umarła w pierwszych dniach kwietnia. Umarła prawie nagle, gdyż po kilkudniowej zaledwie chorobie, zostawiając siostrzeńcowi ogromnie powikłane sprawy majątkowe, na których Marian nie znał się absolutnie. Początkowo spadek robił dość pokaźne wrażenie. Jednak stopniowo, gdy Anna przystąpiła do likwidowania różnych udziałów i interesów, okazało się, że z całości da się wyciągnąć w najlepszym wypadku około siedemdziesięciu tysięcy i to nieprędko, kapaniną i drogą częstych starań i moralnych zabiegów.

W pierwszej chwili wiadomość o śmierci pani Dziewanowskiej wywołała w Annie nieuchwytnie wrażenie jakiegoś zasadniczego przełomu, zakrętu drogi, odkąd będzie inaczej, zupełnie inaczej i lepiej. O niczym nie myślała konkretnie, ale byłoby to rozejściem się z Karolem, zabranie Lituni i zamieszkaniem we trójkę gdzieś za granicą, w cichej podgórskiej miejscowości. Zakręt jednak okazał się złudzeniem.

Przed wszystkim spadek wyniósł zaledwie dziesiątą część sumy, której można się było spodziewać, a i ta kwota musiała ulec podziałowi na trzy części. Stan zdrowia Kazika wymagał kosztownej i stałej kuracji, ich siostra zaś, cierpiąca na manię religijną, wydawała masę pieniędzy na zakupywanie różnych nabożeństw i na jałmużny. Anna widziała się z nią zaledwie trzy razy i chociaż obiektywnie musiała przyznać, że Irena jest, a przynajmniej stara się być miłą, jednak niepodobna było wzbudzić w sobie sympatii do tej tragicznej postaci. Poza tym Irena zdawała się domyślać stosunku łączącego jej brata z Anną i stosunek ten milcząco potępiać. Ponieważ jednak do Warszawy przyjeżdżała bardzo rzadko, właściwie można było nie liczyć się z nią i jej niechęcią. Byłoby najprościej — i tak początkowo postanowiła Anna — przeprowadzić się do mieszkania pani Dziewanowskiej. Żyliby jak małżeństwo. Gdy jednak okazało się, że dochody Mariana nie pozwolą na opłacenie tak dużego mieszkania, trzeba było zrezygnować z projektu.

Z drugiej strony należało wreszcie zdecydować się na krok stanowczy i rozmówić się z Karolem. Annie tak trudno było powziąć jednak decyzję, że nawet, gdy się zdarzyła po temu sposobność, nie wspomniała o swych zamiarach ani słowem.

Karol przyjechał w pierwszych dniach maja. Miał na sobie nowe ubranie, a także spostrzegła, że wykupił z lombardu złoty zegarek i papierosnicę. Musiało mu znacznie poprawić się w interesach. Gdy jednak zapytała go o to, odpowiedział:

— Zarobiłem trochę, ale nie ma o czym mówić. Rzecz dorywcza i drobna.

Spostrzegła również, że nie przyjechał wyłącznie dla niej. Czas od czwartej do szóstej miał zajęty, jak twierdził, konferencją z jakimś warszawskim adwokatem, a o siódmej miał wyjechać z powrotem. I kiedy właśnie przyszła na dworzec z postanowieniem przeprowadzenia ostatecznej rozmowy — czekała na próżno. Tym pociągami nie odjechał, nie odjechał również następnym przed jedenastą. Ponieważ zaś nie zatrzymał się nigdzie, nie miała możliwości sprawdzić, co się stało. Czuła nawet odrobinę niepokoju, lecz po dwóch dniach otrzymała odeń kartkę z Poznania z zawiadomieniem, że Litunia jest zdrowa i że czekają na jakieś przynajmniej pięćdziesiąt złotych, gdyż trzeba Lituni kupić wiosenny płaszcz. Pieniądze wysłała: więcej się nieco dziwnym przyjazdem męża nie zajmowała.

W każdym razie takie prowizorium uniemożliwiało zamieszkanie z Marianem. Bądź co bądź należało liczyć się z opinią. Po dłuższych wahaniach kwestię rozwiązała w ten sposób, że wynajęła dla siebie małe dwupokojowe mieszkanko przy ulicy Czerwonego Krzyża, a dla Mariana pokój w tejże kamienicy, tylko o piętro niżej. Nie zadowalało to jej, lecz nie było innego wyjścia. Marian godził się na wszystko i wszystko, cokolwiek by postanowiła, zdawało się go uszczęśliwiać.

Od czasu, gdy ich miłość stała się zupełna, minął mu *spleen*, znikły zmarszczki z jego czoła i naprawdę czuł się szczęśliwy i Anna była przekonana, że to również i jej powinno zapewnić szczęście.

Jedno trapiło ją najbardziej: Marian nic nie robił. Nie chodziło jej oczywiście o brak dodatkowych wpływów z jego możliwych zarobków, lecz po prostu uważała za rzecz nie-normalną, by człowiek zdrowy i zdolny do pracy próżnował. Spróbowała po długim namyśle niezawodnego, jak sądziła, wybiegu. Mianowicie podjęła się przekładu na angielski grubego dzieła naukowego o jakichś bakteriach. Autorem dzieła był uniwersytecki kolega Szczedronia i właśnie przez Szczedronia Anna tę pracę dostała. Ma się rozumieć sama ani marzyć nie mogła o dokonaniu tak dużego przekładu i z góry planowała, że przekaże to Marianowi. Początkowo istotnie sam zainteresował się i dziełem i pracą.

— Będę ci pomagał — oświadczył zaraz pierwszego wieczora.

W ciągu trzech dni naprawdę wziął się do roboty i przełożył coś ponad czterdzieści stron.

— Za całość — powiedziała mu Anna — otrzymamy tysiąc dwieście złotych. Pomyśl, jaki z ciebie dzielny tłumacz: w ciągu trzech dni zarobiłeś prawie sto dwadzieścia złotych. Jestem z ciebie dumna.

Tym systemem pedagogicznym usiłowała nadal podniecić jego ambicję. System wszakże zawiódł z tej prostej przyczyny, że Marian w ogóle ambicji w tym kierunku nie posiadał. Nazajutrz przełożył jedną stronicę, w ciągu kilku następnych dni nie zrobił nic.

Po tygodniu orzekł:

— Niezupełnie zgadzam się z tym Cholewińskim. Przeczytałem dwie najnowsze bakteriologie, teraz mam zastrzeżenia.

— Ja ich nie mam — półzartem odpowiedziała Anna — więc ja będę tłumaczyła.

— Kiedy, wiesz Anuś, to jest nudne — przeciągał się i z podziwem przyglądał się Annie, gdy ta zabierała się do pracy.

Pewnego dnia wpadła na nowy pomysł. Siedziała właśnie pochylona nad przekładem. Marian siedział w kącie i czytał. Anna podniosła głowę.

— Kochanie — powiedziała umyślnie osłabionym głosem — podaj mi proszę szklanekę zimnej wody.

Spojrzał na nią i zerwał się przerażony:

— Anuś! Co ci jest?!

— Trochę mi słabo.

— Może doktora!?!...

— Nie, daj mi tylko wody.

Trzęsły mu się ręce, gdy podawał jej szklanekę. Oczy miał wystraszone.

Istotnie wyglądała mizernie i blade. Przecie dnie całe miała wypełnione, bądź co bądź, ciężką pracą.

— Zmęczona jestem — powiedziała po chwili.

— Więc jakże można tak pracować — oburzył się.

— Muszę. Zobowiązałam się skończyć przekład w terminie.

Stał milczący i zakłopotany. Wreszcie wydobył z siebie postanowienie.

— Zatem ja to zrobię. Tak, ja to zrobię.

I rzeczywiście, przez pięć czy sześć dni zastawała go nad przekładem, lecz po tygodniu wszystko gdzieś znikło. — Wiesz — powiedział z niejakim zażenowaniem — nie mogłem już dłużej wytrzymać. Oddałem przekład pewnemu bardzo inteligentnemu studentowi medycyny. On to zrobi prędkiej i niech coś zarobi.

Tak spełzały na niczym wszystkie próby zmuszenia Mariana do pracy. Tymczasem pieniądze topniały. Nie było dnia, by nie kupił lub nie sprowadził z zagranicy kilku drogich książek. Na dobitkę¹²⁶ kupował kwiaty, które wprawdzie sprawiały Annie wiele przyjemności, lecz wywoływały również starannie przez nią ukrywane przygnębienie. Sama nie chciała przyznać się przed sobą do uczucia beznadziejności, które z wolna ją ogarniało. Marian w niczym nie umiał wytrwać. Tak było i z Kolchidą. Od dłuższego czasu nie chodził tam wcale, wiedząc, że sprawia tym Annie przykrość. Nie zależało jej wyłącznie na odsunięciu Mariana od Wandy, lecz i na zerwaniu jego kontaktu z całą Kolchidą,

¹²⁶na dobitkę a. na dobitkę (daw.) — na dodatek. [przypis edytorski]

której nastrój, jak była przeświadczona, działał nań destrukcyjnie. Zdawało się, że atmosfera Kolchidy wpływa ujemnie przede wszystkim na jego wolę, że odbiera mu poza tym poczucie radości życia, a im obojgu wyłączność ich pogodnego domu, odrębność ich małego światka w wielkim obojętnym mieście. I byłaby gotowa przysiąc, że Marian, chociaż nic jej o tym nie mówił, nawet nie zagląda do Kolchidy. Tymczasem pewnego dnia, wychodząc z biura, spotkała Władka Szermana. Widywali się rzadko, ale bardzo lubili się wzajemnie. Może właśnie dlatego, że byli krańcowo odmienni.

— Źle wyglądasz — powiedział Władek.

— Jesteś niegrzeczny — udała obrazę.

— Jestem lekarzem i z przyjemnością zajrzałbym ci za frędzle twoich jedwabistych rżęs. Tak się to mówi? Cierpisz na niedokrwistość. Pewno za dużo pracujesz i za dużo kochasz. Dwa bardzo ostre narkotyki. Wybacz, że jestem niedyskretny, ale to moja specjalność: ten twój Dziewanowski również wygląda jak z krzyża zdjęty.

Anna zaczerwieniła się.

— O, teraz wyglądasz zupełnie dobrze — powiedział rzeczowo — kobiety nawet nie przypuszczają, że opinii o ich wstydlivosti zawdzięczają nieposłusznym odruchom wazomotorycznym¹²⁷, znacznie silniejszym u kobiet niż u mężczyzn. Właśnie dzisiaj rozmawialiśmy o tym z twoim szwagrem...

— Ze Szczedroniem?

— Tak. Przychodzi dość często do Kolchidy.

— Szczedroń? — zdziwiła się.

— *Tempora mutantur*¹²⁸. Podejrzewam, że robi to dla tego bałwana Rokoszczy, wiesz, tego kretyna, co sypia pod fioletową kołdrą i jest magiem czy kapłanem tej zgrai ezoterycznych tumanów.

— Teozof!

— Aha, coś w tym guście. Antropozof, pflanża¹²⁹ mistrza Rudolfa Steinera¹³⁰. I jak w ogóle można wymyślić sobie takie nazwisko: Rokoszcza! Naturalnie, już to samo nazwisko wystarczyłoby Wandzie, a weź pod uwagę, że dochodzi jeszcze fioletowa kołdra!

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że Wanda?...

— Sypia pod nią?... To żadna tajemnica. Facet ma czarną brodę i obwieszony jest amuletami, niczym cudowny obraz. Oczywiście, Szczedroń znowu wyłazi ze skóry, bo Wanda wywraca cały dom do góry nogami: fioletowe tapety, fioletowe firanki, fioletowy papier klozetowy. Bo przestrzeń nieabsorbująca jest zabójcza, uważasz, dla fluidów nadmagnetycznych i facet, ów homo Rokoszcza, nie może przesiadywać w mieszkaniu, w którym ztraca apocentryczne emanacje jaźni, czy coś w tym guście. To przecie bardzo proste. A biedak Szczedroń musi łązić do Kolchidy, by piłować Rokoszczę dowodzeniami, że Wanda jest tylko hedonistką i na wyżyny ducha Rudolfa Steinera wznieść się nie potrafi. Rokoszcza słucha, gładzi swoją czarną brodę, wypija sok z pięciu pomarańcz i w zamyśleniu odchodzi, nie płacąc rachunku. O Boże! Jakże wielki jest twój zwierzyniec!

— Nic o tym nie wiedziałam — dziwiła się Anna — że Wanda teraz zajmuje się antropozofią.

— Antropozofem! U kobiet to jest równoznaczne, lecz w takim idzie porządku. Nie wspomniał ci Dziewanowski?

— Nie.

— On jeden gnębi tego bęcwała. Brodacze aż skręca się, gdy Dziewanowski go indaguje. Nie potrzebuję ci dodawać, że on oczywiście zna lepiej Steinera od samego arcykapłana Rokoszczy.

— Gdzież odbywają się te dyskusje, w Kolchidzie?

— Naturalnie. Gdzieżby. Biedny Szawłowski z przerażeniem patrzy na klęskę praw ciała. Kalmanowicz zaczął ćwiczyć wolę. A Wanda nareszcie przestała pisać swoje naiwne ewangelie seksualizmu. Co za strata dla piśmiennictwa! Reforma obyczajów odkłada

¹²⁷odruch wazomotoryczny — automatyczna reakcja układu nerwowego, polegająca na rozszerzaniu się lub zwężaniu naczyń krwionośnych. [przypis edytorski]

¹²⁸*tempora mutantur* (łac.) — czasy się zmieniają. [przypis edytorski]

¹²⁹pfanża (niem.) — roślina, tu w znaczeniu: uczeń, naśladowca, kontynuator myśli. [przypis edytorski]

¹³⁰Steiner, Rudolf (1862–1925) — filozof, mistyk, ezoteryk, twórca antropozofii. [przypis edytorski]

się *ad infinitum*¹³¹. To jest kwestia mało ważna wobec konieczności sublimowania jaźni i hartowania woli. Żeby ona, biedactwo, chociaż odrobinę z tego rozumiała!...

Władek przytrzymał rękę żegnającej się z nim Anny i powiedział:

— Czy ty wiesz, że ja naprawdę nie wierzę w inteligencję kobiet?

— To chyba nic nowego u ciebie — zaśmiała się z przymusem. Wiadomość o Marianie dotknęła ją tak boleśnie, że wprost nie była zdolna do myślenia o czymkolwiek innym.

— Inteligencja kobiet — mówił Władek — jest taka, ściśle taka, jak inteligencja zwierząt. Absolutna niezdolność do syntezy. Żadna nie potrafi wydobyć wniosku z większej ilości przesłanek. Najwyżej z dwóch. Dlatego tak potworne rzeczy wyprawiają w życiu społecznym, które jest bardziej skomplikowane. Gdy mają do czynienia z jakimś zjawiskiem, zabierają się do analizy. Rozkładają rzecz na najdrobniejsze cząstki i nie wiedzą, co z nimi zrobić. Bo gdy przesłanek jest więcej niż dwie — zdechł pies. Stąd tak często opierają się na dwóch, lekceważąc inne i dochodząc do absurdałnych, naiwnych, czy po prostu śmiesznych wniosków. Szczedroń twierdzi, że Wanda...

— Przepraszam cię, Władku — przerwała Anna — ale bardzo śpieszę.

— A tak — kiwnął głową z nieco ironiczną pobłażliwością — nudzę cię. Do widzenia. A kłaniaj się ode mnie ciotce Grażynie.

Po powrocie do domu z trudem panowała nad sobą. Czy przywitać się z Marianem równie serdecznie, jak co dzień? Jak on mógł przemilczeć przed nią swoje bywanie w tej obrzydliwej Kolchidzie! Byłoby najlepiej zapytać go ostrożnie, czy dawno tam był. W ten sposób można by go przyłapać na kłamstwie. Lecz Anna czuła wrodzony wstręt do podstępów i powiedziała wprost:

— Dowiedziałam się, że bywasz w Kolchidzie. Dlaczego nie mówiłeś mi o tym?

Spodziewała się, że wyrzut ten przyprawi go o zmieszanie. Marian jednak odpowiedział spokojnie:

— Wiedziałem, że tego nie lubisz. Po cóż miałem sprawiać ci przykrość?

— Ale samym bywaniem jednak nie sprawiałeś mi przyjemności.

— Gdybyś nie dowiedziała się o tym — zaczął, lecz przerwała mu z nieukrywaniem żalem:

— Zatajałeś to przede mną.

Wówczas zaczął się tłumaczyć. Przed kilku tygodniami wstąpił do Kolchidy przypadkowo. Spotkał Jana Kamila Pieczętkowskiego i ten go zaciągnął. A później jakoś się tak składało. Nie można mu tego brać za złe i Anna na pewno to zrozumie. Potrzebuje przecie choćby najluźniejszego kontaktu z ludźmi, z którymi mógłby dzielić się myślami. Oczywiście nie przecenia wartości Kolchidy, ale jedynie tam może mówić krótko, omijając tak dlań męczące dowodzenia i objaśnienia. Bądź co bądź oni są inteligentni. Często wystarcza pewien skrót, nazwisko, rozmawia się niejako kodem i nie trzeba powtarzać rzeczy znanych.

— Dziękuję ci — zasmuciła się Anna — dałeś mi do zrozumienia, że nie umiem ci ich zastąpić. Trudno. Nie jestem inteligentna. — Przypomniała niedawne słowa Władka — inteligencja kobiety nie może ci wystarczyć. Kobiety i zwierzęta nie są zdolne do wyciągania wniosków z więcej niż dwóch przesłanek... A ja...

Marian zbladł i chwycił ją za rękę.

— Anus! Jak możesz! Ty nie jesteś mi potrzebna, lecz konieczna, niezbędna!

Skończyło się gorącymi zaklęciami, skruchą i pieszczotami, a chociaż to wszystko było niewątpliwie szczere, nie zdołało jednak usunąć wrażenia krzywdy. A przecie sobie Anna nie miała nic do zarzucenia. Absolutnie nic. Rzeczywiście na tematy oderwane rozmawiali ze sobą rzadko, ale to tłumaczyło się brakiem czasu. Tyle mieli do powiedzenia o swej miłości, tyle serdecznych namysłów i narad musieli poświęcać różnym drobiazgom, składającym się na ich wspólne życie. Czy Marian miał prawo oskarżać ją o niezdolność do zaspokojenia jego potrzeb duchowych?... Przecie wprost istniała dla niego. Był to altruizm najczystszej wody. Wszystko, co dotyczyło jego, wypełniało bez reszty jej zabiegi i troski, a o sobie, o własnych kłopotach i przykrościach nawet mu nie wspominała. Zamykała to w sobie. Ciężko było z tym, ale byłoby jeszcze ciężiej, gdyby do tych zmartwień przybyło jeszcze jego współczucie, jego bezradne współczucie.

¹³¹*ad infinitum* (łac.) — do nieskończoności. [przypis edytorski]

Marian przecie był jak dziecko. Po cóż miała zatruwać mu ciszę swoimi przykrościami, których ostatnimi czasy było coraz więcej. Przeciwnie, odczuwała jakieś bolesne zadowolenie w świadomości ukrycia ich w sobie. Nie było to uczucie wyższości nad pięknym, dziecinny egoizmem Mariana, lecz jakby przewagą, czy choćby zrównoważeniem ich wartości. I taki pocziwy Władek odmawia jej inteligencji, bo takich jak ona, są przecie tysiące i setki tysięcy, a wykształceniem niejedna grubo przewyższa wielu mężczyzn, uważających się za skarbnicę mądrości.

A troski Anny rosły naprawdę.

Minz z każdym tygodniem stawał się bardziej wymagający, niecierpliwy i szorstki. Zaczął wtrącać się do najdrobniejszych spraw, a chociaż wszyscy koledzy twierdzili, że nawet za czasów Komitkiewicza nie panował w dziale turystycznym tak wzorowy porządek, wciąż wynajdywał różne preteksty do niezadowolenia. Zdawał się nie rozumieć, że pewnych usterek uniknąć nie można w robocie terminowej i wykonywanej z takim pośpiechem.

Wówczas jeszcze nie domyślała się wcale, że źródłem przykrości, które spotykały ją od Minza, była panna Stopińska. Wprost odwrotnie. Żywiła dla niej coraz więcej uznania, nie sympatii, gdyż chłodna, ścisła, oficjalnie usłużna panna Stopińska sympatii wzbudzać nie mogła, nie tylko w Annie, lecz w nikim. Koledzy wprawdzie opowiadali Annie, że panna Stopińska zagląda podczas jej nieobecności do boksu i szpera w teczkach, ponieważ jednak okazało się, że dzięki swojej ciekawości wykryła pewien błąd, który mógłby narazić firmę na straty, Anna nie mogła jej z tego zrobić zarzutu.

Jednego razu, było to na tydzień przed wyjazdem Anny na urlop, do jej boks przy-szedł Tański, który wstępował tu zresztą dość często. Lubili się wzajemnie z tytułu zarówno osobistej życzliwości, jak i z racji przyjaźni, jaka łączyła Annę z jego żoną. Dom Tańskich był zresztą jedynym domem, gdzie Anna od czasu do czasu spędzała wieczór i stykała się z ludźmi. Zdarzało się to rzadko, gdyż Marian rzadko odwiedzał swoje rodzin-
stwo, a tylko wtedy Anna miała kilka godzin wolnych. Lubiała te godziny spędzać w ślicznym mieszkanku Buby, w nastroju może nawet zabawnej sielanki ich miodo-
wych miesięcy. Wprawdzie nie całowali się przy Annie, ale prawie nie spuszcza-
li z siebie zachwyconych oczu. Może było to głupie, może naiwne, może dziecinne, ale Anna odczuwała tu przede wszystkim urok słodkiego szczęścia, a że w naturze swojej nie miała zawiści, cieszyła się tym szczęściem wraz z nimi. Dlatego też Tański nie ukrywał swej życzliwości dla niej i już nieraz zdarzało się, że dzięki jego pomocy unikała w Mundusie różnych nieprzyjemności.

Tego dnia powiedział:

— Droga pani Anno. Nie podoba mi się ta Stopińska i sądzę, że obdarza ją pani zbyt-
nym zaufaniem.

— Ależ to doskonała pracownica, panie Henryku!

— Czy ona umie pisać na maszynie?

— Tak.

— Otóż widziałem u Minza pewien maszynopis... Projekt reorganizacji działu tu-
rystycznego. Niestety, co do jego treści Minz związał mnie słowem, ale o autorstwo
posądzam panią Stopińską.

— Czy... czy ten projekt godzi we mnie?

Tański zrobił nieokreślony ruch ręką:

— Niech pani zbytnio jej nie ufa.

Nic więcej nie chciał powiedzieć, lecz i to wystarczyło Annie, by odtąd baczniej-
szą uwagę zwrócić na pannę Stopińską. Z całego jej zachowania się, ze sposobu bycia
i stosunku do siebie nie mogła jednak wywnioskować nic, co by usprawiedliwiała obawy
Tańskiego. Buba, do której udała się w nadziei wybadania sprawy, nic również wyjaśnić
nie umiała: oświadczyła, że Henryk nigdy z nią o swoich interesach ani o biurze nie
rozmawia, a tym bardziej nie wspomina o jakichkolwiek intrygach.

Przed wyjazdem na urlop dyrektor Minz powiedział Annie:

— Przychyłam się do pani zdania i na czas jej nieobecności kierownictwo działu
powierzę pani Stopińskiej. Zechce pani zdać jej swe obowiązki.

Możliwe, że Anna zdobyłaby się na przeciwstawienie się decyzji Minza, gdyby miała
jakikolwiek dowody kopania pod nią dołków przez tę przykrą babę. Ponieważ jednak

Dom, Miłość, Szczęście

wszystko pozostawało w dziedzinie niczym nieuzasadnionych domniemań, a w dodatku przygotowania do wyjazdu całkowicie zajmowały uwagę Anny, tegoż jeszcze dnia przekazała swe funkcje pannie Stopińskiej.

Sam urlop Anny przysparzał jej mnóstwa kłopotów. Najpierw musiała pojechać do Poznania, gdzie zamierzała spędzić przynajmniej tydzień, by nacieszyć się Litunią, a w razie, jeżeli to będzie możliwe, zabrać ją ze sobą do Mazur, majątku pod Lublinem, gdzie mieli spędzić miesiąc wraz z Marianem.

Tymczasem w Poznaniu zastała sytuację nieznośną. Jej podejrzenia co do nowego sposobu życia Karola sprawdziły się ponad oczekiwania.

Teść przyjął Annę wyrzutami i pretensjami:

— To ty jesteś wszystkiemu winna, irytował się, zostawiłaś go tu samego. Ładnie się prowadzi. Wciąż słyszę, że spędza całe noce po knajpach i zaciąga długi. Ale bardzo się mylicie, jeżeli się wam zdaje, że będziecie mogli je spłacić ze spadku po mnie. Zmieniłem testament i dom zapisałem Lituni. Dostanie go, gdy dojdzie do pełnoletności. Wcześniej ani grosza.

— Ależ ojciec — zaprotestowała — ja nic nie mam przeciw temu, a jeżeli odjechałam i mieszkam z dala od was, to przecie nie dla własnej przyjemności. Muszę pracować. Niech ojciec nie zapomina, że z mojej pracy utrzymuję i Karola, i Litunię.

— Gdybym nie był zupełnie zniedołężniały — przetrzepałbym skórę memu synalkowi, darmozjadowi, hulace!...

— Ale ja nie mogę przetrzepać mu skóry.

— Owszem! Powinnaś! Powinnaś wyrzucić nań odpowiedni wpływ! Przecie to wstydz i hańba!

I Anna przygotowywała się do wywarcia odpowiedniego wpływu, przygotowywała się od obiadu aż do późnej nocy, kiedy wreszcie zasnęła, nie doczekawszy się powrotu Karola.

Nazajutrz spał do pierwszej południe. Za to zaczęły napływać informacje o nim. Ponieważ zaś przychodziły z różnych źródeł, a zawierały identyczną treść — Anna musiała im uwierzyć. Okazało się, że Karol jest kochankiem pani Patzelowej, wdowy, bogatej wdowy, liczącej sobie przeszło pięćdziesiąt lat żywota.

Było to tak ohydne, że Anna tegoż dnia wyjechałaby wraz z Litunią, gdyby nie zaziębienie małej. Wprawdzie bona zapewniała, że dziecku nic poważnego nie jest, że musiało się „gdzieś zaziębić i już”, ale chudość Lituni, bladeść jej twarzyczki i niezwykła nerwowość przeraziły Annę. Na domiar dowiedziała się, że wcale nie wzywano lekarza, a gdy udała się doń z córeczką, okazało się, że jest to poważny bronchit¹³².

Trzeba było dziecko od razu zapakować do łóżka. Czuwanie zaś przy nim było dla Anny nader szczęśliwym pretekstem do unikania Karola. Każda myśl o nim wywoływała teraz w niej niepokonywany wstręt i pogardę. Czymże był właściwie — utrzymankiem starej baby, nędzną kreaturą, żerującą nie tylko na ciężkiej pracy własnej żony, lecz w dodatku bezwstydnym gachem, afiszującym się publicznie swoim procederem.

Gdy wszedł na palcach do pokoju Lituni, Anna przygryzła wargi, by nie wypędzić go obelżywym słowem. Postanowiła milczeć, nie dać mu możliwości do jakichkolwiek tłumaczeń, do padalczych wykrętów i brudnych kłamstw. Po prostu nie chciała o niczym wiedzieć.

— Ciszej — powiedziała — dziecko śpi.

— Przyjechałaś? — zapytał szeptem.

Oczy miał podsiniałe i twarz obrzękłą.

— Tak — odpowiedziała niecierpliwie.

Zbliżył się do niej i pochylił głowę, by pocałować ją w usta. Z jakąż rozkoszą wymierzałyby mu policzki.

— Przestań — powiedziała tylko i zasłoniła się ręką.

— Tak... tak mnie witasz — westchnął — no cóż...

— Wyjdź, dziecko śpi — przerwała pośpiesznie.

— Oczernili mnie przed tobą?

— Nikt cię nie oczernił. Litunia ma gorączkę. Zostaw nas.

Stał chwilę bez ruchu, później machnął ręką i zawrócił do drzwi.

Zdrada, Kochanek

¹³²bronchit — zapalenie oskrzeli. [przypis edytorski]

— Nie możesz teraz wyjść i pomówić ze mną? — zapytał z ręką na kłamce.

— Nie. Odejdź.

Wyszedł, lecz słyszała wciąż jego nierówne kroki. Chodził po sąsiednim pokoju.

Trzeba było powziąć ostatnią decyzję. Zaraz jutro pójść do jakiegoś dobrego adwokata i rozpocząć kroki rozwodowe. W ciągu kilku miesięcy rzecz zostanie załatwiona. Tymczasem Litunię zabierze ze sobą do Warszawy. Z Karolem w ogóle nie wda się w żadną rozmowę. Niech to załatwi adwokat.

Noc spędziła znowu przy Lituni. Teściowi, który przysłał bonę z żądaniem, by Anna zaraz go odwiedziła, odpowiedziała stanowczo, że nie może opuścić dziecka. Wprost odczuwała fizyczny wstręt na myśl, że tam przy schodach czatuje na nią Karol. Przed południem udało się jej wymknąć niepostrzeżenie do miasta. Wizyta u adwokata trwała krótko. Gdy wracała, spotkała dwie znajome panie, które oczywiście nie poskapiły jej nowych informacji o prowadzeniu się Karola. Przyglądały się jej przy tym z wielkim zaciekawieniem. Jakież to wszystko było wstrętne.

Na szczęście gorączka u Lituni spadła i lekarz zaopiniował, że przy zachowaniu potrzebnych ostrożności można dziecko zabrać do Warszawy.

Najbliższy pociąg odchodził za cztery godziny i Anna szybko zabrała się do pakowania rzeczy Lituni. Wiedziała, że jej adwokat teraz właśnie konferuje z Karolem i chciała wyjechać z domu zanim Karol wróci.

Jednak nie zdążyła. Przyszedł ponury i już nie próbując przywitać się, usiadł ciężko na kanapie.

— Widzę, że pakujesz rzeczy Lituni — powiedział, patrząc w podłogę — ale chyba nie przypuszczasz, bym zgodził się na odebranie mi dziecka.

Anna zbladła i starała się zapanować nad sobą, by nie wybuchnąć.

— Na rozwód się zgadzam — ciągnął — ale dziecko zostanie przy mnie.

— Czy... czy ty już wcale nie masz sumienia? — zapytała przerywanym głosem.

— Kocham Litunię — wzruszył ramionami.

— Kłamiesz! Kłamiesz!

— Nie kłamię. Poza tym jestem przekonany, że... przebaczysz mi kiedyś, a właśnie Litunia skłoni cię do powrotu i do przebaczenia.

Gdybyż miał czelność spojrzeć teraz w oczy Anny! Zrozumiałby, że taka pogarda i taki wstręt nie mogą przeminąć.

— Czy zależy ci na pieniądzach, które zarabiam? — zapytała.

Wstał, a raczej poderwał się z miejsca. Jego twarz skurczyła się jakimś dzikim grymasem. Zdawał się dławić. Posiniałe usta z trudem łapały oddech. Anna nigdy go takim nie widziała i odczuła zwyczajny fizyczny strach. On jednak z wolna się uspokajał. Stał z bezzadnie opuszczonymi rękami, przełknął kilka razy ślinę, jakby chciał coś powiedzieć, lecz widocznie nie mógł. W końcu uśmiechnął się i wyszedł.

A po godzinie służąca przyniosła list:

„Zabierz Litunię. Zabrałaś mi siebie, węz i ją. Ale wiedz, że nawet człowiek brudny i nieszczęśliwy może kochać. Kocham Cię i niech Ci Bóg przebaczy”.

Anna nieprzytomnie czytała raz po raz te niedorzeczne, rozpaczliwe, kabotyńskie¹³³, bolesne słowa. Nie umiała w sobie znaleźć zrozumienia ich, ani sensu, ani prawdy. Jakże dręczące było nie wiedzieć, co się czuje! Ogarniały ją litość i gniew, i obrzydzenie, i żal, spłatały się poczuciem krzywdy własnej i krzywdy dziecka, i słabości człowieka wobec losu, i głupiego współczucia.

„... niech ci Bóg przebaczy” — oczy Anny zatrzymały się na tym beczelnym, patetycznym frazesie.

Jej, to właśnie jej, ma Bóg przebaczyć podłość jego i jego miedziane czoło!

Oburzenie wzięło w niej górę. Gorączkowo zabrała się do pakowania. Nie miała sił, by zmusić się do rozmowy z teściem. Napisała dość naprędce list pożegnalny. Zapłaciła bonie zaległą pensję i pojechała z Litunią na dworzec.

Litunia zachowywała się biernie. Widocznie zdawała sobie sprawę z ważności przemian zachodzących w jej życiu, lecz reagowała na nie tylko załęcznionym uśmiechem

Matka, Dziecko

¹³³kabotyński — nieszczerzy, robiony „pod publikę”, powierzchowny. [przypis edytorski]

i częstym przytulaniem się do matki. Każdy dotyk ufnych rączęt Lituni nappełniał Annę niewypowiedzianą rozkoszą. Z trudem hamowała łzy rozczulenia.

Oto zaczynał się nowy okres ich życia. Są teraz same. Niezupełnie same, bo Litunia znajdzie w Marianie lepszego, mądrzejszego i serdeczniejszego ojca. O, Anna była tego pewna.

Teraz zatrzymają się w Warszawie przez jeden dzień i pojadą do Mazut już we trójkę. Nawet lepiej, że dziecko na wsi spędzi te kilka tygodni od razu z Marianem. Muszą przyzwyczaić się do siebie i pokochać wzajemnie.

W Warszawie Annę spotkało małe rozczarowanie: Marian już wyjechał wczoraj wieczorem, czyli był już w Mazutach.

Dzień spędziła Anna na uzupełnianiu w sklepach bielizny i sukienek Lituni. Była z nią także u specjalisty chorób dziecięcych, który znalazł silną anemię i przepisał szczegółową kurację. Nazajutrz wyjechały do Lublina, skąd kilkanaście kilometrów trzeba było trząść się bryczką po bardzo złej drodze.

Mazuty był to duży dwór, w którym, jak w wielu podobnych, na lato urządzano pensjonat. Stary park, jezioro, piasek i las sosnowy stwarzały doskonałe warunki zdrowotne. Pokoje w pałacu, całkowicie oddanym na użytek letników, były wysokie i jasne. Sama właścicielka, pani Budniewiczowa, przenosiła się na okres wakacji do oficyny. Anna poznała ją zaraz na wstępie: mała, szczupła osóbką z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami, w krótkiej samodziślowej spódnicy i w butach z cholewami, wyglądała jak żywcem wyjęta z powieści *Rodziewiczówny*¹³⁴. Mogła mieć lat pięćdziesiąt kilka lub nawet znacznie więcej. Trudno było to określić z kontrastu niezwykle żywych ruchów i donośnego głosu tak niepasujących do bardzo zwiedłej rumianej cery i chudych, drapieżnych rąk.

— Mogę dać pani do wyboru dziesięć pokoi — powiedziała Annie — kuracjuszków jest na razie tylko dwóch, a kto pierwszy ten lepszy. To pani córeczka?

— Tak, proszę pani. Przywitaj się Lituniu.

Pani Budniewiczowa wyciągnęła rękę i od niechcenia pogłaskała dziecko po głowie. Był to gest zdawkowej uprzejmości i Anna od razu zauważyła, że pani Budniewiczowa za dziećmi nie przepada. W ogóle musiała to być natura surowa i ostra, czemu nie należało się dziwić. Historię tej kobiety Anna słyszała jeszcze za swoich panieńskich czasów, gdyż między Jelskimi a rodziną Czorszyńskich, do której pani Budniewiczowa należała, zanim wyszła za Budniewicza, istniały jakieś węzły pokrewieństwa. Panna Czorszyńska po prostu uciekła z domu z oficerem rosyjskiej lejbgwardii¹³⁵, Budniewiczem, co zmusiło rodziców do zgody na małżeństwo. Jednakże w rok po ślubie wyszczała go pewnej nocy psami z domu. Ile w tym było prawdy i dlaczego tak jej romantyczne małżeństwo się skończyło, Anna już nie pamiętała. Wiedziała tylko, że od owego czasu pani Budniewiczowa sama prowadzi swój duży majątek i robi to ponoć wzorowo. O jej jedynym synu natomiast najfantastyczniejsze krążyły plotki. Opowiadano o jego wcale niepięknym, awanturniczym życiu, wspomniano o jakimś głośnym szantażu i innych sprawkach, ponieważ jednak grasował on gdzieś zagranicą i w kraju nie pokazywał się wcale, a matka nie utrzymywała z nim żadnych stosunków i nigdy o nim nie wspominała, za nic nie można było ręczyć.

Towarzystwo we dworze mazuckim składało się poza Anną i Dziewanowskim z dymisjonowanego generała, zanudzającego okropnymi wierszydlami, pisanymi za czasów młodości i z grubego prałata Chomicza, cierpiącego na astmę. Przy stole siadywali nadto pani Budniewiczowa i jej administrator, pan Merezko, milczący, ponury staruszek. Tę parę widywali zresztą tylko przy obiedzie i kolacji.

W pierwszych dniach Anna niemal nie rozstawała się z Marianem. Opowiadała mu o wszystkim, czego się dowiedziała w Poznaniu o swoim mężu, a Marian, jak zawsze, był przejęty i tym dla niej czulszy. Również z radością przyjął jej postanowienie rozwodu. I Anna byłaby teraz zupełnie szczęśliwa, gdyby nie Litunia. Dziewczynka wyraźnie stroniła od Mariana. Ilekroć, bawiąc się obok spostrzegła, że się do siebie tulą lub serdeczniej uśmiechają, była zdenerwowana i niezadowolona. Zdarzyło się nawet, że uciekała gdzieś w dalsze aleje parku i trzeba było szukać jej, prosząc, by zechciała się odezwać.

¹³⁴*Rodziewiczówna, Maria* (1864–1944) — pisarka, autorka m.in. powieści *Miedzy ustami a brzegiem pucharu, Czabary czy Lata leśnych ludzi*. [przypis edytorski]

¹³⁵*lejbgwardia* — gwardia przyboczna w dawnym wojsku rosyjskim. [przypis edytorski]

Marian dużo myślał nad zachowaniem się Lituni i nawet cytował różne teorie, ale sam, czy to zrażony, czy zmartwiony niechęcią dziewczynki, odnosił się do niej zbyt chłodno. Na jego usprawiedliwienie miała Anna wprowadzić kilka prób serdeczności, z jaką z początku do Lituni się zwracał. Nie zmieniło to przecież coraz bardziej oczywistego faktu, że z biegiem czasu nie tylko nie zbliżali się do siebie, lecz stawali się coraz dalsi. Doszło do tego, że Anna musiała wybierać między towarzystwem Mariana i Lituni. On w obecności dziecka stawał się sztywny i zamyślony, Litunia, zawsze grzeczna i posłuszną, przybierała impertynenckie minki, a nawet bywała krnąbrna.

Z tej też racji Marian zaczął grywać w szachy z prałatem Chomiczem, a chociaż sam przedtem twierdził, że sapanie prałata działa mu na nerwy, teraz doszedł do przekonania, że to bardzo miły i inteligentny człowiek.

— Nie cierpię księży — mówił — to najczęściej albo fanatycy, albo obłudnicy. Ten jednak ma dużo takiej pogodnej franciszkańskiej mądrości i mam wrażenie, że katolicyzm w jego ujęciu jest rzeczywiście filozofią szczęścia.

Z rzadka i Anna przysłuchiwała się długim ich teologicznym rozmowom. Najczęściej jednak chodziła z Litunią na piaszczysty brzeg jeziora w towarzystwie generała, z którym Litunia zaprzyjaźniła się od dnia przyjazdu.

— Nic dziwnego — z tendencyjną stronniczością mówił Marian — te dwa umysły znajdują się na zbliżonych szczeblach rozwoju.

Po dwóch tygodniach przyjechał do Mazut nowy pensjonariusz, pan Kostrzewa, inżynier z Sosnowca, daleki krewny administratora Mereżki, wysoki, chudy mężczyzna, niebrzydki lecz drażniący wiecznie napastliwym tonem, zgorzkniałą jadowitością starego kawalera. W każdym razie jego obecność znacznie ożywiła Mazuty. Przy stole zaczęły się teraz długie i często ostre dyskusje. Niezmiennie odbywało się to w ten sposób: inżynier Kostrzewa, po zupie, tonem obojętnym oznajmiał, że podczas przechadzki zaobserwował to i to, rzecz jakąś całkiem powszednią i nie wykraczającą poza zjawiska normalne i codzienne. Robił pauzę i nagle stawiał tezę, zamkniętą w gładkim aforyzmie, który miał posmak cytaty z jakiegoś autorytetu. Cała perfidia zaś tej zaczepki polegała na podstępnie ukrytym haczyku, na pozornym czy istotnym paradoksie, na złośliwostce wymierzonej w kogoś z obecnych lub niewinnie prowokującej wszystkich. Jeżeli zaś ktoś nieopatrznie na haczyk dał się złapać i zakwestionował tezę, o odwrocie już nie mógł marzyć: pan Kostrzewa rzucał się do walki, zaczepny, nieustępliwy, szydłszy i bezlitosny.

W krótkim czasie towarzystwo mazuckie dowiedziało się, że „instytucja wojska jest niezbędnym ujściem dla zoologicznych cech natury ludzkiej”, „klerykalizm wśród chłopów bynajmniej nie oznacza religijności, lecz jest dowodem pogaństwa”, że „intelektualizm i filozofia w ogóle to najdowcipniejszy system pasożytnictwa”, że „ziemiaństwo, jako klasa społeczna, jest ekonomicznym absurdem, a jako kasta — kompromitującym przeżytkiem”, że „praca na roli przytępia umysł” i że „dzieci należy uważać za półzwierzęta i więcej zwracać uwagi na tresurę niż na wychowanie”.

Wszystkiego tego nie dowiódł wprawdzie, lecz dopiął swego celu: wywołał podniecone spory.

Najczęściej jednak napadał na kobiety. Anna, która nie lubiła długiego przesiadywania przy stole, prawie nigdy nie brała udziału w dyskusjach, łudząc się nadzieją, że zdoła je przez to skrócić i zyskać w ten sposób godzinę rozmowy z Marianem, w tym czasie, kiedy, jak po każdym posiłku, Litunia musiała przeleżeć godzinę samotnie w swoim pokoju. Jednakże Marian, zajęty rozmową, zdawał się zupełnie o Annie zapominać. Wolał nieдорęczności Kostrzewy, a co najbardziej irytowało, wszystko traktował poważnie. Sam Kostrzewa przecież, spotykając Annę na przechadzkach, nieraz żartował z wyrażanych przez siebie poglądów, gdy jednak znalazł się przy stole, zaczynał znowu.

Któregoś dnia widział jakąś chłopkę, która bielili chałupę na powrót męża, odsiadującego więzienie za znęcanie się nad żoną.

Podczas obiadu opowiadał to i po pauzie, dodał:

— Osobowość kobiety nie znajduje się w niej samej, lecz poza nią.

Ponieważ zaś pani Budniewiczowa miała nieostrożność zauważyć, że równie dobrze może to dotyczyć mężczyzn, znowu rozpętała się dyskusja. Kostrzewa dowodził, że kobieta nie jest pełną jednostką. Mężczyzna żyje dla siebie, ma żonę dla siebie, dzieci, dom, zajęcie, wszystko dla siebie, a kobieta bez obiektu, dla którego by żyła wprost, nie potrafi istnieć.

Książdz

Pozostaje zawsze dodatkiem, nie widzi i nie rozumie potrzeby swej egzystencji, jeżeli nie może jej komuś lub chociażby czemuś poświęcić. Dlatego nie jest pełnym człowiekiem.

Generał już zaczął godzić się na to stanowisko, gdy pani Budniewiczowa zaprotestowała:

— Mój drogi inżynierze, a któż to wczoraj dowodził, że kobiety są egoistkami.

— Ja. Owszem, ja. Nie widzę, by to znajdowało się w logicznej sprzeczności.

— Oczywiście — skinęła głową Budniewiczowa — cokolwiek byście złego powiedzieli o kobiecie, zawsze będzie słuszne. Jeżeli jest uczciwą panienką i siedzi w domu to gęś. Jeżeli podróżuje, jest samodzielna i nie drży przed opinią to awanturka. Jeżeli zarabia na siebie, no to odbiera chleb mężczyźnie. A nic nie robi — to pasożyt. Ubiera się skromnie, chodzi do kościoła, nie maluje się, nie ma kochanka — nudna świętoszka. Stroi się, baluje, flirtuje — wyuzdana baba. Zajmuje się sztuką, kształci się — snobka i sensatka. Pilnuje gospodarstwa domowego — kura domowa. Nie kocha się w nikim — zimna lalka. Kocha się — histeryczka. Ma romans — kurtyzana, a jeżeli nie, nikogo nie potrafi zainteresować. Mąż lubi przesiadywać w domu, a no, bo żona jest herod-baba i trzyma go pod pantoflem. Mąż włóczy się po knajpach, bo przecie z taką nudziarą nie można wytrzymać. Pracuje społecznie — megera. Nic nie robi — kobiecie lenistwo. Bieli na powrót męża chałupę — niewolnicza dusza, palcem nie ruszy?... To jasne, mściwe stworzenie, bez serca. Czyż nie tak, panie inżynierze?

Wszyscy zaczęli się śmiać, nie wyłączając ponurego pana Mereżki. Kostrzewa chciał replikować, lecz ku radości Anny nie umiał widocznie znaleźć argumentu.

— Splantowała¹³⁶ go szanowna pani — tubalnie śmiał się generał — splantowała do reszty. Co prawda, to prawda. Już tam my na kobiety lubimy wygadywać, ale w gruncie rzeczy bez kobiet, che... che... che... trudno i nudno byłoby na świecie.

— No, generałowi to już chyba nie robi różnicy? — zjadliwie odciął się Kostrzewa.

Na ten raz jednak dyskusja została urwana i Anna z westchnieniem ulgi wstała od stołu.

— Zaczekaj na mnie przy ganku — powiedziała cicho Marianowi.

— Dobrze, kochanie.

Zanim jednak zajrzała do Lituni i wróciła, zastała Mariana rozmawiającego z prałatem. Ku jej zniechęceniu rozmawiali jeszcze o owej babie i jej mężu.

— Jeszcze panowie znajdują w tym temat? — zapytała z akcentem zdziwienia.

— Dlaczegoż by nie? — jowialnie uśmiechnął się ksiądz.

— No, bo zdaje mi się, że cokolwiek byście wymyślili, wszystko da się zmieścić w tym, co słusznie podniosła pani Budniewiczowa.

— Słusznie? Hm...

— Ksiądz prałat jest innego zdania?

— Muszę być innego zdania, droga pani.

— Oczywiście. Ksiądz prałat poczuwa się do męskiej solidarności.

— Nie dlatego — potrząsnął głową — ale, widzi droga pani, jestem już stary i nie tylko z racji swego powołania czy zawodu musiałem interesować się sprawami ludzkimi, lecz i z osobistej ciekawości. I otóż to, co powiedziała pani Budniewiczowa wygląda efektownie, przyznaję, ale jeżeli chodzi o prawdę, warto by zastanowić się, czy ci mężczyźni, którzy zawsze znajdują coś do skrytykowania w kobiecie, nie opierają się na niejakej słuszności.

— Na przykład?

— Mianowicie kobieta albo siedzi w domu, albo lata, albo jest uczuciowa, albo nie, albo pracuje, albo próżnuje. To wszystko robi i mężczyzna. Ale, droga pani, cały sekret w tym, że nie robi tego tak krańcowo, jak kobieta. Że zachowuje w upodobaniach, zainteresowaniach wszechstronność, umiar, harmonię... A kobiety...

Anna zobaczyła zbliżającego się Kostrzewę i nieznacznie pociągnęła Mariana za rękaw. Zrozumiał o co chodzi i pożegnali się szybko z prałatem, zostawiając go na łup inżyniera. Anna chciała z Marianem rozmówić się o wielu rzeczach ważnych i stosunkowo pilnych. Do końca jej urlopu zostało zaledwie kilka dni, a należało przecie ułożyć plany na przyszłość. Mówiła o swoim rozwodzie i o tym, że najlepiej byłoby wziąć ślub jeszcze przed

¹³⁶splantować — tu: zwyciężyć w potyczce słownej, zbić z tropu. [przypis edytorski]

adwentem, o wspólnym mieszkaniu i o tym, że jednak on powinien postarać się o jakąś posadę.

Marian słuchał, kiwał głową, przytakiwał, zapewniał, że cokolwiek ona postanowi, będzie to najmądrzejsze, jednakże Anna nie mogła pozbyć się wrażenia, że myślał przez cały czas o czymś innym. Gdy zaś u wylotu alei ukazała się różowa sukienka Lituni, szybko wstał i oświadczył, że umówił się z prałatem na szachy.

Anna, gdy została z dzieckiem sama, tuliła się do różowej sukienki mocno, tak mocno, by obetrzeć łzy i móc swemu skarbowi pokazać jasne, uśmiechnięte oczy.

Tak dzień po dniu mijały jej wakacje. Nie był to okres odpoczynku dla nerwów Anny i na próżno usiłowała pozbyć się dręczącego uczucia jakiejś bezcelowości, bezplanowości swego tak przecie wyraźnego dotąd życia. Usiłowała na pierwsze miejsce wyforsować Litunię i troskę o nią, lecz widocznie była jeszcze za młoda, by wyrzec się samej siebie, myśli o sobie, a myśl o sobie była myślą o człowieku, który — jak mówił ten Kostrzewa — zajmie punkt centralny w jej egzystencji. Czy mógł nim być Marian?...

Wracali do Warszawy razem. Lecz Anna czuła, że każde z nich męczy się własną samotnością. Litunia nieruchomo tkwiła przy oknie, aż się znużyła i usnęła owinięta pledem. Wtedy po raz pierwszy Marian odezwał się:

— Nie wiem, nie rozumiem swojej sytuacji — mówił półgłosem, nachyliwszy się do Anny — wydaje mi się, że stanowią dla was, dla ciebie i dla twego dziecka jakąś przeszkodę.

Nic nie odpowiedziała, a on dodał:

— To męczy.

Jakżeby chciała powiedzieć mu teraz, że tak, że to jego własna wina, gdyż jest taki, jak jest, że powinien przyjąć odpowiedzialność za ich wspólne szczęście i o to szczęście walczyć, że ma ważny i święty obowiązek zdobycia zaufania Lituni, że już nie jest samotnikiem, któremu wolno ograniczać się do kontemplacji własnych abstrakcji, niepotrzebnych abstrakcji, tak, właśnie niepotrzebnych, nieważnych i szkodliwych. Cóż jemu, coż im przyjdzie z tych bezpłodnych rozmyślań! I coż wart jest jego nieproduktywny, pławiący się w autoanalizie umysł!...

Nie odezwała się jednak ani słowem.

Wprawdzie kiedyś, w pierwszych dniach ich znajomości, sama była olśniona, owładnięta, zaczarowana tą jego niepospolitą inteligencją. Może to niekonsekwentnie z jej strony, ale teraz wołałaby, by był zwykłym szarym człowiekiem, czującym, myślącym i działającym po prostu.

Kochał ją, to nie ulegało wątpliwości, ale oto męczy się, gdy ta miłość żąda odeń pewnych, tak nieznacznych poświęceń, jak pozyskanie serduszka dziecka.

Warszawa przyjęła ich zaduchem rozprażonych w słońcu ulic. Przesycone kurzem powietrze było ciężkie, od murów uderzał żar, a z bram chłód pachniał wilgocią.

Marian nie mógł znaleźć taksówki i dopiero tragarz ją sprowadził. Wieczór miała Anna zajęty porządkowaniem swego mieszkania i lokowaniem Lituni. To tak zajęło jej uwagę, że nawet nie spostrzegła nieobecności Mariana i dopiero, gdy dziecko usnęło, wbiegła na schody i zapukała do jego drzwi.

W kapeluszu i rękawiczkach, tak, jak przyjechał z dworca, siedział w kącie kanapy. Na podłodze stały nierozpakowane walizki.

— Marianie, co ci jest? — przestraszyła się.

— Nic, kochanie... Neurastenia¹³⁷...

— Najdroższy — przytulała jego głowę do piersi — nie wolno ci być smutnym. Ja wiem, że moja miłość to nie wszystko dla ciebie, ale krzywdzisz ją swoim smutkiem.

— To prawda — przytwardził ponuro.

— Nie, nieprawda — zaśmiała się, udając wesołość — ja cię rozumiem i kocham. Wiesz co?... Pójdziemy na kolację do Oazy!

— A Litunia?

— Już śpi.

— Czy jednak bezpiecznie zostawiać ją samą?

¹³⁷neurastenia — zaburzenie nerwowe, objawiające się m.in. zmęczeniem po niewielkim wysiłku fizycznym, drażliwością, zaburzeniami snu. [przypis edytorski]

Annę rozczuliła jego tklivość o Litunię i chociaż gdzieś wewnątrz budziły się w niej wątpliwości co do szczerości pobudek Mariana, starała się ukryć to przed nim, a nawet przed sobą. Oświadczyła, że musi z nim naradzić się w sprawie wzięcia bony do dziecka. Narada, oczywiście, jak zawsze, gdy chodziło o rzeczy praktyczne, i tym razem polegała na tym, że Anna podawała gotowe projekty, roztrząsała je, zmieniała, krytykowała i wreszcie dochodziła do postanowień, a Marian kiwał głową. Najgorsze było, że Anna coraz częściej spostrzegała jego istotną obojętność dla tych spraw i wysilek, z jakim starał się skupić na nich uwagę.

Zresztą, co do wzięcia bony, narada właściwie była zbędna. W każdym razie należało zaangażować jakąś możliwie inteligentną dziewczynę, która zajmowałaby się dzieckiem w godzinach nieobecności Anny. Ze względu na szczupłość mieszkania musiała to być bona przychodnia.

Nazajutrz Anna zjawiała się w biurze swym przed dziewiątą i swój boks zastała zamknięty. Woźny objaśnił ją, że „obecna pani kierowniczką zawsze boks zamyka nie wiadomo przez jakie fanaberie”.

— Tak? — zdziwiła się Anna — od dziś boks znowu będzie otwarty, bo ja wracam do niego, a panna Stopińska zajmie swoje dawne miejsce.

— Daj Boże — westchnął woźny.

— Dlaczego Zygmunt wzdycha — uśmiechnęła się — czy myśleliście, że wyjechałam na drugi koniec świata?

— Nie to, proszę pani... Tylko, że różnie gadają...

Zadreptał na miejscu, stał dłonią nieistniejący kurz na stojącym obok stoliku i machnął ręką:

— Co ja tam zresztą wiem...

— Nie rozumiem, co Zygmunt chce powiedzieć? — zmarszczyła brwi Anna.

— A to, że dałby Bóg, żeby pani usadziła tę cholerną babę, bo przez nią...

Urwał nagle: szybkim, pewnym krokiem weszła panna Stopińska. Zanim przywitała się z Anną, powiedziała woźnemu:

— Zygmunt znowu nie wywiesił nowego rozkładu jazdy. Proszę natychmiast to zrobić.

— Dzień dobry pani — życzliwie wyciągnęła do niej rękę Anna.

— Dzień dobry pani — odpowiedziała panna Stopińska ze swoją zwykłą zdawkową uprzejmością, podając sztywną dłoń.

— Takie piękne lato, a mój urlop się skończył. Trzeba zabierać się do roboty.

Panna Stopińska zdawała się nie słyszeć jej słów i znowu zwróciła się do woźnego, wydając mu jakieś dyspozycje, po czym wyjęła z torebki klucz, weszła do boks, nie zwracając na Annę uwagi, zdjęła rękawiczki, kapelusz, otworzyła biurko i zaczęła zeń wyjmować papiery. Anna również zdjęła kapelusz i nieco zaskoczona zachowaniem się podwładnej powiedziała sucho:

— Zechce pani zaraz zdać mi robotę. Czy wycieczki palestyńskiej nie odwołaliśmy?

W tej chwili do boks zapukał jeden z urzędników, pan Jasiński, przywitał się i złożył swój podpis na arkuszu, leżącym na brzegu biurka. U góry arkusza widniał napis „Lista obecności” i data. Jasiński skłonił się i wyszedł, mijając się we drzwiach z panną Kalinowską, za nią wchodzili inni, podpisywali się i wychodzili. Sposób, w jaki witano się z Anną, był dziwnie nienaturalny. Panna Stopińska do niektórych pracowników odzywała się z różnymi uwagami i to w takim tonie, jakby nie była ich koleżanką, lecz zwierzchniczką.

— Po cóż ta innowacja z listą obecności — powiedziała Anna — niepotrzebnie pani to wprowadziła. Uważam to za zupełnie zbyteczne.

— Możliwe, ale to pan dyrektor tak zarządził.

— Pomówię o tym z dyrektorem, a teraz będzie pani łaskawa zdać mi sprawozdanie z bieżących rzeczy.

Już sam fakt, że panna Stopińska siedziała w jej obecności na jej miejscu zatracił impertynencją i Anna w duchu postanowiła sobie wziąć ją w dobre karby, gdy niespodziewanie usłyszała:

— Teraz nie mam czasu. Jest pilna robota.

— Co?!

— Powtarzam — spokojnie wycodziła panna Stopińska — mam pilną robotę. A co dotyczy w ogóle działu turystycznego i jego kierownictwa, niech pani zwróci się do pana dyrektora.

— Co pani przez to chce powiedzieć? — zbladła Anna.

— Ja tu nic nie mam do powiedzenia — wzruszyła ramionami i zabrała się do pracy.

Anna stała wzburzona do najwyższego stopnia. Bezczelność tej baby, tej ohydnej baby, była wprost nie do uwierzenia.

— Jednak ja mam coś do powiedzenia — wybuchła wreszcie Anna przerywanym głosem — ja jestem tu kierowniczką, jestem zwierzchniczką pani i żądam, by pani natychmiast stąd wyszła.

— A ja pani radzę uspokoić się i udać się do dyrekcji...

— To niesłychane!

— I proszę... mi nie przeszkadzać — zakończyła panna Stopińska.

Anna dosłownie wybiegła z boksu. Była tak podniecona, że ledwie zauważyła ciekawe i współczujące spojrzenia kolegów. Szybko przeszła przez salę, poczekalnię, nerwowo zapukała i nie czekając na pozwolenie, wpadła do gabinetu. Minza jeszcze nie było. Na biurku woźny układał papiery.

— Uszanowanie pani, pan dyrektor będzie za godzinę — objaśnił.

Anna zastanowiła się, co ma przez ten czas począć. Nie mogła czekać tu, czy w biurze, a siłą wyrzucić Stopińską też byłoby niepodobieństwem. Nagle przypomniał się jej Tański i pobiegła do niego. Ucieszył się na jej widok, serdecznie ucałował jej ręce i widocznie domyślał się wszystkiego, czy w ogóle wiedział, dość, że nie pytał o nic. Lecz Anna musiała podzielić się z nim tą niesłychaną przykrością. Wysłuchał jej uważnie i powiedział:

— Do czasu przyjścia Minza powinna pani opanować nerwy. Obijało mi się o uszy to i owo. Bardzo możliwe, że istotnie Minz chce utrzymać Stopińską na pani stanowisku, ale pomimo wszystko jest on człowiekiem przyzwoitym i nie sądzę, by mógł zaakceptować afronty tej panienki w stosunku do pani. Tylko spokoju, droga pani Anno.

Rozmowa z Tańskim rzeczywiście uspokoiła Annę. To też, gdy wezwano ją do Minza, była dostatecznie opanowana, by jej oburzenie nie przybrało charakteru awantury. Minz przyznał, że zachowanie się panny Stopińskiej nie było taktowne, lecz miało swoje podstawy. Firma mianowicie postanowiła dalsze kierownictwo działu turystycznego powierzyć pannie Stopińskiej.

— Pani zaś — zakończył Minz — obejmie sekretariat dyrekcji, naturalnie jeżeli to pani dogadza.

— Ależ, panie dyrektorze, to może robić byle stenotypistka!

— Cóż to panią obchodzi? Zostawiam pani jeszcze przez trzy miesiące tę samą pensję, otrzyma pani prawne wypowiedzenie i wszystko w porządku. Jeżeli zaś pani nie chce — ha, to trudno.

— Ja nie mogę tego przyjąć — zacięła się Anna.

— W takim razie... — rozłożył ręce Minz.

Anna chciała coś odpowiedzieć, lecz wybuchnęła płaczem. Przestraszony i niezadowolony Minz zaczął ją uspokajać, gdy do gabinetu wszedł Tański. W pierwszej chwili chciał się cofnąć, lecz na znak ręki Minza został. Jego obecność jeszcze bardziej rozżaliła Annę. Oparła się o framugę okna i szlochała cicho, z całych sił przyciskając do oczu mokrą chusteczkę. Słyszała, że mówił do niej Minz i mówił Tański, że Minz jakby się usprawiedliwiał, że rozmawiali ze sobą półgłosem, ale nie rozumiała, nie chciała rozumieć, nie chciała wiedzieć. Oto spotkała ją wielka krzywda, niezasłużona krzywda i poniżenie, i lekceważenie. Sponiewierano ją, zepchnięto. Jest sama, okropnie sama i nie ma nikogo, kto by się za nią ujął. Cóż jej teraz zostanie, co pocnie z biedną malutką Litunią, jak da sobie radę na tym obcym, zimnym, bezlitosnym świecie! I za co, za co! Czyż nie starała się pracować najlepiej, jak umiała?!... I wypędzają ją, jak psa, jak niepotrzebnego psa. Przed nią była czarna czeluść beznadziejnej przyszłości i tylko wątle rączki Lituni wyciągnięte rozpaczliwym gestem...

Na przegubie ręki uczuła mocny, prawie bolesny uścisk dłoni Tańskiego i usłyszała jego głos:

— Proszę, niech się pani uspokoi. Już wszystko załatwione. Wszystko dobrze. Niech pani teraz wytrze oczy. Odwiozę panią do domu.

Gdy wreszcie odzyskała równowagę, spostrzegła, że Minza nie ma. Wyglądała zapewne okropnie. Tański zasłaniał ją sobą, gdy przechodzili do taksówki. Po drodze dowiedziała się, że Minz dał sobie przemówić do sumienia. Zgodził się zostawić Annę na dotychczasowym stanowisku, wprowadzić z pewną obniżką pensji, ale to dopiero po trzech miesiącach. Panna Stopińska zaś obejmie proponowany poprzednio Annie sekretariat.

Nawet zapomniała podziękować Tańskiemu. Weszła do bramy, widziała, jak wsiadł do taksówki i odjechał. Jedno spojrzenie w lusterko upewniło ją, że w takim stanie nie może pokazać się Lituni i Marianowi. Wyszła z bramy i szybko szła w stronę Wisły, gdzie nie było nikogo. Upłynęła dobra godzina, kiedy zawróciła do domu. Postanowiła nawet nie wspominać o niczym Marianowi: co on na to może poradzić?... Ku swej radości zastała Bubę. Widocznie Tański zawiadomił ją i prosił, by przyszła do Anny. Jacy oni dobrzy oboje i kochani. Zresztą, czyż to sztuka być dobrym, gdy się jest szczęśliwym!

Marian siedział w jednym pokoju i czytał książkę. W drugim Buba siedziała na podłodze i pomagała Lituni przebierać lalki. Witając się z Bubą, Anna omal znowu nie rozplakała się. Lecz było tu teraz tak słonecznie, tak wesoło, tak pogodnie! Tylko Marian w tym wszystkim stanowił jakiś obcy kontrast. Buba udawała, a może naprawdę nic nie wiedziała o zajściu w Mundusie. Natomiast dużo mówiła o sobie, o mężu, o projektowanym wyjeździe zagranicę i przeplatała to wszystko zachwytemi nad Litunią.

Gdy wyszła, Anna, jeszcze cała rozpromieniona, odruchowo zwróciła się do Dziewanowskiego:

— Jaka to cudowna istota, ta Buba!

— Zwykła gaska — odpowiedział obojętnie i Anna poczuła doń po raz pierwszy głęboką urazę.

I zaczęło się w Mundusie, niby po staremu; Anna objęła kierownictwo działu turystycznego, ku nietajonej radości całego personelu. Radość jednak nie trwała długo. Panna Stopińska, która zdobyła sobie wprost niewytłumaczalny wpływ na dyrektora, umiała ten wpływ wyzyskać. I tak nazajutrz po skasowaniu przez Annę listy obecności, lista ta została wznowiona z tą różnicą, że teraz wszyscy pracownicy już nie tylko z działu turystycznego, lecz z całego biura, musieli codziennie podpisywać się w pokoju sekretarki pana dyrektora. Panna Stopińska zhardziała jeszcze bardziej. Nie było dnia, by nie zwróciła — a wszystko w imieniu dyrektora — korespondencji lub wykazów do poprawek. Wtrącała się literalnie do najdrobniejszych spraw, a Minz akceptował każdą jej przyczepkę. Pomału, lecz systematycznie koncentrowała w swym ręku kontrolę nad pracą całej firmy. Nienawidzono jej powszechnie, a liczyć się z nią musiał nawet Tański, mający większe znaczenie u Minza niż inni.

W stosunku do Anny panna Stopińska była poprawnie oficjalna. Nie pomijała wszakże najmniejszej okazji do utrudnienia jej pracy lub sprawienia przykrości. Mściła się na zimno, z wyrachowaniem i dotkliwie. Nie to jednak najbardziej oburzało Annę, lecz ustawiczne ograniczanie jej kompetencji, wścibianie nosa w ściśle wewnętrzne sprawy oddziału, perfidne dopuszczanie do decyzji, po to tylko, by je potem przekreślić.

Powietrze w biurze stało się ciężkie, zwłaszcza od dnia, gdy na miejsce ongiś Buby wsadzono jakąś daleką kuzynkę panny Stopińskiej, starą jędzę, ustawicznie szpiegującą i jawnie uprawiającą donosicielstwo.

Anna czuła się tu jak w więzieniu. Każde wyjście z biura było rozkoszą, tym bardziej, że w domu zastawała Litunię. Cały wolny czas spędzała teraz z dzieckiem i nie bywała nigdzie. Nawet u Tańskich, tylko wtedy, gdy mogła tam pójść z Litunią. Stosunki z rodziną zanikły zupełnie. Odwiedziła raz tylko panią Grażynę po to, by wysłuchać serii gorzkich zarzutów pod adresem Wandy, Kuby i całego świata.

— Leż tu we własnym domu — mówiła pani Grażyna — jak kłoda, wyrzucona przez prąd na pustyńny brzeg. Przez wszystkich zapomniana, nikomu niepotrzebna.

Cóż jej Anna na to mogła powiedzieć, jak pocieszyć, jak zaprzeczyć prawdzie? Milczała z nijakim wyrazem twarzy i myślała jakby prędzej znaleźć pretekst do odejścia. Nawet na pytania dotyczące Szczedroniów nie umiała dać odpowiedzi, gdyż z rzadka tylko dobiegały wiadomości od nich i to niepewne, a w żadnym razie nienadające się do powtórzenia. Anna mianowicie czasami spotykała Władka Szermana, który na Okólniku wprawdzie nie był, lecz przez Kolchidę wylawiał różne plotki o Wandzie. I tak coś w trzy miesiące po powrocie z urlopu, na początku jesieni, usłyszała od niego, że Szczedroń podobno zrzucił

Samotność

ze schodów owego maga Rokoszcę, że ponoć nawet pobił Wandę. Anna nie bardzo w to wierzyła, ale w kilka tygodni później, przy jakiejś sposobności powtórzyła to Marianowi, jako wiadomość zupełnie pewną. Ciekawa była, jakie to na nim wywrze wrażenie. Marian wszakże nie zdziwił się:

— Szchedroń zawsze bił panią Wandę — wzruszył ramionami.

— Niemożliwe — niekonsekwentnie zaprzeczyła Anna.

— Wiem to od niej samej.

— Czy widzisz się z nią? — zapytała obojętnie.

Zaprzeczył ruchem głowy. Przy następnym spotkaniu z Władkiem, Anna postanowiła to sprawdzić. Marian mówił prawdę. Chodził oczywiście znowu do Kolchidy i przesiadywał tam godzinami, lecz Wandy nie widywał.

— Jak to — mówił Władek — nie wiesz, że Wanda zerwała z Kolchidą?

— Nic o tym nie słyszałam.

— Ależ tak. Założyła teraz dwutygodnik teozoficzny i tam wypisuje straszliwe głupstwa, z właściwym sobie wdziękiem. Podobno odprawia nawet jakieś nabożeństwa w ametystowej chlamidzie¹³⁸.

Opowiadał swoim drwiącym stylem, szeroko i barwnie. Annę nie obchodziło to wcale, ale słuchała z przyjemnością. Wołała myśl zająć czymkolwiek, niż znowu męczyć się troską o swoje życie, o przyszłość Lituni, o beznadziejność uczuć dla Mariana, wygasających z dniem każdym, niemal z każdą godziną.

Władek odprowadził ją do bramy i zmieniając ton, zapytał poważnie:

— Jakże się sprawuje moja Paczuska?

Paczuska była to bona Lituni. Naprawdę nazywała się Zofia Koźlińska, a do Paczuski doszła z racji jakiegoś pseudonimu filmowego, który sobie wybrała, a co brzmiało Jola Paccio, jeżeli zaś nie zostało słynne, to tylko dlatego, że do występów Joli Paccio nigdy nie doszło. Tę właśnie Paczuszkę wyłowił gdzieś Władek i wziął pod swoją opiekę, a gdy Anna poszukiwała bony, gorąco polecił. Panna Zofia zachowywała się przyzwoicie, przychodziła punktualnie, mówiła poprawnym językiem, dbała o Litunię, a co najważniejsze, pozyskała jej przywiązanie. Toteż Anna była wdzięczna Władowi za jego protegowaną i, gdyby to było możliwe, zatrzymałaby ją u siebie na stałe. Niestety szczupłość mieszkania nie pozwalała na zainstalowanie w nim jeszcze jednej osoby i to martwiło Annę z dwóch względów. Po pierwsze, dziecko polubiło pannę Zofię i kaprysiło coraz bardziej, gdy tylko ta odchodziła, po drugie, młody wiek dziewczyny wymagał również swego rodzaju opieki, do której poczuwała się Anna już i z tej racji, że Władek ją uprzedził o potrzebie czuwania nad Paczuszką, którą — jak okólnikowo objaśnił — wyłapał w locie z „równi pochyłej”. Na czym owa „równia pochyła” polegała, Anna nie interesowała się wcale, gdyż — rzecz dziwna — miała jakieś zupełnie nieuzasadnione instynktowne zaufanie do Władka. W każdym razie panna Zofia była młodzieńcem, a jeżeli nie ładna, to obdarzona silnym wdziękiem o specyficznym zmysłowym zacięciu, który bardziej zwraca uwagę mężczyzny niż uroda. Obserwowała to nawet na Marianie i na jego spojrzeniu, którym wodził za Paczuszką. Nie sprawiało to jednak Annie najmniejszej przykrości. Ostatnimi czasy tyle nagromadziła w sobie żalu, znużenia i niechęci, że przyglądając się Marianowi i tej małej, raczej niepokoiła się o nią, jeżeli niepokoiła się w ogóle.

Panna Zosia chodziła co dzień z Litunią na długie spacery do Ujazdowskiego Parku i później z szczebiotań Lituni dowiadywała się Anna o kilku młodych ludziach, którzy zjawiali się tam również. Zdarzało się także, że panna Zosia, gdy przychodziła z rana, była blada, zmęczona i miała podkrążone oczy. Na pytanie, co jej jest, oświadczała, że ból głowy męczył ją przez całą noc lub że ciotka, u której mieszkała niedaleko na Powiślu, cierpi na wątrobę i czasami wymaga, by przy niej czuwać. Lekki rumieniec czy zmieszanie, jakie towarzyszyły tym wyjaśnieniom, nie upoważniały jednak do żadnych krzywdzących podejrzeń.

Tyle wiedziała o Paczusce Anna do owego strasznego dnia, który spadł na nią największym nieszczęściem.

Był już grudzień. W nocy spadł pierwszy śnieg i gdy z rana podniosła rolety, pokój napłynął się białym mlecznym światłem. Pomimo nagłej jasności Litunia się nie obudziła.

¹³⁸chlamida — krótka (sięgająca uda) męska szata noszona w starożytnej Grecji. [przypis edytorski]

Jej jasna gęsta czupryna rozsypywała się złotymi smugami na poduszce. W sąsiednim pokoju służąca przygotowywała śniadanie. Przed przejściem do łazienki Anna zawróciła, wyjęła z szuflady wczoraj otrzymany list od adwokata i jeszcze raz przeczytała uważnie. Donosił jej, że rozwód uzyskał już moc prawną i winał zakończenia procesu.

„Jest Pani wolna — pisał — lecz jako stary i doświadczony adwokat nie wątpię, że wkrótce zechce mnie i Pani zaszczyścić zawiadomieniem o ponownej rezygnacji z tej wolności”.

— Nie, nie ja — potrząsnęła głową Anna, w zamyśleniu składając list.

Teraz dopiero z całą wyrazistością uświadomiła sobie, że jej małżeństwo z Marianem byłoby nonsensem. Po prostu nonsensem. Już od dawna oddalała się odeń na dystans tak wielki. Jego dziwaczna, anemiczna, chora miłość była zbyt wątlą między nimi łącznikiem. Ich fizyczne zbliżenia nie miały już w sobie nic z porywu, nic z egzaltacji czy zapomnienia, a nawet nic z istotnej potrzeby. Nie były też wynikiem przyzwyczajenia, lecz raczej czymś, czym przed sobą starali się zamaskować głębokie organiczne zmiany w swych uczuciach. Bo Anna, chociaż nie miała żadnych na to dowodów, była pewna, że i w nim jakieś zmiany zająć musiały. Nie mogła uwierzyć w zakłęcia, którym brakło siły wzniesienia woli, do walki o zamierające szczęście, a przecie twierdził uporczywie, że bez niej żyć nie potrafi.

— Nie... nie... — powtarzała — jestem wolna dla siebie i dla Lituni. I tak już będzie zawsze...

Za oknami rozciągała się jej przyszłość pusta, zimna i biała, jak śnieg. Jakiś bolesny smutek, jakiś bezmiar samotności, a później starość...

— Leżę tu, jak kłoda, wyrzucona na pustynny brzeg, nikomu niepotrzebna... — mówiła ciotka Grażyna.

Anna otrząsnęła się:

— To bluźnierstwo, bluźnierstwo przeciw mojej najdroższej kruszynie. Nie, ja nigdy nie zaznam tego strasznego uczucia, ani ja, ani ona.

Pochyliła się nad łóżeczkiem i wpatrywała się w Litunię. Tak, one dwie wystarczą sobie, zupełnie wystarczą. I nigdy się nie rozstaną, nigdy nie będą sobie obce. Oczywiście Litunia wyrośnie na śliczną pannę i będzie miała duże powodzenie, a w końcu wyjdzie za mąż, za jakiegoś dzielnego, zwyczajnego chłopca, za zwyczajnego, broń Boże nie za żadną znakomitość czy wybitną jednostkę. Już Anna będzie umiała wybrać jej męża. Pracowity, energiczny, zdrowy, wesoły, może być nawet trochę arbitralny i szorstki. To nic nie szkodzi, nawet odrobinę despotyczny, ale mężczyzna, taki co wie, czego chce i taki, który by żył dla domu, dla żony i dzieci, nie dla czegoś tam ogólnego, społecznego czy metafizycznego...

Pod wpływem wzroku matki dziecko poruszyło się i od razu rozbudzone usiadło uśmiechnięte, wyciągając różowe rączki, lecz zaraz je cofnęło i zaczęło piąstkami przecierać oczy.

— Tak szczypie — powiedziało.

Powieki były z lekka obrzękłe, a białka zaczerwienione. Mogło to być skutkiem wiatru podczas wczorajszego spaceru lub, co gorsza, zapaleniem spojówek. Anna naprędce przemyśla jej oczy bornym kwasem i postanowiła, że po powrocie z biura, jeżeli zaczerwienienie nie ustąpi, zawiezie Litunię do lekarza. Właśnie nadeszła panna Zosia i Anna wydała jej polecenie przemywania dziecku oczu co dwie godziny. Ponieważ zaś i sama panna Zosia wyglądała fatalnie, mizerna i jakaś zgębiona, Anna kazała jej zmierzyć temperaturę, lecz dziewczyna oświadczyła, że nic jej nie jest.

Idąc do biura, Anna jednak niepokoiła się. Nie daj Boże, panna Zofia może mieć grypę i zarazić Litunię. Och, ileż Anna dałaby za to, by nie powierzać swego skarbu nikomu. Gdyby mogła, nigdy by nie trzymała żadnej bony, starałaby się ani na chwilę nie zostawiać dziecka na czyjekolwiek opiece.

Na wszelki wypadek zatelefonowała z biura do Władka z prośbą, by jako lekarz zechciał wstąpić o siódmej. Gdyby mogła wówczas wyobrazić sobie, jak bardzo było to konieczne! Pomimo nawału pracy i nowych szykan ze strony panny Stopińskiej, zwolniłaby się natychmiast.

Dowiedziała się jednak o wszystkim dopiero po powrocie do domu. Na widok Lituni wyrwał się jej z gardła krzyk przerażenia: oczy były czerwone, obrzękłe, całkowicie

zapachnięte, a z wzdętych fałd powiek sączyła się ropa. Najpierw przestraszyła się, że panna Zofia przez pomyłkę przemywała oczęta Lituni czymś innym, lecz już w pięć minut później przyszedł Władek. Nawet dziecka nie badał.

— Ubierz ją Anko prędzej — powiedział — trzeba jechać do kliniki.

— Jezus, Maria, Jezus, Maria — nieprzytomnie powtarzała Anna, gorączkowo ubierając Litunię — co to jest, co to jest...

W klinice wystarczyło specjalistę jedno spojrzenie. Pomimo to, zrobił preparat i zbadał pod mikroskopem. Rzecz nie ulegała wątpliwości:

— *Gonorrhea*¹³⁹ — powiedział krótko.

Władek zaczął mówić szybko i głośno. Zapewniał, że to jest początkowe stadium, że o utracie wzroku nie może być mowy, że wszystko przemawia za łatwością uratowania wzroku...

Anna wpatrywała się weń rozszerzonymi źrenicami. Słyszała głuchy dźwięk jego głosu i widziała, że jest śmiertelnie blady.

To było jej ostatnie wrażenie. Sama nie wiedziała, kiedy zemdlała.

Z chwilą odzyskania przytomności nie wróciła od razu świadomość. Leżała na sztywnej ceratowej kanapie. W powietrzu pachniało jakimiś medykamentami. Nagle poznała pochyloną nad sobą twarz lekarza w białym kitlu i przypomniała wszystko: Litunia ma gonorealne zapalenie spojówek. Anna wiedziała dobrze, co to znaczy: w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto — ślepotą.

— Jak się pani czuje? — zapytał lekarz.

— Dziękuję — odpowiedziała. — Wstanę.

Ciężko podniosła się i przesunęła wzrokiem po gabinecie. Białe zegar między oknami wskazywał dwunastą.

— Gdzie jest moje dziecko? — wydobyła z siebie.

— Proszę, niech pani będzie spokojna — łagodnym tonem powiedział lekarz — uradziliśmy z kolegą Szymanem umieścić córeczkę pani tu, w klinice. Choroba jest poważna i wymaga stałej lekarskiej opieki. I mogę pani zaręczyć, że opieki tej nie zbraknie. Zrobimy wszystko, co leży w naszej mocy. Córeczka pani otrzymała osobny pokój i wszystko co potrzeba. Kolega Szyman jest teraz z nią.

— Boże, Boże...

— Pani zaś może nawet uzyskać pozwolenie na nocowanie przy dziecku. Wstawi się drugie łóżko. Już ja to uzyskam dla pani. Teraz jednak trzeba się opanować. Muszę mieć od pani szczegółowe informacje, dotyczące historii choroby.

— Proszę, jestem do pańskiej dyspozycji.

Doktor wyjął dużą porubrykowaną kartę i zaczął pisać. Imię, nazwisko, daty... Nadszedł i Władek. Oświadczył, że Litunia usnęła.

Pomimo późnej pory, Anna pojechała do domu i zabrawszy naprędce najpotrzebniejsze rzeczy, wróciła do kliniki oftalmologicznej¹⁴⁰. Nie spała całą noc, z rana zaś zatelefonowała do biura, prosząc Minza o zwolnienie z powodu ciężkiej choroby dziecka. Minz wypytał o co chodzi, a dowiedziawszy się, że dziecko jest w klinice, orzekł, że opieka Anny wydaje mu się zbyt ciężką i dlatego zwolnić jej nie może.

Była bezsilna. Nie mogła przecie wbrew wyraźnemu życzeniu dyrektora nie pójść. Oznaczałoby to utratę posady, czyli zrezygnowanie z jedyne go, i jakże koniecznego teraz, źródła egzystencji.

Zaczęły się dni najcięższe. Nawał pracy w biurze i graniczący niemal z nieprawdopodobieństwem wysiłek skupienia myśli na wycieczkach, hotelach, reklamacjach, zamówieniach. Ludzie śpieszyli, załatwiali interesy, podróżowali, bawili się, domagali się wygód i rozrywek, wyprawiali awantury z powodu łada niedokładności, łada zapomnienia, a czyż który z nich pojął, że tam w szarej kanciastej i niezrozumiale wielkiej masie spiętrzonego betonu jest mała cęła, gdzie ślepnie z dnia na dzień, ślepnie najsłodsze, jedyne dziecko na świecie, cel i sens, wartość i treść całego wszechświata!

Z oczami Lituni było coraz gorzej. Brązowe lepkie krople lekarstwa spływały po bladej twarzyczce od straszliwie zapachniętych powiek, przez które niepodobna było domyślić

¹³⁹*gonorrhea* — rzeżączka, choroba przenoszona drogą płciową. [przypis edytorski]

¹⁴⁰*oftalmologiczny* — okulistyczny. [przypis edytorski]

się ogromnych niebieskich dwóch gwiazd, dwóch słońc, dwóch źródeł radości, szczęścia i wszystkiego, dla czego jeszcze warto było żyć. Co drugi dzień małe ciało rozpalalo się bezlitosną gorączką. Przychodziła zawsze w trzy, cztery godziny po zastrzyku. W wątłe mięśnie, w błękitne żyłki, w których gwałtownie pulsowała krew, wbijano sztywne, grube igły. A ta gorączka to jedyna nadzieja ratunku.

Wszyscy to powtarzali. Nad białym łóżeczkiem, w ciemnej sali klinicznej pochylały się poważne, obojętne głowy, wciąż innych i innych lekarzy. Władek zaprzestał własnej praktyki. Całymi dniami biegał, by zbierać kolegów na konsylia, sam czuwał przy dziecku lub w sąsiednim pokoju wertował stosy posprowadzanych pocztą lotniczą pism lekarskich i listów od największych powag zagranicznych. Anna wiedziała, że nie może go obciążać odpowiedzialnością za to, co się stało, a jednak miała doń żal, nierozumny, ostry żal, który przeradzał się prawie w nienawiść z każdym pogorszeniem się stanu Lituni.

W takich chwilach Anna zupełnie nie mogła opanować rozpacz. Padła na kolana przed bezbronnymi lekarzami, tłukła głową o ścianę, do krwi gryzła palce, a nocą leżała krzyżem na zimnej podłodze i przepalała się w żarliwej, bluźnierczej modlitwie.

Z rana wlokła się do biura, bezsilna, odurzona wiarą swego cierpienia, potęgą swych nocnych zaklęć, pokorą swych zuchwałych ślubów i wotów.

Minął tydzień i nawet nie zajrzała do domu, nawet nie przypomniła sobie Mariana, a gdy raz przyszedł wieczorem do kliniki, zamieniała z nim zaledwie kilka słów, zdumiona tym, że ośmiela się odrywać ją od dziecka, bodaj na sekundę, on, obcy, obojętny, nieistotny cień nieważnej przeszłości.

Nie umiała zająć uwagi niczym, co nie było bezpośrednio związane z chorobą Lituni. Dowiedziała się od Władka, że Zosia została umieszczona w szpitalu dermatologicznym, że sama jest poważnie chora i że w gruncie rzeczy nie można jej winić, gdyż gdyby domyślała się swojej choroby, na pewno przyznałaby się zaraz i nie zaraziła Lituni. Władek tak tłumaczył Zosię, jakby chciał ją obronić przed Anną, a przecie Anna nawet już o niej nie pamiętała. W ogóle w tym wszystkim widziała nie krzywdę Lituni, nie grożącą jej ślepotę, lecz siebie nad przepaścią, lecz swoją odpowiedzialność przed samą sobą i w tym zamkniętą własną tragedię.

Na początku trzeciego tygodnia choroby przyszło gwałtowne pogorszenie i znowu zaczęły odbywać się konsylia. Kręcili głowami, sprzeczali się, chwyтали siebie za guziki, wymieniali łacińskie słowa. Wreszcie oświadczyli Annie, że sprawa jest beznadziejna: dziecko straci wzrok.

Nie wierzyła. Wyrok przyjęła zupełnie spokojnie, bo nie mogła uwierzyć. Czekala cudu, czekała tak, jak się czeka czegoś nieuniknionego.

Późnym wieczorem przyszedł Szczedroń. Przyszedł nieproszony. Sam dowiedział się na mieście i przyszedł. Burkliwie przywitał się z Anną, zamienił dwa zdania z Władkiem, postął kilka minut przy łóżku i powiedział:

— Wezmę próbkę krwi.

— Po co? — zapytał Władek.

— Przytrzymaj jej rękę — odmruknął Szczedroń.

Anna siedziała nieruchomo na twardym białym stołku i widziała, jak w paluszku Lituni zanurza się ostrze igły. Szprycka do połowy napełniała się gęstą czerwoną cieczą. Szczedroń wyjął z kieszeni buteleczkę i przelał do niej krew, po czym rozejrzał się niezdecydowanie, powiedział, że dzisiaj jest mróz, że dawno nie ma człowiek czasu ogolić się i wyszedł. W dwie godziny potem zatelefonował. Zapytał Annę, jak dziecko z żołądkiem, jaką ma normalnie temperaturę, czy chorowało kiedy na zapalenie płuc, a na zakończenie zapytał:

— Chcę spróbować pewnego środka. Ale to eksperyment i w dodatku pierwszy, czy chce pani?

— Nie wiem, skądże ja mogę wiedzieć — zatrzęsała się Anna.

— Rzecz jest niebezpieczna. O tym uprzedzam. Mała może umrzeć albo popaść w ciężką chorobę krwi i nie odzyskać wzroku. Uprzedzam. Ale mam powody przypuszczać, że tak nie będzie. Moim zdaniem jest więcej szans na skuteczność zabiegu. Jeżeli eksperyment uda się, dziecko wyzdrowieje bardzo szybko. Zatem proszę zdecydować się.

Anna nie mogła na to się zdobyć. Żądanie od niej decyzji było wprost znęcaniem się nad nią. Nie umiała dać stanowczej odpowiedzi.

I tak ciągnęło się znowu przez dwa dni. Czyż miała prawo ryzykować życiem Lituni, czy z drugiej strony nie było zbrodnią, chcieć ją zachować dla siebie, skazując na ślepotę... na życie w tym strasznym kalectwie...

Wreszcie stało się.

Wróciła z biura, nie przeczuwając niczego, lecz gdy tylko otworzyła drzwi, pomimo panującego wewnątrz półmroku od razu wiedziała wszystko: przy łóżeczku bielił się kwadrat stolika do iniekcji, nad Litunią stał pochylony Władek, badając jej puls. Obok, rozkraczywszy nogi, z brodą podpartą na ręku i z okularami zsuniętymi na czoło siedział Szczedroń. Nie poruszyli się przy wejściu Anny. W powietrzu przesyconym wonią eteru drżał jakiś syk. To działał aparat tlenowy.

— Jezus — zdołała wyszeptać Anna i oparła się o drzwi.

Twarz Szczedronia skurczyła się nagłym grymasem i znowu zastygła. Annie cisnęły się pod czaszką myśli straszne, potworne: nie ma już żadnego ratunku. I to, czego w głębi tak pragnęła, czego oczekiwała, a na co tylko zdecydować się nie umiała, przyszło, zważyło się okrutną prawdą i wydało się Annie dokonaną zbrodnią, na którą nisko, tchórzliwie przystała samym swoim milczeniem...

— Sto siedemdziesiąt — chrapliwym głosem odezwał się Władek.

— Lód — odpowiedział spokojnie Szczedroń.

Obaj powoli i jakby leniwie zabrali się do układania kwadratowych worków gumowych. Z Lituni ściągnięto kolderkę, jej nagie ciało podniesiono do góry, podkładając woreczki z lodem. Po chwili cała była nimi pokryta.

— Zabiliście ją, zabiliście! — jęknęła Anna.

— Cicho! — zaskrzeczał gniewny głos Szczedronia.

— Boże, Boże!...

— Wyprowadź ją! — prawie krzyknął Szczedroń.

Nie opierała się. Władek objął ją i łagodnie, lecz stanowczo wyprowadził na korytarz, a stamtąd do jakiegoś pustego pokoju. W korytarzu minął ich miejscowy lekarz, w białym kitlu. Zamienił z Władkiem spojrzenia, znikł w pokoju Lituni. I Władek nie został długo. Siedziała sama, nie zdając sobie sprawy z mijających godzin. Już zaczęło jaśnieć na dworze, gdy Władek wrócił. Miał w ręku szklaneczkę z jakimś płynem.

— Wypij to — powiedział.

— Nie chcę — potrząsnęła głową.

— Veronal¹⁴¹, dobrze ci zrobi. Musisz wypocząć.

Poderwała się:

— Dlaczego nie mówisz nic o Lituni!? Ona nie żyje!!!

— Żyje i będzie żyć.

— Boże!

— Wypij to, Anko i połóż się tutaj.

Posłusznie wypila zawartość szklaneczki. Gdy obudziła się, był już wieczór.

Na korytarzach paliły się lampy. W pokoju Lituni panowała cisza. Dziecko spało. Sanitariuszka siedząca u wezglowia podniosła palec do ust, nakazując ciszę. Anna zbliżyła się na palcach do łóżeczka. Szara twarzyczka Lituni miała jakiś bolesny wyraz. Jasne włoski wyglądały sztywno i martwo. Ileż ta anielska istotka musiała wycierpieć...

— Niech siostra idzie spać — szepnęła Anna — jestem wypoczęta i sama będę czuwała.

Sanitariuszka przecząco potrząsnęła głową, wskazując na szereg buteleczek z lekarswami i na zegarek. Anna zrozumiała, że trzeba wiedzieć, które lekarstwa kiedy stosować. Kiwnęła głową i usiadła w kącie.

Teraz przypomniła sobie, że nie była dziś w biurze, że nawet nie zawiadomiła Minza, a tam tyle pilnych spraw czekało na nią. Oczywiście musiał je ktoś pozałatwiać. Na pewno panna Stopińska.

— Jakaż to katorga — pomyślała — jutro trzeba będzie przepraszać, tłumaczyć się, usprawiedliwiać. Ja już doprawdy sił na to nie mam.

Istotnie, była wyczerpana, zarówno pod względem fizycznym, jak nerwowym do ostatnich granic. Aż zaczęło na nią przychodzić swego rodzaju otępienie, jakby znie-

¹⁴¹veronal a. barbital — dawny lek nasenny. [przypis edytorski]

czulenie w stosunku do wszelkich spraw, które tylko bezpośrednio nie dotyczyły Lituni. Nazajutrz, dlatego właśnie dość obojętnie zniosła wymówki Minza i aroganckie uwagi panny Stopińskiej.

— Wprost pojąć nie umiem — mówiła panna Stopińska — jak można tak lekceważyć przyjęte na siebie obowiązki.

— Bo nie ma pani dziecka, któremu grozi śmierć lub ślepotą — smutno odpowiedziała Anna.

— Pani daruje, ale to jest pani prywatna sprawa.

— To mój pierwszy obowiązek. Przede wszystkim jestem matką.

— Przecież nie z winy Towarzystwa Mundus. To dla firmy jest obojętne. Skoro się otrzymuje pieniądze, należy spełniać przyjęte na siebie zobowiązania. Gdyby każdy pracownik swoje prywatne przykrości uważał za wystarczający pretekst do niespełniania powierzonego mu zadania, należałoby wszystkie przedsiębiorstwa i urzędy zmienić w zakłady filantropijne. Komunikuję pani, że za wczorajsze opuszczenie pracy dyrekcja postanowiła stracić z jej poborów trzydziestą część.

Anna nic na to nie odpowiedziała. Strącanie kar za nieobecność było innowacją, wprowadzoną od niedawna przez Minza, oczywiście z namowy panny Stopińskiej. Ta zła kobieta cierpiała wprost na manię wprowadzania do biura jakiejś więziennej dyscypliny, zawziętego, twardego rygoru, ustawicznego szpiegowania, donosicielstwa, kontroli przypominającej rewizję policyjną. Anna nie mogła zaprzeczyć, że wszystko to wychodziło na korzyść firmy, dziwiła się tylko pobudkom zjadłości panny Stopińskiej. Robiła karierę, to prawda, lecz cóż jej mogło to dać za radość? Nawet Minz, który miał dla niej całkowite uznanie i takie zaufanie, że nieraz po kilka dni nie przychodził do biura, przecież jej nie lubił, a reszta? Trudno powiedzieć, by tylko nie cierpiano panny Stopińskiej. Była to nienawiść. Schlebiali jej niektórzy i nadskakiwali. Tych traktowała z pobłażliwością, lecz większość musiała znosić od niej najdotkliwsze szykany i przyjmować je w milczeniu, gdyż za najmniejszy odruch obrażonej godności mściła się bez litości, a o zamachu na swoją wszechwładzę nie zapomniała nigdy. Była o nią wręcz chorobliwie zazdrosną, a że umiała postawić na swoim, świadczył chociażby fakt, że ilekroć dyrektor zmieniał jej zarządzenie, w jakiś tajemniczy sposób działało się tak, że wychodziło to przedsiębiorstwu na szkodę.

O życiu prywatnym panny Stopińskiej w Mundusie nie wiadano nic. Krążyły wprawdzie różne plotki, opowiadano o jakimś dentyście, który miał uciec sprzed samego ołtarza, o malarzu, w którym się kochała bez wzajemności i inne takie rzeczy.

Anna nie interesowała się tym i nie wierzyła z zasady plotkom, chociaż w danym wypadku nietrudno było uwierzyć, że ta nieładna oschła kobieta mogła mieć różne zawody sercowe i niepowodzenia, za które mściła się teraz na wszystkich.

Samo uczucie zemsty dotychczas dla Anny było też niezrozumiałe. Poznała je dopiero wraz z chorobą Lituni. Początkowo chciała nawet złożyć na pannę Zofię skargę w policji. Za zarażenie dziecka tą straszną chorobą powinna być odsiedzieć kilka lat więzienia. Jednak z biegiem czasu, gdy zaczęła się rekonwalescencja Lituni, a lekarze zapewniali, że odzyska ona wzrok całkowicie, w Annie pozostał tylko żal do bony.

— Mój żal do mnie, tylko do mnie — mówił Władek Szerman — wszystkiemu winna moja prostoduszność.

— Mam żal i do ciebie. Ale i ta obrzydliwa dziewczyna nie zasłużyła na litość. Nie wmówisz mi chyba, że nie prowadziła rozwiązłego życia.

— Zapewne, ale nie można całej winy zwać na nią. Zapewne jest to małe zwierzątko, ale nikt palcem nie ruszył, by przerobić ją na człowieka. Wychowywała ją ciotka. Od dziecka nie miała domu, więc skądże mogła wynieść jakieś podstawy moralne. Żyła nie w domu, lecz w mieście. Miasto, a więc ulica, kino, kawiarnia — to był jej dom. W ogóle kobieta powinna być zwierzęciem domowym. Z chwilą straty domu staje się albo bezpańskim kotem, pasożytem, albo niebezpiecznym rabusiem, o tyle niebezpieczniejszym, że niszczy nie dla zaspokojenia swoich instynktów, lecz dla samego niszczenia. Dobrą tresurę kobiety może dać tylko dom. Od dziecka należy jej wbijać w świadomość zakazy i nakazy, aż staną się w niej automatyczne. Rozumowanie jest całkiem zbędne, a nawet szkodliwe. Dlatego jestem zawziętym przeciwnikiem szkół koedukacyjnych, tego monumentalnego głupstwa dziewiętnastego wieku.

— Chyba dwudziestego — poprawiła Anna.

— Nie, dziewiętnastego, gdyż wyrosło ono z liberalnej postępowości tego wieku. Chłopców należy wychowywać i kształcić, a dziewczęta trenować i uczyć. Dwie całkiem różne metody. I na przykład takiej Paczusce nikt niczego nie wbijał do głowy. Za cóż ją karać? Postępowała zgodnie ze swymi instynktami, których żadna tresura nie wzięła w rzyty. Jest tu tylko moja wina, że nie wszystko powiedziałem. Zdawało mi się, że twój wpływ dobrze podziała na tę małą.

— Dziękuję ci — smutno uśmiechnęła się Anna.

— Za co?

— Uważasz mnie za wyjątek. Zresztą, mój kochany Władku, nie wmawiaj we mnie, że naprawdę tak źle myślisz o kobietach. Kochałeś bardzo swoją matkę...

— I cóż z tego? To jest kwestia stosunku emocjonalnego.

— Ach więc i mężczyźni nie zawsze zajmują stanowisko racjonalne?!

Teraz, gdy Litunia powoli odzyskiwała zdrowie, całe wieczory spędzali przy jej łóżeczku na długich rozmowach, a o czemkolwiekby zaczęli mówić, Władek zawsze w końcu nawracał do swego „prześladowniczego tematu”, do kwestii kobiecej.

— Właściwie mówiąc, karanie i w ogóle sądenie kobiet na podstawie prawodawstwa męskiego jest niesprawiedliwością. Skoro doszliśmy w sądownictwie do uzależnienia wyroku od pobudek zbrodni, od stanu psychicznego itd., musimy żądać, by wzięto pod uwagę to, że kobieta jest całkiem odmienną organizacją psychiczną.

— Oczywiście niższą — podstępnie dopowiadała Anna.

— Nie o to chodzi. Odmienną. Trzeba stworzyć sądy dla kobiet, a nawet wyrokiwanie w tych sądach powierzyć kobietom. Już wy tam lepiej znacie się między sobą. I w dodatku jestem przekonany, że wyroki wówczas będą znacznie surowsze. Kobieta z łatwością wyprowadzi mężczyznę w pole...

— O?!

— A tak, z łatwością, gdyż umysł męski nie jest w stanie posuwać się skokami w najnieprawdopodobniejszych kierunkach. Ulega nałogowi logiki, która przy zetknięciu się z kobiecym rozumowaniem jest narzędziem bezużytecznym. Natomiast kobiety między sobą rozumieją się doskonale. Jeżeli mamy sądownictwo pracy, handlowe itp., jeżeli specjalizację sądownictwa posunęliśmy tak daleko, wprost nie pojmuję, dlaczego nie mamy sądów kobiecych dla kobiet. W dodatku nasze uniwersytety produkują tysiące prawniczek. I na przykład ty, zamiast siedzieć w Mundusie, miałabyś właściwe sobie pole działania, jako sędzia.

Anna roześmiała się:

— Ja, mój drogi?... Nigdy. Za żadne skarby. Po pierwsze nie cierpię prawa. Zawsze nie cierpiałam. Jest suche, sztywne i nie ma nic wspólnego z życiem. A po drugie dziwiłam się zawsze uczciwym i rozumnym ludziom, którzy mają wobec własnego sumienia odwagę sądenia i skazywania innych. Jak można brać na siebie odpowiedzialność! Brr... Skazać kogoś na dożywotnie więzienie czy na śmierć, odebrać komuś majątek. Nie mój drogi. To nie dla mnie. Zresztą już dziś nic nie pamiętam z prawa i wcale tego nie żałuję.

Władek ożywił się:

— Ależ świetnie! Sama dałaś mi najlepszy argument odrębności psychiki kobiecej. Pięć lat chodzić na uniwersytet po to, by nie wyciągnąć z tego logicznej konsekwencji. Uczyć się prawa, chociaż go się nie cierpi, a w dodatku ten strach przed badaniem! Mężczyzna już od dziecka bada wszystko dokoła, gdyż chce o każdym przedmiocie wyrobić sobie zdanie. Chłopcy tylko dlatego psują zabawki, by poznać ich funkcje, mechanizm, materiał. Kobieta albo kieruje się intuicją, albo obojętnie patrzy na otaczający ją świat i jego zagadnienia. Nieraz przyglądałam się dziewczynkom. Na czym polega ich zabawa?... Zawsze i nieodmiennie na małpowaniu najprostszych form życia starszych kobiet: szyją, gotują, ubierają się w świecidełka, no i zajmują się lalkami tak, jak ich matki zajmują się dziećmi. I takie są przez całe życie. Wszystkie ich pragnienia i aspiracje ograniczają się do procesów biologicznych i fizjologicznych. Oto ich wszechświat. Absolutna niezdolność do abstrakcyjnego myślenia i nie tylko do abstrakcyjnego. Gwiazdy i planety nie są abstrakcją, lecz kobieta nie zainteresuje się astronomią, gdyż nie widzi jej praktycznej użyteczności w codziennym życiu. Nawet bliższych rzeczy nie pojmuje. Powiedziałaś, że nie cierpisz prawa. Kobiety niecierpią wszystkiego, co jest pewnym porządkiem. Na

Prawo

przykład państwo. Najuczciwsza kobieta potrafi przewozić przemysł. Podkreślam: najuczciwsza. Oszukanie państwa nie jest dla niej czymś brzydkim. Bo państwa nie ogarnia zasięgiem swoich pojęć. Zupełnie odmienna konstrukcja psychiki, inny układ umysłu. Weźmy choćby pamięć. Jest wprost nie do wiary, jakim bagażem przeładowana jest pamięć kobieca. Przechowują się w niej wszystkie suknie przyjaciółek i rywalek, daty ślubów, urodzeń, rozwodów, skandalów i romansów wszystkich znajomych lub znanych choćby ze słyszenia. Ścisły tekst najbanalniejszych komplementów, każde czułe słówko każdego mężczyzny, na którego bodaj najmniejszą zwróciły kiedyś uwagę. Szczególiki, bzdurstwa i głupstwa. A w kilka lat po skończeniu studiów ani w ząb nie pamiętają tego, czego się uczyły. Zdarzają się, oczywiście, i wyjątki, ale ja ich nie spotykałem wiele.

— Uspokój się — odpowiedziała Anna — będziesz ich spotykał coraz więcej. Zaledwie od kilkunastu lat kobieta zaczęła wchodzić w życie publiczne na równych prawach z mężczyzną i z czasem wyrobi się również.

— Wykluczone. Pozostanie taka, jaka była, gdyż nie zmieni swojej psychiki tak, jak nie może zmienić swej anatomicznej budowy.

— Jednak i pod względem anatomicznym zmienia się. Porównaj dawne kobiety z dzisiejszymi wysportowanymi, szczupłymi, silnymi.

— To inna rzecz. To znowu kwestia fizjologiczna. Mężczyznom obecnie podobają się takie kobiety, więc kobiety przerabiają się na takie. Przed pół wiekiem były w modzie Laury i pasterki, później kobiety inteligentne, teraz wysportowane. Dla zdobycia samca każda z was gotowa jest do najsprzeczniejszej ze swą naturą maskarady. Ale istoty swej psychiki zmienić nie możecie, gdyż ta jest na wskroś, że tak powiem, cielesna. A rozwinąć można tylko to, co choćby w najdrobniejszym załączku istnieje, z niczego nic nie można rozwinąć, a właśnie pierwiastka duchowego w kobiecej psychice nie ma ani śladu.

— Za pozwoleniem, mój drogi! Sam twierdziłeś, że cała cywilizacja, cała kultura to twór ducha...

— Męskiego!

— Ale twór ducha, walczącego ze zwierzęcą naturą. Tak twierdziłeś?

— Twierdzi Bergson.

— Wszystko jedno, ale ty też jesteś tego zdania. A poza tym utrzymujesz, że kobiety wypychają się do życia publicznego, że tak czy inaczej, bo nie o to chodzi, tworząc nową cywilizację. Więc skądże by znalazły ten doping, gdyby nie miały w sobie potrzeb duchowych?

— Doping?... Przesilenie gospodarcze, warunki wytworzone przez wojnę, a poza tym masochizm męski, tęskniący do kobiety silniejszej i lepszej, wyższej od siebie albo przynajmniej równej sobie.

— To, przepraszam cię bardzo, walka polemiczna, bo te rzeczy mogły tylko współdziałać rozwojowi pierwiastka duchowego, lecz nie mogły go stworzyć z niczego. Zatem musisz przyznać, że twoja cała teoria o niższości kobiety, że twoja kobietofobia nie ma podstaw racjonalnych...

— Zbyt powierzchownie to ujmujesz, gdyż...

— Poczekaj! Nie ma podstaw racjonalnych, a jeżeli chodzi o emocjonalne, kochałeś matkę, kochasz kogoś jeszcze, nad Litunią drżałeś z obawy o jej życie, a poza tym wdajesz się w dyskusję ze mną. Po co? Jeżeli jestem zwykłym zwierzątkiem, pozwól, że zaapeluję do męskiej logiki, kup sobie kanarka lub morską świnkę i wygłaszaj przed nią swoje filipiki. Czyż nie mam racji?

Władek śmiał się i mówił coś jeszcze, że tu chodzi nie o nią ani o niego, tylko o zasadnicze rozwiązanie problemu, lecz na zakończenie zapewniał, iż lubi ją pasjami i że najprzyjemniej spędza czas właśnie w jej towarzystwie.

— Ach, ci mężczyźni — uśmiechała się Anna, zamykając za nim drzwi i zabierając się do snu — zapewniają nas, że wnosimy do cywilizacji element rozkładowy, że obniżamy poziom kultury duchowej do zwierzęcej skali, a wolą rozmawiać i przebywać z nami, niż w swoim towarzystwie. Pocziwy gaduła ten Władek...

Wkrótce po Nowym Roku wypisano Litunię z kliniki i obie wróciły do swego mieszkania. Połączone to było dla Anny z pewnym niepokojem. Nie wiedziała, jak obecnie ułożą się stosunki z Marianem. Marian był dość subtelny, by wyczuć zmianę, jaka w niej

Pamięć

Cywilizacja

zaszła. Podczas całej, długiej choroby Lituni przyszedł do kliniki tylko dwa razy i to na samym początku. Zamieniła z nim zaledwie kilka zdań, a ostatnio dała wyraźnie do zrozumienia, że nie jest w stanie w takiej chwili zająć się drobiazgami. Zbladł wówczas i Anna dodała dla złagodzenia sytuacji:

— Nawet o sobie nie umiem myśleć.

Pożegnał się w milczeniu i wyszedł. Nie obraził się na pewno, ale musiał to odczuć boleśnie. I teraz wypadało właściwie, by Anna zwróciła się doń pierwsza. Jednakże kłopoty przy wyszukaniu nowej bony, mieszkanie i tysiące drobnych zajęć zabierały tyle czasu, że jakoś pójście do Mariana odkładała z dnia na dzień.

A on też nie przychodził. Było to nieładnie z jego strony, ale może i najlepiej. Tutaj nie mogliby swobodnie rozmawiać, gdyż w ciągu całego dnia była przy Lituni albo Buba, albo pani Kostanecka. Same się ofiarowały i naprawdę bardzo pokochały Litunię. Wieczorem zaś Anna była zawsze tak zmęczona biurem, lataniną i domowymi sprawami, że zdobycie się na poważną rozmowę z Marianem byłoby nadmiernym wysiłkiem. Przecież czuła potrzebę jakiegoś przyzwoitego, ludzkiego załatwienia, zakończenia ich stosunku. Gdy jednak wyobrażała sobie tę chwilę, jego smutne, bezradne oczy i całą tę jego bezwolność, rezygnację, denerwującą ślamazarność impasu, wołała odciągnąć to jak najdalej.

I tak mijały dni, zaczęły mijać tygodnie i miesiące. Teraz już rozmowa na ten temat byłaby nieaktualna, spóźniona, bezprzedmiotowa. Wszystko, co ich łączyło, rozplynęło się bez słów w czasie. Ponieważ zaś Anna ani przez moment nie wątpiła, że Marian wciąż ją kocha, czuła się niedobrą, bezlitosną, krzywdzicielką.

W połowie marca dowiedziała się od bony, że ten pan z trzeciego piętra wyprowadził się. Sprawdziła to u dozorczy. Rzeczywiście pan Dziewanowski wyprowadził się gdzieś na Mokotów. Anna wstydziła się tego, lecz nie mogła zamaskować przed sobą ulgi, jaką to jej sprawiło: tak bardzo zawsze obawiała się, że spotka go na schodach.

Litunia do wiosny wydobrała zupełnie. Nowa bona, starsza już pani, była nauczycielką, wprawdzie nie umiała pozyskać sympatii dziecka, wciąż tęskniącego za panną Zosią, dawała jednak gwarancję bezpieczeństwa i starannej opieki. Codziennie z Litunią chodziła na przechadzkę i tak się ułożyło, że wstępowały zawsze na kwadransik do „babuni Kostaneckiej”. W ogóle Anna bardzo zbliżyła się ostatnio z całą rodziną Buby. Przede wszystkim czuła dla nich głęboką wdzięczność za tyle życzliwości, ile jej okazywali na każdym kroku, a poza tym lubiła ich, jak i oni ją polubili. Tylko na większych przyjęciach nie bywała, ani u Tańskich, ani u państwa Kostaneckich. Zbyt wiele miała wydatków, by mogła sobie pozwolić na tualety, odpowiadające strojom pań z tego towarzystwa, a nie lubiła wyglądać jak Kopciuszek.

Natomiast w powszednie dni spędzała tam często po kilka godzin i stopniowo prawie się zadowiodła, prawie znalazła w nich rodzinę. I oni uważali ją za swoją. Brat pani Kostaneckiej, inżynier Oskierko, który co tydzień wpadał do Warszawy w sprawach swojej cukrowni, mówił żartobliwie:

— Wydaliście córkę za mąż, a sprokurowaliście sobie drugą. Do stu diabłów, sam nie wiem, czyście nie zrobili dobrej zamiany.

Śmiał się przy tym rubasznie, pochrząkiwał i robił do Anny oko. Bez żadnych, broń Boże, zamiarów, co Anna doskonale widziała, ale po prostu ze swej natury nieco rozrukanej i szlagońskiej. Każdy jego przyjazd napelniał dom hałasem. Rozmawiając przez telefon, krzyczał na całe gardło, gdy hasał po salonie z Litunią, usadowioną na ramieniu, trzęsła się kamienica, gdy potrzebował służącego, nigdy nie używał dzwonka, lecz wołał donośnie. Siwy zupełnie, pomimo zaledwie czterdziestu kilku lat, wielki, ciężki i ruchliwy, sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego z siebie i ze świata. Anna jednak wiedziała od Buby i od pani Kostaneckiej, że niezupełnie tak było. Miał jakąś tragedię rodzinną, po której rozszedł się z żoną, była śpiewaczką, która występowała obecnie gdzieś w Brazylii czy Argentynie. Już sama dowiedziała się Anna, że pan Oskierko prowadzi proces rozwodowy, a dowiedziała się dlatego, że pan Oskierko czasami zamykał się z panem Kostaneckim w gabinecie i zasięgał jego rad. Ponieważ zaś, mówiąc o rzeczach dyskrecjonalnych, używał poufnego szeptu, Anna, siedząc w trzecim pokoju musiała słyszeć każde słowo, gdyż szept pana Oskierki miał donośność syku pary, wypuszczanej z lokomotywy.

— Oj, wujciu, wujciu — pękała ze śmiechu Buba — już to wujcio jest jedyny do sekretów!

Śmiały się obie i śmiał się sam pan Oskierko, a pan Kostanecki mówił:

— Co to za szczęście, kuchassju, żeś został chemikiem, nie księdzem. Już to tajemnica spowiedzi byłaby zanadto na szwank narażona.

Każdy wieczór spędzony z nimi był dla Anny jakby ciepłą kąpielą w pogodzie i bez trosce. Przypomniła sobie, co kiedyś mówił jej ojciec:

— Każdy człowiek może dobrze oddychać tylko w takim klimacie, w jakim się urodził.

A właśnie klimat tej rodziny tak bardzo przypominał Annie dziecinne lata. Po prostu odurzała się tą atmosferą, tą harmonią nastrojów, tą jakąś stabilizacją życia w idealnej równowadze pragnień i osiągnięć.

Jej dom, a raczej mieszkanie, to był tylko przystanek, tylko zestawienie ścian, okien i sufitów, ochraniające pobyt dwóch istot przed prądem tego, co się wokół działo. Wewnątrz nie działo się nic. Na próżno Anna ozdabiała i upiększała te dwa pokoiki, na próżno starała się udomowić każdy szczegół, zanim zrozumiała, że treść musi polegać na czymś całkiem odmiennym.

— Dokąd dziś pójdziemy, matérko — witała ją Litunia codziennym pytaniem.

Czyż mogła dziecku brać je za złe, skoro sama myślała o tym?... Czuła się tu wprawdzie stokroć, milionkroć lepiej niż w biurze, jednak właśnie po tym biurze musiała mieć zupełne odprężenie, łaknęła swobodnego oddechu po tej codziennej katordze.

W Mundusie tymczasem zaszły zmiany. Minz został prezesem Towarzystwa i wycofał się, powierzając dyрекcję jakiemuś swemu kuzynowi, który jednocześnie prowadził dwa inne przedsiębiorstwa. Nowy dyrektor, pan Szumański, nie miał czasu na częste prze-siadywanie w Mundusie, wskutek czego panna Stopińska zagarnęła całą władzę w swoje chciwe ręce. Ponieważ zaś jednocześnie awansowała na prokurentkę, Anna została całkowicie od niej uzależniona, nawet bez możliwości odwoływania się do wyższej instancji, gdyż Szumański podwładnych przyjmował rzadko i niechętnie. Obdarzał pannę Stopińską całkowitym zaufaniem, zaś skargi na nią i jej zarządzenia uważał za „objawy fermentu i samowoli”.

Annie zdarzyło się to usłyszeć dwa razy. Na początku kwietnia panna Stopińska wy-koncypowała okólnik, obowiązujący kierowników działów do sprawozdań z zużycia ma-teriałów piśmiennych. Była to nędzna meskineria¹⁴² i zwykła szykana, wyglądająca na podejrzwanie pracowników o kradzież ołówków i papieru. Anna okólnika nie podpisała i oświadczyła woźnemu, by odniósł „ten papierek” pannie Stopińskiej. Nazajutrz poszła do dyrektora, który nawet jej nie wysłuchał dokładnie, irytował się, że mu głupstwa-mi zabierają czas, przyznał rację pannie Stopińskiej i na zakończenie poczęstował Annę „objawami fermentu i samowoli”.

Wówczas przysięgła sobie za żadne skarby nie zwracać się więcej do Szumańskiego, a wszystkie szykany wiedzmy znosić z pogardliwą obojętnością. Gdy jednak w sześć ty-godni później zdarzył się wypadek z „Kompanią Horst”, nie wytrzymała.

Rzecz miała się tak: „Kompania Horst” zwróciła się z propozycją odstąpienia Mun-dusowi zorganizowanej już wycieczki do portów Bałtyckich na czterysta osób. Panna Stopińska odesłała ofertę Annie z aroganckim napisem: „sprawdzić kalkulację i złożyć wniosek w ciągu trzech dni”.

Anna zrobiła swoje. Kalkulacja „Horsta” była naciągnięta, wycieczka mało atrakcyj-na, pora — maj — zbyt wczesna jak na bałtycką temperaturę, urlopy osób lepiej sytu-owanych zaczynają się przeważnie od czerwca, czyli o zdobyciu czterystu amatorów nie było co marzyć. Napisała wniosek odmowny i odesłała ofertę do dyrekcji. Ponieważ zaś oczywistość nieopłacalności wycieczki uderzała w oczy, w swoim wniosku nazwała ofer-tę „naiwną” nie bez zamiaru dotknięcia tym panny Stopińskiej, która mogła podobną propozycję „Horsta” potraktować poważnie.

Nazajutrz Anna, ku swemu zdumieniu i oburzeniu, otrzymała dyspozycję opraco-wania tej, niedorzecznej, wycieczki. Było to zrobione tylko jej na złość, lecz Anna nie przypuszczała, by panna Stopińska mogła posunąć się aż do szkodenia interesom fir-

Dom

¹⁴²meskineria — małostkowość. [przypis edytorski]

my. Nie podejrzewała jej wprowadzić o wzięcie łapówki od „Horsta”, ale tak to mogło wyglądać.

Wówczas właśnie po raz drugi Anna zażądała audiencji u dyrektora. Była pewna wygranej, pewna zdemaskowania tej zawziętej baby i podcięcia jej wydętego autorytetu.

Tym razem Szumański zachował się wprost niegrzecznie. Nie tylko nie podał ręki, lecz nawet nie wskazał Annie krzesła. Chodził po pokoju i gdy rzeczowo wykladała mu całą sprawę, raz po raz powtarzał niecierpliwie:

— Tak, tak i co dalej?

Spoglądał przy tym na zegarek w taki sposób, że było to wręcz obrażające. Na zakończenie zaś powiedział:

— Dobrze, sprawdzę to sam, ale pani jest klótniwa.

— Jak to mam rozumieć, panie dyrektorze? — zatrzymała się Anna.

— Jak się pani podoba — odburknął — do widzenia pani.

Wróciła do swego boksu cała drżąca. Nie spodziewała się takiego przyjęcia. Tański, który wiedział o wszystkim i bynajmniej nie pochwalał gburowatości szefa, pocieszał ją, jak umiał.

— Ach, Boże, Boże — trzęsła się Anna — jak ja jestem nieszczęśliwa, że muszę to wszystko znosić. Co ja dałabym za możliwość porzucenia tego ohydneho biura!...

Nadobitek wciąż nie przychodziło z dyrekcyj odwołanie wycieczki, a w kilka dni później Anna dowiedziała się, że wycieczka została postanowiona. Było to nie do wiary! A jednak trzeba było z tym się liczyć. Panna Stopińska pewnego dnia zażądała przedstawienia dotychczasowej pracy, a ponieważ Anna w przeświadczeniu, że rzecz nie dojdzie do skutku nie zrobiła nic, nastąpiła przykra awantura. Wobec całego biura panna Stopińska wołała podniesionym głosem:

— To jest karygodne niedbalstwo! Pani lekceważy swoje obowiązki! Każdy chciałby pieniądze brać i nic nie robić! Ale ja potrafię panią przywołać do porządku!

Tego dnia Anna postanowiła szukać innej posady. Zaraz nazajutrz była u Kuby i telefonowała do Szczedronia. Niestety, Szczedroń nie miał żadnych odpowiednich stosunków, zaś w Instytucie Bakteriologicznym wszystkie posady były obsadzone. Kuba natomiast obiecywał miejsce stenotypistki, lecz z taką pensją, która dla Anny stanowiłaby zaledwie małą część budżetu. Zaczęła wobec tego studiować ogłoszenia i sama dała kilka. Nie mogła jednak nic znaleźć.

Z dnia na dzień była coraz bardziej przygnębiona. Któregoś wieczoru u państwa Kostaneckich nawet rozplakała się, czym przeraziła wszystkich.

Najbardziej odczuła to Buba i, odprowadzając Annę do domu, wydobyła z niej wyznanie, że praca w Mundusie jest dla niej nie do zniesienia. Buba bardzo gorąco wzięła to do serca.

— Anus! — zapewniała — naciśnę ojca, znajomych, muszą coś dla ciebie znaleźć. Na pewno znajdą!

I w rzeczywistości Anna trochę liczyła na to. Pan Kostanecki miał szerokie wpływy w przemyśle, już to z racji wielu zajmowanych przez siebie stanowisk, już przez liczne pokrewieństwa zarówno własne jak i żony. Upływały jednak tygodnie bez żadnych zmian, a sytuacja w Mundusie wciąż się pogarszała. Wreszcie z końcem czerwca Anna otrzymała wymówienie.

Nie było to dla niej niespodzianką. Już od miesiąca krążyły wersje o redukcji i Anna przeczuwała, że w redukcji tej nie zostanie pominęta. Istotnie, pięć osób otrzymało wymówienia „z powodu reorganizacji pracy”. Z nich wszystkich Anna przyjęła rzecz najspokojniej. Oczywiście, była zmartwiona, lecz w gruncie, cieszyła się, że nareszcie rozstać się z Mundusem, z tym gburom Szumańskim i z panną Stopińską. Wciąż nie traciła nadziei, że znajdzie nową, możliwą posadę, na której szukanie pozostawało jej bądź co bądź trzy miesiące czasu.

Najprzykrzejsze było to, że w owym trzymiesięcznym okresie wypadał również jej urlop, z którego w tych warunkach nie mogła skorzystać. Trzeba było siedzieć w Warszawie i starać się o dopilnowanie złożonych już ofert, o znalezienie nowych widoków na pracę, a poza tym oszczędzać i wciąż oszczędzać, by odłożyć chociaż trochę grosza na wszelki wypadek.

Wprawdzie urlop wyjątkowo mógł nic nie kosztować. Mianowicie pan Oskierko proponował jej, by przyjechała, choćby na całe lato do Żarnowca. Nawet upierał się przy tym, odwołując się do skaptowanej¹⁴³ przez siebie Lituni:

— Niechże pani zrobi tę łaskę serdecznemu przyjacielowi i przyjdźcie. Dom duży, powietrze dobre, no i muszę dotrzymać temu kochanemu bąkowi obietnicy pokazania, jak się robi cukier. Gadajże mała, bo twoja mamusia mnie nie usłucha!

— Bardzo panu dziękuję, ale po pierwsze nie chcę sprawiać kłopotu...

— Jaki kłopot do stu diabłów!? Siedzę sam niczym pustelnik, gęby nie mam do kogo otworzyć. Pani Anno, robi mi pani tę łaskę. Nie podoba się, ha, to trudno. Z bólem serca odesłał was z powrotem na pierwsze skinienie palca. Żarnowiec to nie więzienie. Przemocą trzymać nie będę, choć może bym i chciał, jak mi życie miłe.

— Pojechałaby pani, kuchassju — dodawał pan Kostanecki.

— Kiedy naprawdę, nie mogę. Sam pan wie, że muszę pilnować swoich spraw w Warszawie.

— Ot, uparta z pani babinka — udawał irytację pan Oskierko, a może irytował się naprawdę, gdyż miał w naturze sporo despotyzmu i w swojej cukrowni podobno rządził się, jak dobroćliwy, ale samowładny kacyk.

Tym razem dłużej siedział w Warszawie niż zwykle i trochę puszczał pieniądze. Kilka razy zabrał Bubę i Annę do teatru, w niedzielę, korzystając z pięknej pogody, proponował urządzenie majówki rodzinnej, w której oczywiście musiała wziąć też udział i Anna z Litunią. Pojechano trzema samochodami o kilkadziesiąt kilometrów do lasu, a wszyscy uczestnicy wycieczki otrzymali od inicjatora pamiątki. Litunia dostała olbrzymią lalkę, Anna zaś śliczne wieczne pióro z *lapis lasuli*¹⁴⁴.

Nazajutrz, po wyjeździe brata, odwiedziła Annę pani Kostanecka. Mówiła o tym i owym, a na zakończenie zaczęła namawiać Annę na wyjazd do Żarnowca.

— Naprawdę, kochana pani Anko, mogłybyście pojechać.

— Ach, droga pani — westchnęła Anna.

— Bo może powstrzymują panią jakieś obiekcje? — zaczęła pani Kostanecka — sama je zrozumiałabym, gdyby chodziło o kogoś innego, ale mój brat naprawdę jest bardzo porządnym człowiekiem, opinię ma kryształową. Poza tym mieszka tam nasza ciotka, kobieta wprawdzie cierpiąca na niezliczone choroby, ale miła i kulturalna staruszka. I nie jest znowu takie odludzie. Cukrownia zawsze bywa swego rodzaju małym światkiem zamkniętym, ale jest administracja, inżynierowie, ich rodziny, no i okoliczne ziemianstwo. A memu bratu sprawiłaby pani, kochana pani Anno, nieklamana radość. On ma dla pani bardzo wiele sympatii i szacunku, jak my wszyscy.

— Ja naprawdę jestem niesłychanie państwu wdzięczna i umiem docenić dobroć pana Oskierki, ale muszę myśleć o chlebie. Cóż pocznę, jeżeli nie znajdę posady?... Nie, kochana pani, już jakoś obejść się w tym roku bez odpoczynku.

Pani Kostanecka tym razem nie nalegała, ale po kilku dniach znowu powróciła do tematu, również Buba i Tański kilkakrotnie wznawiali swoje namowy. Toteż Anna miewała takie chwile, szczególnie po większych przykrościach w Mundusie, kiedy przychodziło jej na myśl z miejsca rzucić wszystko i jechać do Żarnowca. Niech się dzieje, co chce, może przyszłość jakoś się ułoży. Nie umrze przecie z głodu, a tak ciężkie jest to użeranie się o byt.

Szybko jednak wracała do równowagi i ze zdwojoną energią zabierała się do poszukiwania posady. Tu i ówdzie obiecywano, że może coś się zwolni, większość jednak podań i ofert pozostawała w ogóle bez odpowiedzi.

Pomału w Annie zaczynało powstawać swego rodzaju rozżalenie do pana Kostaneckiego. Nie powiedziała by tego głośno za żadne skarby, ale czyż to nie był naprawdę człowiek nieużyty? Wprawdzie okazywał jej masę serdeczności, ale Anna nie mogła uwierzyć, by przy jego stosunkach nie umiał znaleźć dla niej jeżeli już nie jakiejś świetnej, to przynajmniej możliwej posady. Kilkakrotnie próbowała zacząć z nim w tej sprawie szczerą rozmowę i otwarcie zapytać, dlaczego nie chce dla niej nic zrobić, lecz nie mogła zdobyć

¹⁴³skaptowany — zjednany, pozyskany, przeciągnięty na czyjąś stronę. [przypis edytorski]

¹⁴⁴lapis lasuli — skała o barwie niebieskiej, której głównym minerałem jest lazuryt. [przypis edytorski]

się na odwagę, a poza tym zawsze był obecny jeszcze ktoś, pani Kostanecka, Tański lub pan Oskierko, przy których nie przeszłaby jej przez gardło ta dzika bądź co bądź pretensja.

Z początkiem lipca, państwo Kostaneccy przenieśli się do swej willi w Konstancinie i widywała ich teraz znacznie rzadziej. Ona siedziała tam stale, on natychmiast po załatwieniu swoich interesów wracał, czasami tylko wpadając do Tańskich, gdzie o posadzie nie mogła z nim mówić. Również i pan Oskierko przestał przyjeżdżać. Warszawa opustoszała i Anna czuła się opuszczona, samotna, zdana na łaskę losu, który bynajmniej nie zapowiadał się łaskawie.

Tak stały sprawy, gdy pewnego dnia zjawił się w Mundusie pan Kostanecki. Przywitał się, usiadł, zapalił papierosa i zapytał:

— No i jakże, kuchassju, nie znalazła pani jeszcze nic dla siebie?

Anna od razu domyśliła się, że przyszedł z gotową propozycją. Zarumieniła się, zamknęła starannie drzwi boksu i powiedziała:

— Nic, absolutnie nic.

— Tak — zabębnił palcami po papierach pan Kostanecki — a niech mi pani powie, kuchassju, czy koniecznie zależy jej na posadzie w Warszawie?

— Jak to?

— No, czy nie wzięłaby pani czegoś na prowincji?... Pani już tu nam tak dokuczyła, że chcielibyśmy pani pozbyć się.

Zaśmiał się szeroko i pocałowałszy Annę w rękę, dodał:

— Bo, kuchassju, miałbym dla pani coś moim zdaniem odpowiedniego. Po co pani te biura? Dziecko musi pani zostawiać na obcej opiece i z różnymi niemiłymi ludźmi gadać, zresztą co będę się rozwodził. Ma pani i niech pani to życzliwym oczkiem przeczyta.

Wydobył z kieszeni list adresowany do pani Kostaneckiej i podał Annie.

— Mam to przeczytać, ale...

— Czytaj, kuchassju, śmiało, moja pani właśnie osądziła, że tak będzie najlepiej.

Anna wyjęła z koperty ćwiartkę papieru, zapisanego mocnym, dużym pismem. Był to list pana Oskierki.

Prosił siostrę o zwrócenie się do pani Anny Leszczowej z propozycją, „a raczej z serdeczną prośbą, by zechciała objąć w Żarnowcu stanowisko sekretarki, prawej ręki, słowem osoby zaufanej i życzliwej, która by i dom mi poprowadziła, i miała oko na wszystkie moje sprawy.”

„Jeżeli nie zechce — pisał — postaw się na głowie, namawiaj jak umiesz. Sam przyjechałbym ją prosić, ale myślę, że przez Twoje usta będzie stateczniej i bardziej *comme il faut*¹⁴⁵. Pani Anna mało mnie zna, ale Twoje pośrednictwo nada rzeczy właściwy ton i wykluczy wszelkie nieporozumienia. Co do warunków, proponuj takie, jakie będziesz uważała za stosowne. Sądzę, że przyzwicie będzie zaofiarować gażę, jaką pani Anna ma obecnie, oczywiście z dodatkiem utrzymania i mieszkania. A propos mieszkania objaśnij, że nie jestem tu sam i wybierze sobie tę część domu, którą zechce. W ogóle żadnego skrępowania. Ile razy zechce wyjechać, zawsze konie i auto do dyspozycji itd. Już Ty to potrafisz wytłumaczyć. Jeżeli zaś, broń Boże spóźniłem się ze swą propozycją i pani Leszczowa ma już jakąś posadę, postaraj się ją przekonać, a w ostateczności depeszuj natychmiast do mnie”.

Dalej były zwykłe pozdrowienia, a na końcu dopisek, by w razie zgody przyspieszyć wyjazd Anny do Żarnowca.

— No i cóż, kuchassju — chrząknął pan Kostanecki — zgadza się pani?

— Owszem... tylko...

— Tsss!... To już nie ze mną. Moja misja jest skończona. A to pani powiem, kuchassju, że mądrze postanowiłaś. Teraz, co to ja chciałem tego?... Aha. Więc zadepeszuję Jurkowi, że załatwione, a pojutrze niedziela, to sobie z moją panią obgadacie resztę.

Z jakąż radością zabrała się Anna do wyjazdu. Właśnie rozpoczął się jej urlop i miała teraz całe dnie wolne. Musiała kupić wiele rzeczy dla siebie i dla Lituni, sprzedać meble, uregulować rachunki, ułożyć się z właścicielem domu co do spłaty zaległego komornego.

Wszystko to pochłaniało moc czasu. Nie myślała o tym, co ją czeka. Każde jutro było lepsze od teraźniejszości, z której wyrывała się nareszcie. Aż sama dziwiła się so-

¹⁴⁵*comme il faut* (fr.) — jak należy, jak wypada. [przypis edytorski]

bie, jak wyłącznie materialny stosunek łączył ją z Warszawą, z Mundusem, z rodziną, ze znajomymi. Rozstając się z tym wszystkim, nie odczuwała nawet cienia smutku. Złożyła pożegnalną wizytę ciotce Grażynie i zatelefonowała do Władka Szermana. Szczedroń, dla którego żywiła głęboką wdzięczność i z którym chciała się zobaczyć przed wyjazdem, był gdzieś za granicą. Zostawiła mu serdeczną kartkę i to było wszystko.

W upalny dzień sierpniowy w pustym już mieszkaniu kufry zostały dopakowane i wysłane na dworzec. Pociąg odchodził o ósmej wieczorem.

Tak się złożyło, że pani Kostanecka nie mogła tego dnia wyrwać się z Konstancina, a Tański miał jakąś ważną konferencję. Annę i Litunię odprowadzał tylko pan Kostanecki z Bubą. Śmieli się wszyscy czworo, Buba zapowiadała, że na wrzesień zjedzie z mężem do wuja Oskierki, pan Kostanecki żartował z Litunią, Anna zaś była troszeczkę nieprzytomna.

Konduktorzy zatraskiwali drzwi wozów i pociąg z wolna ruszał. Litunia zawzięcie machała chusteczką w kierunku uciekającego dworca.

Na peronie pozostali w tłumie Buba z ojcem. Pan Kostanecki patrzył za pociągiem i głąskał wąsy, jakby chcąc ukryć uśmiech.

— Tak, tak — powtarzał z zadowoleniem — ano tak...

— Bardzo się cieszę, tatusiu, bardzo! — wzięła go pod rękę Buba.

— Cieszysz się, kuchassju? He?... No, to mam pewien pomysł. Z racji dzisiejszego wieczoru zahulamy sobie. Zabieram cię na kolację do „Europy”. Cóż ty na to?

Z trudem posuwali się w hałaśliwym tłumie.

— Cóż ty na to? — powtórzył kontent ze swego projektu pan Kostanecki.

Buba przecząco potrząsnęła głową:

— Dziękuję ci, tatusiu. Jesteś niesłychanie uprzejmy, ale widzisz, Henryk niedługo przyjdzie z posiedzenia. Muszę wracać do domu.

— Ach ty, niedobra córko! No siadajmy — otworzył drzwiczki samochodu — odwiozę cię, a sam pojedę szaleć. Mówię ci, że rodzzonego ojca na złe drogi kierujesz.

Buba śmiała się, a wysiadając uściślała go z całych sił. Szofer zakręcił i odwracając głowę, zapytał:

— Pan prezes każe do Konstancina?

Pan Kostanecki zajęty był swymi myślami i automatycznie potwierdził:

— Do Konstancina, kuchassju.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dolega-mostowicz-trzecia-plec/>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Trzecia pleć, wydanie trzecie, Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1937.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Jacek Barański.

ISBN 978-83-288-8345-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).